

Kronika miasta Łodzi

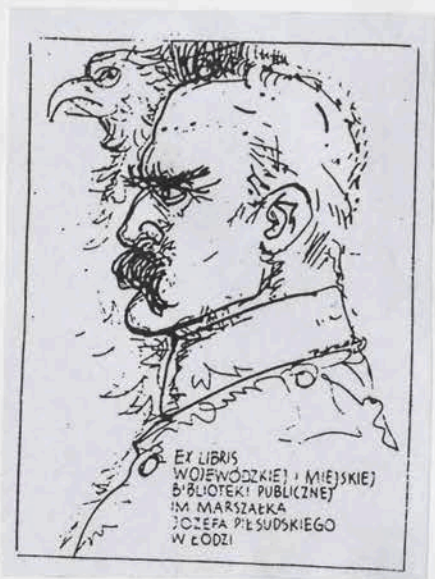
kwartalnik ● 1(49)/2010

Łódź przemysłowa

15/00



CD 120826/2010



dw/dh/131/2010

PK

Kronika miasta Łodzi

kwartalnik ● 1(49)/2010

Łódź 2010



Redakcja:

Gustaw Romanowski – redaktor naczelny
Marek Strąkowski – sekretarz redakcji

Współpraca:

Małgorzata Golicka-Jabłońska, Barbara Gortat

Projekt typografii i okładki – Andrzej Chętko

Skład i druk: Drukarnia WIST
95-100 Zgierz, ul. Barona 8 B

Wydawca:

Urząd Miasta Łodzi
Biuro Informacji i Komunikacji Społecznej

Redakcja:

Kronika Miasta Łodzi 90-004 Łódź, ul. Piotrkowska 113
tel. (42) 638-44-39
e-mail: kronika@uml.lodz.pl

ISSN 1231-5354

Spis treści

Przedsiębiorczość Łodzi	5
pierwsze kolumny	7
<i>Gustaw Romanowski, Poligon nowej przedsiębiorczości</i> ✓	9
<i>Cezary Stąkowski, Firmy rodzinne</i> ✓	25
<i>Joanna Wygnańska, Od rzemiosła do produkcji</i> ✓	30
<i>Konrad Michalak, Logika małej przedsiębiorczości</i> ✓	39
<i>Marcin Kieruzel, Biurowce mają przyszłość</i> ✓	46
<i>Danuta K. Gruszczyńska, Tkaniny mocniejsze od zbroi</i> ✓	52
<i>Adam Ketner, Łódzka specjalność</i> ✓	59
<i>Sylwia Czerniak, Niedługa historia</i> ✓	68
<i>Dariusz Kędziński, Okno na świat łódzkiego włókiennictwa</i> ✓	74
<i>Maria Zalasa, Włókiennik i szwaczka na wybiegu</i> ✓	80
kultura	87
<i>Gustaw Romanowski, Sztuka ładu i odpowiedzialności</i> ✓	89
<i>Nikodem Pręgowski, Typo&Konstrukcja</i> ✓	94
historia	103
<i>Piotr Jaworski, Najstarsza fabryka włókiennicza Łodzi</i> ✓	105
<i>Krzysztof Paweł Woźniak, Nieśluszenie zapomniani</i> ✓	125
<i>Kamil Śmiechowski, Nowy salon Łodzi</i> ✓	137
<i>Przemysław Waingertner, Ostatni lodzermensche</i> ✓	147
<i>Marcin Kieruzel, Pozostawili zabytki</i> ✓	162
<i>Mateusz Sidor, Fabryka nad Łódką</i> ✓	171
czarne dziury, białe plamy	179
<i>Magdalena Zapolska-Downar, Marzec 1968</i> ✓	181
łodzianie	189
<i>Zbigniew Wodo, Intelpekt, wiedza i pracowitość</i> ✓	191
<i>Przemysław Kukulski, Duszpasterz, biblista, wrażliwy człowiek</i> ✓	194
osiedla, domy, ulice	197
<i>Dariusz Kędziński, Ulica wylotowa</i> ✓	199
recenzje	215
<i>Mirosław Jaskulski, Śladem Łodzi przemysłowej</i> ✓	217
Z łódzkiego raptularza ✓	229

10 kwietnia 2010 roku w katastrofie samolotu pod Smoleń-
skiem zginęli, śpiesząc oddać cześć ofiarom Katynia

**Prezydent Rzeczypospolitej
Lech Kaczyński**

**Małżonka Prezydenta
Maria z Mackiewiczów Kaczyńska**

**Ostatni Prezydent RP na Uchodźstwie
Ryszard Kaczorowski**

- symbol ciągłości polskiej demokratycznej państwowości
Wraz z Nimi tragiczną śmierć poniosło znamienite grono

Polek i Polaków

których odejście jest bolesną wyrwą w naszym polskim domu

Wśród 96 ofiar narodowej tragedii także Łódź straciła
swoją wybitną obywatelkę

Joannę Agacką-Indecką
Prezesa Naczelnej Rady Adwokackiej

Cześć Ich pamięci

Przedsiębiorczość Łodzi

Łódzki mit opiera się na przedsiębiorczości. Od dwustu bez mała lat do tego miasta, rosnącego potem w coraz bardziej zawrotnym tempie, ściągali ludzie z różnych stron. Nie tylko z Europy zresztą. Przyjeżdżali, aby urzeczywistniać tu swoje pomysły na ekonomiczną pomyślność. Myśleli wprawdzie o własnej pomyślności, ale przecież musieli się jakoś dzielić nią i z innymi mniej przedsiębiorczymi, bo tylko w taki sposób mogły rosnąć manufaktury przekształcające się w przemysłowe kolosy. Bo tylko tak obok pomnażającego się kapitału rodziła się praca dla dziesiątków tysięcy ludzi mniej zaradnych, czy – jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli – mniej kreatywnych i odważnych.

Przedsiębiorczość wymaga odwagi. Nie tej romantycznej, wojennej, frontowej, partyzanckiej czy jakiegokolwiek innej, której towarzyszy fizyczne ryzyko. Prawdziwej przedsiębiorczości nie ma bez odwagi i gotowości na ryzyko. To ryzyko niepowodzenia rynkowego, załamania się popytu, bankructwa z różnych przyczyn. Ryzyko niespodziewanego odcięcia źródeł surowcowych, utraty płynności płatniczej czy deprecjacji kapitału.

Historia łódzkiej przedsiębiorczości notuje wielkie wzloty i wielkie upadki. Włókiennictwo, które wyniosło Łódź do monokulturowej przemysłowej potęgi, przeżywało wprawdzie różne załamania koniunktury, ale stało się też sprawcą strukturalnej klęski, kiedy po 1989 roku zetknęło się z twardą rzeczywistością gospodarki rynkowej. To dzięki zaradności i przedsiębiorczości tysięcy łódzian na gruzach tego przemysłu powstały małe zakłady pracy, które pozwoliły przewartościować stare nawyki „wielkoprzemysłowej klasy robotniczej” i stworzyć nową perspektywę rozwoju miasta, zaniedbywanego przez długie dziesiątki lat.

Powstanie Łódzkiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej stworzyło z kolei szanse nie tylko na przyciągnięcie zagranicznego kapitału, ale przede wszystkim na pobudzenie różnorodnych inicjatyw gospodarczych. Otwarcie się Łodzi na inwestycje różnych branż oraz na takie pola aktywności gospodarczej, której celu nie wyznacza produkcja, ale działalność usługowa, przeorało już w znacznym stopniu świadomość społeczną. Okazało się, że można inwestować z powodzeniem w szkolnictwo, które zaowocowało w naszym mieście nie tylko intensywną rozbudową dotychczasowych uczelni, ale powstaniem też kilkunastu nowych szkół wyższych, znajdujących popyt na nieraz bardzo niszowe edukacyjne usługi.

Dobrą inwestycją jest też kultura. Nie przynosi ona wprawdzie szybkiego zwrotu poniesionych nakładów, ale w perspektywie dalszej daje zysk także ten materialny, wynikający z cywilizacyjnego skoku. Dlatego opłacają się duże inwestycje

w kulturę, czego dowodem może być nowo wzniesiona w Łodzi hala wielofunkcyjna, przydatna zarówno dla dużych imprez sportowych, jak i masowych wydarzeń kulturalnych.

Przedsiębiorcze pomysły tworzy często chwila, kontekst sytuacyjny, niespodziewana potrzeba. Tak narodził się na przykład pomysł na łódzkie ryksze, które pomogły nie tylko zaradzić potrzebom drobnej komunikacji na zamkniętej dla samochodowego ruchu ulicy Piotrkowskiej, ale uatrakcyjniły także w prosty sposób przestrzeń publiczną miasta.

Przedsiębiorczość wyrasta z wielkich i małych pomysłów.

Redakcja „KML”

pierwsze kolumny

Poligon nowej przedsiębiorczości

Strefa zrównoważonego rozwoju
Gustaw Romanowski
str. 9

Firmy rodzinne

Inwestycje pierwszego pokolenia
Cezary Strąkowski
str. 25

Od rzemiosła do produkcji

Cukiernie starej i nowej Łodzi
Joanna Wygnańska
str. 30

Logika małej przedsiębiorczości

Naprawa sprzętu medycznego
Konrad Michalak
str. 39

Biurowce mają przyszłość

Budowniczości „Forum 76”
Marcin Kieruzel
str. 46

Tkaniny mocniejsze od zbroi

Technologia XXI wieku
Danuta K. Gruszczyńska
str. 52

Łódzka specjalność

Centrum produkcji transformatorów

Adam Ketner

str. 59

Niedługa historia

Zakłady Tekstylno-Konfekcyjne „Teofilów” S.A.

Sylwia Czerniak

str. 68

Okno na świat łódzkiego włókiennictwa

„Textilimpex”

Dariusz Kędzierski

str. 74

Włókiennik i szwaczka na wybiegu

Łódź jako centrum mody polskiej

Maria Zalasa

str. 80

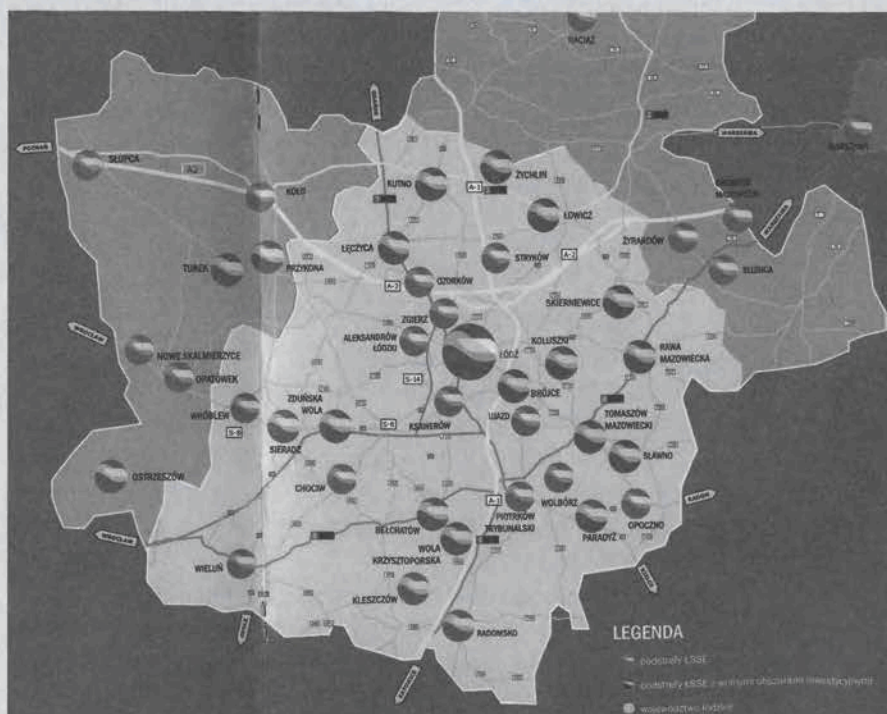
Poligon nowej przedsiębiorczości

Strefa zrównoważonego rozwoju

W 1994 roku Sejm uchwalił ustawę o specjalnych strefach ekonomicznych. Przewidziała ona pomoc publiczną dla inwestorów, którzy zdecydują się na działalność gospodarczą głównie na takich terenach, gdzie problemy strukturalne spowodowane transformacją ustrojową wywołały wyraźny regres ekonomiczny mierzony upadkiem dotychczasowych dużych zakładów pracy wraz z towarzyszącym temu narastającym bezrobociem.

Na powstanie takiej specjalnej strefy, stwarzającej szansę na odbudowanie rynku pracy, bardzo liczyła Łódź zaniedbywana przez lata w planach rozwojo-

pierwszemu kolumny



wych. Bo choć w okresie PRL-u powstało w mieście kilka dużych przedsiębiorstw reprezentujących przemysł elektromaszynowy, elektroniczny, chemiczny czy spożywczy, to jednak nie zachwiało to w niczym tradycyjnej i dominującej nad Łodzią monokultury „polskiego Manchesteru”. Dlatego będący od dawna do przewidzenia gwałtowny upadek tego przemysłu opartego o wielkie kombinaty branży włókienniczej, stworzył sytuację wyjątkowo trudną dla miasta, także ze względów społecznych. Tym bardziej, że pracownicy upadającego łódzkiego przemysłu – prządki, szwaczki, tkacze, wykończalnicy, farbiarze itp. nie otrzymali parasola ochronnego w formie liczących po kilkadziesiąt tysięcy złotych odpraw pieniężnych, na które mogli liczyć na przykład górnicy czy stoczniowcy, rozstający się ze swoimi dotychczasowymi miejscami pracy.

Z głębokiej zapaści, w której znalazł się łódzki rynek pracy, łodzianie musieli wychodzić sami. W pierwszej połowie lat 90. powstało w Łodzi kilka tysięcy małych zakładów pracy, głównie rodzinnych, zatrudniających nie więcej niż pięciu pracowników. Towarzyszyło im zjawisko „firm jednoosobowych”, czyli nastawionych przede wszystkim na świadczenie usług najmniejszych podmiotów gospodarczych. Ich pomysłodawcy nie mieli na ogół jasno wytyczonych planów rozwojowych swoich ekonomicznych przedsięwzięć. Mając niewielkie albo żadne doświadczenie w samodzielnej działalności gospodarczej i obawiając się ryzyka, wahań koniunktury i konkurencji rynkowej, pomysłodawcy tych miniprzedsiębiorstw zgłaszali je do ewidencji w sposób sugerujący nie tyle wszechstronność inwestycyjną właściciela, co asekuracyjną przeczność. Stąd w łódzkiej przestrzeni gospodarczej pojawiło się bardzo dużo firm o identycznie brzmiącej nazwie: PPHU (Przedsiębiorstwo Produkcyjno-Handlowo-Uslugowe). Dzisiaj znaczna ich część już nie istnieje, ale kiedy popatrzymy na szyldy wielu zakładów, którym udało się okrzepnąć i rozwinąć – dzięki raczej postawieniu na dość wąską specjalizację w usługach czy produkcji, niż zakładaną niegdyś wszechstronność – zauważymy nadal ów skrót „PPHU” zdobiący markę firmy.

Łódzka Specjalna Strefa Ekonomiczna została powołana do życia w 1997 roku. W odróżnieniu od rozproszonych i przeważnie niekonkurencyjnych pod względem technologicznym zakładów powstałych z inicjatywy byłych pracowników upadłego łódzkiego przemysłu, Specjalna Strefa od początku miała być jednocześnie impulsem i szansą. Impulsem do zerwania z tradycyjnymi stereotypami wiążącymi Łódź z włókiennictwem. Szansą na odbudowanie zrębów unowocześnionej materialnej podstawy rozwoju ekonomicznego regionu oraz nadzieją na stworzenie liczącego się zasobu dobrych miejsc pracy.

W jaki sposób spełniły się te nadzieje może odpowiedzieć dzisiaj obraz Strefy. Przez 13 lat jej istnienia wydanych zostało 158 zezwoleń. Nie wszystkie przedsięwzięcia się udały, ale dzisiaj w ramach Strefy funkcjonuje ponad sto przedsiębiorstw. Początki nie były jednak szczególnie imponujące. Zrazu w ramach Strefy

zaczęły powstawać głównie przedsiębiorstwa branży budowlanej i artykułów gospodarstwa domowego (AGD). Wraz z tymi inwestycjami pojawiły się jednak nowsze procedury technologiczne i zrationalizowana została niejako „na oczach” organizacja produkcji. Dalsze korzystne przekształcenia nastąpiły wraz z falą nowych inwestycji w Strefie, dokonujących się intensywnie od ponad trzech lat. Oprócz centrów logistycznych zorganizowanych w oparciu o nowoczesne systemy informatyczne, powstały firmy elektroniczne i teleinformatyczne, farmaceutyczne i akcesoriów medycznych, kosmetyczne i przetwórstwa spożywczego. Powstały też bardzo potrzebne dla budownictwa specjalistyczne zakłady produkcyjne. Zainwestowali więc na przykład renomowani producenci wind i rozpoczęły działalność zorganizowane od podstaw bardzo wydajne huty szkła budowlanego. Powstały zakłady masowej produkcji różnego rodzaju opakowań oraz wyrobów chemicznych.

Dzisiaj Łódzka Specjalna Strefa Ekonomiczna oprócz tak zwanego Centrum znajdującego się na rozległych terenach dawnych Zakładów Ludwika Grohmana – gdzie ulokowana jest wyjątkowo skromna siedziba jej Zarządu i gdzie działa kilkanaście powstałych najwcześniej firm – utworzyła w centralnej Polsce 42 podstrefy. W swojej bowiem poszerzonej strategii wyszła nie tylko poza Łódź i najbliższe miasta naszej aglomeracji, ale przekroczyła także granice województwa łódzkiego. Podstrefy ŁSSE istnieją więc w województwie wielkopolskim, gdzie jest ich już siedem (Koło, Turek, Słupca, Przykona, Nowe Skalmierzyce, Opatówek, Ostrzeszów) i w województwie mazowieckim, gdzie działa ich na razie pięć (Warszawa, Raciąż, Grodzisk Mazowiecki, Żyrardów, Słubica).

pierwsze kolumny



W ciągu 13 lat przedsiębiorcy, którzy zdecydowali się związać swoje zamierzenia biznesowe ze Strefą, zainwestowali ponad 2,8 miliardów euro, a łączny obszar, na którym działają wszystkie przedsiębiorstwa, przekroczył 1200 hektarów. Strefa dała zatrudnienie 25 tysiącom pracowników, ale wśród bardzo zróżnicowanej oferty miejsc pracy znalazły się firmy, które wdrożyły tu już bardzo nowoczesne technologie i innowacyjne produkty. Przykładem może być filia koncernu ABB, wysoko cenionego w świecie producenta aparatury elektrycznej znanej z nowatorskich rozwiązań. Koncern ABB, oprócz zakładu w Łodzi, zainwestował też w fabrykę silników w Aleksandrowie Łódzkim. Innym przykładem może być koncern HTL, największy na świecie producent specjalistycznych narzędzi medycznych, który otworzył dwie fabryki w podstrefach Ozorków i Łęczycza. Również koncern Amcor, światowy producent opakowań, otworzył w Łodzi trzy fabryki tego produktu, głównie na potrzeby przemysłu spożywczego i tytoniowego, oparte o bardzo nowoczesną technologię produkcji i wzorcową organizację pracy. W fabrykach Amcora znalazło pracę ponad siedemset osób. Zarówno Strefa, jak i czołowi jej producenci, posiadają certyfikaty Zintegrowanego Systemu Zarządzania z normą ISO. Jest to gwarancja wysokiego poziomu organizacji pracy.

Powstanie wysoko zorganizowanych nowoczesnych przedsiębiorstw ma także znaczenie inspirujące. Ich istnienie przyspiesza modernizację zakładów spoza Strefy, ubiegających się o nawiązanie kontaktów kooperacyjnych. Jest to proces niezwykle pozytywny, ponieważ oznacza nie tylko niezbędną modernizację procesów produkcyjnych w małych lub średnich zakładach pracy, ale stymuluje on również ogólny postęp ekonomiczny.

Symboliczne miejsce, w którym działa tak zwany matecznik Strefy, czyli dawny kompleks fabryczny Grohmana, ma więc dzisiaj niewiele wspólnego z tradycją „polskiego Manchesteru”. Są tu zlokalizowane firmy różnych branż – elektrycznej, poligraficznej, spożywczej, logistycznej – ale nie ma już żadnego producenta tekstyliów. To znak definitywnego zerwania z ideą monokultur przemysłowych, która uczyniła Łódź niegdyś jednym z największych w świecie centrów przemysłu włókienniczego, a co stawało się potem w szybko postępującym tempie przyczyną jej industrialnej zapaści.

Początkowo groziło, że także w Strefie ulokują się inwestorzy z nazbyt zawężonej grupy branż. Byli to głównie producenci materiałów budowlanych i sprzętu AGD. Dopiero od trzech lat następuje zmiana tej tendencji, przejawiająca się wyraźną dywersyfikacją rodzajów inwestycji. Dzisiaj przedsiębiorcy, którzy zainwestowali w Strefie, reprezentują 20 różnych branż i żadna z nich nie ma dominującej pozycji w planach rozwojowych Strefy. Różnorodność branż jest gwarancją względnej stabilności rynku pracy związanego z ŁSSE, gdyż w znacznym stopniu uniezależnia ten rynek od wahań różnych koniunktur. Kiedy więc słabnąć będzie na przykład popyt na produkty jednej branży co grozić będzie jej ograniczeniem, nie spowoduje to automa-

tycznie dekonstrukcji w działalności przedstawicieli innych działów gospodarki. I – co za tym idzie – nie załamanie drastycznie liczącej się puli miejsc pracy, które stworzyła Strefa.

Strefa będzie funkcjonowała do 2020 roku. Te przedsiębiorstwa, które zainwestowały sto lub więcej milionów złotych, i które „skonsumowały” już pomoc publiczną w postaci okresowego zwolnienia od podatku dochodowego, na ogół z powodzeniem kontynuują działalność i nadal inwestują. Wahania mogą nastąpić jedynie w grupie mniejszych inwestorów, którym po wyczerpaniu pomocy publicznej rachunek ekonomiczny podpowie nieopłacalność dalszej działalności. Jak zauważa Marek Cieślak – prezes Zarządu ŁSSE, *działalnością gospodarczą także w ramach Strefy rządzi rachunek ekonomiczny i nie można nikogo zmusić do kontynuowania nieopłacalnej produkcji czy świadczenia usług, na które skończyło się zapotrzebowanie.*

Ale w 2010 roku prognozy są dobre, ponieważ Strefa znajduje się wciąż w fazie ożywionego rozwoju i poszerzania nie tylko swego terytorium i rejestru wydanych zezwoleń ale także – co jest szczególnie ważne – zakresu branżowego dalszych inwestycji.

Gustaw Romanowski

pierwsze kolumny

Z Markiem Cieślakiem, Prezesem Zarządu Łódzkiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej, rozmawia Gustaw Romanowski

– Panie Prezesie, Łódzka Specjalna Strefa Ekonomiczna istnieje już 13 lat. Wiadomo, że na inwestycjach w ramach pozwolenia na działalność w Strefie korzystają przedsiębiorcy. Mają wieloletnie zwolnienia od podatku dochodowego, pomoc publiczną, w tym logistyczną i organizacyjną ze strony Strefy. Co na istnieniu tej szczególnej formy prowadzenia biznesu zyskała Łódź?

– Łódź niewątpliwie zyskała dobrych kilkanaście tysięcy miejsc pracy, nowe branże produkcyjne i nieobecne dotąd w monokulturowej tradycji łódzkiego przemysłu zupełnie nowe technologie i – co za tym idzie – całkowicie odmieniony

profil rozwoju ekonomicznego. To chociażby duże centra usług, które powstały w naszym mieście.

– *A co zyskał region?*

– Dokładnie to samo. Najwięcej zyskały takie miasta w aglomeracji łódzkiej jak Konstantynów, Aleksandrów, Zgierz, Ozorków. Ale bardzo zyskały też Kutno, Radomsko. W kilku wiodących podstrefach województwa powstało kilkanaście firm, które stworzyły kilka tysięcy miejsc pracy. Może nie zawsze są to nowe technologie. Są jednak liczne wyjątki, na przykład huta szkła, która powstała w Ujeździe, zapewniła tamtejszej gminie 350 miejsc pracy. To swoją drogą bardzo stabilny pracodawca, gdyż firma będzie istniała przynajmniej tak długo, jak długo będzie funkcjonował tamtejszy piec hutniczy, a więc co najmniej 30 lat. W ramach Strefy rozwinęła się też branża ceramiczna, produkująca bardzo dobre płytki nieustępujące zagranicznym wyrobom. Istotna jest dla nas dobra współpraca z samorządami lokalnymi. Dzięki tej współpracy działają dziś 42 podstrefy.

Rodzaje działalności gospodarczej na terenie Strefy

Na terenie ŁSSE można prowadzić większość rodzajów działalności, między innymi:

- działalność produkcyjną (w tym także w ramach przetwórstwa spożywczego);
- działalność usługową (w tym transport i magazynowanie);
- działalność w ramach tak zwanego sektora BPO (informatyczna, badawczo rozwojowa, analizy techniczne, księgowość, rachunkowość itp.)

– *Przez pierwszych 10 lat działalności Strefa rozwijała się dość ospale na tle innych specjalnych stref ekonomicznych w kraju. Ostatnie trzy lata zaznaczyły się wyjątkowo dynamicznym rozwojem zarówno pod względem powiększenia się obszaru Strefy, jak i liczby wydanych zezwoleń na działalność. Z czego wynikał ten skok ilościowy?*

– Niewątpliwie z chwilą wejścia do Unii Europejskiej w 2004 roku Polska stała się atrakcyjniejszym miejscem na podejmowanie tu inwestycji. Inwestorzy zagraniczni zaczęli się więc bardziej interesować także naszą Strefą. Zdając sobie z tego sprawę, rozwinęliśmy chyba dość udaną akcją promocyjną w kraju i za granicą. Mocno w tych działaniach wspierał nas Urząd Marszałkowski i Urząd Miasta Łodzi. Jesteśmy rozpoznawalni.



pierwsze kolumny

– Wśród tych 42 podstref kilka znajduje się na terenie sąsiednich województw. Nie ma to bezpośredniego przełożenia na interes Łodzi i regionu łódzkiego. Czy poszerzanie w taki sposób zasięgu terytorialnego Strefy oznacza, że staje się ona przedsięwzięciem ponadregionalnym?

– Na początku było takie założenie, że strefy powinny działać w ściśle określonych regionach. Takie ograniczenie jest nieracjonalne także z punktu widzenia ekonomicznego. Kiedy trafia się klient, który chce inwestować na obrzeżach województwa łódzkiego, to gdybym go zbyt, pójdzie sobie do jakiejś innej strefy. Są przykłady, że firmy, które rozpoczęły działalność w ościennych województwach, kolejne swoje projekty w Strefie realizują już w naszym regionie.

- A podstrefa w Warszawie?

– Jeśli znalazł się inwestor, który chciał zrealizować trzy bardzo poważne projekty: fabrykę Gillette w Łodzi, dużą inwestycję Procter&Gamble w Aleksandrowie i postanowił uruchomić jeszcze coś w Warszawie, to dlaczego miałbym się nie zgodzić?

– W początkowym okresie działania Strefy dominowali w niej producenci sprzętu AGD oraz firmy budowlane. W ostatnich latach

zarysowuje się korzystna dywersyfikacja branż. Pojawiają się nowoczesne technologie typu new connect. Które z tych nowych branż można uznać za najbardziej wiodące pod tym względem, wymagające szczególnego popierania?

– Najbardziej pożądane firmy to te z branży BPO, czyli duże centra usług. Są one bardziej związane z regionem i miastem. To nie montownie, które można przenieść w inne miejsca. Powstanie dużych centrów usług wiąże się ze znacznie większymi nakładami w przygotowanie wykwalifikowanej kadry, bo każda firma BPO zatrudnia co najmniej kilkaset osób. Łódź stała się na przykład centrum usług finansowych. Okazało się to możliwe ze względu na istnienie wyższych uczelni, kształcących profesjonalnych kandydatów do pracy w tego rodzaju usługach. Nie można jednak także lekceważyć prostych montowni czy centrów logistycznych. Te ostatnie powinny się rozwijać ze względu na powstające w regionie skrzyżowania autostrad i drogi ekspresowe. Logistyka przeżywa na świecie wielki rozwój, to duże inwestycje, a co za tym idzie liczne miejsca pracy.

Branże, które działają w ŁSSE

Branża AGD (8 przedsiębiorstw)
 Branża BPO/IT czyli logistyka (3 przedsiębiorstwa)
 Branża budowlana (12 przedsiębiorstw)
 Branża elektro-energetyczna (4 przedsiębiorstwa)
 Branża farmaceutyczno-medyczna (8 przedsiębiorstw)
 Branża kosmetyczna (4 przedsiębiorstwa)
 Branża opakowań (12 przedsiębiorstw)
 Branża metalowo-maszynowa (8 przedsiębiorstw)
 Branża motoryzacyjna (5 przedsiębiorstw)
 Branża przetwórstwa spożywczego (6 przedsiębiorstw)
 Branża przetwórstwa tworzyw sztucznych (10 przedsiębiorstw)
 Branża transportowo-logistyczna (5 przedsiębiorstw)
 Inne branże (9 przedsiębiorstw)

– Jakimi instrumentami posługuje się Strefa w celu przyciągnięcia nowych inwestorów?

– Są różne metody zachęcania do inwestycji. Przy istniejącej konkurencji – bo inwestorów zachęcają przecież także specjalne strefy w Czechach, Słowacji, Rumunii czy na Węgrzech – trzeba szukać sposobów przekonania do ulokowania niemałych przecież pieniędzy właśnie w naszej Strefie. I tu decydują takie kon-



pierwsze kolumny

kretnie argumenty jak dostępność terenów pod inwestycje, ich uzbrojenie w media, czy kompleksowość i jakość obsługi inwestora. Zdarza się, że znaczenie mają także względy sentymentalne, jakiś kontekst kulturowy czy narodowościowy, który wiąże się z historią rodzinną inwestora, pamięcią, że na przykład w Łodzi mieszkali jego przodkowie. Najważniejszy jest pierwszy kontakt z potencjalnym inwestorem. Jeśli takie wstępne spotkanie go nie zachęci to wiadomo, że pójdzie gdzie indziej. Czy zainwestuje w Łodzi lub w regionie, może przekonać go nie tylko oferta otoczenia biznesu, ale także gotowość spełnienia jego dodatkowych oczekiwań. Przy dużej konkurencji to inwestorzy decydują gdzie się im opłaci realizować swoje nowe projekty biznesowe. Ważne jest otoczenie planowanej inwestycji, a więc istnienie w bliskiej okolicy mieszkań dla menedżerów, szkół dla dzieci pracowników, miejsca do rekreacji, oferty kulturalnej itp. Łódź pod tym względem jest atrakcyjnym miejscem do inwestowania.

– Jakie względy sentymentalne decydowały o inwestycjach amerykańskich w Strefie?

– A na przykład to, że Max Factor, postać kultowa dla światowego przemysłu kosmetycznego i filmowego, urodził się w Łodzi. Firma Procter&Gamble, która jest właścicielem marki Max Factor zdecydowała się na inwestycję w Aleksandrowie Łódzkim. W rozmowach z Amerykanami miało to znaczenie.

Koszty jakie ponosi inwestor podejmujący działalność w ŁSSE

1. Cena nabycia własności lub wieczystego użytkowania gruntów;
2. Cena nabycia lub wytworzenia środków trwałych (budynków, maszyn, urządzeń itp.);
3. Koszt rozbudowy lub modernizacji istniejących środków trwałych;
4. Koszt nabycia praw patentowych, licencji, know-how lub nieopatentowanej wiedzy technicznej;
5. Koszt związany z najmem lub dzierżawą gruntów, budynków, budowli itp.;
6. Cena nabycia innych aktywów niż grunty, budynki i budowle (w przypadku umów leasingowych).

– Co się dzieje, kiedy inwestor po wykorzystaniu pomocy publicznej zwiija interes i odchodzi?

– Zgodnie z ustawą duży inwestor ma obowiązek funkcjonować w Strefie co najmniej przez pięć lat po zakończeniu inwestycji, a mały i średni inwestor przez co najmniej trzy lata. Po tym okresie decyduje rynek, czy opłaca się dalej funkcjonować czy też nie. Większość istniejących w Strefie firm to ze względu na skalę spore inwestycje. Nikt rozsądnie planujący nie wyda stu milionów dolarów czy dwustu milionów złotych aby za chwilę się stąd wynieść.





pierwsze kolumny

– Co stracił interes publiczny i standing Strefy na nieudanych przedsięwzięciach „króla żelatyny” Kazimierza Grabka?

– Inwestor nie był w stanie wywiązać się ze swoich zobowiązań, Ministerstwo Gospodarki wygasilo mu zezwolenia. Ta sprawa, przykra niewątpliwie w kontekście pomysłów produkcyjnych, bezpośrednio nie wpłynęła na obraz naszej Strefy.

– Strefa będzie istniała jeszcze 10 lat. Jakie branże byłyby najbardziej preferowane dla jej dalszego rozwoju, biorąc pod uwagę ograniczenia w zakupie gruntów, wzmożoną ostrożność banków w udzielaniu kredytów inwestycyjnych oraz zwiększoną konkurencyjność?

– Jest pięć podstawowych branż, które w naszym regionie stale się rozwijają, i które na pewno będą poszerzały swój zasięg zarówno terytorialny jak i asortymentowy. To owe centra usług BPO, branża materiałów budowlanych, farmaceutyczna, kosmetyczna oraz centra logistyczne. Branże kosmetyczna i farmaceutyczna mają charakter bardzo innowacyjny, a ich rozwój wiąże się też z istnieniem w bezpośrednim otoczeniu uczelni i specjalistycznych centrów naukowych Uniwersytetu Łódzkiego, Politechniki Łódzkiej i Uniwersytetu Medycznego.

– Jak programowany jest marketing Strefy w zakresie metod i sposobów docierania do potencjalnych inwestorów?

– Korzystamy z wielu możliwości, które dają oficjalne kanały informacyjne. Współpracujemy z Państwową Agencją Informacji i Inwestycji Zagranicznych i bezpośrednio z biurami radców handlowych polskich ambasad. Jesteśmy też w stałych kontaktach z przedstawicielstwami handlowymi placówek dyplomatycznych wielu państw znajdujących się w Polsce. Staramy się brać udział w branżowych imprezach targowych w Polsce i za granicą, w zjazdach i konferencjach ludzi biznesu, a od czasu do czasu inicjujemy różne wizyty studialne, aby informować o istnieniu naszej strefy. Korzystamy też z narzędzi jakie dają prasa i media elektroniczne – słowem – wykorzystujemy wszelkie możliwości jakie się pojawiają. To w sumie tworzy pewien zestaw metod docierania do świadomości potencjalnych inwestorów.

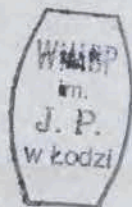
Procedura ubiegania się o zezwolenie na działalność w ŁSSE

1. Wstępne rozmowy i prezentacja oferty terenów inwestycyjnych;
2. Złożenie do Zarządu ŁSSE listu intencyjnego określającego podstawowe informacje dotyczące planowanego projektu inwestycyjnego;
3. Analiza oferty inwestora i negocjacje (wybór ostatecznej lokalizacji);
4. Ogłoszenie przez ŁSSE przetargu lub rokowań w celu wyłonienia przedsiębiorcy, który otrzyma zezwolenie w określonym obszarze Strefy;
5. Wykupienie tak zwanych Specyfikacji Istotnych Warunków Przetargu przez inwestora i złożenie oferty wraz z biznes planem przedsięwzięcia;
6. Przetarg i analiza oferty;
7. Wydanie zezwolenia na działalność w ramach Strefy;
8. Zakup nieruchomości i przystąpienie do realizacji inwestycji.

Cała procedura trwa około trzech miesięcy

– Dzisiaj firmy w Łódzkiej Strefie zatrudniają 25 tysięcy pracowników. Choć są to dobre miejsca pracy, zwłaszcza w małych miejscowościach, to jednak przydałoby się więcej etatów w Łodzi, gdzie stopa bezrobocia znów rośnie. Czy jest jakiś program w tym zakresie?

– Liczba 25 tysięcy to łączna suma miejsc pracy wynikająca z deklaracji inwestorów, kiedy rozpoczynali działalność. Liczba zatrudnionych jest pewnym założeniem, bo na początku przedsiębiorcy planują zatrudnienie dość ostrożnie. Potem w trakcie działalności to się zmienia i na przykład jedna z firm, która miała zezwolenie na zatrudnienie sześciuset osób zatrudnia już 1200 pracowników. Poza tym spółki ze Strefy przyciągają firmy zewnętrzne. W nich dzisiaj pewnie pracuje dru-



10671-A



pierwsze kolumny

gie tyle osób co w Strefie. Najwięcej kooperantów mają spółki z branży AGD czy elektronicznej. Myślę więc, że działalność Strefy stworzyła miejsca pracy dla 50 tysięcy ludzi. Z tego na pewno w sposób istotny skorzystał i nadal będzie korzystał łódzki rynek pracy.

– *Dlaczego kooperanci nie wiążą się ze Strefą?*

– To są na ogół małe firmy, które nie chcą funkcjonować w ramach Strefy. Są różne tego powody: finansowe, organizacyjne, strukturalne. Na ogół te małe firmy kooperacyjne nie chcą nad sobą dość ścisłego reżymu kontrolnego, któremu podlegają firmy działające w ramach Strefy. A jako Zarząd Strefy kontrolujemy wielkość ponoszonych nakładów inwestycyjnych, liczbę zatrudnionych i realizację innych zobowiązań, których podjęli się inwestorzy uzyskując zezwolenie. Wracając zaś do sprawy zwiększenia miejsc pracy w istniejących firmach, należy zwrócić uwagę na problem braku odpowiednio przygotowanych kadr. Brakuje bowiem fachowców z wykształceniem zawodowym i średnim technicznym. Dlatego od trzech lat kołaczemy do władz oświatowych o reaktywację szkolnictwa zawodowego i technicznego. Wspólnie z inwestorami próbujemy przekonać rodziców, aby dzieci po ukończeniu gimnazjum wybrały także taką drogę edukacji, która pozwoli im w stosunkowo krótkim czasie uzyskać niezły zawód z perspektywą zatrudnienia. Tu natrafiamy na istniejące stereotypy, bo wielu rodziców myśli o pracy w przemyśle w kategoriach obrazów z filmu „Ziemia obiecana” Wajdy. Dopiero kiedy zobaczą bardzo nowoczesne

hale produkcyjne i odbywający się tam bezpieczny proces technologiczny, zmieniają zdanie. Tym bardziej, że nasze firmy stwarzają dobre warunki dla młodzieży: fundują stypendia, naukę języków obcych, wspierają zajęcia sportowe i rekreacyjne, dbają o rozwój kulturalny.

– Strefa ma w programie zarówno pomoc filantropijną, jak i wspieranie kultury. Która z tych dziedzin może liczyć na większe wsparcie?

– Nie stosujemy żadnych gradacji, bo obie te dziedziny są równie ważne. Pracując z dużą liczbą klientów musimy być aktywni w dziedzinie, którą określa się mianem społecznej odpowiedzialności biznesu. W ramach tak zwanej ArtStrefy stworzyliśmy program oparty o zasadę, że rozwojowi przemysłowemu powinien towarzyszyć rozwój kulturalny. Od czterech lat angażujemy się w promocję kultury i sztuki zarówno w Łodzi jak i w regionie. W ramach Projektu ArtStrefa organizujemy koncerty, recitale, wspieramy ambitne zamierzenia teatralne, literackie czy plastyczne. Warto wspomnieć, że w ramach ArtStrefy odbył się w Łodzi recital jednej z najlepszych w świecie wokalistek jazzowych Grażyny Auguścik, spektakle teatrów z Krakowa i Zakopanego z wybitnymi rolami Jana Peszka i Andrzeja Grabowskiego. Popieramy też łódzkich literatów. Dzięki naszej pomocy ukazała się książka Magdaleny Starzyckiej „Manufaktura czasu”, będąca pierwszą łódzką sagą. W ramach ArtStrefy w grudniu 2009 roku ośmiu łódzkich poetów mogło zaprezentować swój dorobek pod-





pierwsze kolumny

czas „Wrocławskich Promocji Dobrych Książek”. Od trzech lat wspieramy aktywnie projekt „City Stories”. Z naszej pomocy korzystają twórcy komiksu, którzy przyjeżdżają do Łodzi na Międzynarodowy Festiwal Komiksu. Ich obserwacje naszego miasta owocują potem dwujęzycznymi albumami. Dzięki naszemu wsparciu powstały takie komiksowe książki stworzone przez artystów z Rosji, Wielkiej Brytanii, Francji. Teraz opisywaniem Łodzi zajmują się twórcy z Włoch. To jest jedna z szans na popularyzowanie naszego miasta.

– *Centrum Strefy znajduje się w dawnym kompleksie zakładów Ludwika Grohmana. To zabytkowa przestrzeń. Czy Strefa ma jakiś program rewitalizacji zabytków łódzkich choćby w zasięgu jej terytorialnego działania?*

– Tak. Staramy się promować ideę „przywracania do życia” dziedzictwa kulturowego fabrykanckiej Łodzi. Pomagamy naszym inwestorom w kontaktach z Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków w sprawach uzgodnień ich projektów budowlanych. Urządziliśmy tereny zielone z elementami małej architektury wokół zrewitalizowanego zbiornika wodnego w kompleksie „Centrum” i odtworzyliśmy zabytkową architekturę towarzyszącą portierni prowadzącej do Strefy. Teraz zamierzamy dokonać rewitalizacji znacznie większego zabytkowego obiektu. Mamy nadzieję na poszerzenie naszego udziału w przywracaniu obszarowi Księżego Młyna ważnych dla kultury i historii Łodzi walorów.

– A jaki jest udział Strefy w pomocy bardziej ukierunkowanej na wspieranie ludzi uboższych, potrzebujących wsparcia społecznego?

– Od 11 lat Strefa wspólnie z naszymi inwestorami oraz Caritas Archidiecezji Łódzkiej wspomaga najbiedniejsze dzieci z województwa. W akcjach charytatywnych wspieramy domy dziecka, dzieci przebywające w szpitalach i hospicjach, dofinansowujemy leczenie i zakup sprzętu pielęgnacyjnego i medycznego. Nie rozwodząc się nad szczegółami myślę, że sprawiliśmy radość wielu tysiącom dzieci. Tą działalność będziemy kontynuowali i poszerzali zgodnie z dobrą tradycją łódzkich przedsiębiorców, twórców dziewiętnastowiecznej historycznej Łodzi przemysłowej.

Na zdjęciach w tekście: adaptowane do nowych funkcji przemysłowych zrewitalizowane obiekty dawnego kompleksu włókienniczego Ludwika Grohmana.

Fot. Barbara Gortat i Marek Strąkowski

Firmy rodzinne

Inwestycje pierwszego pokolenia

pierwsze kolumny

Małe i średnie przedsiębiorstwa stają się w gospodarkach państw rozwiniętych dominującym sektorem przedsiębiorczości. Taka jest prawidłowość i Polska coraz bardziej upodabnia się do tego modelu gospodarowania. Pomimo niezadowolenia znacznej części społeczeństwa z własnego statusu materialnego, nasza gospodarka jest w korzystnej sytuacji. „Diagnoza społeczna”, badanie ogólnopolskie prowadzone przez prof. Janusz Czapińskiego od 10 lat, wykazuje postęp i bogacenie się społeczeństwa polskiego. Niezadowolenie społeczne występuje w każdym, nawet najbogatszym kraju, a w Polsce może się to wiązać dodatkowo ze zbyt szybko wzrastającymi aspiracjami, których nie mogą zaspokoić dotychczasowe zarobki.

Zapominamy często o przeszłości, nie tak odległej. Dopiero 20 lat funkcjonuje u nas gospodarka wolnorynkowa. To jest kilka dekad zapóźnienia względem krajów zachodniej Europy. Zmiana systemu dla wielu ludzi osiadłych w realiach socjalizmu była szokiem. Konkurencja jawiła się często jako zjawisko bardzo negatywne, a to słowo właśnie zyskało niezwykłą popularność w okresie przełomu. Konkurencyjna miała być gospodarka, pracownicy mieli konkurować między sobą, należało być konkurencyjnym na rynku pracy. Ci, którzy otrząsnęli się z tego szoku najszybciej, zaczęli pracować na własny rachunek i stali się konkurencyjni. Prywatny biznes, choć w małej skali obecny w poprzednim systemie i niedoceniany, był raczej postrzegany jako zagrożenie dla egalitaryzmu forsowanego przez władzę. Nie znaczy to, że nie ma w Polsce firm prywatnych posiadających kilkudziesięcioletnią historię. Niektóre z nich w nowych warunkach zaczęły się intensywnie rozwijać.

Jednak masowy skok do kapitalizmu wyglądał siermiężnie. Był to bardzo często drobny handel z rozstawionych na lokalnym targowisku łózek polowych. Po jakimś czasie te prowizoryczne stoiska zastąpiły stałe budki, aż wreszcie handlowcy zaczęli organizować dla siebie duże przestrzenie pod jednym dachem, czyli wielkie hale targowe. W rozwój takiego przedsięwzięcia zaangażowani byli najczęściej wszyscy domownicy z rodziny, która utrzymywała się z tego handlu. Dlatego dziś, kiedy po kilku latach inwestowania ich biznesy nabrały rozmiarów, można mówić o tych działaniach jako o firmach rodzinnych. Znajdują się one nadal w trakcie rynkowych przeobrażeń.

To zapóźnienie w gospodarce widać także w badaniach prowadzonych nad tym jej sektorem. Na zachodzie Europy badania dotyczące firm rodzinnych prowadzone już były pod koniec lat 70. ubiegłego wieku. W Polsce dopiero przed

rokiem przeprowadzono pierwsze ogólnopolskie badanie firm rodzinnych. Zrobiła to firma „Pentor” na zlecenie Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości. Przebada-nych zostało 1600 firm spełniających kryteria rodzinnego przedsiębiorstwa.

W ostatnich latach pojawiły się także podmioty reprezentujące in-teresy firm rodzinnych. Stowarzyszenie „Inicjatywa Firm Rodzinnych”, któremu prze-wodniczy Andrzej Blikle, tak przedstawia swoje zadania: *celem stowarzyszenia Inicja-tywa Firm Rodzinnych (IFR) jest integracja środowiska, wspieranie rozwoju oraz po-moc w rozwiązywaniu specyficznych problemów przedsiębiorstw rodzinnych (jak suk-cesja, konflikty czy doskonalenie kadr), wymiana doświadczeń, a także promowanie idei wolności gospodarczej, państwa prawa, społeczeństwa obywatelskiego oraz stan-dardów etycznych. Chcemy, aby rozwój naszego kraju odbywał się z uwzględnieniem opinii, potrzeb i wkładu w życie publiczne środowiska firm rodzinnych.* Przewodniczą-cy Blikle zarządza najstarszą cukiernią w Polsce, która obecnie kierowana jest przez przedstawicieli piątego już pokolenia.

Familia przeciw ekonomii

Firma rodzinna to podmiot, w którym kapitał – a na pewno jego większość – pozostaje w rękach rodziny. W firmie takiej także więcej niż jeden członek rodziny otrzymuje gratyfikację materialną za pracę. Generalnie najważniejsza cecha takiego przedsięwzię-cia to skupienie zarządzania i kontroli finansów w jednej rodzinie.

Prowadzenie firmy rodzinnej wymaga od zainteresowanych połą-czenia dwóch światów – zawodowego i prywatnego. Oba te światy należy utrzymać w sprawności, co może być kłopotliwe, skutkuje bowiem koniecznością pełnienia kilku ról społecznych jednocześnie. Może pojawić się bowiem podwójna tożsamość, zbyt mocne emocjonalne zaangażowanie, utożsamianie własnej przeszłości z historią fir-my. Wydawać by się mogło, że większe zaangażowanie i odpowiedzialność wobec wyników finansowych firmy to zalety prowadzące do optymalizacji wyników. Bardzo często jednak są to wady, które blokują optymalne zarządzanie. Brak dystansu wobec własnych działań związanych z rozwojem przedsiębiorstwa może skutkować błędnymi z punktu widzenia ekonomii decyzjami. Są częste przykłady, kiedy uwarunkowania ro-dzinne doprowadziły do upadku firmy mające zdrowe podstawy gospodarcze. Dlatego chłodna kalkulacja osoby niezaangażowanej tak głęboko, mogłaby doprowadzić do korzystniejszych rezultatów. Podobnie rzecz się ma z konfliktami wewnątrz rodziny. Z drugiej strony pomimo częstych konfliktów wewnątrzrodzinnych obserwuje się dużą niechęć do obecności „obcych” w przestrzeni decyzyjnej. Kierownikami, dyrektorami najczęściej są osoby z samej rodziny. Dużo bardziej niebezpiecznym zjawiskiem jest jednak nie tyle niedopuszczanie ludzi z zewnątrz do stanowisk kierowniczych, co gor-sze traktowanie pracowników. Wielu pracowników podczas badania wskazywało na gorszą pozycję w firmie, a jako powód wskazywało brak relacji rodzinnych z pracodawcą. Tylko 16 procent właścicieli firm rodzinnych odpowiedziało, że pracownicy

spoza rodziny mają znaczący wpływ na decyzje przez nich podejmowane. Najłatwiej więc uniknąć sytuacji faworyzowania pracowników pochodzących z rodziny poprzez profesjonalizację zarządzania, co prowadzi do wdrożenia standardów obejmujących wszystkich pracowników.

Małe i efektywne

Pomimo wad, które dopiero co zostały wymienione, firmy rodzinne mają także wiele zalet. Wydaje się, na podstawie przyrostu tego rodzaju firm oraz ich udziału w produkcji krajowym, że dominują one nad negatywnymi cechami. B. Żeńcuch podkreśla, że podstawowymi walorami przedsiębiorstw rodzinnych, zwłaszcza małych i mikro, jest:

- zdolność szybkiego rozwijania innowacji wskazywanych przez rynek;
- elastyczność i zdolność adaptacji do warunków otoczenia;
- zdolność tworzenia klimatu rodzinnego;
- ograniczenie struktur biurokratycznych;
- zdolność do samofinansowania, wynikająca z refinansowania osiąganego zysku.

Wymienione ekonomiczne zalety należy uzupełnić społecznymi. Wspomniane wcześniej w kontekście negatywnym emocjonalne zaangażowanie i odpowiedzialność, przynoszą także wiele pozytywnych aspektów. Firma rodzinna jest najczęściej jedynym źródłem utrzymania dla rodziny. Sytuacja taka ma miejsce w 89 procentach badanych podmiotów. Członkowie rodziny wkładają zatem w jej trwanie i rozwój mnóstwo energii, ponieważ bezpośrednio przekłada się to na ich poziom życia. Również pracownicy spoza rodziny wiedzą, że dobrze wykonana praca jest korzystna nie tylko dla właściciela, ale także dla nich samych. Dlatego tworzenie klimatu rodzinnego to silne utożsamianie się z pracodawcą. Silniejsze niż w wielkiej korporacji, gdzie pracownik jest tylko elementem wielkiej układanki, odpowiedzialnym za drobny fragment działalności firmy. Natomiast w małej firmie rodzinnej pracownik posiada częściową szerszą perspektywę.

Małe i średnie przedsiębiorstwa wypracowują średnio 60 procent dochodu w krajach europejskich. W Polsce udział firm rodzinnych w sektorze MSP wynosi średnio 36 procent. Wytwarzają one w sumie ponad 10 procent dochodu krajowego brutto. Również w Łodzi i w województwie wygląda to bardzo podobnie, a udział w sektorze MSP jest tylko o jeden punkt procentowy mniejszy.

Zdecydowana większość firm rodzinnych należy wciąż do założycieli, co oznacza, że znajdują się one w rękach pierwszego pokolenia. Ta większość to aż 86 procent podmiotów gospodarczych, z czego tylko 21 procent może pochwalić się istnieniem dłuższym niż czas jednego pokolenia. Firm istniejących na rynku powyżej dwóch pokoleń jest tylko jeden procent. To jeszcze jeden wskaźnik potwierdzający tezę o intensywnym rozwoju firm rodzinnych po zmianie systemowej w Polsce.

Niewielki procent z tych firm działa poza sektorem usług i handlu. Gospodarka przemysłu ciężkiego i wielkich przedsiębiorstw ustępuje miejsca małym

firmom zajmującym się usługami. *Również w nadchodzącej epoce gospodarki postindustrialnej rodzina, a nie jednostka, będzie najważniejszym podmiotem rynkowej rywalizacji* – twierdzi politolog Francis Fukuyama w książce *O zaufaniu jako kapitale społecznym*. Stąd właściciele takich inicjatyw mogą z optymizmem oczekiwać przyszłości.

Działalność jako sposób na życie

W naszym mieście duży odsetek działalności rodzinnej wygląda jak powrót do lat największego rozwoju. Łódź fabrykancka to przecież miasto wielu rodzinnych interesów, które decydowały o tak szybkim rozwoju metropolii. Założyciele fabryk wdrażali do interesu swoje dzieci, przekazywali im w pewnym wieku stery firm w całości lub części. Nierzadko toczyli gwałtowne spory o majątek. Jak choćby Oskar Kon, który procesował się ze swoimi synami. Niemal każdy z wielkich właścicieli łódzkich stanął kiedyś przed problemem przekazania dorobku swojego życia. Podobnie rzecz się ma, choć nie w takiej skali, z obecnymi właścicielami firm rodzinnych. Problem sukcesji dotyka lub dotknie za jakiś czas każdego, którego firma utrzyma działalność. Niestety większość z przedsiębiorców rodzinnych nie ma jeszcze opracowanego planu przekazania firmy w ręce następnego pokolenia. Nie zawsze jest komu przekazać rodzinną inwestycję, co musi skutkować przejściem firmy w posiadanie kogoś spoza rodziny. Skuteczne prowadzenie interesu rodzinnego wymaga planowania perspektywicznego rozłożonego na co najmniej pięć lat w przyszłość, a w przypadku przekazania interesu okres przygotowania następcy powinien być jeszcze dłuższy, aby firma ustrzegła się gwałtownej zmiany w zarządzaniu. Stopniowe zmiany są korzystniejsze od gwałtownych rewolucji.

Zmiany są koniecznym elementem w nowoczesnej firmie, dlatego konieczne są szkolenia dla właścicieli firm, by ich firmy nie traciły na konkurencyjności wskutek niewiedzy. Niestety szkolenia nie są potrzebą wymienianą często w ankietach. Brak zainteresowania właściciela tłumaczy brakiem czasu lub ograniczoną możliwością zastąpienia pracownika biorącego udział w szkoleniu. Poza tym bolączką jest omawiane wcześniej zamykanie się właścicieli na wiedzę pochodzącą z zewnątrz. Niechętnie oddają choć część władzy w ręce menedżerów z kilku powodów. Przede wszystkim tłumaczą to oszczędnościami. Zazwyczaj są to małe firmy, gdzie uposażenie takiego pracownika na kierowniczym stanowisku byłoby dużym obciążeniem budżetu. Naukowcy badający te firmy zwracają jednak uwagę na sposób sprawowania władzy. Jest to typ właścicielski, jednoosobowy, gdzie właściciel decyduje o każdym aspekcie działalności przedsiębiorstwa. Trzecim czynnikiem jest wspomniana nieufność wobec „obcych”. Dlatego takie organizacje jak Inicjatywa Firm Rodzinnych chce uczyć jak unikać takich problemów.

Udany rozwój

Łódź ma dużo przykładów udanego rozwoju oraz przejścia firmy przez kolejne pokolenie. Te najbardziej rozpoznawalne to sieć kwiaciarni „Skrzydłowska”, cukiernie rodziny

Dybalskich, cukiernie rodziny Miś, zakład fotograficzny Leona Lecha przy ulicy Struga czy piekarnia rodziny Banachowskich na Bałutach. Są to interesy dobrze rozpoznawalne, posiadające markę, na którą długo pracowały. Udało się w tych firmach przeprowadzić sukcesję, następcy równie dobrze, a czasem nawet lepiej, radzą sobie z prowadzeniem przedsiębiorstwa.

Prowadzenie firmy rodzinnej to nie tylko sposób na samozatrudnienie i zapewnienie sobie środków materialnych. Najczęściej jest to sposób na życie. Wspomniane problemy z godzeniem kilku ról społecznych powodują zlanie się roli zawodowej z rodzinną. Stąd nieco inna charakterystyka takich firm od mikroprzedsiębiorstw, gdzie nie występują relacje rodzinne.

Cezary Strąkowski

– socjolog, pracownik Głównego Urzędu Statystycznego

pierwsze kolumny

¹ B. Żeńcuch, *Proces umiędzynarodowienia małych i średnich firm w świetle wspierania ich działalności*, [w:] *Materiały z V Międzynarodowej Konferencji Naukowej: Zarządzanie organizacjami gospodarczymi*, Łódź, 1998.

Od rzemiosła do produkcji

Cukiernie starej i nowej Łodzi

Pierwsze cukiernie pojawiły się w Łodzi w roku 1843. Tym mianem określano wówczas wystawne sale kawiarniane, w których najważniejsze miejsce zajmował wyposażony w wyroby cukiernicze bufet. Historia takich miejsc wiąże się też z wielokulturową przeszłością Łodzi. Dziś do najbardziej znanych łódzkich cukierni zaliczamy trzy firmy: R. Dybalski, P. Skórka oraz cukiernię braci J. W. Miś.

Bufet lśniący od srebra i krzesła kryte pluszem

W XIX wieku łódzkie cukiernie odwiedzali najczęściej przedstawiciele ówczesnej inteligencji, w celu „godziwego” spędzenia wolnego czasu. Wymianę myśli przy kawiarnianych stolikach umilały cukrowy przysmak oraz filiżanka kawy, kakao, herbaty lub też kieliszek wina, a czasem likieru. Pokoje cukiernicze *urządzone były przeważnie wedle mody secesyjnej: stoliki z marmurowymi blatami, kanapki i krzesła kryte pluszem, na ścianach ogromne lustra w złożonych ramach. U sufitów zwisały żyrandole z brązu. (...) Najważniejsze miejsce zajmował bufet, cały lśniący od srebra i kryształów.* Do rozwoju branży cukierniczej najbardziej przysłużył się wówczas, w latach 40. XIX wieku, Szwajcar o nazwisku Vogeli. Założona przez niego, w jednym z najstarszych łódzkich domów przy Nowym Rynku 4 – cukiernia „Confiserie” – była chlubą dla miasta i jednym z najchętniej odwiedzanych lokali. *Mroczne pomieszczenia cukierni, oświetlone chybottliwymi płomykami świec, szumiały gwarem rozmów obywateli interesujących się sprawami publicznymi i żywo omawiającymi wszelkie wydarzenia.* W 1857 roku, po śmierci Vogelego, cukiernię przejął spolonizowany Niemiec – Otto Szwetysz. Bardzo szybko lokal zmienił wystrój i nazwę, nad jego wejściem pojawił się szyld „Cukiernia Warszawska”. Szwetysz był właścicielem cukierni do 1886 roku. Odwiedzali ją nie tylko członkowie elity rodów fabrykanckich, ale także młodzież zaangażowana w polityczne losy Królestwa Polskiego. Po powstaniu styczniowym jej nazwa uległa radykalnej zmianie i odtąd brzmiała „Konditorskaja”.

W 1886 roku nowym właścicielem cukierni został Zdzisław Konrad i prowadził ją przez prawie 27 lat. Doświadczony cukiernik zmienił wystrój i urządził łódzką cukiernię na wzór lokali wiedeńskich. *Na piętrze nad cukiernią, w tak zwanym cieleńniku, odbywały się koncerty i zabawy taneczne dla młodzieży. Przygrywała orkiestra teatralna. Cukiernia Konrada gościła nadal w swych salach najprzedniejszych obywateli miasta, nadal była ulubionym miejscem spotkań i pogawędek promotorów*

życia społecznego w Łodzi. Tuż przed wybuchem I wojny światowej ostatnim właścicielem tej cukierni był pabianiczanie Józef Piątkowski.

Innym interesującym lokalem była cukiernia Fryderyka Sellina. Lokal został otwarty w 1853 roku przy ulicy Piotrkowskiej 47. *Mieścił się w murowanym parterowym domu i zajmował trzy pomieszczenia: bufet, do którego wchodziło się od frontu oraz dwa pokoje gościnne. W cukierni oprócz różnego gatunku i kształtu ciast i cukrów, utrzymywano wódki słodkie i likiery, kawę, herbatę, piwo, lemoniady itp. Sprzedaż napojów alkoholowych odbywała się na kieliszki, pozostałych zaś na szklanki. Osobom niższej klasy robotniczej zabroniono odwiedzania cukierni, aby nie obniżyć jej ekskluzywnego charakteru.*

W 1883 roku kolejną znaną cukiernię otworzył cukiernik francuskiego pochodzenia F. G. Reymond. Mieściła się ona w domu narożnym przy ulicy Piotrkowskiej 76, tuż obok dwóch hoteli i teatru. Na początku lat 90. XIX wieku Reymond odstąpił swój lokal cukiernikowi Aleksandrowi Roszkowskiemu. *W cukierni bądź kawiarni „Roszka” – bo tak ją potocznie nazywano – gromadzili się wszyscy, którzy mieli jakieś znaczenie w życiu kulturalnym i społecznym Łodzi. Gospodarz lokalu umiejętnie łączył zasady interesu z zasadami życia towarzyskiego. Dbali o zachowanie dla zakładu opinii „cukierni-salonu”, wywiesił w jego pomieszczeniach znamienne napisy: „Uprasza się panów o zdejmowanie kapeluszy”. Goście kawiarni należeli do czterech kręgów kulturowych, co oznaczało, że w oparach aromatu kawy słychać było rozmowy w języku polskim, niemieckim, żydowskim i rosyjskim. Wśród znanych osobistości odwiedzających to miejsce znalazł się między innymi Władysław Reymont, zbierający materiały do „Ziemi obiecanej”. W cukierni odbywały się także wystawy i aukcje obrazów. Spotykali się w niej lekarze, prawnicy, artyści oraz lubiące poplotkować damy z wyższych sfer.*

W 1913 roku Roszkowski sprzedał cukiernię swojemu krewnemu Bolesławowi Gostomskiemu, sam zaś wyjechał do Szwajcarii. Mimo, iż Gostomski kontynuował bogatą tradycję lokalu „Roszka”, cukiernia straciła dawny czar, a popularność skradła jej sąsiednia cukiernia w Grand Hotelu. Na początku 1933 roku nowym nabywcą upadłego zakładu został wspomniany już Józef Piątkowski. Po II wojnie światowej w dawnej cukierni Roszkowskiego powstała kawiarnia „Łodzianka”. Był to ostatni lokal cukierniczy, który działał w tym budynku.

Zyskująca popularność na początku XX wieku cukiernia w „Grand Hotelu”, w roku 1913 była największą cukiernią w Łodzi. *Zajmowała część pomieszczeń gmachu na parterze i pierwszym piętrze przylegających do ulicy Piotrkowskiej. W skład Grand-Café wchodziła większa sala zielona oraz dwie mniejsze: mahoniowa i jesionowa. Całość uzupełniały: czytelnia czasopism i bufet cukierniczy. W drugiej połowie XX wieku pojęcie kawiarni i cukierni na rynku usług zaczęło się stopniowo rozdzielać. Cukiernie stały się lokalami sklepowymi, nastawionymi na sprzedaż słodkich produktów „na wynos”.*

Dybalski, Skórka, Miś

Wśród współcześnie działających na łódzkim rynku firm cukierniczych na uwagę zasługują trzy nazwy: R. Dybalski, P. Skórka, J. W. Miś. Każda z nich wypracowała sobie etykietę zakładu uznanego w branży, posiadającego długoletnią tradycję przygotowywania swoich receptur przysmakowych.

Włodzimierz Miś, współzałożyciel i współwłaściciel cukierni braci Miś, zapytany o początki pracy na łódzkim rynku cukierniczym, z uśmiechem przywołuje dzień otwarcia pierwszego lokalu. *To było w tłusty czwartek 1989 roku, kolejka liczyła około trzystu osób* – wspomina cukiernik. Pierwsze dni i miesiące istnienia firmy na rynku przyciągały wielu klientów. Późniejszy czas, okres przemian ustrojowych, spowodował znaczny spadek liczby kupujących słodkie specjały. Obecnie cukiernia jest marką znaną i kojarzoną z Łodzią. Mimo dużej konkurencji rynkowej, utrzymuje się wśród najbardziej cenionych łódzkich firm cukierniczych. Podobnie przedstawia się sytuacja cukierni Roberta Dybalskiego i Piotra Skórki. Wszystkie trzy firmy zajmują czołową pozycję na łódzkim rynku cukierniczym, wspominając okresy dobrej i złej passy. Ich aktualny status wiąże się z wieloletnim doskonaleniem fachu. *Nasza firma posiada tradycje rodzinne* – mówi Włodzimierz Miś – *cukiernikami byli dziadek, ojciec, teraz ja z braćmi, ale także nasze dzieci powoli przygotowują się do kontynuacji rodzinnej pasji i zawodu. Przez te wszystkie lata każde zamówienie traktujemy w szczególny sposób, od wielkich tortów po małe ciastka, staramy się, aby każdy wyrób posiadał swój smak i dobrze się prezentował*. Zastanawiając się nad pozycją łódzkiej branży cukierniczej na tle innych miast w Polsce, ten doświadczony producent słodczy podkreśla, że: *Łódź zawsze była mia-*



stem związanym z przemysłem cukierniczym. Dziś posiadamy na rynku wiele zakładów, jest bardzo duża konkurencja, cukiernie można spotkać prawie wszędzie. Przy czym kiedy ja rozpoczynałem swoją aktywność w tej branży, w Łodzi było ich około 130, a teraz są tysiące. Natomiast sama Łódź ze względu na jakość wyrobów cukierniczych znajduje się w czołówce. Świadczy o tym między innymi fakt zainteresowania klientów z innych miast naszymi produktami. Łódzki smak jest więc doceniany. Cukiernicy to, jak podkreśla Włodzimierz Miś, artyści i rzemieślnicy słodkich dzieł sztuki.

Firma braci Jerzego i Włodzimierza Misiów istnieje w Łodzi od 1989 roku. Pochodzące z tej cukierni ciastko Eklezja zwyciężyło w ogłoszonym w 2009 roku przez Urząd Miasta Łodzi konkursie na słodki wypiek promujący Łódź wielokulturową. *Eklezja to kompozycja typowego niemieckiego piernika i migdałów, rosyjskiego miodu, żydowskich bakalii i słodkiej czekolady. Całość jest elegancko zapakowana w pudełko w kolorze ecru. Do ciastka cukiernicy dołączają: małą książeczkę z krótką historią Łodzi i rycinami czterech zabytków charakterystycznych dla czterech kultur tworzących miasto. Ciastko przygotowywane jest okolicznościowo, a język zapisu tekstu historycznego zmienia się w zależności od odbiorców specjału. Jak zaznaczają twórcy wypieku: nazwa Eklezja odwołuje się do wziętego z greki terminu eklektyzm, oznaczającego łączenie różnych elementów, stylów w jedno. Ponieważ Łódź przez lata była wspólną społecznością różnych kultur, nazwa doskonale oddaje jego charakter. Eklezja jest więc ciastkiem czterech kultur. Można ją kupić na zamówienie w cukierniach braci Miś. Ponadto J. W. Miś figuruje między innymi w Księdze Rekordów Guinnessa w związku z przygotowaniem „super tortu” w kształcie (łódzkiego) stadionu piłkarskiego Widzewa, na którym cukiernicy umieścili dziewięćset świeczek symbolizujących gole. Współpomysłodawcą idei tak wielkiego przedsięwzięcia była redakcja łódzkiego *Expressu Ilustrowanego*. Tort powstał na rzecz upamiętnienia dziewięćsetnego gola łódzkiej drużyny. Był to tort w kształcie stadionu z jupiterami z cukru, a dziewięćset świeczek imitowało kibiców na trybunach. W momencie prezentacji wszystkie świeczki zapłonęły jednocześnie – relacjonuje Włodzimierz Miś.*

pierwsze kolumny

Zakład rodzinny Misiów współpracuje ze szwajcarską firmą Louise&Otchmar Fasbind – mistrzami świata w cukiernictwie dekoracyjnym. U samego wielkiego mistrza Otchmara Fasbinda, Włodzimierz Miś szkolił się przez trzy miesiące. Szwajcar zawiązał później do łódzkiej siedziby cukierni i przeprowadził dwutygodniowe warsztaty. Dekoracje uznane są za nieodłączny składnik w przepisie na niepowtarzalny cukrowy przysmak. W swojej ofercie bracia Miś wymieniają prawie 150 gatunków

ciast, ciasteczek i tortów oraz lody. Klient może skosztować nie tylko rodzimych produktów, ale także wyrobów wykonanych z niemieckiej czekolady, ciastek wypiekanych według arabskiego przepisu czy też smakujących po amerykańsku muffinów. Ulubionym przysmakiem klientów cukierni jest – jak stwierdza pan Włodzimierz – tort hiszpański z bitej śmietany. Założona 20 lat temu spółka wpisała nazwisko Miś na listę mistrzów łódzkiego cukiernictwa. Obecnie bracia Miś prowadzą 11 cukierni na terenie miasta, a także Restaurację Wiedeńską, znajdującą się przy Placu Wolności. Restauracja powstała na cześć Józefa Misia – ojca Jerzego i Włodzimierza, który przez 40 lat był szefem kuchni w łódzkim „Grand Hotelu”. Jak wspomina Włodzimierz Miś: *tata zawsze marzył, aby otworzyć własną restaurację. Czasy jednak były wtedy trudne dla prywatnych inwestycji, dopiero potem nastąpił lepszy okres. Tata niestety nie doczekał tych dni i dlatego to na jego cześć w 2005 roku otworzyliśmy Restaurację Wiedeńską. Dziś mogę powiedzieć, że lokal się przyjął. Jest to jedno z dobrze znanych miejsc w Łodzi, ma swój klimat, ma swoich gości. Lokal posiada wystawne wnętrza i zróżnicowane menu: od prawdziwie polskiej, mięsnej kuchni po słodkie potrawy i desery. Miś jest obok Dybalskich i Skórki jednym z najczęściej wymienianych łódzkich lokali cukierniczych, także poza granicami miasta. Firma od lat bierze udział w konkursach i wystawach, kształci swoich pracowników w dziedzinie wyrobów dekoracyjnych oraz utrzymuje stałe kontakty z mistrzami cukiernictwa z wielu krajów Europy.*

Granowscy, Dybalscy, Plewiccy

Robert Dybalski, właściciel sześciu cukierni i czterech pizzerii na terenie Łodzi, pochodzi z rodziny, która od trzech pokoleń zajmuje się cukiernictwem. Jego dziadek Eugeniusz Dybalski (zmarły w 1980 roku) w 1955 roku ożenił się z Marią Granowską, była żoną znanego cukiernika. *Gdy w roku 1954 Granowscy otrzymali z urzędu lokal przy Narutowicza, Dybalski był ich współnikiem. Nowy lokal właściciele przeznaczili na sklep, pracownia cukiernicza zaś pozostała przy ulicy Piotrkowskiej 56.* Po śmierci Granowskiego i pierwszej żony Dybalskiego Haliny – Dybalski i Granowska kontynuowali wspólnie pracę w branży cukierniczej jako małżeństwo. Sklep przy Narutowicza działał do 1965 roku. Ze względu na nazbyt dobre wyniki sprzedaży i duże rzesze klientów, ówczesne władze postanowiły przerwać dobrobyt cukierni. Na kilka następnych lat sprzedaż wyrobów przeniosła się do pracowni w podwórku ulicy Piotrkowskiej, gdzie ustawiały się długie kolejki łodzian po smakowite wyroby. Kiedy „władza ludowa” rządząca Łodzią poleciła zlikwidować i tę pracownię, Maria Granowska wyemigrowała do Kanady. Wkrótce w Toronto otworzyła duży lokal kawiarniany i cukiernię.

Synowie Eugeniusza Dybalskiego z pierwszego małżeństwa, Wojciech i Sławomir, bardzo szybko ruszyli w ślady ojca. Urodzony w 1939 roku w Warszawie Sławomir Dybalski, zawodu uczył się „Paryżance” u mistrza cukiernika Wiesława Binia. Praktykę i staż zdobył także w pracowniach u rodziców. W latach 70. przejął szczylińską cukiernię młodszego brata Wojciecha, który w tym czasie postanowił na



pierwsze kolumny

stałe przenieść się do Łodzi. Dzisiaj Sławomir Dybalski mieszka i jest właścicielem cukierni w Warszawie.

Młodszy z rodzeństwa - Wojciech Dybalski, urodzony w 1946 roku, od 17. roku życia zaczął szkolić się w pracowni Marii Granowskiej. Po siedmiu latach praktyk, w lutym 1970 roku uzyskał dyplom mistrzowski i wyjechał do Szczecina. W centrum nadodrzańskiego miasta, przy ulicy Bogusława 52, otworzył cukiernię. Zakład prowadził przez trzy lata, dopóki nie zdecydował się na powrót do łódzkiej pracowni ojca. *Na decyzję tę wpłynęły przede wszystkim względy rodzinne – od 1964 roku był bowiem mężem rodowitej łodzianki – Bożeny Modlińskiej.* Cukiernik niedługo po powrocie otworzył z żoną wytwórnię paluszków w Rosanowie koło Łodzi. *Na przełomie lat 80. i 90. wybudowali zakład w Łodzi, przy ulicy Jabłoniowej. W roku 1995 pracownia została przeniesiona na ulicę Grabową. W obu miejscach produkowane są takie pyszności jak: pierniki, czekolada, rurki waflowe, herbatniki, karmel i wiele, wiele innych smakołyków.* Dzieci Wojciecha i Bożeny Dybalskich – Beata i Robert – podążają śladami rodzinnej tradycji. Beata Dybalska ukończyła chemię spożywczą na Politechnice Łódzkiej. Jej brat Robert – wspomniany już na początku historii – zawodu uczył się u Wiesława Sikorskiego. *W 1990 roku Wojciech Dybalski kupił synowi pracownię przy ulicy Jaracza w Łodzi, którą Robert prowadził jeszcze jako uczeń szkoły średniej.* Pracownia działa od lat w niezmienionej lokalizacji.

Najmłodszy syn Eugeniusza Dybalskiego, Maciej, urodził się w 1949 roku w Łodzi. Dziś pomaga bratu Wojciechowi Dybalskiemu w prowadzeniu jednego z zakładów cukierniczych, choć z wykształcenia jest kaletnikiem.

Warto dodać, że brat Haliny Plewickiej, pierwszej żony Eugeniusza Dybalskiego – Edmund Plewicki – w 1945, do spółki z kolegą o nazwisku Kozieł, przy ulicy Puławskiej w Warszawie otworzył wytwórnię lodów. Wówczas mieściła się ona w zielonej budce przy placu bazarowym. Od tego właśnie miejsca pochodzi znana dziś wśród lodowych przysmaków nazwa „Zielona Budka”. W latach 1956-57 budka została przeniesiona na plac Unii Lubelskiej. Dwadzieścia lat później wytwórnię tę odkupił syn znanego wrocławskiego cukiernika Zbigniew Grycan. Nazwisko Eugeniusza Plewickiego do dziś wychwalane jest przez kontynuatorów jego tradycji. Jak czytamy na stronie firmy: *to ś.p. Edmund Plewicki stworzył i przez długie lata kreował niepowtarzalną, pierwszą lodową markę w powojennej Polsce, markę „Zielona Budka”.*

W ofercie łódzkiej cukierni odnajdujemy liczną gamę tradycyjnych i bardziej wymyślnych wypieków, a także czekoladki, praliny, figury czekoladowe, torty oraz lody przygotowywane według tradycyjnej receptury.

„Tort łódzki” Skórki

Trzecia najbardziej znana łódzka firma cukiernicza została założona przez Piotra Skórkę w 1983 roku. Pierwsze stoisko mieściło się w domu handlowym „Central” przy ulicy Piotrkowskiej 165/169. Cukiernik Piotr Skórka jest dziś właścicielem sześciu lokali

pierwsze kolumny



w centrum miasta. Siedziba firmy znajduje się przy ulicy Klimatycznej 2. Na stronie łódzkiego Biura Rozwoju Przedsiębiorczości i Miejsc Pracy zamieszczono następujący opis cukierni P. Skórka: *Firma oferuje szeroki wybór ciast, ciastek i tortów. Do produkcji używane są tylko naturalne składniki, natomiast do dekoracji prawdziwa czekolada, marcepan i karmel. Stosując najnowsze technologie firma uzyskuje wspaniały smak ciast i zadziwiający wygląd tortów, które to były sensacją targów TurGastroHotel 2004. W tym samym roku cukiernia P. Skórka zdobyła także inne nagrody: I miejsce w konkursie „Expressu Ilustrowanego” na najlepsze pączki w Łodzi oraz I miejsce w konkursie „Słodka Unia” na najlepsze ciastka, ciasteczka i torty. Nagrodzony w konkursie „Łódź proponuje”, w 2004 roku, produkt cukierni to „Tort łódzki”. Wykonany jest z biszkoptu orzechowego nasączonego ponczem herbacianym i przełożony warstwami kremów toffi i śmietankowego. Całość pokryta jest marcepanem i ozdobiona grafiką Placu Wolności wykonaną z czekolady. Cukiernia zapewnia także słodki catering oraz wykonuje torty na zamówienia, między innymi z logo firm. Właściciel i założyciel uznanej na cukierniczym rynku firmy jest także szefem łódzkiego oddziału Stowarzyszenia Cukierników, Karmelarzy i Łodźarzy RP. Cukiernia P. Skórka już od 27 lat wpisuje się w krajobraz Łodzi. W tym czasie powstały nie tylko nowe lokale tej firmy, sprzedające słodkie specjały, ale także umocnił się duch jej tradycji, urozmaicanej i kulturowanej przez prawie trzy dekady.*

Jak widać „Łódź cukiernicza” kojarzona jest z prawdziwymi pasjonatami i profesjonalistami tej branży. Wspomniane tu trzy nazwiska łódzkich mistrzów owego fachu: Dybalski, Skórka i Miś, reprezentują wieloletnią tradycję i wypracowany, uznany smak. Cukiernie te mają swój udział w tworzeniu współczesnej tożsamości miasta i są symbolem „słodkiego” oblicza Łodzi.

Joanna Wygnańska
– doktorantka socjologii UŁ

Autorka artykułu dziękuje za pomoc przy jego realizacji panu Włodzimierzowi Misiowi.
Fot. Barbara Gortat

Bibliografia:

W. Pawlak, *Minionych zabaw czar czyli czas wolny i rozrywka w dawnej Łodzi*, Oficyna Bibliofilów, Łódź 2001, str. 13-18.

Strony internetowe opisywanych cukierni:

<http://www.dybalski.pl>

<http://www.skorka.pl>

<http://www.cukierniamis.pl>

oraz strona: <http://www.lodzproponuje.pl>

Logika małej przedsiębiorczości

Naprawa sprzętu medycznego

pierwsze kolumny

Współczesny świat nie może obyć się bez reklamy, jesteśmy atakowani przez nią codziennie w najrozmaitszych formach: od wielkopowierzchniowych billboardów zawieszonych gdzie się da, przez głośne spoty reklamowe w radiu i telewizji, budzące lepiej niż niejeden budzik, kończąc na tonach wypychających nasze kieszenie, nieprzejrzanych ulotek. W dobie tak ekspansywnego rozwoju reklamy wypada zapytać: czy jakikolwiek przedsiębiorca może sprawnie funkcjonować bez niej? Okazuje się, że tak, a przykładem tego mogą być na przykład małe przedsiębiorstwa działające w sektorze naprawy sprzętu medycznego. Są one bowiem rezultatem transformacji gospodarczej – w rezultacie udanej – która spowodowała upadek dużych zakładów przemysłowych, nieradzących sobie w warunkach gospodarki rynkowej. Takim przedsiębiorstwem były Zakłady Naprawcze Sprzętu Medycznego i Zakłady Techniki Medycznej.

W końcówce lat 80. zakłady te, podobnie jak wiele innych przedsiębiorstw państwowych, znajdowały się w bardzo złej kondycji ekonomicznej. Przedsiębiorstwa zatrudniały wówczas około trzystu osób. Ratując się przed ucieczką pracowników z firmy, uruchomiły atrakcyjne programy zatrudnienia kontraktowego w ramach współpracy z krajami „bratniej pomocy”. Wśród nich znalazła się na przykład Libia. Jeden z byłych pracowników ZNSM wspomina ten wyjazd tak: *Na swoją koleję czekałem długo, bo dopiero po ośmiu latach po zgłoszeniu się do projektu. Wyjechałem w roku 1988, to był chyba luty, wróciłem na początku 1990 roku. Te dwa lata wspominam jako jeden z najlepszych okresów w całej mojej karierze zawodowej. Pracowałem wtedy przy obsłudze sztucznej nerki i spotkałem w libijskim szpitalu wielu polskich inżynierów, naukowców, którzy również jak to się mówiło, łądownali na kontrakcie. Żałowałem tylko, że tak późno mogłem wyjechać, bo zdążyłem się przekonać, że można było wówczas nieźle dorobić do marnej, polskiej pensji.*

Z powodu niewydolności finansowej restrukturyzacja ZNSM zbliżała się jednak nieuchronnie. Co ciekawe, tuż przed przekształceniem strukturalnym zakładów, ich ówczesne kierownictwo postanowiło położyć nacisk na wykonywanie większej ilości napraw w krótszym czasie. To zaś bezpośrednio przełożyło się na stosunkowo niską jakość tych usług, o czym wspominają byli pracownicy ZNSM: *Nota-*

*rycznie skracano czas na sprawdzenie sprawności sprzętu po naprawie, co powodowało, że nie mieliśmy pełnych danych na temat awaryjności, przymus pomijania tych i innych procedur przyczyniał się do tego, że sprzęt pomimo naprawy mógł być niebezpieczny dla pacjenta. Z drugiej jednak strony twierdzą oni równocześnie, że w czasie gdy nad przedsiębiorstwem wisiała groźba zwolnień, byli oni ekspresowo oswajani z pewnymi zasadami samodzielności gospodarczej, co przebiegało w sposób następujący: *Bardzo często delegowano nas do różnych placówek, a to po odbiór części, a to na szybką naprawę, a to na kontrolę jakości. Człowiek wiedział, że się czegoś uczy, ale nie wiedział po co. Każdy z nas jakoś podskórnie czuł, że szykują się zmiany, ale nikt nie wiedział kiedy, gdzie i jakie. Gdy wspomniane przemiany weszły w swoją decydującą fazę, obniżono stawki wynagrodzeń i zaproponowano nowe warunki pracy.**

Odwaga pójścia na swoje

Ci, którzy nie zgodzili się na nie, rezygnowali z zatrudnienia i rejestrowali się w Urzędzie Pracy jako bezrobotni albo postanowili przejąć inicjatywę i „przejsć na swoje”. Trzeba przyznać, że taka decyzja usamodzielnienia się wymagała nie lada odwagi. Rezygnując z etatu, byli pracownicy startowali bez informacji o zapotrzebowaniach rynku i bez jasno sformułowanych zasad prowadzenia takiej działalności – perspektywa była co najmniej niezachęcająca. Potwierdza to jeden z byłych pracowników ZNSM z ponad trzydziestoletnim doświadczeniem zawodowym: *Ryzyko podjęcia samodzielnej działalności było ogromne. W zasadzie to się musiało nie udać. Przede wszystkim nie mieliśmy pojęcia czy na nasze usługi jest zapotrzebowanie, nie wiedzieliśmy jak wycenić wykonywaną pracę i jak zacząć w ogóle budować swój rynek. To było jak błędzenie we mgle nocą. A przecież musieliśmy żyć z miesiąca na miesiąc...*

Dziś wydaje się jednak, że podjęte wówczas decyzje były jak najbardziej słuszne, bo ci, którzy zaczynali jako jednoosobowe firmy, obecnie zatrudniają kilku pracowników, poszerzając znacznie zakres działalności. Są także cenieni jako usługodawcy nie tylko w regionie i kraju, ale również na świecie. Jak mówi jeden z tych nowych przedsiębiorców małego biznesu: *Zagraniczne naprawy to już właściwie żadna nowość, każdy chce dotrzeć do dobrego klienta i nieważne czy to jest Francja czy Austria, dla mnie liczy się zadowolony klient, który zawsze wraca. A skoro podróżować jest łatwiej, odkąd jesteśmy w Unii Europejskiej, nie tracę czasu na formalności paszportowe i mogę zająć się pracą. To ogromne udogodnienie. Przedsiębiorcy przyznają często, że wejście Polski do UE pomogło im przyjmować zamówienia i zwiększyć zakres wykonywanych prac nie tylko ze względu na ułatwienia związane z mobilnością. Najistotniejsze było to, że UE wprowadziła szereg unormowań dotyczących użytkowania tak zwanych unitów medycznych, kasacji tego sprzętu medycznego, zasad sprawdzania użyteczności urządzeń oraz wymiany i serwisowania. Placówki służby zdrowia dążą do zminimalizowania wydatków, dlatego jeśli jakiś sprzęt w szpitalu psuje się w nieznanym stopniu, to szpital najpierw próbuje go naprawić byle jak we własnym*

zakresie, korzystając z półśrodków, a gdy korekcja okazuje się nieskuteczna, używa urządzenia do chwili, aż sprzęt w całości musi zostać skierowany do naprawy. Na szczęście taka samowolka już się skończyła, obecnie szpitale zobowiązane są do regularnego serwisowania urządzeń – mówi doświadczony serwisant urządzeń medycznych.

Chińska jakość

Kiedy pada pytanie o jakość sprzętu medycznego niegdyś i obecnie, odpowiedzi wszystkich przedstawicieli sektora napraw są jednoznaczne: dawniej był w tej dziedzinie ogromny chaos. Część sprzętu pochodziła z zagranicznych darów i była wysokiej klasy, ale nie bardzo wiedziano jak go używać, a część sprzętu była równie dobra, ale brakowało technicznej instrukcji, więc bywało, że zarówno personel medyczny jak i serwis naprawczy nie mieli pojęcia jak urządzenie działa. Współcześnie dobry jakościowo sprzęt jest piekielnie drogi, natomiast zmorą każdego serwisanta są urządzenia z Chin. Doświadczony specjalista tak o nich mówi: *Bardzo kiepskie urządzenia i bardzo tanie, co może być zaletą, tyle że są to zazwyczaj maszyny wątej konstrukcji, nieodporne na ciągłą eksploatację. Ładnie wyglądają z wierzchu i to chyba jedyna zaleta, reszta to same wady, słabe części, brak polsko- czy nawet anglojęzycznych instrukcji, a to dopiero początek. Dalej mamy problem ewidentnych niedoróbek jak na przykład niewyraźne oznaczenia na wskaźnikach, brak dokładnej specyfikacji technicznej itp. Biorąc pod uwagę wyznaczone normy eksploatacyjne, które zakładają, że sprzęt medyczny dewaluuje się w 20 procentach w skali roku, produkty chińskie nie prezentują się najlepiej.*

Mimo to sprzęt produkowany w Chinach ma największy zbył, co widać po wielu wynikach przetargów, w których najważniejsza jest atrakcyjna cena. Jednak to nie kwestia taniego sprzętu czy integracji europejskiej spędza sen z powiek przedsiębiorcom naprawiającym sprzęt medyczny. Znacznie większym problemem są obciążenia natury finansowej w postaci podatków. Przedstawiciel z branży, prowadzący pięcioosobowy zakład naprawczy, mówi: *Mimo tego, że potrzebuję zatrudnić więcej pracowników nie mogę tego zrobić, bo automatycznie będę płacić znacznie wyższe podatki, wobec czego utrata stabilności finansowej jest realna, a ewentualne zyski w stosunku do łącznych kosztów utrzymania pracownika są niewielkie. Po prostu nie warto mi ryzykować.*

Kilka zasad

Nie ma więc łatwej recepty na sukces dla kogoś kto zaczyna działać na rynku naprawy urządzeń medycznych. Są jednak pewne wskazówki, które mogą okazać się przydatne. Po pierwsze – spiesz się powoli, bo tutaj nie zarabia się szybkich i łatwych pieniędzy. Po drugie – bądź cierpliwy, wielu twoich kontrahentów będzie regulowało płatności z dużym opóźnieniem, od pół roku do nawet kilku lat. Po trzecie bądź aktywny – szalenie ważną umiejętnością nowoczesnego przedsiębiorcy jest zdolność do szybkiego

korzystania ze zdobyczy globalizacji w skali mikro, jaką jest obecnie dostęp do internetu. *Internet otwiera przede mną nieograniczone możliwości kontaktowania się kontrahentami* – ocenia właściciel małego zakładu. – *Służy mi również jako doskonałe źródło ofert, dzięki niemu jestem w stanie zorientować się czy nie zawyżam wynagrodzenia za moją pracę, przez internet zamawiam części zamiennie, kupując je o 30 procent taniej w odniesieniu do zakupu takiego elementu w sklepie stacjonarnym. Poza tym internet jest źródłem informacji o ewentualnym zapotrzebowaniu na moje usługi w regionie i kraju, co dodatkowo rozszerza mi grono potencjalnych klientów.* I wreszcie po czwarte – bądź dyspozycyjny i staraj się o klienta, bo zadowolony klient poleci wykonawcę dobrej usługi innemu. Ze zgodnej opinii tych małych przedsiębiorców wynika jednoznacznie, że przekazywane przez klienta opinie są najlepszą formą reklamy. Rekomendacja klientowska to świadectwo zaufania, to coś więcej niż reklama, zwłaszcza w branży, w której ludzkie zdrowie odgrywa główną rolę. Pacjent ufa lekarzowi, a lekarz musi wiedzieć, że sprzęt który trafia do zakładu naprawy wróci stamtąd jak najszybciej w pełni sprawny. Znacznie rzadziej jako dodatkową przestrzeń reklamy niektórzy mali przedsiębiorcy wskazują internet, ale tylko wtedy, gdy zastępuje on ewentualną reklamę w prasie branżowej, w innych wypadkach nie jest brany pod uwagę.

Małe firmy są najlepszą formą walki z bezrobociem, co w Łodzi po upadku gigantów przemysłowych sprawdziło się szczególnie. Dzisiaj małe, kilkusobowe firmy mogą spokojnie konkurować z dużymi autoryzowanymi serwisami, które mają dostęp do części zamiennych, informacji i mogą stosować najróżniejsze rabaty i upusty ze względu na dominującą pozycję rynkową. Na czym polega to zjawisko w branży naprawy sprzętu medycznego? Jeden z przedsiębiorców tak wyjaśnia pewną prawidłowość: *Lekarz, który zakupił sprzęt do swojego gabinetu, chce pracować i zależy mu na sprawności urządzenia. Ja usuwam awarię na miejscu, więc klient nie traci czasu i pieniędzy na dowóz urządzenia do serwisu. Oprócz tego jestem konkurencyjny cenowo, bo zamiast wymienić jakąś całą część (a w wymianę należy wliczyć także czas zamówienia i dostarczenia tego elementu), staram się ją naprawić. Pracownicy autoryzowanych serwisów obsługi, mając stały dostęp do części zamiennych, wychodzą z założenia, że lepiej wymienić większy podzespół i udzielić nań gwarancji, niż naprawiać go i ponosić za jakość tej korekcji odpowiedzialność.* Poirytowany awarią urządzenia i ponoszący przez to straty klient, szybko szuka konkretnej pomocy i nie chce czekać na przykład czternastu dni na serwisanta, który wykona swoją pracę w ciągu kilkunastu minut, inkasując za nią znacznie wyższą kwotę.

Jak działać obok konkurencji

Czy jednak niewielkim usługodawcom, którzy nie mają dostępu do szerokiego strumienia informacji na temat sprzętu, nie maleje z czasem zakres zleceń? Czy nie są oni spychani na margines przez duże firmy? Okazuje się, że nie, bo, jak twierdzą sami zainteresowani, aby być dobrym w tym fachu, trzeba wiedzieć jak najwięcej: *W tym*

zawodzie istnieje obowiązek stałego rozwijania i poszerzania zarówno zakresu swoich usług jak i umiejętności. Specjaliści, którzy kiedyś zajmowali się naprawą jednego rodzaju maszyn dziś już praktycznie nie istnieją. Dawniej na przykład w gabinetach stomatologicznych nie było autoklawów tylko sterylizatory, służące oczyszczaniu narzędzi używanych stale przez lekarza. Gdy pojawiły się o wiele lepsze autoklawy, pełniące tę samą funkcję co sterylizatory, okazało się, że nowy sprzęt składający się z wielu mikroprocesorów jest bardzo skomplikowany. Trzeba było po prostu nauczyć się szybko zasad jego działania, aby móc właściwie go naprawić. To wymagało czasu, pokory i samodyscypliny. Ale tylko na takich zasadach możemy konkurować z dużymi serwisami fabrycznymi. Analizując problematykę rozwoju przedsiębiorczości w branży naprawy sprzętu medycznego, warto też zwrócić uwagę na specyfikę łódzkiego rynku lokalnego. Jest on dosyć dobrze zbilansowany pod względem cenowej równowagi pomiędzy klientami a usługodawcami. Rynek „wypchnął” ludzi, którzy psuli ceny usług, zawierali między sobą antykonkurencyjne porozumienia i wykonywali nierzetelnie powierzone im zadania. Powodem takiego zbilansowania jest świadomość wzajemnej zależności, w relacji klient-świadczeniodawca, gdyż wszystkim zależy na zachowaniu pewnej równowagi. Rozwój niektórych małych firm tej branży prowadzi do rozszerzania profilu działalności o handel. Handel unitami, choć trudny, staje się coraz bardziej intratną dziedziną biznesową, stąd prawdopodobnie stopniowy zanik wyrastających niegdyś jak grzyby po deszczu jednoosobowych zakładów naprawczych urządzeń medycznych. Coraz częściej mamy do czynienia z przesunięciem się usługodawców w stronę handlu, a powód takich zmian jak zwykle jest banalny: unit medyczny jest bardzo drogi – w zależności od zastosowania, stopnia skomplikowania urządzenia i innych czynników, kosztuje on od kilkunastu do kilkuset tysięcy złotych. Od każdej sprzedanej maszyny sprzedawca otrzymuje prowizję, której kwota nierzadko stanowiła wielokrotność miesięcznego wynagrodzenia uzyskanego z naprawy. Przedsiębiorcy tej branży zwracają uwagę na inne problemy, między innymi na wpływ niedokończonej reformy służby zdrowia na ich pracę. Ich zdaniem kasy chorych były jednym z najlepszych posunięć jeśli chodzi o rozwój samodzielności szpitali. Tuż po wprowadzeniu systemu kasowego, szpitale rozliczały się ze świadczonych przez siebie usług sprawniej, choć ich budżet właściwie się wcale nie zwiększył – wspomina drobny przedsiębiorca. – W momencie gdy przywrócono centralne sterowanie i powołano Narodowy Fundusz Zdrowia okazało się, że część środków, którymi szpital dysponował na naprawę „połknęły” procedury dostosowania się do zasad działania Narodowego Funduszu.

Kolejną barierą, niesłychanie trudną do przejścia dla wielu usługodawców naprawiających urządzenia medyczne, jest przymus osadzania swoich usług dla szpitali w procedurze przetargowej: *Przetargi to jeden z moich najgorszych koszmarów sennych* – irytuje się doświadczony przedsiębiorca. – *Doceniam chęć zachowania jasności zasad wyboru najbardziej konkurencyjnego świadczeniodawcy, ale ścisłość procedur jakie muszą przejść i ilość wymogów jakie muszą spełnić odbiera mi*

chęć do bycia przedsiębiorczym. Uważam, że tam gdzie to tylko możliwe powinno być jak najmniej biurokracji, która namnaża sobie i nam pracę. Dla mnie i moich klientów liczy się przecież czas, który zyskują na szybkiej obsłudze. Przygotowanie przetargu naprawę zabiera dużo czasu, który wolałbym poświęcić na właściwe zajęcie. Przedsiębiorcy narzekają także na to, że nie mają komu przekazać swojej wiedzy i umiejętności i obawiają się czy naprawa sprzętu medycznego nie stanie się działalnością zanikającą. Niektórzy spośród nich pytani o przyszłość ich branży postulowali możliwość powołanie do życia specjalistycznych placówek edukacyjnych, na wzór funkcjonujących niegdyś techników, twierdząc, że wyższe uczelnie nie wykazują profesjonalnego podejścia ze zrozumieniem dla branży i rynku i nie reagują na jego potrzeby. Zwracają także uwagę na problem kształcenia technicznego na studiach. Jakiś czas temu przyjąłem na praktyki studenta elektromechaniki, chciałem go wyszkolić i stworzyć mu perspektywę zatrudnienia w firmie – opowiada jeden z właścicieli zakłady naprawczego. – Okazało się jednak, że student kompletnie nie miał jakichkolwiek predyspozycji ani umiejętności do wykonywania zleconych mu napraw, pomimo znacznie szerszego zasobu wiedzy teoretycznej niż ja i moi pracownicy razem wzięci. Cieszę się tylko z tego, że mam na tyle pewną pozycję na rynku, by móc nie martwić się takim nieudanym doświadczeniem.

Wielu reprezentujących branżę usług rozmówców nigdy nie podejrzewało, że będą przedsiębiorcami, a prawie żaden z nich w najśmielszych wyobrażeniach nie przewidywał, że rozwinie skrzydła i będzie zatrudniał w swojej firmie kilka osób. Jak sami mówią ich decyzja była podyktowana *potrzebą chwili i koniecznością życiową, która najlepiej mobilizuje*. Co ciekawe, kiedy zapytamy tych przedsiębiorców o problem szkoleń zewnętrznych organizowanych przez firmy współpracujące z producentami urządzeń medycznych, uzyskamy dość jednoznaczną odpowiedź: *W większości to fikcja. Największą rolę zawsze odgrywa wiedza własna, którą zdobywa się latami, pracując i obserwując innych. Szkolenia to raczej bankiety połączone z prezentacją sprzętu, którego i tak musimy nauczyć się sami, gdy już na niego trafimy*. Kiedy jednak poprosimy o wyrażenie opinii czy ludzie zajmujący się naprawą urządzeń medycznych powinni zrzeszać się w organizacjach, które reprezentowałyby ich interesy, dbały o dobrą markę i wysoki poziom usług, a także wspierałyby pozycję rynkową tej branży, okazuje się, że wszyscy ci mali przedsiębiorcy są absolutnie przeciwni jakiegokolwiek organizowaniu ich firm w konkretnych strukturach. Najczęstszą przyczyną kategorycznej odmowy było stwierdzenie, że cenią sobie niezależność i nie chcą czuć presji środowiskowej. Jednocześnie jednak twierdzą, że między nimi istnieje pewna delikatna równowaga polegająca na zachowywaniu konkurencyjnej przyzwoitości. Równowaga ta powoduje, że w większości ci przedsiębiorcy współpracują ze sobą, zamiast stosować bezwzględne formy konkurencji. Taka jest bowiem specyfika właścicieli małych firm działających w niszowej branży: *Wiele razy zdarzyło mi się odstąpić zlecenie koledze, chociażby dlatego że nie miałem konkretnej części zamiennej ani*

pomysłu jak naprawić uszkodzoną. Od takich umiarkowanie częstych uprzejmości nikt nie zbiednieje, a ja mogę liczyć na pomoc i wzajemność jeśli będę czegoś potrzebował. – objaśnia tę zasadę etyki rynkowej jeden z przedsiębiorców. Warto zatem zauważyć, że działający lokalnie na terenie Łodzi i regionu mali i średni przedsiębiorcy, nawet w tak wąskim segmencie rynku jak omawiany powyżej, mogą bez obaw konkurować zarówno między sobą jak i z większymi serwisami firmowymi. Mają bowiem nad nimi przewagę w postaci: mobilności, szybszej obsługi, łatwości w dostosowaniu się do oczekiwań klienta i znacznie bardziej konkurencyjnych cen.

*Konrad Michalak
– student administracji UŁ*

pierwsze kolumny

Biurowce mają przyszłość

Budowniczo wie „Forum 76”

Na wiosnę 2007 roku w lokalnej prasie pojawiła się informacja, że młody biznesmen, bardzo często podkreślający swoje łódzkie korzenie, zamierza wybudować biurowiec klasy A przy skrzyżowaniu alei Piłsudskiego i Rydza Śmigłego, które łodzianie nazywają „skrzyżowaniem marszałków”. Biurowiec miał stanąć na działce należącej wcześniej do „Polmosu” Łódź, a konkretnie w miejscu gdzie obok sklepu firmowego znajdowała się siedziba spirytusowego przedsiębiorstwa. „Forum 76” – bo taką nazwę (budynek znajduje się przy alei Piłsudskiego 76) przybrała inwestycja – miał być pierwszym biurowcem tej klasy w naszym mieście. Niewiele ponad dwa lata później w 2009 roku siedmiokondygnacyjna bryła wyższego budynku z grafitową, kamienną fasadą skomponowana z niższym, pokrytym kurtynami bluszczu i ogrodem na dachu obiektem, górowały już nad tą częścią miasta, stając się najlepiej rozpoznawalnym punktem „skrzyżowania marszałków”. Jednocześnie prezes zarządu spółki „Virako”, Krzysztof Witkowski, został uznany za jednego z ważniejszych nowych graczy na łódzkim rynku nieruchomości. Za jego sukcesem, oprócz tradycyjnych „kapitalistycznych” cnót, takich jak pracowitość i wizjonerstwo, stoi również pewna zdolność do wpisywania swoich wizji w klimat i tożsamość miasta. Mniejsza o to na ile szczerze, ale Witkowski zrobił z „łódzkości” swój atut. W ubiegłym roku „Virako” otrzymało nawet specjalne wyróżnienie w organizowanym przez Urząd Miasta Łodzi konkursie „Łódź Proponuje – Innowacyjni i Kreatywni” za wkład w promocję Łodzi jako miasta przyjaznego dla biznesu. Warto też zwrócić uwagę w jaki sposób inwestycje „Virako” oraz poprzedniego przedsiębiorstwa Witkowskiego „Faktorii”, wpisują się w historyczną tkankę przemysłowej Łodzi. Obie powstały w oparciu o wybudowane na początku XX wieku fabryki: „Faktoria” wyrosła w murach fabryki silników naftowych Henryka Wegnera przy ulicy Dowborczyków 25, natomiast „Forum 76” na miejscu wspomnianego sklepu firmowego „Polmosu”, przyklejając się niemal do głównego budynku wytwórni wódek.

Oczywiście oprócz „Virako” wielu inwestorów – ze względu na ich wkład w tworzenie nowych wartości przestrzennych i funkcjonalnych w naszym mieście – zasługuje na uwagę. Historia spółki Witkowskiego jest jednak o tyle ciekawa, że w jej przypadku mamy do czynienia z inwestycjami „wypracowanymi” w Łodzi.

W pewnym sensie we współczesnym świecie zmienia się definicja fabryki: te z przełomu XIX i XX wieku odznaczały się trwałością i budowały wartości estetyczne i przestrzenne w mieście. Monumentalne, industrialne budowle Scheible-

rów, Poznańskich czy Kindermannów do dzisiaj pełnią swoje – odmienne co prawda – funkcje estetyczne, czego nie można powiedzieć o najnowszych inwestycjach przemysłowych. Współczesne fabryki powstają trochę na zasadzie „efektu nomadów”: zbudowane z lekkich i łatwych w montażu i demontażu modułów – „podróżują” po świecie w poszukiwaniu taniej siły roboczej i ewentualnych udogodnień podatkowych. W tym kontekście nowe przestrzenie biurowe – w których ogromną wagę przywiązuje się do estetyki i funkcjonalności, a także pewnego wpisania w historyczną tkankę miejską – stanowią o wiele trwalszy element w strukturze miasta. Kompleksy biurowe potocznie zwane „biurowymi hubami”, podobnie zresztą jak fabryki, są miejscem pracy dla setek, a czasem tysięcy pracowników. Bezpowrotnie zmienił się jednak charakter pracy wykonywanej w tych nowoczesnych fabrykach – produkcja została zastąpiona wysoko wyspecjalizowanymi usługami.

„Faktoria” przy Dowborczyków

„Faktoria” była pierwszą spółką prezesa Krzysztofa Witkowskiego. Miał zaledwie 22 lata, kiedy (w 2002 roku moda na rewitalizację przestrzeni poprzemysłowych dopiero się w Łodzi zaczynała) kupił zdewastowany budynek po wytwórni sprzętu sportowego „Polsport” (wcześniej „Wessa”). Sama nieruchomości jak już wspomniałem ma jednak o wiele dłuższą historię: w 1920 roku Henryk Wegner wybudował w parceli między ulicami Dowborczyków i Kilińskiego fabrykę silników naftowych, zaopatrującą mechanizujący się przemysł włókienniczy w mieście. Później działała tam również przez niedługi czas fabryka wstążek.

Pomysł wybudowania nowoczesnego kompleksu biurowego w starej fabryce, co więcej przy niezbyt reprezentacyjnej wtedy ulicy Dowborczyków, wymagał wtedy sporo odwagi i wizjonerstwa. Łódź dopiero co wydobywała się z gospodarczej zapaści lat 90., a firmy, jeśli już szukały swoich siedzib w naszym mieście, to wybierały przede wszystkim kamienice przy Piotrkowskiej. Sama koncepcja architektoniczna – autorstwa Zbigniewa Bińczyka – zakłada możliwie niewielką ingerencję w oryginalną architekturę starej fabryki, z tak charakterystycznymi elementami, jak duże wielodzielne okna i wysokie stropy oraz ściany z oczyszczonej cegły i żeliwne filary. „Faktoria” miała się kojarzyć z klimatem industrialnym, nawiązywać do przemysłowej historii miasta. Co charakterystyczne, od samego początku inwestorzy „Faktorii” starali się budować markę miejsca w oparciu o jego fabryczną przeszłość. W zrewitalizowanym budynku zaadoptowano około trzech tysięcy metrów kwadratowych powierzchni biurowej klasy B+, powstała sala konferencyjna, restauracja oraz zielone patio na dziedzińcu. W ten sposób na zaniedbanej śródmiejskiej uliczce powstało miejsce szczególnie.

Przez wiele lat „Faktoria” była właściwie jedyną pofabryczną powierzchnią zaadoptowaną na biura o wysokim standardzie w Łodzi. Z czasem pojawiły się kolejne takie przestrzenie zaadoptowane na biura: brytyjska firma St. Paul's Development w starych magazynach należących do imperium Karola Scheiblera stworzyła



„Textorial Park”, przy ulicy Sienkiewicza, w dawnej fabryce Eitingonów, powstało centrum biurowe „Zenit” z 4,4 tysiącami metrów kwadratowych powierzchni użytkowej, a między aleją Kościuszki i ulicą Wólczańską na terenie fabryki wyrobów wełnianych i bawełnianych Daubego, biurowiec „Synergia”. Teraz powstają kolejne biurowce i można mówić już o efekcie kuli śniegowej. Oczywiście, pomysł adoptowania starych fabryk na nowoczesne biurowce, nie jest łódzkim wynalazkiem. Szczególnie w brytyjskich miastach już w latach 70. XX wieku postindustrialne przestrzenie zaczęły pełnić nowe funkcje: duże, solidne, otwarte i jasne wnętrza stwarzały ogromne możliwości adaptacyjne właściwie dla każdego rodzaju pomieszczeń użyteczności publicznej. Udało się tę modę przenieść również do Łodzi: pomieszczenia w zrewitalizowanych fabrykach stały się synonimem pewnej klasy.

„Forum 76” na rogu Marszałków

Faktycznie zapotrzebowanie na biurowce o wysokim standardzie pojawiło się w naszym mieście stosunkowo niedawno i od początku było związane z kształtowaniem się nowej gałęzi gospodarki. Warto przypomnieć, że Łódź w czasie ostatnich dwu dekad zasadniczo zmieniła profil ekonomiczny, odchodząc – w dramatycznie kryzysowych okolicznościach zresztą – od podatnej na koniunkturę monokultury włókienniczej. Pierwsze udane próby dywersyfikacji lokalnego rynku były jednak nastawione na produkcję przemysłową: w Łodzi wybudowano więc nowe fabryki i to głównie na obrzeżach miasta: BSH, DELL, Gillette, Indesit. Dopiero w ostatnich latach obserwujemy dynamiczny wzrost nowego sektora gospodarki opartej na wiedzy (specjalistycznych usług z dziedziny IT, księgowości, bankowości, usług doradczych) – to właśnie dla firm operujących w tych branżach naturalnym środowiskiem jest biuro, najlepiej o wysokim standardzie (ten świadczy o prestiżu firmy), z bezpieczną infrastrukturą techniczną i w centrum miasta. Takich przestrzeni, jeszcze kilka lat temu, było w Łodzi zdecydowanie za mało. Dla porównania: w raporcie opracowanym przez magistrat i renomowaną firmę Jones Lang LaSalle, w 2008 roku Łódź miała 133 tysiące metrów kwadratowych powierzchni biurowej, większość w niskim standardzie, a porównywalny pod względem liczby mieszkańców Kraków ponad trzysta tysięcy metrów kwadratowych. Dodawszy do tego centralne położenie Łodzi i obecność w mieście kilkunastu wyższych uczelni, kształcących wykwalifikowane kadry dla biznesu, Witkowski dostrzegł dla siebie niszę dla nowej, jeszcze ambitniejszej inwestycji. W 2006 roku sprzedał „Faktorię”, wtedy wynajętą w blisko stu procentach (obecnie nieruchomości należy do firmy P.H.U. „Stanley”) i stworzył koncepcję „Forum 76”. Budynek stanął u zbiegu alei marszałków Piłsudskiego i Rydza-Śmigłego, w dobrze znanym zresztą łodzianom miejscu, gdzie wcześniej znajdował się zaprojektowany przez architekta i była znaną piosenkarkę Urszulę Sipińską budynek siedziby i sklepy firmowego „Polmosu” Łódź, z charakterystycznymi oknami w kształcie butelek od wódki. Inwestor złożył zabytkowemu budynkowi „Polmosu” – jednej z niewielu carskich inwestycji w mieście – swe-

go rodzaju ukłon, przeprowadzając na własny koszt renowację północnej ściany fabryki sąsiadującej z biurowcem.

W kwietniu 2008 roku spółka Witkowskiego zmieniła nazwę z „Faktoria” Sp. z o.o. na „Virako” Sp. z o.o. Nowa nazwa pochodzi z mitologii Inków, w której Virakocza miał być bogiem budowniczym świata. Wraz ze zmianą marki dynamicznie przystąpiono do realizacji inwestycji opartej o niebanalny projekt. Koncepcja architektoniczna biurowca stworzona została w łódzkiej pracowni „Archi-dea” przez architektów Łukasza Wichlińskiego i Rafała Królikowskiego. Bryłę budynku oparto na kontraście dwu linii w głównej elewacji: dominanty charakterystycznego łuku wzdłuż alei Piłsudskiego (który niektórym kojarzy się z żaglem, niektórym z wygiętą kartką papieru) z wpisaną w niego prostą linią głównej geometrii budowli. Prace wykonawcze trwały od wiosny 2008 roku do maja 2009, a uroczyste otwarcie pierwszego biurowca klasy A w Łodzi miało miejsce 12 maja ubiegłego roku. Udostępniono w nim ponad 7,5 tysiąca metrów kwadratowych powierzchni pod wynajem w dwu częściach: siedmioletniej kondygnacyjnej głównej części biurowej i czterokondygnacyjnej umieszczonej od wschodu części biurowo-usługowej, w której znajduje się również restauracja, a na jej dachu zielone patio osłonięte od strony miasta ścianą bluszczu. Plusem „Forum 76” jest również bardzo nowoczesna infrastruktura: „Forum 76” to – jak twierdzi Piotr Majcher z „Virako” – *budynek inteligentny, oparty na systemie BSM (Building Management System), który pozwala zarządzać wszelkimi urządzeniami i instalacjami w budynku za pomocą systemu komputerowego z dowolnego miejsca na Ziemi*. Inwestor chwalił się, że jeszcze przed ukończeniem inwestycji ponad 40 procent powierzchni biurowca była już wynajęta. Biorąc pod uwagę czas załamania gospodarczego, w którym inwestycja była ukończona, wynik ten można uznać za optymistyczny.

Otoczenie biznesowe

Sens i wartość inwestowania w nowoczesne biurowce w Łodzi to wypadkowa bardzo wielu czynników – a precyzyjniej mówiąc – ich koordynacji. W sformułowanej dla miasta kilka lat temu strategii prestiżowej firmy consultingowej McKinsey, Łódź miała stać się jednym z ważniejszych centrów nowoczesnych usług dla Europy. Żeby ta strategia zadziałała, potrzeba oczywiście nie tylko biur, ale i otoczenia biznesowego, na które składają się takie czynniki, jak wykwalifikowane kadry, profesjonalna obsługa inwestorów, ale i kwestie takie jak reputacja miasta, jego wygląd, dostępność hoteli i przestrzeni użyteczności publicznej. *Stąd – jak twierdzi Piotr Majcher – staramy się wszyscy grać do jednej bramki. Rola inwestora nie kończy się na postawieniu biurowca i wynajęciu go. Stworzenie w Łodzi przyjaznej atmosfery dla inwestorów przypomina reakcję łańcuchową, w której swój udział ma zarówno miasto, uczelnie czy lokalni przedsiębiorcy jak i sami łodzianie. Brak świadomości, że wszyscy jesteśmy poniekąd odpowiedzialni za zbudowanie trwałej marki – Łódź – a co za tym idzie nieangażowanie się w działania któregokolwiek z ogniw tego łańcucha, hamuje pozostałe działania.*

Opierając się na raporcie specjalistów z Jones Lang LaSalle łatwo można zauważyć, że łódzki rynek nowoczesnej powierzchni biurowej plasuje się w ogonie krajowych rankingów. Obiektywne dane liczbowe rzeczywiście skazują Łódź na odległe miejsce za niedoścignioną w skali całego kraju Warszawą, Krakowem, Wrocławiem, a nawet Poznaniem. Warto jednak spojrzeć na ten problem z co najmniej dwu stron.

Po pierwsze, lata 2008-10 to czas, kiedy w potocznej świadomości łodzian na trwałe zapisze się obecność nowoczesnych biurowców w ich mieście. Oryginalnym wyróżnikiem łódzkiego rynku biurowego w skali całego kraju jest jego zróżnicowanie pomiędzy kompleksy typowo łódzkie, z fabrykancką duszą – na przykład „Textorial Park” czy „Zenit” – a nowoczesne, odważne architektoniczne i na stałe wpisujące się w tkankę Łodzi biurowce, jak „Forum 76”, „University Business Park” przy ulicy Wólczańskiej czy przy ulicy Sterlinga „Business Center”. Po drugie, obecność aż tylu biurowców dla przeciętnego łodzianina może wydawać się nieracjonalna. W prasie lokalnej na początku tego roku pojawiły się opinie traktujące o *hulającym w pustych biurowcach wietrze*. Trzeba jednak wiedzieć, że dostępność i zróżnicowanie powierzchni biurowej to dla dużych inwestorów z branży usług na przykład mającej tendencje rozwojowe specjalizacji – BPO, to punkt wyjścia w poszukiwaniu optymalnej lokalizacji dla ich biznesu. Można się dziś zastanawiać ilu światowych potentatów ominęło Łódź, wybierając Kraków czy Wrocław, właśnie z powodu ubogiej oferty biurowej. Co więcej, swego rodzaju nadprodukcja takich przestrzeni jest dla miasta jak najbardziej korzystna, głównie ze względów ekonomicznych. Jak twierdzą administratorzy „Forum 76” na rynku coraz częściej pojawiają się zapytania o powierzchnie nie tylko rzędu kilkuset metrów kwadratowych, ale i rzędu tysiąca czy nawet kilku tysięcy. Stąd *hulający w pustych biurowcach wiatr* może się okazać dla poważnego biznesu okolicznością niezwykle obiecującą.

Marcin Kieruzel
– publicysta

Fot. archiwum „Virako” Sp. z o.o.

pierwsze kolumny

Tkaniny mocniejsze od zbroi

Technologia XXI wieku

Łódzki Instytut Technologii Bezpieczeństwa MORATEX istnieje od 1 grudnia 1953 roku. Swoją działalność zaczynał jako przyzakładowe laboratorium, potem przekształcał się kolejno w centralne laboratorium, ośrodek badawczo-rozwojowy i Instytut Technicznych Wyrobów Włókienniczych. Od 1999 roku Instytut jest resortową jednostką badawczo-rozwojową nadzorowaną przez MSWiA.

Prowadzi badania naukowe i prace wdrożeniowe w zakresie wyrobów służących bezpieczeństwu i ochronie zdrowia człowieka, przeznaczonych głównie dla policji, Biura Ochrony Rządu, straży pożarnej, Straży Granicznej i wojska. Wprowadza nowoczesne konstrukcje i technologie włókiennicze z zakresu umundurowania i sprzętu technicznego. Ocenia i testuje pod względem własności fizycznych, wytrzymałości, funkcjonalności, przydatności medycznej, wymiarów, masy i palności wyroby przeznaczone na potrzeby bezpieczeństwa państwa. ITB ma własny Zakład Certyfikacji Wyrobów, a także bardzo wyspecjalizowane, akredytowane przez Polskie Centrum Akredytacji i MSWiA, laboratoria badań Metrologicznych i Balistycznych, wyposażone w nowoczesną aparaturę badawczą. W trosce o wysoką jakość swych nowych wyrobów Instytut pozyskuje także certyfikaty innych, krajowych i zagranicznych ośrodków certyfikujących.

MORATEX posiada ponad 130 patentów i ponad 140 wzorów użytkowych. Dotychczas wdrożył do praktyki gospodarczej ponad trzysta opracowań technologicznych.

Włókiennictwo... obronne

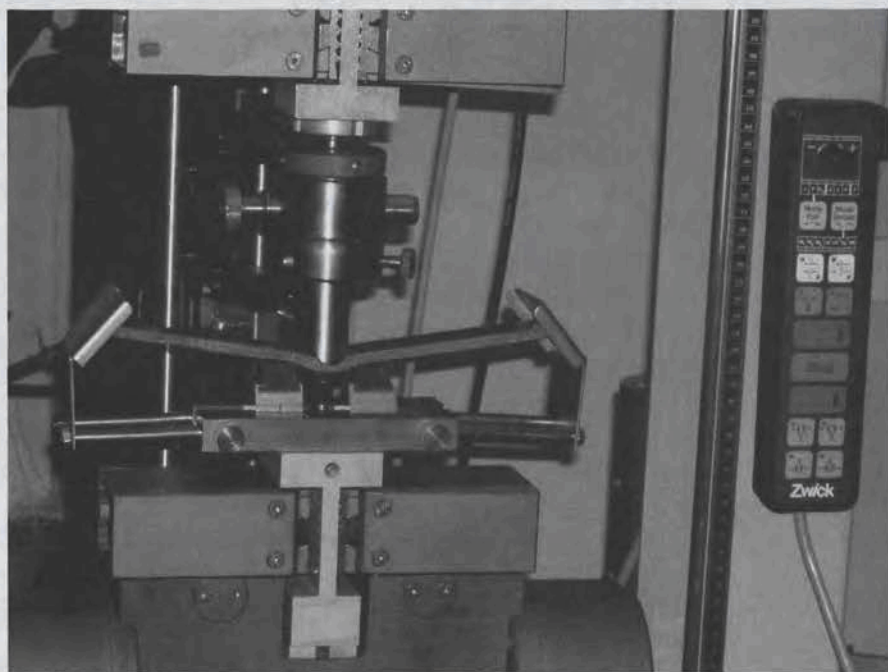
Stosujemy najnowocześniejsze surowce dostarczane przez najlepszych światowych producentów. Konstrukcje naszych wyrobów są nienaganne, jakość wykonania daleko lepsza niż w wielu krajach zachodnich, gdzie traktuje się je jak wyroby techniczne. Elementy umundurowania mają u nas charakter estetycznych wyrobów odzieżowych, perfekcyjnie wykonanych z tkanin dobrej jakości. Nie mamy żadnych kompleksów. Jesteśmy obecni i często nagradzani na wszystkich znaczących wystawach światowych. Kiedy mówi się o polskich wyrobach balistycznych wiadomo, że chodzi o MORATEX. Nasza marka jest dobrze znana w Europie - mówi dyrektor naczelna dr inż. Elżbieta Witczak.

Instytut stale doskonali swoje laboratoria, zwiększa ilość technik badawczych i nowoczesnego sprzętu. Firma stawia na badania, opracowanie nowych

technologii i współpracę naukowo-techniczną z innymi instytutami i firmami w kraju oraz za granicą. *Dysponujemy sprzętem i aparaturą na światowym poziomie. Prowadzimy prace badawczo-rozwojowe oraz wdrożeniowe, stawiając w głównej mierze na rozwój innowacyjnej myśli technologicznej i produktowej. Jesteśmy mocni w technologiach związanych przede wszystkim z materiałami i wyrobami włókienniczymi, ale także kompozytami. Stawiamy na współdziałanie i pomoc przedsiębiorcom we wdrażaniu nowych, innowacyjnych rozwiązań oraz w ulepszaniu już istniejących. Większość wyrobów ochronnych na rynku polskim bazuje na naszych projektach i konstrukcjach* – dodaje zastępca dyrektora ds. naukowych, dr hab. inż. Marcin Struszczyk.

Wszystkie wyroby projektowane przez naukowców z MORATEX-u są niezmiernie interesujące nawet dla człowieka na co dzień niezajmującego się taką tematyką. Policjant ubrany w modułowy zestaw kuloodporny, czy w zestaw taktyczno-ochronny dla pirotechników, wygląda wprawdzie jak postać z filmu *science-fiction*, jednak oba te stroje zapewniają doskonałe i zupełnie realne zabezpieczenie. Zestaw kuloodporny jest lekki, pozwala na prowadzenie akcji w trudnych warunkach, w których nie można użyć ciężkich tarcz kuloodpornych. Szyję, podbrzusze oraz przód i tył stroju zabezpieczono ergonomicznie wymodelowanymi płytami odpornymi na przebięcie pociskami z kałasznikowa (pocisk 7,62 mm z rdzeniem stalowym o masie 7,9 g i prędkości uderzenia 710^{+20} m/s) i pociskami NATO FMJ (7,62 mm o masie 9,6 g i prędkości 847^{+-9} m/s). Biodra i boki zabezpieczają płyty półokrągłe. Łokcie, kolana,

pierwsze kolumny



ręce i nogi chronią zabezpieczenia przeciwuderzeniowe. Do tego oczywiście hełm z przyłbicą, a także specjalnie zaprojektowane rękawice. *Wszystko jest składane jak klocki lego. Złącze jest jednak niewiele, wszystkie na podłożu włókienniczym gwarantującym klasę bezpieczeństwa 2A, czyli na pociski magnum 44, bardzo silnej broni. Zresztą możliwość trafienia w złącze jest mało prawdopodobna. Medycy mówią, że żywotne elementy organizmu są bezpieczne. W zależności od przewidywanego stopnia zagrożenia, do niektórych akcji płyty zabezpieczające można wyjąć* – objaśnia dyrektor Elżbieta Witczak. Całość daje unikalne ubranie bojowe, taktyczne, dla funkcjonariuszy wchodzących w skład zespołów pierwszego uderzenia, pozwalające na dużą swobodę ruchów i możliwe do samodzielnego, szybkiego założenia.

Osobny i bardzo obszerny rozdział stanowią kamizelki kulo odporne o różnej skuteczności balistycznej. Jest ich aż kilkadziesiąt odmian i fasonów, co zapewnia optymalny wybór dla żołnierzy, funkcjonariuszy policji, VIP-ów, obsługi konwojów bankowych i pocztowych, więziennictwa, służb ochrony kolei, straży miejskiej oraz osób, których charakter pracy wymaga zabezpieczenia przed zagrożeniami wynikającymi z ostrzału. Kamizelki wyposażone są w dodatkowe osłony balistyczne, wkłady przeciwigięciowe i systemy zwiększające odporność na przekłucie ostrzami noży, szpikulców, igieł. Warto podkreślić, że kamizelka zapewniająca ochronę przed pociskami z parabellum nie zabezpiecza przed strzałami z kuszy, która jest bardzo niebezpieczną bronią. Każda z kamizelek ma jakiś swój „sekretny” – innowację. Są kamizelki trudno palne, chłodzące - na upały, wypornościowe dla marynarzy, kamizelki dla saperów, wojsk inżynieryjno-technicznych i innych. Waga kamizelki – od jednego do ośmiu kilogramów – zależy od konstrukcji i poziomu ochrony. W kamizelkach odpornych na pociski z karabinu kałasznikowa stosuje się panele wzmacniające w postaci płyt ze stali balistycznej, płyt kompozytowych włókienniczych, bądź ceramicznych. Do ochrony przed pociskami 7,62 mm wystrzelonymi z pistoletu TT znacznie lżejsze pakiety płyt z włókien, klejone lub sprasowane pod ciśnieniem w odpowiednich warunkach technologicznych, wykonane z kompozytów bądź tkanin z włókien aramidowych albo pakiety ceramiczno-włókiennicze. Są także zupełnie nierzucające się w oczy, eleganckie kamizelki garniturowe z doskonałych materiałów, o różnych fasonach i kolorach. Od zwykłych różnią się „tylko” tym, że ważą około 2,3 kilograma i zabezpieczają przed pociskami z pistoletu TT. I oczywiście kamizelki damskie, w wersji codziennej, przeznaczonej pod mundur lub wykonane z wieczorowej, modnej, złotej tkaniny. *Pierwsi na świecie zrobiliśmy tego typu bezpieczne kamizelki, w których panie czują się komfortowo. Tłoczone na formach w kształty kobiece, pozwalają chronić ważne obszary ciała nawet w obszarze szwów, zwykle niedających zabezpieczenia balistycznego. Tajemnica tkwi w tym, że zaszewki na biust są tylko na zewnętrznej powłoczce* – tłumaczy szczegóły konstrukcyjne tych „wieczorowych” strojów Elżbieta Witczak.

W ofercie MORATEX-u są także kombinezony przeciwchemiczne i chroniące przed zagrożeniem biologicznym (na przykład wąglikiem); niepalne oraz

pierwsze kolumny



termoizolacyjne i antyelektrostatyczne ubrania dla straży pożarnej, wielofunkcyjne ubrania dla lotników, mundury Straży Granicznej. Są, wykonane oczywiście ze specjalnych, odpowiednio modyfikowanych tkanin, napełniane powietrzem skokochrony, przeznaczone do ewakuacji ludzi z miejsc zagrożenia, na przykład z wysokich, płonących budynków, czy przenośne zbiorniki przeciwpożarowe. Dla funkcjonariuszy BOR są kurtki i płaszcze zatrzymujące pociski z parabellum, wzmacniane parasole gwarantujące ochronę VIP-a przed uderzeniami małymi, tępyimi lub ostrymi przedmiotami oraz z pozoru zwykłe teczki, po rozłożeniu zamieniające się w tarcze chroniące nawet przed kulami z pistoletu TT. Jest nawet pojemnik pozwalający zabezpieczyć silny ładunek wybuchowy – do jednego kilograma trotylu! Lekka rura wykonana z włókien o bardzo wysokiej wytrzymałości, która po nałożeniu na ładunek wyłapuje i więzi we wnętrzu odłamki, zapewniając bezpieczeństwo w odległości trzech metrów, bez względu na siłę rażenia.

Nie można pominąć całej gamy hełmów ochronnych wykonanych z lekkich materiałów kompozytowych, wytwarzanych na bazie tkanin aramidowych i żywicy, a także wielofunkcyjnych osłon balistycznych – mówiąc prościej – elastycznych tarcz. Na przykład tarcza typ TK/Pm 06 jest przeznaczona do zabezpieczania funkcjonariuszy przed pociskami z broni strzeleckiej krótkiej i odławkami urządzeń wybuchowych. Umożliwia między innymi zabezpieczenie kierowcy i pasażera samochodu, ewakuację rannych z pola ostrzału lub osłonę przed skutkami detonacji urządzeń wybuchowych. A elastyczna, przestrzenna osłona balistyczna (PEOB) dzięki łatwości montażu i demontażu wielokątnych, płaskich elementów (liczba i kształt dowolne) pozwala chronić także sprzęt.

Oczywiście wszystkie te produkty poddaje się coraz wymyślniejszym „torturom”, czyli badaniom jakościowym w laboratoriach Instytutu i innych. Bada się odporność balistyczną, odporność na przebicie, przekłucie i zdolność amortyzacji osłon głowy (hełmów, kasków przemysłowych), kamizelek kulo- i odławkoodchronnych, ochraniaczy ciała typu nakolanniki, nagolenniki, ochraniacze torsu itd.

Niedawno Laboratorium Balistyczne we współpracy z zespołem neurochirurgów ze Szpitala Klinicznego im. Norberta Barlickiego w Łodzi i z Wydziałem Mechanicznym Politechniki Łódzkiej, rozpoczęło trzyletni projekt (finansowany przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego) modelowania właściwości hełmów kulo- i odławkoodpornych, w aspekcie potencjalnych urazów głowy użytkownika. Ten interdyscyplinarny projekt ma także określić ryzyko, na jakie narażony jest użytkownik podczas ostrzału, sprawdzić jakie zagrożenie dla kości czaszki stanowi kula, nawet jeśli nie przebije hełmu.

W Laboratorium Metrologicznym, które wdrożyło ponad 90 metod badawczych w zakresie badań fizyko-mechanicznych i użytkowych wyrobów włókienniczych, bada się odporność tkanin na rozciąganie, ścieranie, pilingowanie, wypychanie, rozrywanie, przebicie, wodoszczelność, palność, przepuszczalność powietrza, określa się ich indeks tlenowy (ile potrzeba tlenu, aby próbka się zapaliła), a nawet

odporność barwy na światło (lampa ksenonowa imituje promienie słoneczne). Autorskim pomysłem naukowców z MORATEX-u jest komora starzeniowa. Wyroby ochronne i balistyczne poddawane są w niej procesowi przyspieszonego starzenia poprzez zagęszczenie bodźców. *Jest to innowacyjna na skalę światową metodyka badawcza. W tej komorze czas biegnie szybciej. Produkt umieszczony jest na obrotowej płycie, co zapewnia równomierny rozkład bodźców. Proces starzenia polega na ekspozycji na światło widzialne, ultrafiolet i podczerwień. Uwzględniamy przy tym szerokość geograficzną, rozkład dawki różnego promieniowania, sterujemy temperaturą, wilgotnością, zraszaniem. Deszcz, promieniowanie ultrafioletowe, drastyczne wahania temperatury, czyli wszystko to, co najbardziej szkodzi kamizelkom i hełmom, podawane jest w zwiększonej dawce. Tak symulujemy wieloletnie użytkowanie. Po zamknięciu komory czas dla badanego produktu biegnie co najmniej dwa razy szybciej. To prawie... wehikuł czasu* - opowiada dyrektor Struszczyk.

High-tech

Skąd takie pomysły? Z potrzeby czasu. Nasze misje wojskowe przebywają pod różnymi szerokościami geograficznymi, w różnych warunkach klimatycznych. Producenci wyrobów dają na nie wieloletnie gwarancje. W rzeczywistości nikt nie jest w stanie tego przebadać, choć producent jest zobligowany do weryfikacji skuteczności ochronnej użytkowanych wyrobów ochronnych. Czy po tylu latach użytkowania w ekstremalnych warunkach nie pogorszą się parametry bezpieczeństwa? *W 2003 roku w USA okazało się, że materiał kamizelki kuloodpornej, po 2-3 latach użytkowania, pod wpływem wilgoci i promieniowania UV, uległ degradacji, co spowodowało drastyczne obniżenie efektywności balistycznej. Niestety, z tego powodu w trakcie akcji w Pensylwanii zginął policjant. Kamizelka nie zatrzymała kuli. Te kamizelki nie są już używane. Nasza komora starzeniowa pomoże zapobiec takim wypadkom. W czasie realnym zbyt długo trzeba by czekać na wyniki* - dodaje Marcin Struszczyk.

Inny, nowy pomysł Instytutu, to specjalne zestawy maskujące, które umożliwiają kamuflowanie obecności człowieka, zarówno w dzień, jak i w nocy. Badania użytkowe (priorytetowo traktowane przez NATO i Rząd RP) potwierdziły przydatność takiego zestawu dla służb specjalnych. Te tak bardzo skomplikowane wyroby powstają z użyciem bardzo zaawansowanych technologii, co oczywiście sprawia, że są bardzo drogie. *Nasz produkt jest unikalny ze względu na zastosowanie innej technologii, bardzo łatwej we wdrożeniu, a przez to znacznie tańszej. My nie udziwniamy, tylko upraszamy, żeby wyrób był jak najtańszy, oczywiście nic nie tracąc na skuteczności* - mówi Marcin Struszczyk.

Kolejne cudo z pogranicza science-fiction, to projekt, nad którym ITB pracuje wspólnie z Politechniką Warszawską. To „inteligentne pancerze pasywne z zastosowaniem cieczy reologicznych ze strukturami nano”. Mówiąc prościej, chodzi o „inteligentną ciecz”, która twardnieje, kiedy do wypełnionego nią obiektu dociera

dźwięk lecącej kuli. Dzięki temu będzie można zmniejszyć warstwę wkładów balistycznych na przykład w kamizelkach kuloodpornych. Podobne prace prowadzone są równoległe w USA. Jest duże prawdopodobieństwo, że Instytut, działając w myśl swojej zasady „nie udziwniamy, tylko upraszczamy”, zrobi to znacznie taniej.

Jak widać przemysł włókienniczy w Łodzi nie zginął wraz z upadkiem gigantów produkcyjnych. Przetrwał, choć na pewno nie taki, jaki był siłą rozwoju miasta od zarania jego dziejów. Dzisiaj stawiamy na rozwój i badania. Nasze współczesne wyroby włókiennicze są tylko nośnikiem supertechnologii.

Danuta K. Gruszczyńska
– dziennikarka

Fot. archiwum autorki

Łódzka specjalność

Centrum produkcji transformatorów

Łódź jako poważne centrum przemysłu włókienniczego stała się także ośrodkiem rozwoju maszyn elektrycznych i transformatorów. Ponad sto lat temu w łódzkich fabrykach zaczęto bowiem korzystać z elektryczności, głównie do napędu maszyn i oświetlenia hal fabrycznych. Zrodziło to potrzebę podążania za postępem technicznym, w sposób kompleksowy wymuszający powstanie w mieście przemysłu urządzeń elektrycznych.

Warsztat elektrotechniczny

W 1917 roku przy ulicy Juliusza 14 (obecnie Dowborczyków) w Łodzi bracia Jaroszyńscy założyli mały warsztat elektrotechniczny. Warsztat zatrudniał kilku pracowników przy naprawie i nawijaniu silników elektrycznych oraz wykonywaniu izolowanych przewodów nawojowych. W 1920 roku Jaroszyńscy przenieśli warsztat do większego pomieszczenia przy ulicy Przejazd 58, (obecnie Tuwima) wydzierzawionego od Elektrowni Łódzkiej. Tu wyprodukowano sześć sztuk pierwszych w Polsce silników elektrycznych pierścieniowych o mocy 5 KM każdy na napięcie 120 V. W następnym roku firma Jaroszyńskich wykonała 30 takich silników, a dwa lata później – już 70.

W październiku 1922 roku rozwijającą się wytwórnię z powodu braku kapitału obrotowego przekształcono w spółkę akcyjną. Nazwano ją „Elektrobudowa” – Wytwórnia Maszyn Elektrycznych S.A. w Łodzi.

Pierwsze polskie transformatory

W 1925 roku „Elektrobudowa” pomyślnie i dość szybko, bo w ciągu kilku miesięcy, zbudowała na zamówienie Elektrowni Łódzkiej pierwsze w Polsce transformatory. Było to sześć transformatorów suchych o mocach 20,30 i 50 KVA o przekładni 3000/125 V każdy. Aby je wykonać firma zakupiła nożyce gilotynowe oraz wykonała we własnym zakresie nawijarkę do cewek (uzwojeń) i izolarkę do drutów nawojowych. Było to niewątpliwie duże wydarzenie w dziejach „Elektrobudowy”, bowiem transformatory te były całkowicie własnej konstrukcji. Obliczenia i projekt wykonał inżynier mechanik Walenty Kopczyński, kierownik produkcji, od 1923 roku stale współpracujący z fabryką. Kopczyński pochodził ze znanej w Łodzi rodziny, do której należała pierwsza mechaniczna piekarnia w mieście.

Wkrótce do fabryki zaczęły napływać z wielu elektrowni zamówienia na transformatory różnych mocy i napięć.



Walenty Kopczyński i firma sprostały wyzwaniu; produkcja transformatorów ciągle rosła. Tak narodził się i zaczął rozwijać polski przemysł transformatorowy. Rozwój produkcji wymagał przede wszystkim pomieszczenia o większej powierzchni. W 1926 roku firmę przeniesiono do lokalu o powierzchni 650 metrów kwadratowych przy ulicy Kopernika 56/58. Już w grudniu 1926 roku wykonano tam pierwszy transformator olejowy; miał on moc 30 kVA i przekładnię 3000/125 V. Produkcja stale wzrastała – w roku 1928 „Elektrobudowa” wyprodukowała aż 56 transformatorów o łącznej mocy 2050 kVA. W następnym roku budowano transformatory na już na dwa razy wyższe napięcie – 6 kV. Z roku na rok pułap napięcia wytwarzanych w „Elektrobudowie” transformatorów szybko wzrastał. Już w 1929 roku wyprodukowano pierwszy transformator na napięcie 33 kV. Jednostkę tę zamówiło Zjednoczenie Elektrowni Okręgu Radomsko-Kieleckiego (ZEORK). Zbadanie wytrzymałości elektrycznej jego izolacji głównej według normy, wymagało wyposażenia stacji prób fabryki w probierczy transformator napięciowy.

Stosowny transformator probierczy (100 kV, 0,2A) zaprojektowano i zbudowano we własnym zakresie, co było nie lada sukcesem. Rekordową jednostką, ze względu na moc, był transformator 400 kVA na 6 kV. W 1929 roku wykonano 159 transformatorów o łącznej mocy 12067 kVA.

Rok 1930 przyniósł niestety pogorszenie sytuacji, kiedy zapotrzebowanie na silniki elektryczne dramatycznie spadło. Sytuację ratowały transformatory, których wyprodukowano nieco więcej niż w roku 1929, bo aż 177, o łącznej mocy 16680 kVA. Dla potrzeb tej produkcji wynajęto jeszcze pierwsze piętro dotychczas zajmowanego budynku o powierzchni 590 metrów kwadratowych. Mimo to kryzys zmusił zarząd firmy do poważnych oszczędności. Ograniczono liczbę dni pracy w tygodniu do trzech i zwolniono około 35 procent robotników. Rok 1931 był również trudny, choć fabryka otrzymała zamówienie od Elektrowni Warszawskiej, Łódzkiej i Lwowskiej. „Elektrobudowa” pracowała znowu sześć dni w tygodniu, ale zatrudniała niewielu pracowników (60 osób). Liczba wykonanych transformatorów zmniejszyła się do 116, a ich łączna moc wyniosła tylko 6320 kVA. Mimo kryzysu „Elektrobudowa” przyjęła dość ryzykowne zamówienie od fabryki porcelany w Ćmielowie na transformator probierczy o napięciu 150 kV. Podjęte ryzyko zakończono sukcesem, co miało duże znaczenie dla załogi i pozwoliło (choć z trudem) przetrwać kryzys lat 30.

Następny rok też nie był łatwy; wykonano tylko 76 transformatorów o łącznej mocy 7589 kVA. Jednakże w tym okresie zbudowano dla Elektrowni

Łódzkiej w stosunkowo krótkim czasie (cztery miesiące) pierwszy transformator trójzwojeniowy o mocy 1250 kVA i przekładni 30/6/3 kV.

W roku 1933 zaznaczyła się już wyraźna poprawa sytuacji. W styczniu fabryka otrzymała od Elektrowni w Gródku zamówienie na transformator trójzwojeniowy jeszcze większej mocy, bo 3000 kVA i przekładni 60/15/6 kV. Przeprowadzenie prób napięciowych wymagało wykonania, dla własnej stacji prób, transformatora probierczego, tym razem o napięciu 300 kV. Był to już trzeci transformator probierczy wykonany w firmie. Transformatory trójzwojeniowe były dużym wyzwaniem dla fabryki. Niepowodzenie mogłoby doprowadzić do upadłości, bowiem w „Elektrobudowie” obracano stale niewielkim kapitałem.

Opinia o transformatorach „Elektrobudowy” była dobra. Ostatnie sukcesy skłoniły nawet fabrykę do złożenia w Zjednoczeniu Elektrowni Okręgu Radomsko-Kieleckiego oferty na transformator 12 MVA o napięciu 160 kV. Niestety, przetarg ten wygrała fabryka w Żychlinie, licencjonowana przez BBC.

W 1936 roku, po ukończeniu Politechniki Warszawskiej, do rodzinnej fabryki dołączył inżynier elektryk Zbigniew Kopczyński, z czasem wybitny konstruktor transformatorów.

Od roku 1936 „Elektrobudowa” mogła poszczycić się dynamicznym wzrostem produkcji. W 1937 roku wykonano 323 transformatory o łącznej mocy 82416 kVA, co było rekordem produkcyjnym. W tym roku wykonano też największy przed wojną transformator 21 MVA o przekładni 15/5 kV. Pomyślna sytuacja zakładu pozwoliła snuć ambitne plany rozwojowe. „Elektrobudowa” inwestowała w urządzenia, wprowadzała nowe rozwiązania konstrukcyjne, wdrażała technologie własnego pomysłu, produkowała transformatory specjalne (kopalniane, piecowe). Potrzeba było coraz więcej powierzchni produkcyjnej. Fabryka wynajęła w tej samej posesji przy ulicy Kopernika dwa duże pomieszczenia (970 metrów kwadratowych). Kupiła także w Radomiu plac pod budowę nowej fabryki. W sierpniu 1939 roku „Elektrobudowa” zatrudniała 292 pracowników, w tym czterech inżynierów.

Okres okupacji

Wybuch wojny przekreślił realizację ambitnych planów rozwojowych. Fabryka znalazła się pod zarządem i administracją niemiecką. Kontynuowała zmniejszoną produkcję głównie dla potrzeb okupanta. „Elektrobudowa” przetrwała, choć z trudem, pierwszy okres okupacji; umożliwiła to sprzedaż silników elektrycznych wykonanych jeszcze przed wybuchem wojny. Pieniądze uzyskane z ich sprzedaży ledwo jednak wystarczały na wypłaty dla pracowników.

W 1941 roku utworzono przedstawicielstwo firmy w Berlinie; pozyskiwane tam zamówienia poprawiły sytuację. Znaczna poprawa nastąpiła dopiero po zbombardowaniu fabryki Siemens w Norymberdze. Odtąd do „Elektrobudowy” wpływały liczne zamówienia na duże transformatory. Zmusiło to Niemców do pocz-

nienia pewnych inwestycji – powiększenia montowni transformatorów o dalsze czteryśta metrów kwadratowych i zainstalowania suwnicy o udźwigu 75 ton oraz wybudowania bocznicy kolejowej.



Po wojnie

19 stycznia 1945 roku fabrykę upaństwowiono. Powróciło do niej, wysiedlone z Łodzi na początku 1940 roku, ścisłe kierownictwo. Inżynier Stanisław Jaroszyński pozostał na stanowisku dyrektora naczelnego, a inż. Walenty Kopczyński został dyrektorem technicznym. Śmierć Walentego Kopczyńskiego (lipiec 1945) oraz rezygnacja z funkcji z powodu choroby Stanisława Jaroszyńskiego, przyniosły w 1946 roku zmiany personalne. Dyrektorem naczelnym został wówczas inż. Antoni Matusiak, a dyrektorem technicznym mgr inż. Zbigniew Kopczyński – bratanek Walentego.

Duże znaczenie dla fabryki miało powołanie w kwietniu 1945 roku Politechniki Łódzkiej. Jedną z pierwszych katedr tej uczelni była Katedra Maszyn Elektrycznych. Już w pierwszym roku akademickim osobny wykład z ćwiczeniami poświęcony transformatorom prowadził prof. Eugeniusz Jezierski. Politechnikę wspierał swoją wiedzą i doświadczeniem Zbigniew Kopczyński, prowadząc zajęcia z technologii budowy transformatorów. Półletatowe zajęcia inżynierów z fabryki w uczelni oraz pracowników uczelni w fabryce nie były wtedy rzadkością. W ten sposób teoria i praktyka przenikały się wzajemnie, co pozwoliło rozwiązać wiele problemów teoretycznych i technicznych. Tak zaczęła się współpraca katedry z fabryką; nawiązano też kontakty z innymi ośrodkami naukowo-badawczymi.



Po wojnie fabryka produkowała zarówno nowe wyroby, jak i remontowała uszkodzone podczas działań wojennych. Jednocześnie uzupełniano braki w wyposażeniu, rozbudowywano się przestrzennie oraz dokonywano połączeń organizacyjnych z innymi podmiotami branży elektrotechnicznej.

W 1948 roku wykonano największy wówczas w „Elektrobudowie” transformator; była to jednostka trójfazowa o mocy 40/20/30 MVA o przekładni 60/20/6,3 kV, za który zespół konstruktorów otrzymał Nagrodę Państwową II stopnia. W fabryce wytwarzano coraz więcej transformatorów; stopniowo więc zmniejszano wytwarzanie maszyn elektrycznych, aż w końcu zaniechano tej produkcji.

W 1950 roku rozbudowująca się fabryka otrzymała nazwę: Zakłady Wytwórcze Transformatorów M3 w Łodzi. Zachowała jednak logo „Elektrobudowy”, do którego dodano tabliczkę firmową.

W 1952 roku Ministerstwo Energetyki zleciło przeprowadzanie odbiorów dużych transformatorów wytwarzanych w kraju (Łódź, Żychlin) pracownikom Katedry Maszyn Elektrycznych. W ciągu czterech lat dokonano 231 takich odbiorów, głównie w Łodzi.

W połowie roku 1953 wykonano pierwszy transformator na napięciu 110 kV. Była to jednostka o mocy 3x16 MVA. W grudniu zbudowano jednostkę o większej mocy, bo 3x31,5 MVA. Oba transformatory miały taką samą przekładnię – 110/33/6,6 kV. Rok później ukończono budowę transformatora tej samej mocy (3 x 31,5 MVA) jednakże z regulacją pod obciążeniem napięcia 110 kV w zakresie ± 15 procent.



Wreszcie w roku 1956 wyprodukowano pierwszą jednostkę o mocy 63 MVA na napięciu 60 kV, a w roku 1964 – dwie identyczne jednostki zamówione przez odbiorcę z Indii, każda o mocy 70 MVA na górne napięcie 139 kV. Omawiane powyżej transformatory były opracowane przez zakładowe biuro konstrukcyjne. W latach 1950-53 stan zatrudnienia sięgał tysiąc osób, a roczna produkcja wynosiła około 1500 MVA. Tak dużą produkcję na niewielkiej hali montażowej o powierzchni około ośmiuset metrów kwadratowych osiągnięto dzięki niezbyt pracochłonnej konstrukcji oraz dobremu wyszkoleniu brygad monterskich. Fabryka osiągnęła szczyt swoich możliwości, tymczasem rosły potrzeby krajowe i eksportowe. Był to jednocześnie okres kształtowania się i rozwijania w Łodzi znanej w kraju i za granicą polskiej szkoły naukowej transformatorów prof. Eugeniusza Jezińskiego. Stanowili ją, oprócz profesora, pracownicy naukowcy katedry oraz zaplecza projektowo-konstrukcyjnego i badawczego starej oraz nowej fabryki. Jednym z nich był Michał Jabłoński – uczeń i najbliższy współpracownik prof. Eugeniusza Jezińskiego, a później kontynuator jego myśli. To on uczestniczył w projektowaniu, budowie i rozruchu węzła probierczego stacji prób fabryki. To właśnie Michał Jabłoński zauważył potrzebę utworzenia w fabryce ośrodka naukowo-badawczego i usilnie zabiegał o jego powołanie. Już w roku 1965 powstał na jej terenie Oddział Łódzkiego Instytutu Elektrotechniki (później Energetyki) w Warszawie, który szybko i pręźnie rozpoczął prace badawczo-rozwojowe.

W latach 1950-53 stan zatrudnienia sięgał tysiąc osób, a roczna produkcja wynosiła około 1500 MVA. Tak dużą produkcję na niewielkiej hali montażowej o powierzchni około ośmiuset metrów kwadratowych osiągnięto dzięki niezbyt pracochłonnej konstrukcji oraz dobremu wyszkoleniu brygad monterskich. Fabryka osiągnęła szczyt swoich możliwości, tymczasem rosły potrzeby krajowe i eksportowe. Był to jednocześnie okres kształtowania się i rozwijania w Łodzi znanej w kraju i za granicą polskiej szkoły naukowej transformatorów prof. Eugeniusza Jezińskiego. Stanowili ją, oprócz profesora, pracownicy naukowcy katedry oraz zaplecza projektowo-konstrukcyjnego i badawczego starej oraz nowej fabryki. Jednym z nich był Michał Jabłoński – uczeń i najbliższy współpracownik prof. Eugeniusza Jezińskiego, a później kontynuator jego myśli. To on uczestniczył w projektowaniu, budowie i rozruchu węzła probierczego stacji prób fabryki. To właśnie Michał Jabłoński zauważył potrzebę utworzenia w fabryce ośrodka naukowo-badawczego i usilnie zabiegał o jego powołanie. Już w roku 1965 powstał na jej terenie Oddział Łódzkiego Instytutu Elektrotechniki (później Energetyki) w Warszawie, który szybko i pręźnie rozpoczął prace badawczo-rozwojowe.



Nowa fabryka

Rozwój przemysłu w pierwszym 10-leciu Polski Ludowej wymusił potrzebę zbudowania wielkiej fabryki transformatorów. W roku 1955 powstały pierwsze propozycje dla takiej inwestycji. Szczególnie zaangażował się w to prof. Eugeniusz Jeziński. Jego rozmowy z ówczesnymi władzami Komitetu Łódzkiego PZPR doprowadziły nawet do

pierwsze kolumny

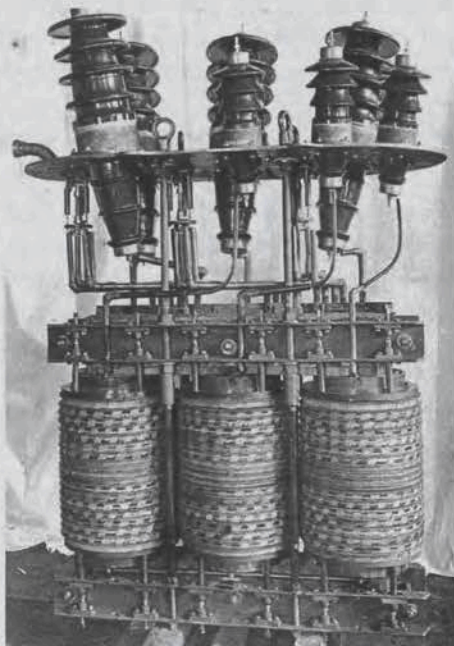


powołania specjalnego pełnomocnika do spraw budowy nowej fabryki. Z inicjatywy tegoż pełnomocnika w mieszkaniu prof. Jezierskiego odbyło się spotkanie inżynierów transformatorowców. Fabrykę reprezentowali: Zygmunt Krzywański i Zbigniew Kopczyński, a Politechnikę Łódzką: Michał Jabłoński i Tadeusz Koter. Na tym spotkaniu sformułowano koncepcje lokalizacji oraz zadań technicznych nowej fabryki. Propozycja lokalizacji w Łodzi wywołała szereg kontrpropozycji. Rozmowy na ten temat, na różnym szczeblu trwały przeszło rok i doprowadziły do ostatecznego ustalenia miejsca budowy właśnie w Łodzi.

Usilne starania prof. Jezierskiego, a zwłaszcza jego dobrze uzasadniona argumentacja dotycząca zaplecza i tradycji technicznej, siły roboczej, kadry inżynierskiej i transportu, okazały się wystarczające. Budowa nowej fabryki transformatorów w Łodzi została umieszczona w narodowym planie gospodarczym na lata 1956-60.

W marcu 1958 roku Ministerstwo Przemysłu Ciężkiego powołało Fabrykę Transformatorów i Aparatury Trakcyjnej „ELTA” – w budowie zlokalizowaną w Łodzi na Żabieńcu przy ulicy Aleksandrowskiej 67/93. Kamień węgielny pod pierwszy budynek aparatury trakcyjnej położono w kwietniu 1959 roku, a w 1960 roku ukończono jego budowę. Budowa fabryki przebiegała etapami; również etapami uruchamiano produkcję.

W 1962 roku przekazano do eksploatacji pierwszą halę



montażową dużych transformatorów, a dwa lata później – pozostałe. W lipcu 1964 roku uruchomiono stację prób, maszynownię oraz halę do prób napięciem udarowym, piorunowym. Przekazano także do eksploatacji spawalnię. Budowa tych obiektów przebiegała odpowiednio do planu uruchamiania produkcji transformatorów. Małe transformatory wdrożono w 1962 roku, średnie i duże w latach 1963 i 1964. W roku 1964 wyprodukowano transformator blokowy o mocy 150 MVA na napięcie 125 kV, rok później transformator blokowy o mocy 130 MVA na napięcie 245 kV, a w roku 1966 autotransformator o mocy 160 MVA o przekładni 230(1±0,12)/120/10,5 kV. Zostały one wykonane według licencji firmy „ELIN” z Austrii.

W 1966 roku wykonano jeszcze większy transformator blokowy własnej konstrukcji o mocy 240 MVA na napięcie 126,5 kV, a w następnych latach transformatory tej samej mocy na napięcia górne 250 kV (1967) i 420 (1971). Trzy lata później, w roku 1974, wyprodukowano transformator sieciowy 250 MVA, z regulacją napięcia pod obciążeniem o przekładni 400/123 (1= 0,12)/31/5 kV.

Przeprowadzenie prób technicznych tak dużej jednostki wymogły modernizację węzła pobierczego. Zainstalowano więc trójfazową czterosegmentową baterię kondensatorów o mocy łącznej 95 MVA i dławik o jedno- i trójfazowej symetrycznej lub niesymetrycznej obciążalności. Zainstalowano również nowy generator udarowy firmy HAEFELY przystosowany zarówno do wytwarzania udarów piorunowych (2400kV, 240 kJ), jak i udarów łączeniowych (2280 kV, 215 kJ).

W połowie lat 80. fabryka zbudowała, według własnej koncepcji, jeszcze większe jednostki. Był to transformator blokowy pięciokolumnowy 426 MVA na napięcie 420kV, a następnie sieciowy transformator 500 MVA o przekładni 410/245 (1=0,1) 22 kV.

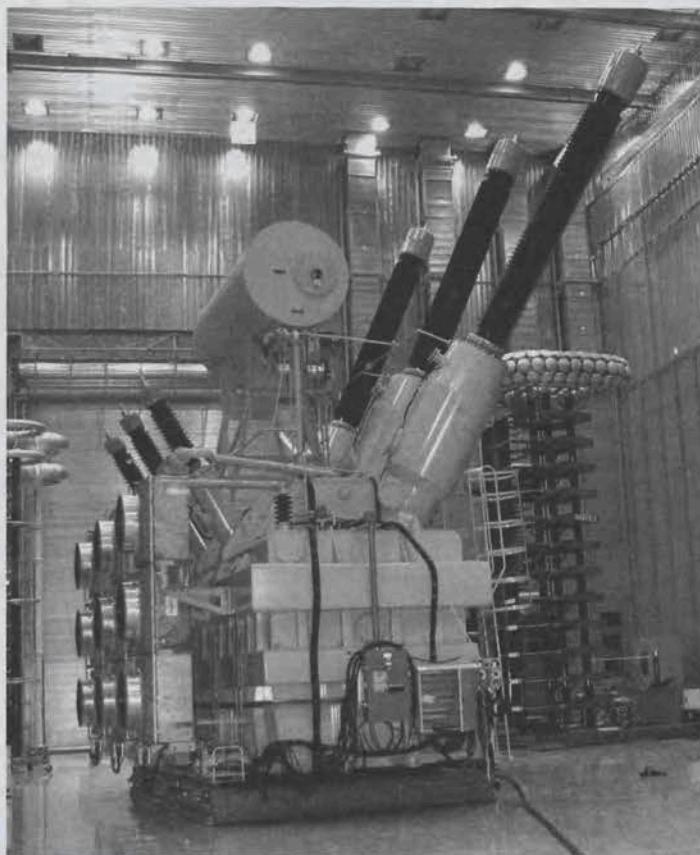
Łódzka fabryka transformatorów była liczącym się na rynku producentem, jednak poważne trudności strukturalne wobec których stanęła w końcu lat osiemdziesiątych i widmo bankructwa, doprowadziły do podjęcia decyzji o prywatyzacji i sprzedaży „ELTY” strategicznemu inwestorowi.

„ELTA” w międzynarodowym koncernie ABB

15 kwietnia 1992 roku Ministerstwo Przekształceń Własnościowych odsprzedało większościowy pakiet udziałów fabryki „ELTA” Grupie ABB, światowemu producentów urządzeń elektrycznych.

Opracowano nową, uwzględniającą zmieniające się potrzeby, strukturę organizacyjną zakładu. ABB przystąpiła do całościowej modernizacji fabryki. Zarówno budowlanej, jak i wymiany sprzętu i wyposażenia oraz wdrażania nowoczesnych technologii wytwarzania transformatorów. Jednocześnie nie przerywano produkcji.

W 1994 roku rozpoczęto wytwarzać suche transformatory z izolacją żywiczną, które produkowano do 2000 roku. Następnie Grupa ABB uruchomiła



w łódzkiej fabryce Zakład produkcji Elementów Izolacyjnych. Zakład ten produkuje elementy dla fabryk Grupy ABB w całej Europie. Na przełomie lat 1994/95 fabryka uzyskała certyfikat i wprowadziła system zarządzania według standardu ISO 9001. W 1997 roku rozpoczęto wdrażanie nowoczesnej technologii Cammon Technology (TrafoStar); pozwoliło to na ujednoczenie metod konstrukcyjnych i technologicznych w koncernie. Fabryka pokonała kryzys i wkroczyła na drogę rozwoju technicznego i ekonomicznego.

Za szczytowe osiągnięcia ostatnich lat trzeba uznać dwa transformatory. Pierwszy to pięciokolumnowa jednostka blokowa 670 MVA o przekładni 400/20 kV. Była ona rezultatem naprawy i modernizacji wyprodukowanej w Zaporozu jednostki o mocy 620 MVA; z której zachowano jedynie rdzeń magnetyczny; pozostałe elementy zostały wykonane według projektu biura konstrukcyjnego łódzkiej fabryki. Drugi transformator wykonano dla odbiorcy w Rosji. Miał on moc 250 MVA, przekładnię 500/121/38,5 kV i napięcie 500 kV dla jednostki energetycznej, co dla łódzkiej fabryki stanowiło nowe wyzwanie.

Obecnie produkcja eksportowa ABB „ELTY” jest pokaźna; jej wyroby trafiły do wielu krajów świata, między innymi do Rosji, Stanów Zjednoczonych i Kanady.

W roku 2004 przeniesiono ze Szwecji do Łodzi główną linię produkcyjną olejowych transformatorów rozdzielczych ABB. Ta seryjna produkcja - ponad 20 tysięcy sztuk rocznie - obejmuje transformatory na napięcia nie wyższe niż 36 kV o zakresie mocy od 16 do 2500 kVA. Łódź ponownie znalazła się więc w centrum produkcji transformatorów.

Adam Ketner
– dr inż. elektryk, emerytowany pracownik
ABB „Elta” Sp. z o.o. w Łodzi

Autor dziękuje pani mgr Annie Grabiszewskiej (SEP, Oddział Łódzki) za pomoc w przygotowaniu niniejszego artykułu.

Fot. archiwum autora

pierwsze kolumny

Bibliografia:

1. *50 lat Łódzkiej Fabryki Transformatorów ELTA*, Łódź, 1975.
2. *Jubileusz 60-lecia Fabryki Transformatorów i Aparatury Trakcyjnej ELTA w Łodzi (monografia)*, red. D. Starczakow, wyd. ELTA, Łódź 1985.
3. Z. Kopczyński, *Historia łódzkiej fabryki transformatorów*, „Przegląd Elektrotechniczny” 1975, LI, nr 3, s. 116-119.
4. *Przemysł i instalacje elektryczne*, [w:] *Historia elektryki polskiej*, t. 4, wyd. SEP, Warszawa 1972.
5. Z. Kopczyński, J. Lełonkiewicz, *Rozwój produkcji transformatorów dużej mocy w FTiAT ELTA*, „Wiadomości Elektrotechniczne” 1985, nr 11-12 (648-649), 243-245.
6. M. Jabłoński, *Powstanie i rozwój fabryki transformatorów energetycznych w Łodzi*, r. 81, nr 12/2005, 43-50.

Niedługa historia

Zakłady Tekstylno-Konfekcyjne „Teofilów” S.A.

Zakłady Tekstylno-Konfekcyjne „Teofilów” S.A. opierają się na wieloletniej już tradycji, sięgającej lat 70. minionego wieku. Zakład ten od początku swego istnienia w PRL pełnił wiodącą rolę jako lider przemysłu lekkiego, znacznie szerszą niż na skalę Łodzi.

Początki

Zakłady Tekstylno-Konfekcyjne „Teofilów” rozpoczęły swą działalność w roku 1972. Ich otwarcie poprzedzone było dwiema fazami, z których pierwsza została wdrożona w życie już w roku 1969, a zakończona w grudniu roku 1971. Rozmach inwestycji pokazuje najdobitniej wielkość stworzonej w tym okresie infrastruktury. Składało się na nią wybudowanie ogromnej hali produkcyjnej i jej kompletne wyposażenie w maszyny teksturujące, dziewiarskie i snowalnicze. Umożliwiło to produkcję od początku 1970 roku dzianin z włókien syntetycznych. Drugim etapem budowy było utworzenie wydziału teksturowni i wykończalni z uwzględnieniem barwiarni przędzy i dzianin, a także drukarni dzianin.

Jak bardzo kluczowe i strategiczne dla polityki gospodarczej PRL było stworzenie zakładu ZTK „Teofilów”, pokazuje fakt zgody na bezideową „kolaborację” z kapitalistycznym Zachodem. Od samego początku przyjęto bowiem założenie, że ten przemysłowy gigant zacznie działać również na zachodnioeuropejskim rynku. W zamian mógł liczyć na maszyny specjalistyczne, organizację produkcji, wiedzę *know-how*, dostęp do rozwiązań techniczno-technologicznych oraz do serwisu mody i wzornictwa. Kombinat „Teofilów” zobowiązał się między innymi oddać zaciągnięty kredyt w dewizach, produkując najwyższej klasy dzianiny odpowiadające jakością zachodnioeuropejskim wymaganiom i eksportując je na te rynki. Aktualność konfekcji miała być zapewniona przez śledzenie europejskich trendów modowych, najczęściej poprzez wyjazdy dyrekcji na odbywające się dwa razy do roku Targi „Interstoff” we Frankfurcie nad Menem. W zamian za dostarczane produkty zgodne z oczekiwaniami nabywców (jakość, wzory, użyte materiały), zachodnioeuropejski partner miał dostarczać najnowsze aktualizacje swych systemów oraz wprowadzać nowinki technologiczno-techniczne. W roku 1973 Tadeusz Starostecki w opracowaniu *Łódzki Kombinat Dziewiarsko-Konfekcyjny „Teofilów” w świetle światowych tendencji rozwoju włókiennictwa*



pierwsze kolumny

w sposób niemal otwarty wypowiada się w samych superlatywach o swego rodzaju przetargu na współpracę z polskim zakładem, o którą bój miały toczyć między sobą firmy pochodzące z Francji, USA, RFN oraz Włoch. Co ciekawe zamiast krytyki zachodniego stylu zarządzania lub kontroli pojawiają się logiczne argumenty za podjęciem kooperacji, chociażby takie jak fakt zmian techniczno-ekonomicznych naniesionych przez zagranicznych kontrahentów. W znaczący sposób wpłynęły one na poprawienie projektu i przystosowały go do realiów rynkowych, dbając o jego nowoczesność i możliwość perspektywicznej rozbudowy. Rodzime rozwiązania nie mogły być bowiem zastosowane w Kombinacie „Teofilów”, gdyż zakład ten – unikatowy na skalę PRL – zamiast skupiać się na jednej branży, łączył w sobie przemysł dziewiarski, odzieżowy oraz chemiczny.

Oprócz wsparcia z Zachodu, ZTK „Teofilów” zostały wyposażone również w silne polskie zaplecze naukowo-techniczne w postaci stałej współpracy z Instytutem Włókiennictwa, Generalnym Laboratorium Przemysłu Wełnianego, Biurami Studiów i Projektowania Zakładów Włókienniczych oraz między innymi PTHZ „Varimex” i ZPHZ „Textilimpex”.

Według prognoz Tadeusza Starosteckiego „Teofilów” miał produkować rocznie 20 milionów metrów bieżących dzianin. W roku 1973 produkcja powstała w halach wybudowanych w ramach pierwszego projektu sięgała już czterech milionów metrów bieżących. Reszta miała zostać stworzona w ówczesnie nowo powstającej sekcji. 80 procent produkcji miała stanowić gotowa konfekcjonowana odzież (damska i męska) w postaci garsonek, sukienek, płaszczy itd.

Hale ZTK „Teofilów” były wyposażone w nowoczesne systemy oświetleniowe oraz klimatyzację, która podnosiła komfort pracy, choć zakład pracował w systemie trójmianowym, działając zarówno w systemie akordowym, półakordo-



wym i dniówkowo-premiowym. Jak można dowiedzieć się z *Informatora*, zakład gwarantował bezpieczeństwo pracy (*zapewniamy, że praca w naszym przedsiębiorstwie nie jest niebezpieczna*) oraz dopuszczał możliwość odmówienia pracy, jeśli pracownik uznał ją za niebezpieczną i zagrażającą bezpieczeństwu jego osoby.

Na czele Kombinatu stał dyrektor, niżej jego zastępcy, potem kierownicy działów i kierownicy wydziałów, którzy z kolei szefowali mistrzom odpowiedzialnym za pracę szeregowych pracowników. Dyrekcja przedsiębiorstwa współpracowała obowiązkowo z Komitetem Zakładowym PZPR, Radą Zakładową oraz Zarządem Zakładowym ZMS. Niezależnie od oceny czasów PRL, nie sposób nie dostrzec pozytywnych elementów pewnej socjalnej osłony, przeznaczonej dla „zwykłych” pracowników. W ZTK „Teofilów” pracownicy mogli liczyć więc na: przechodzącą na ich własność odzież ochronną i obuwie profilaktyczne, bezpłatne leczenie w zakładowym

ambulatorium, urlop wypoczynkowy, prawo do płatnych zwolnień okolicznościowych (od ślubów i urodzeń dziecka, po zgon najbliższych członków rodziny), prawo do zwolnień na zajęcia (w wypadku nauki zwolnienia na zajęcia lekcyjne, jak i urlopy na czas sesji egzaminacyjnej), deputat węglowy, kolonie dla dzieci pracowników, dostęp do wjazdów na wczasy wypoczynkowe, zorganizowaną formę zbiorowego żywienia.

Transformacja bez prywatyzacji

Po upadku PRL zakład bardzo dobrze odnalazł się w kapitalistycznej rzeczywistości, która niejako była wpisana już w jego podwaliny. Od pierwszego stycznia 1999 roku ZTK „Teofilów” stał się Spółką Aukcyjną, która jest samodzielny, jednozakładowy przedsiębiorstwem. 95 procent udziałów posiada w niej Skarb Państwa, zaś pięć znalazło się w rękach byłego dyrektora (a następnie prezesa) Wiktora Pyrkosza.

ZTK „Teofilów” S.A. miał kilkakrotnie zostać poddany akcji prywatyzacyjnej. Ostatnia taka próba miała miejsce w kwietniu 2010 roku, jednak z racji na brak zgłoszeń do wzięcia udziału w aukcji publicznej, aukcja nie odbyła się (informacja ta pochodzi ze strony internetowej Ministerstwa Skarbu Państwa).

Nowe czasy – nowe wyzwania

Nie tylko wolnorynkowa rzeczywistość stała się wyzwaniem dla ZTK „Teofilów”. Jeszcze groźniejszym elementem stały się dwa czynniki – rosnące wymagania klientów oraz import taniej odzieży z Chin, która zalała rynek europejski, w tym polski. Łódzkie zakłady odnalazły się jednak w nowej rzeczywistości w sposób wręcz perfekcyjny. O klienta (zarówno w kraju jak i za granicą) zadbały między innymi wysoką jakością i skierowaniem swej oferty do świadomego odbiorcy, który potrafi docenić bardzo dobre jakościowo produkty, stworzone z zachowaniem polskich (odpowiadających międzynarodowym) standardów.

Zakład na Teofilowie może poszczycić się wieloma certyfikatami, które poświadczają najwyższą jakość oferowanych przezeń produktów, między innymi ISO-9001 (przyznany w roku 1998), „Bezpieczny dla dziecka” (1999), „Przyjazny dla człowieka” (1999), „Öko-Text Standard 100”, „Bezpieczny dla niemowląt” ITTD Tricotextil, „Innowacyjność 2006”, „Lider Innowacyjności” (2007), „Przejrzysta Firma” (2008).

Certyfikaty stanowią bardzo ważną informację nie tylko dla polskich klientów (zakład posiada sieć dystrybucji na terenie kraju), ale również dla odbiorców europejskich, ponieważ przedsiębiorstwo prowadzi za pośrednictwem polskich producentów (gotowe produkty bieliźniarskie i odzieżowe) eksport na Zachód oraz sam eksportuje swe dzianiny na rynki wschodnioeuropejskie.

ZTK „Teofilów” dostarcza dzianiny dla producentów odzieży dziecięcej (w tym niemowlęcej), producentów odzieży damskiej, męskiej i młodzieżowej (nocna jak i dzienna) oraz specjalizuje się w produkcji tak zwanych dzianin z funkcją, które zrewolucjonizowały rynek dzianin w ostatnich latach.

Inteligentne tekstylia

W 2007 roku światowy potentat Outlast Technologies z Boulder w Kolorado (USA) udzielił ZTK „Teofilów” (jako jednemu z czterech europejskich zakładów) licencji na produkcję inteligentnej dzianiny, która potrafi utrzymywać temperaturę ludzkiego ciała. Jej zadaniem jest ochładzanie ciała w czasie upałów i ogrzewanie go w czasie chłodu. Obecnie „Teofilów” produkuje „oddychające” tkaniny, między innymi dla takich gigantów jak „Puma” oraz „Adidas”.

Oprócz tej technologicznej nowinki w ofercie „Teofilowa” znajdują się dzianiny oparte na takich włóknach jak: bawełna, poliester, wiskoza, len, lycra, dorlastan, mikromodel, trevira bioactive.

Zgodnie z najnowszymi światowymi trendami łódzki zakład wprowadził na rynek dzianinę dla wymagających klientów – wykonaną z włókna bambusowego „Bamboo”, które jest w stu procentach biodegradowalne. „Bamboo” to dzianina ekologiczna, posiadająca trwałe cechy nieoparte na chemicznych zastosowaniach, lecz właściwościach samego włókna. Jest ona odporna na promienie UV oraz wielokrotne pranie. „Bamboo” to dzianina antyalergiczna, powstrzymująca rozwój bakterii.

W „Teofilowie” wytwarzany jest również „NanoRed” – opatentowana dzianina, poprawiająca krążenie krwi. W swej funkcjonalności wykorzystuje nanotechnologię służącą do zmiany promieniowania świetlnego na promieniowanie ciepłe, co z kolei zapewnia ochronę organizmu przed chłodem (przy zachowaniu komfortowego oddychania skóry).

To tylko dwa rodzaje z oferowanych przez łódzką fabrykę produktów wchodzących w skład tak zwanych dzianin z funkcją. „Teofilów” ma ich w swej ofercie więcej. To dzianiny z funkcją ciepłochłonności (zapewniają ciepło w czasie chłodów i chłód w czasie upałów), dzianiny z funkcją oddychającą, pozwalają na utrzymanie komfortu suchej skóry, bo odprowadzają pot i odparowują nadmiar wilgoci z warstwy zewnętrznej ubioru. Nowym typem dzianiny jest „Dri-Release”, która schnie do czterech razy szybciej niż bawełna oraz dzianiny z funkcją bakteriostatyczną. Dzianiny tego typu są adresowane głównie do sportowców i zwolenników aktywnej rekreacji.

Nowe technologie i tekstylia wpisują się w promowaną przez „Teofilów” filozofię wellness, która dotyczy świadomej odpowiedzialności za jakość swojego życia i zdrowia. Dokonuje się to przez świadomy wybór konsumencki.

Specjalność – drukarstwo cyfrowe

Zakład oferuje dzisiaj również druki cyfrowe, które umożliwiają projektantom szybkie i technicznie łatwe stworzenie własnej, unikatowej kolekcji. Wielką zaletą tej metody druku jest możliwość realizacji małych nakładów, co obniża koszty i pozwala na większą frekwencyjność wzorów. Zrezygnowanie z druku rotacyjnego pozwala na obniżenie kosztów ponoszonych przez klienta. Zamiast przygotowania szablonów i późniejszej konfrontacji z papierowym wydrukiem, klient ma możliwość podglądu druku na kom-

puterze, a następnie otrzymuje produkt finalny wykonany na wielkoformatowej drukarce. Druk cyfrowy to nie tylko obniżenie kosztów i skrócenie czasu realizacji. To również możliwość zaistnienia na rynku przez oferujące niepowtarzalne, konkurencyjne w zestawieniu z masowymi produkcjami, bogactwo wzorów i pomysłowości projektantów.

Jak się więc okazuje łódzki ZTK „Teofilów” mimo braku prywatyzacji utrzymuje bardzo wysoki poziom, wprowadzając do swej oferty często innowacyjne na rynku polskim technologie i standardy. Zakład dobrze przeszedł transformację i nie stał się jednym ze skostniałych molochów, które jeden po drugim upadały w konfrontacji z gospodarką rynkową. Nowoczesny park maszynowy i ciągłe śledzenie trendów technicznych oraz elastyczne dopasowanie się do możliwości i zapotrzebowania zgłaszanego przez klienta, pozwoliły zachować silną pozycję na rynku dzianin i konkurencyjne miejsce w walce ze światową, jak i rodzimą konkurencją.

Sylwia Czerniak
– studentka kulturoznawstwa UŁ

Fot. Barbara Gortat

pierwsze kolumny

Okno na świat łódzkiego włókiennictwa

„Textilimpex”

Łódź wyrosła na produkcji i handlu, przede wszystkim wyrobów włókienniczych. Produkcja i handel, czyli z jednej strony wytwórstwo, z drugiej umiejętność sprzedaży wyrobów, osiągnęły w Łodzi poziom wręcz doskonały.

Przed II wojną światową poszczególne fabryki najczęściej eksportowały swoje wyroby przy pomocy miejscowych pośredników, były również próby tworzenia organizmów wspólnych, jak na przykład Syndykatu Eksportu Odzieży. Po zakończeniu II wojny światowej wiele czynników wpłynęło na to, że organizację sprzedaży trzeba było rozpocząć od początku. Z jednej strony zniszczenia wojenne, ale również czynnik ludzki, bowiem z przedwojennych agentów handlu tylko z dwoma udało się nowo tworzącym instytucjom nawiązać trwałą współpracę.

Latem 1945 roku powołano do życia Polskie Towarzystwo Handlu Włókienniczego. Jego zadaniem była odbudowa polskiego eksportu wyrobów tekstylnych. Ogołoczone wojną rynki europejskie wręcz czekały, aby chłonąć nowe produkty. Wypracowana – jeszcze przed wojną – dobra marka polskich tkanin dawała nadzieję na zbyte. Należało jeszcze tylko zebrać ocalałe zapasy i uruchomić maszyny. Pierwszymi odbiorcami wyprodukowanych w Polskich tkanin były Szwecja i ZSRR.



„CeTeBe” z fregatą

30 września 1946 roku na podstawie zarządzenia Ministra Żeglugi i Handlu Zagranicznego powołano do życia Biuro Eksportowe „CeTeBe” działające w ramach Centrali Tekstylnej podlegającej Ministerstwu Przemysłu i Handlu. Fregata z trzema żaglami i napisem „CeTeBe” stanowiła logo Centrali Tekstylno-Biurowo-Eksportowej. Fregata była godłem najstarszej polskiej uczelni handlowej – Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. To właśnie jej absolwenci, a dokładnie wychowankowie łódzkiego oddziału tej szkoły, którzy w latach 1947-48 zasilili kadry aparatu handlu zagranicznego w „CeTeBe”, zaadaptowali fregatę jako symbol łódzkiego eksportera polskich towarów tekstylnych. „CeTeBe” zbierało zamówienia i na własny rachunek sprzedawało odbiorcom zagranicznym towary włókiennicze.

W 1950 roku, w lipcu, uzyskało pełną niezależność i jako Centrala Exportowo-Importowa Przemysłu Włókienniczego – Przedsiębiorstwo Państwowe Wyodrębnione, podlegała bezpośrednio powołanemu do życia w marcu 1949 roku Ministerstwu Handlu Zagranicznego. Od tego momentu zakres działalności „CeTeBe” został poszerzony o odzież, bieliznę, dziewiarstwo oraz artykuły uzupełniające, pończosznicтво i pasmanterię. Po raz pierwszy włączono do działalności importowej wyroby włókiennicze i odzieżowe. W eksporcie nawiązywano bezpośrednie kontakty z Centralnymi Zarządami producentów, zaczęto również tworzyć własną bazę magazynową. W tym czasie na rynku krajowym produkcja włókiennicza rosła, odbudowywano zakłady istniejące oraz budowano nowe, tworzone placówki badawczo-doświadczalne. W 1948 roku do krajów zachodnich Centrala wyeksportowała towary o wartości około 10 milionów dolarów. Pierwsze własne próby akwizycji podejmowano głównie na targach międzynarodowych: Praga, Utrecht, Paryż, Bruksela. Późniejszy okres zimnej wojny osłabił eksport, i tak w 1952 roku spadł on do siedmiu milionów dolarów. Mimo to „CeTeBe” dbała o rozwój własnej sieci agencyjnej. W 1965 roku korzystała z usług 87 agentów i 48 pośredników.

Kolejną istotną datą był rok 1963, kiedy to zarządzeniem Ministerstwa Handlu Zagranicznego utworzono Przedsiębiorstwo Handlu Zagranicznego „Confexim”, które przejęło od „CeTeBe” eksport i import konfekcji i artykułów różnych, natomiast samo „CeTeBe” stało się eksporterem i importerem różnego rodzaju tkanin. Jednocześnie trwał proces decentralizacji przedsiębiorstwa. Kanwą tych przekształceń była specjalizacja branżowa, tworzone biura branżowe, jak na przykład Biuro Tkanin Bawełnianych, Biuro Tkanin Wełnianych itd.

W 1966 roku „CeTeBe” miała w polskim eksporcie udział wynoszący trzy procenty, w tym do krajów kapitalistycznych cztery, natomiast w latach 1963-65 udział „CeTeBe” w handlu światowym wynosił dwa i pół procenta w obszarze tkanin bawełnianych, pięć procent wełnianych, 17 procent lnianych. Na ten wynik składała się praca 1016 osób.

Jeszcze wcześniej, bo 28 października 1948 roku, Zarządzeniem Ministra Przemysłu i Handlu powołano do życia Przedsiębiorstwo Państwowe – Centrala Importowa Przemysłu Włókienniczego „Textilimport” z siedzibą w Łodzi. Pierwsze biura Centrali mieściły się przy ulicy 22 Lipca. Zgodnie z wytycznymi, przedmiotem działania przedsiębiorstwa miał być import surowców włókienniczych, maszyn włókienniczych, a także części zamiennych oraz innych artykułów pomocniczych, których wyłącznym odbiorcą był przemysł tekstylny. Oprócz tego do zadań Centrali należało planowe zaopatrywanie w wymienione towary zakładów przemysłowych nadzorowanych przez Centralny Zarząd Przemysłu Włókienniczego. Obydwie Centrale znalazły swoją siedzibę w gmachu przy ulicy Sienkiewicza. W 1948 roku ogłoszony został konkurs, a w 1949 ruszyła budowa biurowca. Do realizacji wybrano projekt inż. arch. Jana Kruga z Krakowa. W budynku miał się znaleźć dział biur branżowych, dział biur eksportowych oraz agendy, oprócz tego świetlica, stołówka, sala koncertowa i wystawowa.

Budową interesowała się cała Łódź, gdyż miał to być najwyższy budynek w mieście – łódzki drapacz chmur. W czasie budowy doszło do zmian w zakresie rozwiązań architektonicznych wymuszonych przez narzucony model socrealistyczny, jak również zmian w strukturze organizacyjnej samego inwestora. Wpłynęło to na spowolnienie prac przy budowie. W 1956 roku budynek został oddany do użytku. Znajdowało się w nim 10 tysięcy metrów kwadratowych powierzchni użytkowej, natomiast jego kubatura wynosiła 73 tysiąca metrów sześciennych. Biurowiec posiadał własną centralę telefoniczną na sześćset numerów, a transport między kondygnacjami zapewniały cztery szybkie windy. Po zainstalowaniu 15-metrowego masztu Łódzkiego Ośrodka Telewizji, który mieścił się na dwóch ostatnich piętrach biurowca, wysokość budynku osiągnęła 67 metrów.

Ekspansja dampingowa

W 1971 roku dochodzi do przełomu w działalności trzech instytucji handlowych. Centrala Importowa Przemysłu Włókienniczego „Textilimport”, Przedsiębiorstwa Handlu Zagranicznego „Cetebe” oraz PHZ „Confexim” zostały połączone w jeden organizm, tworząc Zjednoczone Przedsiębiorstwo Handlu Zagranicznego „Textilimpex”. W 1976 roku „Textilimpex” zmienił swoją siedzibę, przenosząc się do nowo wybudowanego wieżowca przy ulicy Traugutta 25, gdzie mieści się do chwili obecnej. Wieżowce powstały tam dwa, stanęły obok siebie w tak zwanym centrum biurowym w sąsiedztwie dworca Łódź Fabryczna. Oba bliźniacze budynki miały po 68 metrów wysokości, a łącznie z masztami nawet 90. Każdy z nich posiadał 20 kondygnacji, z tego 19 naziemnych.

W latach 70. „Textilimpex” prowadził interesy w 120 krajach na całym świecie. W 1974 roku wartość eksportu wynosiła 475 milionów dolarów, a importu 650 milionów.

Do zakładów bawełnianych, które współpracowały z „Textilimpexem” należały między innymi tak znane marki jak: „Poltex”, „Uniontex”, „Pamotex”, „Rena Kord”, producenci odzieży, między innymi: „Femina”, „Sira”, „Olimpia”, „Iwona”, „Jarlan”, „Modus”, „Bytom”.

W 1975 roku „Textilimpex” wyeksportował sto tysięcy garniturów na rynek brytyjski, a „Próchnik” w produkcji płaszczy męskich był w tamtym okresie jednym ze światowych liderów. Dla pań płaszcze i kostiumy produkowały: „Cora”, „Dana” i „Telimena”. Koszule męskie szyto w zakładach „Romeo”, „Warmia” i oczywiście „Wólczanka”. Na brytyjskim rynku koszula z Polski kosztowała około trzech do czterech i pół funta, czyli bardzo tanio.

„Textilimpex” dbał o reklamę. Oprócz całej masy gadżetów, które nieodłącznie kojarzyły się z firmą poprzez umieszczenie na nich charakterystycznego logo firmy, sięgnięto po inne formy prezentacji. W 1972 roku w Wytwórni Filmów Oświatowych powstał film reklamowy prezentujący różne fasony ubrań na każdą okazję. Prawie siedmiominutowa reklamówka wyreżyserowana przez Władysława Wasilewskiego ze zdjęciami Józefa Robakowskiego wykonana była w wersji rosyj-

skojęzycznej, najprawdopodobniej na potrzeby promocji polskich tekstyliów na rynki wschodnie.

Nowa organizacja

W 2002 roku na liście największych dwustu korporacji świata 82 miejsca zajmowały firmy wywodzące się z USA, a zaraz potem 42 firmy japońskie, które podaje się jako przykład docelowego modelu organizacyjnego podmiotu handlowego. To właśnie w Japonii narodziła się koncepcja dostawcy rozwiązań, gdzie przedsiębiorstwo handlowe pełni wobec swoich partnerów rolę organizatora procesów. Paradoksalnie pewne elementy tego typu działań, które obecnie są rozwijane na świecie, zainicjowano na początku lat 70. w „Textilimpexie”. Do tej pory tradycyjny model współpracy pomiędzy CHZ a firmą produkcyjną polegał – najprościej rzecz ujmując – z jednej strony na zakupie i organizowaniu dostaw surowców niezbędnych producentowi w jego procesie wytwarzania, a z drugiej strony CHZ występowała jako agent sprzedaży wytwórcy, starając się dystrybuować wyprodukowane przez niego produkty na rynki zagraniczne. W 1971 roku w celu podniesienia efektywności obrotów towarowych z zagranicą, podjęto decyzję o integracji przemysłu i handlu zagranicznego. W myśl tych założeń PHZ „Textilimpex” przyjął na siebie cały szereg dodatkowych zadań w tym:

- kooperację w zakresie usługowego przerobu tkanin, wyrobów konfekcjonowanych i innych;
- prognozowanie rozwoju techniki;
- programowanie inwestycji pod kątem rozwoju opłacalnego importu oraz antyimportu;
- programowanie rozwoju przedsiębiorstw i branż związane ze zmianami struktury eksportu, a także rozwijanie eksportu w ramach umów kompensacyjnych na import inwestycyjny;

Poza tym PHZ mogło występować jako „komisant”, a w uzasadnionych przypadkach działać na własny rachunek, w tym tworzyć zapasy umożliwiające utrzymanie płynności dostaw do kontrahentów.

Kolejne dwie istotne daty w działalności firmy to rok 1977 oraz 1982. W 1977 roku Zjednoczenia Branżowe otrzymały ograniczone uprawnienia do prowadzenia handlu zagranicznego. W celu usprawnienia i rozdzielenia obsługi handlowej zakładów wchodzących w skład właściwych Zjednoczeń, wyodrębniono Biuro Handlu Zagranicznego „Textilimpex-Confexim” – dla branży produkującej z tkanin i Biuro Handlu Zagranicznego „Textilimpex-Tricot” – do współpracy z branżą dziewiarską. Natomiast w 1982 roku „Textilimpex” przekształcił się w spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością.

W roku 1987 „Textilimpex” reprezentował na rynkach zagranicznych cały polski przemysł tekstylny, jak również częściowo odzieżowy i dziewiarski. Przedsiębiorstwo prowadziło działalność eksportową i importową w zakresie surowców tekstylnych, tkanin, wyrobów odzieżowych i dziewiarskich. Udziałowcami „Texti-

limpexu" było Ministerstwo Handlu Zagranicznego (51 procent) oraz kilkaset zakładów tekstylnych i odzieżowych. Eksport stanowiły głównie tkaniny z włókien naturalnych: bawełna, wełna, jedwab, len; tkaniny z włókien chemicznych, dywany, chodniki, bielizna pościelowa. Przedmiotem eksportu była głównie bawełna, wełna, sisal, juta, len. W tamtym okresie największymi odbiorcami „Textilimpexu” był ZSRR, Jugosławia, NRD, RFN, Chiny, USA, Wielka Brytania, Francja. Udział „Textilimpexu” w globalnym eksporcie Polski wynosił dwa procent, a w imporcie pięć.

Na najważniejszych rynkach zagranicznych „Textilimpex” był reprezentowany przez własne spółki i przedstawicielstwa lub przez firmy agencyjne. Trudno się dziwić, że „Textilimpex” był głównie związany z okręgiem łódzkim. Aglomeracja łódzka wytwarzała i sprzedawała ponad 20 procent produkcji całego przemysłu lekkiego w Polsce. W ponad stu przedsiębiorstwach przemysłu lekkiego naszego regionu produkowano 40 procent wszystkich wytwarzanych w kraju tkanin wełnianych, 38 procent tkanin jedwabnych i prawie 50 procent tkanin bawełnianych.

Przyczółek agenturalny

Kłopotów z zatrudnieniem „Textilimpex” na pewno nie miał. W czasach kiedy dochody przeciętnego Polaka, w porównaniu z dochodami mieszkańców Europy zachodniej, były bardzo niskie, a możliwości zagranicznych wyjazdów nie dla wszystkich dostępne, praca w Centrali Handlu Zagranicznego dawała zarówno pewien rodzaj prestiżu jak i konkretne korzyści materialne. Ta specyfika funkcjonowania Centrali Handlu Zagranicznego sprawiała, że były one pod szczególną kontrolą służb specjalnych. Z jednej strony brano pod lupę pracowników Centrali, którzy wyjeżdżali za granicę, w szczególności do krajów kapitalistycznych, gdyż mogli oni być źródłem informacji dla przedstawicieli obcych wywiadów, z drugiej strony CHZ, jako z natury rzeczy powołane do kontaktów biznesowych z zagranicą, stanowiły doskonałą przykrywkę do różnego rodzaju działań rodzimego wywiadu, w szczególności dzięki możliwości korzystania z kont dewizowych do przeprowadzania mniej lub bardziej legalnych operacji. Praktycznie we wszystkich strategicznych instytucjach w kraju porozmieszczani byli pracownicy służb specjalnych. W „Textilimpexie” było ich siedmiu, ale na przykład w „Impexmetal” – 35, „Metalexporcie” – 35, „Varimeksie” – 33.

Przez wiele lat „Textilimpex” był organizatorem Giełdy Przędzy „Yarn Market”. Pierwsza edycja Giełdy miała miejsce w 1994 roku. Giełda odbywała się dwa razy w roku wiosną i jesienią. Była to jedyna tego typu specjalistyczna impreza w kraju i jedna z nielicznych w Europie. Giełda przyciągała głównie producentów i dostawców w przędzy, jak również odbiorców. W roku 2007 miała miejsce ostatnia edycja targów.

Trudna transformacja

Sytuacja w jakiej znalazła się spółka w momencie transformacji bardzo poważnie zachwiała firmą. „Textilimpex” musiał zrealizować podjęte centralnie decyzje dotyczące

zakupu surowców, na które w budżecie państwa nie było pieniędzy. Zaciągnięty został kredyt na prawie 40 milionów dolarów. Niestety, w okresie transformacji wiele przedsiębiorstw, odbiorców „Textilimpexu”, straciło płynność finansową. Banki usztywniły politykę finansową odmawiając kredytów, a to powodowało niemożność rozliczenia się z „Textilimpexem”. Niewypłacalność dłużników, jak również niekorzystne różnice kursowe, spowodowały stratę spółki, która na koniec 1991 roku wyniosła 71 milionów dolarów. Próbą wyjścia na prostą było wprowadzenie zmian organizacyjnych. W efekcie podjęto decyzję o utworzeniu holdingu. W 1992 roku w oparciu o dotychczasowe biura handlowe utworzono:

- „Textilimpex-Surmaco” – na bazie Biura Surowców
- „Textilimpex-Globe” – na bazie Biura WYROBÓW Gotowych
- „Textilimpex-Cetebe” – na bazie Biura Tkanin
- „Textilimpex-Contri” – spółkę, która miała zajmować się sprzedażą towarów na rynku krajowym.

Obecnie żadna z tych spółek, które wchodziły w skład holdingu już nie istnieje, a w 2009 roku został zakończony proces likwidacyjny ostatniej z nich.

Wydaje się, że największym sukcesem „Textilimpexu” jest to, iż w ogóle istnieje, gdyż nie udało się to wielu Centralom Handlu Zagranicznego. Trudno porównywać aktualne wyniki spółki z tymi z lat 70., kiedy to „Textilimpex” działał w warunkach monopolu, nie mając na polskim rynku konkurencji. W 2009 roku spółka osiągnęła dochód na poziomie 38,5 miliona, głównie ze sprzedaży towarów i usług, w tym eksport 7,5 miliona. Obecnie spółka zajmuje się eksportem i importem materiałów tekstylnych, surowców chemicznych i włókienniczych. Świadczy również usługi w zakresie wynajmu powierzchni biurowej i magazynowej. „Textilimpex” nadal jest właścicielem biurowca przy Traugutta 25, jednak przy obecnym stanie zatrudnienia (68 osób) zajmuje jedynie około 10 procent jego powierzchni, reszta jest podnajmowana. W spółce prawie 98 procent udziałów ma Skarb Państwa. „Textilimpexem” kieruje dziś prezes zarządu Marcin Granosik i wszystko wskazuje na to, iż to jemu przypadnie rola przeprowadzenia spółki przez proces prywatyzacyjny. Ministerstwo Skarbu Państwa wpisało ją na listę przedsiębiorstw przeznaczonych do prywatyzacji.

W 2009 roku firma obchodziła 60-lecie istnienia i jak widać historia „Textilimpexu” tej flagowej Centrali Handlu Zagranicznego naszego miasta, nie ma jeszcze swojego zakończenia.

Dariusz Kędziński
– filmowiec, publicysta

Źródła:

1. P. Gryglewski, R. Wróbel, A. Ucińska, *Łódzkie budynki 1945-1970*, Łódź 2009.
2. „Nasze Życie” 1971, nr 2.
3. textilimpex.com.pl
4. *CETEBE - Biuletyn Informacyjny, 20-lecie działalności.*
5. Materiały własne „Textilimpexu”.

Włókiennik i szwaczka na wybiegu

Łódź jako centrum polskiej mody

Nie od dziś wiadomo, że dobrą strategią promocji dla miasta jest wybranie dla niego jakiejś „specjalizacji”, szczególnie, jeśli jest ona poparta jego historią. Podobnie jest i z Łodzią, która ze względu na swoje tradycje włókiennicze w dość naturalny sposób dryfuje w kierunku mody. Bywa nawet nazywana „centrum”, a – nawet nieco na wyrost – „stolicą polskiej mody”. Być może jest to określenie nadane z poczucia lokalnego patriotyzmu, nie można jednak zaprzeczyć, że Łódź stara się usilnie na nie zasłużyć i do niego dorosnąć. Praca nad tworzeniem własnej legendy idzie trzema tropami.

Trop 1: Mit i rzeczywistość

Tradycja miasta, jeśli chodzi o włókiennictwo, a wcześniej tkactwo i sukiennictwo, jest niezwykle bogata. W 1820 roku zdecydowano o uczynieniu z niej ośrodka tkackiego i sukienniczego i tak rozpoczęła się łódzka legenda polskiego Manchesteru. Do miasta ściągali osadnicy i przedsiębiorcy. W zawrotnym tempie wyrastały fabryki i rosły fortuny Scheiblerów, Grohmanów, Geyerów i Poznańskich – wszystkie związane z przemysłem włókienniczym. Oprócz nich w Łodzi bogacili się pomniejsi przemysłowcy. Miasto rozwijało się w zawrotnym tempie. Łódź z XIX i początków XX wieku kojarzy się przede wszystkim z tkaczkami, zwijającymi się jak w ukropie przy krosnach w wielkich fabrykach.

Obie wojny światowe, zwłaszcza ta druga, znacząco zahamowały ten rozwój. Po II wojnie światowej nic nie zostało z glorii wielkich potentatów przemysłowych, którzy zginęli albo wyjechali. Zostały po nich olbrzymie kompleksy fabryczne, w których strukturze wojna nie spowodowała większych zniszczeń. Łódź, w okresie międzywojennym będąca najbardziej robotniczym miastem w Polsce, zachowała tę tradycję. Ściągali tu ludzie z całego kraju, o różnym pochodzeniu, by pracować w odradzających się, już państwowych zakładach, które kontynuowały swój przedwojenny profil produkcji. Ale obok olbrzymich fabryk nastawionych na produkcję masową – które codziennie opuszczały kilometry tkanin, dzianin i innych materiałów – zaczęły wyrastać i inne zakłady, nie tylko produkujące surowiec, ale i ubrania. Zwłaszcza, że istniało dla tego, jeszcze przedwojenne, solidne zaplecze w postaci olbrzymich hal, maszyn... i doświadczonych siły roboczej.

W tych czasach trudno było nazwać Łódź stolicą mody. Produkowano głównie tkaniny, nici i inne dodatki krawieckie oraz odzież „pierwszej potrzeby”. Nie było więc klimatu, aby myśleć o tym, co modne, gdy podstawowym zmartwieniem jest, czy w ogóle ma się co na siebie włożyć.

A jednak to w naszym mieście, w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych (obecnie Akademia Sztuk Pięknych), jako pierwszej i przez wiele lat jedynej uczelni w kraju, powstał wydział włókienniczy. Wielokrotnie zmieniał nazwę i strukturę, ale zawsze w jego ramach odbywały się zajęcia kształcące projektantów i konstruktorów odzieży. Przyszli decydenci w sprawach mody mieli między innymi przedmioty o tak dziwnie brzmiących nazwach, na przykład tak specjalistycznych, jak teoria dziewiarstwa. Od kilku lat, po wielu transformacjach, na ASP działa Wydział Tkaniny i Ubioru, który jest kuźnią i kolebką projektantów tkanin, odzieży, biżuterii, obuwia i form kaletniczych. Co roku odbywa się Gala Dyplomów, gdzie można podziwiać pokazy kolekcji dyplomowych.

Tak jest teraz, ale początki wcale nie były łatwe. Przez wiele lat po wojnie gigantyczne zakłady produkujące tkaniny i odzież niechętnie zatrudniały absolwentów PWSSP, polegając raczej na bardziej doświadczonych konstruktorach z przedwojennym rodowodem, szczególnie, że moda nie była priorytetem masowej produkcji w latach PRL. Projektanci znajdowali zatrudnienie na przykład w Centralnym Laboratorium Przemysłu Włókienniczego, które później przekształciło się w kilka ośrodków badawczo-rozwojowych. Ich praca skupiała się na poszczególnych gałęziach przemysłu włókienniczego – bawełnianej, lniarskiej, odzieżowej, dziewiarskiej itd. W tych ośrodkach powstawały niewielkie kolekcje odzieży, zgodne ze światowymi trendami, mające wyznaczać kierunek, w którym powinna iść produkcja. Pełniły więc one w Polsce taką rolę jak Instytut Mody w Paryżu. Pracownicy ośrodków mieli możliwość wyjazdów za granicę na rozmaite targi i pokazy mody. Stamtąd przywozili najświeższe modowe nowinki i na ich podstawie tworzone wspomniane wcześniej linie ubrań. Kolekcje znajdowały pewne, choć niewielkie, odbicie w masowej produkcji. Bariery nie do pokonania wydawała się przede wszystkim praktyczność i codzienna rzeczywistość PRL. Choć kolekcje były dostępne w sprzedaży, trudno nazwać ją masową – nie można ich było kupić w zwykłym sklepie. Ich ceny również nie były niskie. W ośrodkach szykowano również kolekcje na specjalne okazje - na przykład na targi mody w Moskwie. Później wiodącą rolę w tym zakresie przejął Dom Mody „Telimena”, który powstał w 1958 roku, najpierw jako zakład odzieżowy, a następnie dom mody, tworzący elegancką odzież damską w niedużych seriach. Kolekcje „Telimeny” były dostępne w sklepach firmowych w stosunkowo wysokich cenach, a więc nie wszystkich było na nie stać. Wyznaczały jednak oczywiście trendy i znajdowały odbicie w tym, co nosiła ulica.

Duże fabryki odzieżowe to między innymi zakłady EMFOR, „Dami-na”, „Próchnik” oraz „Wólczanka”, która szyła męskie koszule i damskie bluzki. W regionie łódzkim funkcjonowały „Latona” (w latach 50. szyła odzież ochronną i ro-

boczą, ale do lat 60. – także mundury dla wojska; później zaś damskie bluzki, sukienki i podomki), „Zeta” (garnitury) i „Pabia” (damskie płaszcze). Później powstał także „Dandys”, oferujący odzież dla mężczyzn. Powstawało także wiele odzieżowych spółdzielni pracy, które w latach 70. łączono w Terenowe Zakłady Przemysłu Odzieżowego, bo był taki odgórny trend tworzenia wielkich organizmów produkcyjnych. Na tym tle wyróżniała się „Iwona”, zajmująca się dziewiarstwem. Wytwarzano tam małe kolekcje w sposób pomysłowy: z tego samego materiału sztyto różne części odzieży, które można było do siebie dopasowywać.

W latach 50. przemysł odzieżowy w Polsce koncentrował się na zaspokajaniu podstawowych potrzeb, szyjąc przede wszystkim koszule i bieliznę, czyli artykuły, bez których nie można się obejść. Nie zwracano szczególnej uwagi na wzornictwo; w trudnych czasach ważne było, żeby w ogóle udało się coś zdobyć, a nie to, czy jest to ładne i modne. W latach 50. i 60. właściwie łatwiej było kupić w Łodzi tkaninę dobrej jakości niż porządny wyrób gotowy. Dlatego duże powodzenie miały w Łodzi małe, prywatne pracownie krawieckie, wyspecjalizowane w szyciu odzieży lekkiej i ciężkiej. Łodzianka, chcąca modnie wyglądać, nie kupowała ciuchów z wielkich zakładów (szczególnie, że nie było wcale łatwo je dostać), ale udawała się do polecanej przez znajome krawcowej. Krawcowe, na ogół bez wykształcenia kierunkowego, za to z solidnym warsztatem i przedwojennym doświadczeniem, szyły według wykrojów z zachodnich żurnali. Wystarczyło raz pokazać takiej mistrzyni wykroj, żeby potrafiła go odtworzyć. Łódź zawsze miała świetne modniarki. W latach 70. władze nakazały krawcowym rejestrować się jak rzemieślnikom i płacić podatki, co sprawiło, że wiele z nich odeszło z zawodu i przestało szyc.

Jednym z największych kolosów były Zakłady Tekstylno-Konfekcyjne „Teofilów”, powstałe w latach 70. – gigantyczny zespół złożony z mniejszych zakładów odzieżowych. W momencie powstania była to bardzo nowoczesna fabryka. Problem takich wielkich zakładów polegał jednak na tym, że po jednorazowym wdrożeniu na początku olbrzymiej ilości maszyn, nawet niezwykle nowoczesnych, bardzo trudno było wprowadzać nowe linie produkcyjne, różnicować park maszynowy i zmieniać wzornictwo. Maszyny więc bardzo szybko starzały się technologicznie, wzory stawały się niemodne i powszedniały. Inni wielcy producenci tego okresu to Zakłady „Norbelana”, specjalizujące się w tkaninach wełnianych. Z kolei „Alba” wypuszczała na rynek tkaniny bawełniane. Warto wspomnieć także o takich zakładach jak „Uniontex”, „Bistona”, „Textilpol” i „Pamotex”.

W wielkich zakładach powstało jednak korzystne zjawisko: zaczęto nareszcie zatrudniać projektantów wykształconych w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych, co zdecydowanie wpłynęło na wygląd produkowanych w Łodzi ubiorów. Niemniej jednak cały czas problemem był fakt masowości produkowanych wzorów. Wytworzono na przykład bluzkę w jednym fasonie w tysiącach egzemplarzy. I nikt już nie chciał ich kupować... Technologie nieustannie się rozwijały, a wiel-

kie hale i maszyny przestawały być potrzebne. Panował przerost zatrudnienia. Trudno było też przestawić produkcję ukierunkowaną na jeden rodzaj dzianiny w jednym kolorze. Na przykład wszystkie bluzki „Olimpii” miały rękawy wszywane w identyczny sposób, dlatego że w zakładzie funkcjonował tylko jeden rodzaj maszyn. Co ciekawe i charakterystyczne dla minionego systemu, choć produkcja szła w miliony, to w sklepach często półki świeciły pustką. Oczywiście dużo szło na eksport, przede wszystkim do tak zwanych państw demokracji ludowej. Ale i firmy z innych krajów korzystały też, choć zupełnie inaczej, z usług naszych zakładów, przywożąc rzeczy do przeszycia: bele tkanin z dodatkami i wykroje, według których łódzkie szwaczki szyły na miejscu ubrania; oczywiście bez łódzkich metek. Nie dotyczyło to zresztą tylko łódzkich fabryk.

Projektantom zatrudnionym w dużych zakładach utrudniały pracę przeszkody natury praktycznej. Artysta rysował śmiały, ciekawy projekt, planował i komponował dla niego dodatki, a później okazywało się, że takiej tkaniny i w takim kolorze nie ma, proponowanych guzików nigdzie nie można dostać. Jednak dzięki wcześniej wspomnianej „Telimenie”, która miała świetną markę i prezentowała dwie kolekcje rocznie, uliczna moda zaczęła tracić swoją siermiężność. Oczywiście, nie wszystkie modelowe kolekcje miały szansę zaistnieć na ulicach ze względów czysto praktycznych, nie wszystko udawało się przeprowadzić, ale ubrania z masowej produkcji zyskały trochę światowego szyku. Wykroje i kolorowe rysunki z „Przyjaciółki” i „Przekroju”, „Ty i ja”, a później ze „Świata mody” z lat 50. i 60. świadczą o tym, że polskie fasony w niczym nie odbiegały od standardów światowej mody.

Po transformacji ustrojowej niektóre zakłady przetrwały, inne, jak na przykład piotrkowska „Latona”, upadły. Przetrwali „Próchnik”, „Pabia”, „Telimena”, „Wólczanka” połączyła się z „Vistulą” i przeniosła do Krakowa. Działają nadal „Teofilów” i „Olimpia”, chociaż musiały znacząco się zrestrukturyzować. „Telimena” nie jest już szykownym domem mody i szyje teraz głównie odzież korporacyjną. Kryzys ekonomiczny z 2008 roku mocno uderzył w branżę. Łódzkie firmy zabija tania produkcja z Chin i Wietnamu, chociaż nie jest tajemnicą, że i one przeniosły się w znacznym stopniu z produkcją na Wschód.

Trop 2: Ślad wielkiej... i małej mody

Tradycja nazywania Łodzi stolicą polskiej mody wydaje się być mimo wszystko nieco na wyrost. Na plecach czujemy gorący oddech Poznania, w którym odbywają się co roku prestiżowe imprezy i targi modowe, a ostatnio także i Kielc, gdzie jest organizowany konkurs Off Fashion, reklamujący się teraz na billboardach we wszystkich większych miastach. Łódź na szczęście nie pozostaje w tyle. Od lat odbywają się tu pokazy dyplomowe studentów wydziału Projektowania i Ubioru ASP. Od 1992 roku młodzi projektanci biorą udział w konkursie „Złota Nitka” (w tym roku już XVIII edycja). W 2009 roku Łódź zyskała kolejną prestiżową imprezę modową – Fashionweek. Jego

obecność w mieście przez chwilę wisiła na włosku, ale na szczęście zarówno on, jak i wiele innych łódzkich festiwali, został uratowany.

Z łódzkiej ASP wywodzi się wielu znanych projektantów ekskluzywniej odzieży. Każdy pewnie student Wydziału Tkaniny i Ubioru marzy o własnej pracowni projektowej i o gwiazdach, które będą nosić ubrania jego projektu, ale rzecz jasna nie wszyscy absolwenci znajdują taką szansę. Wcale nie jest im łatwo się przebić. Wielu z absolwentów łódzkich uczelni nie tworzy więc pod własną marką, a znajduje zatrudnienie w dużych firmach odzieżowych w kraju i za granicą. To też jest wymiarem sukcesu, choć największą szansę na zatrudnienie mają ci, którzy już w czasie studiów i przy tworzeniu kolekcji dyplomowych nawiązują współpracę z dużymi firmami o znanej marce.

☉ Obecnie w Łodzi i regionie działa kilka znanych w Polsce firm odzieżowych: „Próchnik”, „Monnari” (która, nota bene, ma kłopoty wynikłe z przeinwestowania i kryzysu, jaki dotknął całą branżę), „Tatum”, „Ola Styl Studio”, „Agata Re”, „Pawo”, „Jola Collection”, „Hexeline”, MMC, „Olimpia”, Dom Mody „Skórska” oraz wiele innych, pomniejszych przedsiębiorstw. Z wieloma współpracują lub nawet je prowadzą absolwenci łódzkiej ASP.

Również region łódzki ma nadal wiele wspólnego z przemysłem odzieżowym. W Łasku działa „Kastor” produkujący męskie koszule. Aleksandrów Łódzki jest wręcz nazywany zagłębiem... rajstop. Mnóstwo firm zajmuje się produkcją wyrobów pasmanteryjnych i dodatków krawieckich. Nie bez kozery pod Łodzią działa Centrum Handlowe „Ptak” – największy w Europie kompleks handlowy. Zdecydowanie oferta z „Ptaka” to nie moda z górnej półki, ale to właśnie ona króluje na ulicach miast i miasteczek regionu.

Wspomniany już wcześniej, istniejący od 1992 roku konkurs „Złota Nitka”, jest organizowany przez Międzynarodowe Targi Łódzkie przy współudziale Akademii Sztuk Pięknych i Krajowej Izby Mody. To najstarsze i najbardziej prestiżowe wydarzenie modowe w naszym kraju, przeznaczone dla młodych projektantów. Wśród laureatów konkursu z poprzednich lat są tacy projektanci jak Maciej Zień, Paprocki&Brzozowski, Monika Onoszko. Od zeszłego roku konkurs nabrał charakteru międzynarodowego. Gościem specjalnym „Złotej Nitki” 2010 będzie Roksolana Bogucka, jedna z czołowych projektantek ukraińskich. Kolekcje ocenia Jury Kreatorów, złożone z projektantów mody oraz Jury Medialne, reprezentujące dziennikarzy piszących o modzie. Nagrody są przyznawane w dwóch kategoriach: Pret-a-porter i Premiere Vision. Rozstrzygnięcie tegorocznej edycji nastąpi 7 maja. Pokaz finałowy będzie jednocześnie otwarciem drugiego Fashion Philosophy Fashionweek Poland.

Fashionweek to szczególne wydarzenie na mapie łódzkich imprez, wzmacniająca wizerunek miasta walczącego o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury 2016. Dzięki niemu Łódź sięga po światowe standardy mody. Po raz drugi do naszego miasta ściągają przedstawiciele tego biznesu z całego świata. Jeszcze do połowy marca los Fashionweek nie był pewny (jak zresztą i innych łódzkich imprez) i nie było wiadomo,

czy w ogóle się odbędzie. Powodem było restrykcyjne traktowanie przepisów. Na szczęście organizatorzy postanowili pozostać w Łodzi. Co więcej, prawdopodobnie będą się odbywać dwie edycje imprezy rocznie. W ramach festiwalu możemy spodziewać się licznych atrakcji: pokazów, wystaw i propozycji związanych z konkursem „RE ACT” promującym etyczny i ekologiczny wymiar mody. Oprócz tego będą wydarzenia łączące się z modą, a więc różne dziedziny sztuki, konkursy dla młodych fotografów mody, seminaria branżowe itp. Swoje kolekcje zaprezentują studio MMC, Natalia Jaroszewska, Paprocki&Brzozowski, Agata Wojtkiewicz. Gośćmi specjalnymi Fashionweek będą Agatha Ruiz de la Prada oraz Kenzo.

W Łodzi działa Krajowa Izba Mody. Insytucja ta powstała w 1992 roku, a celem jej jest przede wszystkim promowanie polskiego przemysłu lekkiego i tekstylnego na świecie, a także wspieranie firm z tej dziedziny gospodarki, opieka nad projektantami, organizowanie szkoleń, konferencji i pokazów mody. KIM organizuje również kilka konkursów. Są to konkursy na „Producenta i Projektanta” roku czy konkurs mody „Moda Folk” inspirowanej folklorem. Na imprezie „Forum Tendencji” można dowiedzieć się, jakie wzornictwo i kolorystyka będą obowiązywały w nadchodzących sezonach. KIM reprezentuje polski przemysł na targach za granicą, a także, co być może dla nas jest najważniejsze, promuje Łódź jako centrum polskiej mody.

Trop 3: Nowoczesne włókiennictwo i fundusze unijne

Przyszłość Łodzi jako centrum polskiego przemysłu odzieżowego jednak nie powinna być widziana tylko z punktu widzenia mody. W województwie łódzkim produkuje się obecnie ponad 70 procent krajowych wyrobów tekstylnych. Przemysł odzieżowy to nie tylko piękne modelki, ekskluzywni projektanci i sesje modowe w prestiżowych czasopismach; to także tkaniny wykorzystywane w najrozmaitszych dziedzinach przemysłu, od medycyny po budownictwo. Dzięki swojemu zapleczu naukowemu, tradycjom i funduszom z Unii Europejskiej, Łódź ma szansę stać się centrum naukowym polskiego włókiennictwa. Przede wszystkim trzeba przypomnieć, że już od 1945 roku działa w mieście Instytut Włókiennictwa, zajmujący się kompleksowym badaniem surowców i wyrobów włókienniczych o różnym przeznaczeniu. W ramach Instytutu działa Wydział Produkcji Doświadczalnej, który wdraża koncepcje naukowców w życie i współpracuje przy realizacji projektów badawczych, sprawdzając, czy produkcja danego wyrobu będzie możliwa w warunkach przemysłowych. Innowatorskie produkty Instytutu otrzymują medale i wyróżnienia na targach i wystawach międzynarodowych.

Przez kilka lat wdrażano w naszym mieście program LORIS TEX realizowany w ramach Zintegrowanego Programu Operacyjnego Rozwoju Regionalnego, obalający mit przemysłu włókienniczo-odzieżowego jako przemysłu schyłkowego. Wizerunek włókiennictwa nie jest najlepszy, kojarzy się z minionym systemem, a słowo „szwaczka” czy „włókiennik” brzmią wręcz staroświecko. A przecież, wbrew pozorom, przed tą gałęzią gospodarki rysuje się ciekawa przyszłość wyznaczana przez

nowoczesne technologie. Choć powszechnie sądzi się inaczej, włókiennictwo podlega ciągłemu rozwojowi. Trwają intensywne badania naukowe nad tworzeniem tekstyliów coraz bardziej przyjaznych dla człowieka i środowiska, nad wykorzystaniem nanotechnologii i elektroniki dla tworzenia tkanin „myślących”, przydatnych w produkcji odzieży ochronnej wykorzystywanej w różnych środowiskach pracy, dla osób przewlekle chorych oraz dla sportowców czy wielbicieli turystyki ekstremalnej.

Politechnika Łódzka, za wygrane w konkursie Ministerstwa Nauki unijne 19 milionów złotych, stworzy pierwsze w Europie Centrum Przemysłu Mody. Będzie to osiem laboratoriów na Wydziale Technologii Materiałowych i Wzornictwa Tekstyliów. Zostaną wyposażone one w nowoczesne maszyny do szycia odzieży i bielizny oraz urządzenia, które posłużą między innymi do badań nad „inteligentnymi” ubraniami. W zakresie zainteresowań Centrum znajdzie się także tekstronika – połączenie włókiennictwa, informatyki i elektroniki.

Choć więc tytuł stolicy mody został nadany naszemu miastu przez specjalistów od promocji nieco na wyrost, przed Łodzią rysuje się realna szansa awansowania na niekwestionowanego lidera polskiego świata mody, poparta jednocześnie tradycją włókienniczą, naukową i artystyczną. Wydaje się, że jak dotąd miasto potrafiło ją wykorzystać. Jest więc realna szansa na umacnianie się tej tradycyjnej marki w coraz bardziej nowoczesnym wydaniu.

Maria Zalasa

– absolwentka filologii słowiańskiej; tłumaczka, publicystka

Dziękuję Pani Aleksandrze Trelli z Muzeum Włókiennictwa za pomoc i informacje przy pracy nad tym tekstem.

kultura

Sztuka ładu i odpowiedzialności

Krystyn Zieliński (1929-2007)

Gustaw Romanowski

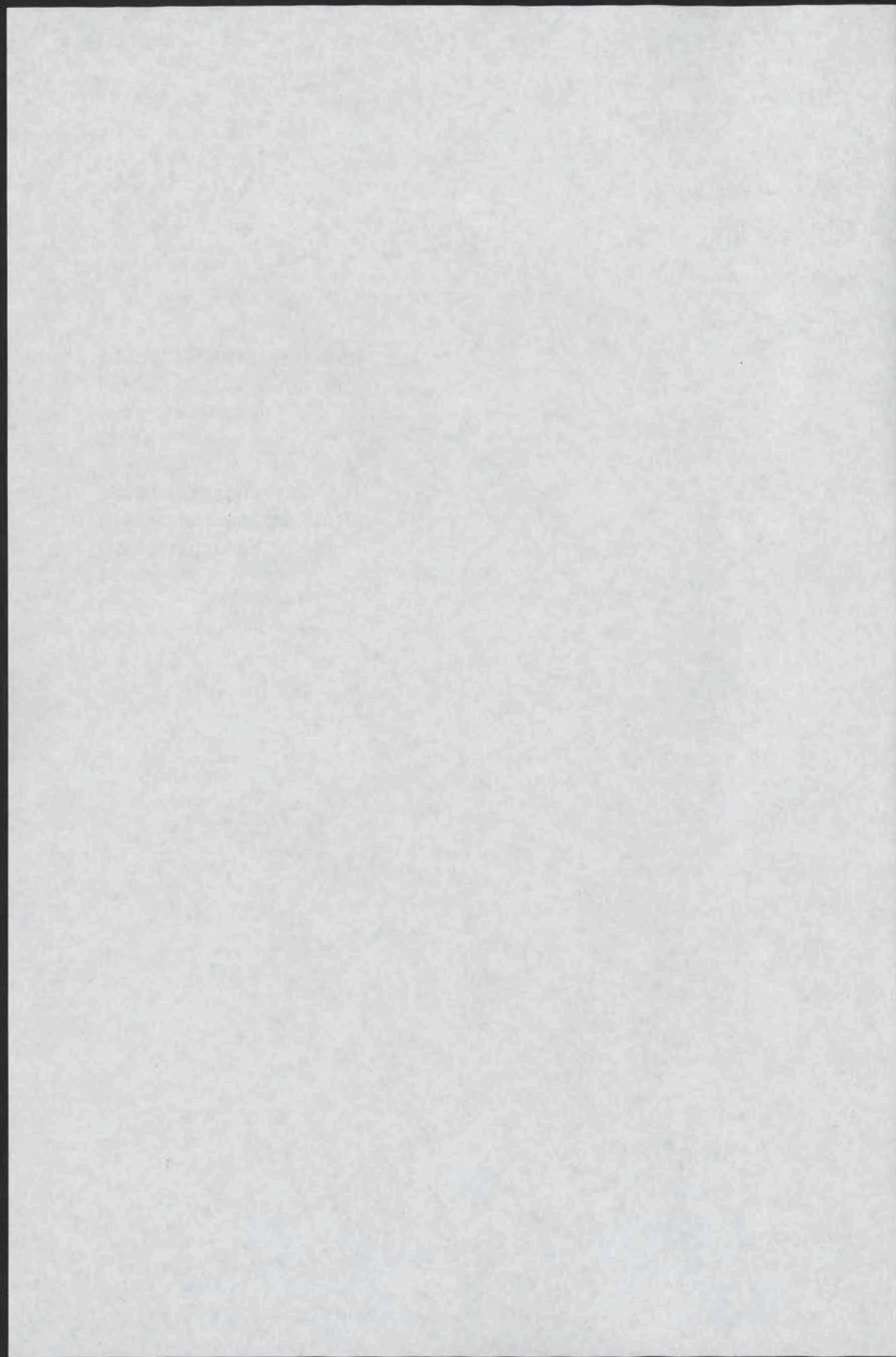
str. 89

Typo&Konstrukcja

Plakat jako sztuka racjonalizmu

Nikodem Pręgowski

str. 94



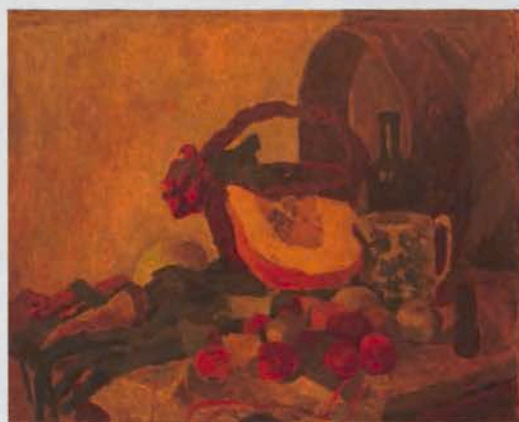
Sztuka ładu i odpowiedzialności



Martwa natura ze ścierką, ok. 1955, olej, płótno



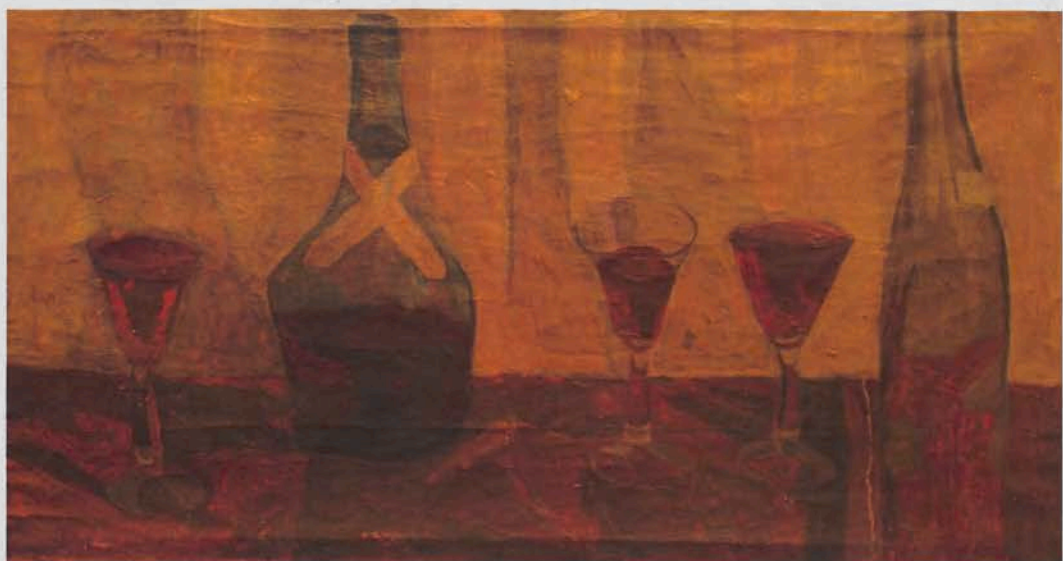
Martwa natura z talerzem, ok. 1955, olej, płótno



Martwa natura z dynią, ok. 1955, olej, płótno



Kaktusy I, 1955, olej, sklejka



Martwa natura z kieliszkami, 1955, olej, płótno



IV/58, 1958, techn. mieszana, płótno



I-90/1990, 1990, akryl, płyta pilśniowa



VII/97, 1997, akryl, płyta pilśniowa



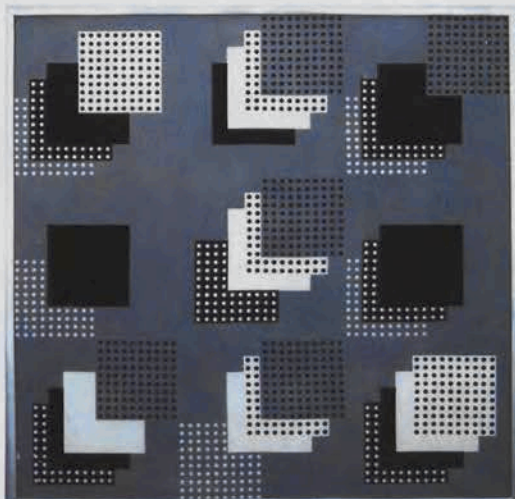
XXVI-1989/91/2, 1989, akryl, płyta pilśniowa



II-90, 1990, akryl, płyta pilśniowa



Tryptyk intermedialny, wariant cz. I-95, I. 90-te, akryl, płyta pilśniowa



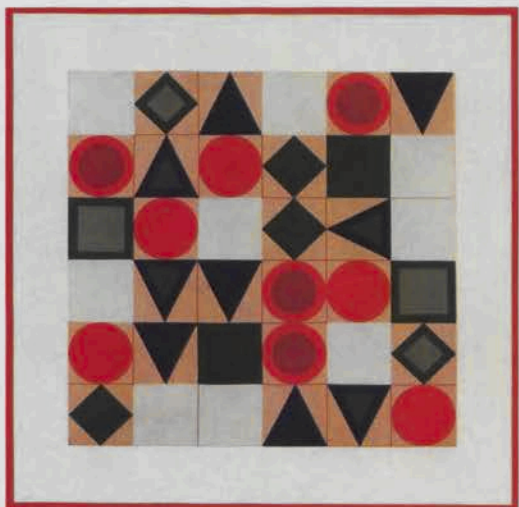
Rastry, 1989, akryl, płyta pilśniowa



C-V-91, 1991, collage, papier czerpany



C-X-1991 A, 1991, collage, papier czerpany



VIII – 1989, 1989, akryl, płyta pilśniowa



II-80, 1980, akryl, płyta pilśniowa



XXIII-1989, 1989, akryl, płyta pilśniowa



XX-1989 B, akryl, płyta pilśniowa



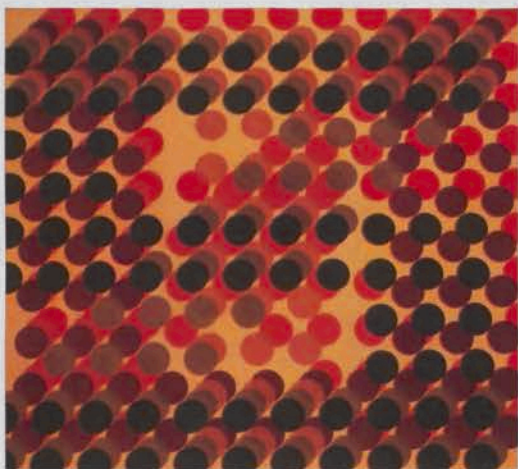
III-1989 [„pruski mur”], 1989, akryl, metal,
płyta pilśniowa



I-1989 [„pruski mur”], 1989, akryl, metal,
płyta pilśniowa



X-86, 1986, akryl, płyta pilśniowa



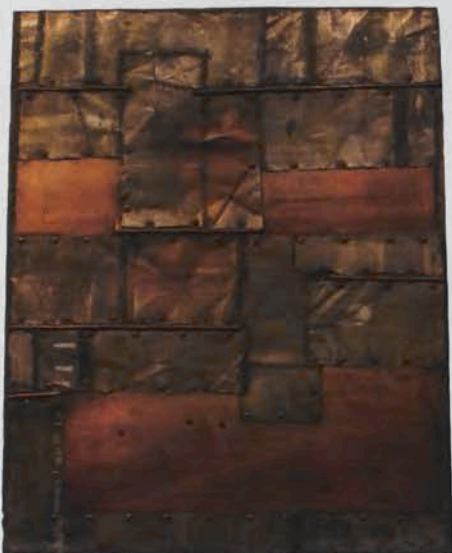
Raster I, 1979, akryl, płyta pilśniowa



M.XVII.66, 1966, technika własna, metal, drewno



M VII 66, 1966, technika własna, metal



M XII 64, 1964, technika własna, metal



M 4, 1963, technika własna, metal



Pejzaż z niebem, 1956, olej, płótno

Fot. Barbara Gortat i Marek Strąkowski

Sztuka ładu i odpowiedzialności

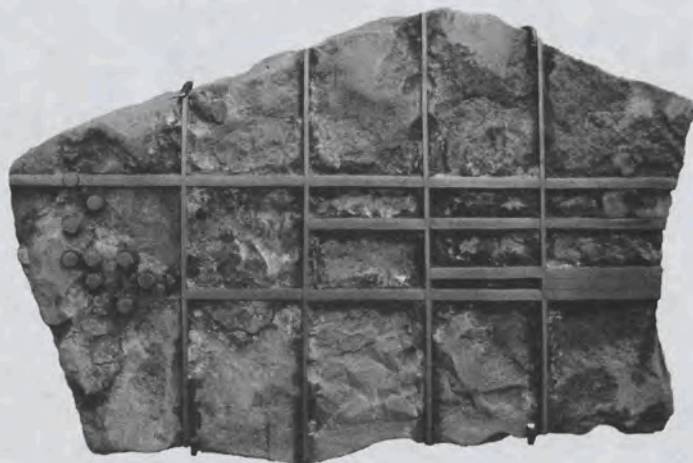
Krystyn Zieliński (1929-2007)

kultura

Ten artysta związany od młodości z Łodzią i przecież od kilkudziesięciu lat rozpoznawalny jako twórca zawsze ambitny i nietuzinkowy, dopiero po śmierci doczekał się należnej mu od dawna fundamentalnej wystawy, ukazującej niezwykle pod każdym względem dorobek. Krystyn Zieliński, choć niewątpliwie zaliczany był zawsze do kontynuatorów tej tradycji sztuki nowoczesnej, którą da się przełożyć na geometryzm i konstrukcję, to przecież przez ponad 50 lat twórczej aktywności otworzył w obrębie nurtu tej sztuki niemalą przestrzeń dla bardzo osobistych i nowatorskich doświadczeń. I dopiero retrospektywna wystawa dzieł artysty pieczęlowicie zgromadzonych przez Muzeum Miasta Łodzi pozwoliła zrozumieć i docenić oryginalną pomysłowość i rangę artystyczną całościowego dzieła tego zmarłego w 2007 roku twórcy.

Wkrótce po ukończeniu studiów w łódzkiej uczelni plastycznej zadebiutował Krystyn Zieliński jako malarz i grafik. Było to w 1955 roku podczas X Wystawy Okręgu Łódzkiego Związku Polskich Artystów Plastyków. W kolejnych latach potwierdzał już systematycznie swoją obecność na dorocznych prezentacjach łódzkiego środowiska artystycznego. Zaczynał jako malarz interesujących krajobrazów utrzymanych w konwencji postkubistycznej. Charakteryzowały się one bardzo mocnymi rygorami konstrukcyjnymi, zapowiadającymi niejako późniejszy główny tor zainteresowań artysty przeprowadzającego wszechstronne analityczne doświadczenia. Interesowało Zielińskiego bowiem zawsze tworzenie takich układów kompozycyjnych, aby w najbardziej lapidarnej formie zmieścić możliwie bogatą harmonię wizualnej urody. Właśnie urody, bowiem prace Zielińskiego, z jakiegokolwiek okresu jego twórczości by nie pochodziły – nawet te, które na pierwszy rzut oka są samą wypreparowaną matematyczną oschłością – po bliższym wejrzeniu zawsze zyskują pewien swoisty walor dekoracyjny.

Od 1959 roku do 1968 stworzył Krystyn Zieliński ponad sto kompozycji metalowych, próbując w nich połączyć „niemalarską” brutalność materiału z lekkością kompozycyjnej finezji. Te płaskorzeźby, a właściwie pełne ekspresji obrazy wykonane z metalu, wzbudziły zainteresowanie krytyki artystycznej, wyrażającej przekonanie, że w osobie Zielińskiego ujawnił się wybitny przedstawiciel tak zwanego ma-



larstwa materii. Gdyby te prace mogły pojawić się na Zachodzie, Zieliński z pewnością zrobiłby artystyczną karierę. Niestety pochwały jakie zyskał artysta w Polsce w wąskim gronie znawców, nie przełożyły się na bardziej wymierny sukces i zainteresowanie kolekcji muzealnych.

W 1968 roku artysta zarzucił ten ciekawy eksperyment w swojej twórczości, zwracając się ku zupełnie nowym doświadczeniom. Poszukiwał już wtedy zupełnie innego języka sztuki i wspólnie z innym łódzkim artystą Andrzejem Łobodzińskim stworzył wtedy kilka absolutnie na owe czasy pionierskich, eksperymentalnych prezentacji. Ich twórczym był zaprojektowana przez obydwu autorów przestrzeń wnętrza oraz dźwięk, na który składała się muzyka konkretna i elektroniczna. Takich prezentacji zwanych Audycjami duet Łobodziński-Zieliński pokazał kilka. Ostatnia miała miejsce w 1972 roku w Muzeum Sztuki w Łodzi, podczas odbywającego się tu międzynarodowego zjazdu dyrektorów i kustoszy muzeów sztuki nowoczesnej. Audytorium złożone ze znawców było poruszone odkrywczością tego plastyczno-dźwiękowego eksperymentu, ale nie zrobiło nic, aby mógł on być kontynuowany. Zieliński po latach wspominał, że marzyło się im – twórcom tego multimedialnego pomysłu – przeniesienie Audycji do znacznie większego wnętrza, na przykład do sali teatralnej lub hali widowiskowej. W takiej zwielokrotnionej przestrzeni efekt wizualno-akustyczny byłby niewątpliwie o wiele większy. Zabrakło jednak prawdziwego wsparcia takiej idei w warunkach polskich, a na zrealizowanie tego pomysłu za granicą nie znalazł się żaden odpowiedzialny promotor.

Nie mogąc więc kontynuować tego eksperymentu, w latach 70. XX wieku zwrócił się Krystyn Zieliński ku sztuce kameralnej, odwołującej się bardziej do intelektu niż emocji. Jednak w okresie kiedy większość artystów progresywnych zaczęła tak zwaną sztukę konceptualną uprawiać ze śmiertelną powagą, Zieliński znalazł w niej pole dla manifestacji raczej lekko drwiących. Jego karty do gry i kostki-

klocki opatrzone tylko pojedynczymi literami składającymi się na słowo „sztuka” miały zarówno prowokować, jak i bawić. Poszukując potem kombinacji dla tego słowa w różnych językach (Art, Ars, Kunst itd.), proponował artysta na przykład bardziej skomplikowaną intelektualną przygodę w poszukiwaniu zakodowanego zapisu słowa „art” w cyklu rysunków nazwanym Relartacje (relARTacje). I choć nigdy nie powiedział wprost, że sztuka konceptualna jest od jakiegoś miejsca polem jałowym, to trudno się oprzeć wrażeniu, że własną krótkotrwałą obecność w tym nurcie zaznaczył wyraźnie ironicznym i dowcipnym dystansem.

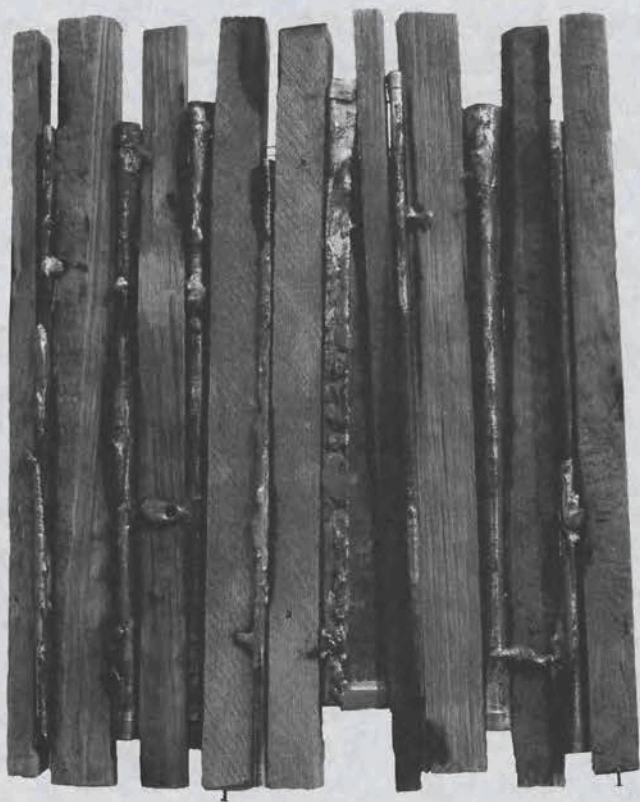
Późniejsza twórczość Zielińskiego była zawsze już podporządkowana wyraźnym rygorom estetycznym. Zarówno w pracach z lat 80., 90., jaki i w ostatnich kameralnych dziełach, urzeka trafny umiar i geometryczna dyscyplina w połączeniu z wielką dbałością o stronę wizualną abstrakcyjnych obrazów. Trzeba tu pamiętać, że Krystyn Zieliński od 1954 roku był pedagogiem. Kiedy powrócił do malarstwa sztalugowego, nigdy nie stracił z pola widzenia faktu, że jako profesor uczelni plastycznej i wykładowca akademicki jest obserwowany przez swoich studentów, bardzo czujnych na ogół na jakiegokolwiek potknięcia czy przejawy mniejszej aktywności twórczej swoich pedagogów. Dlatego warto podkreślić, że prace Zielińskiego – z którego by nie pochodziły okresu – cechują się zawsze nieskazitelnym układem kompozycyjnym. Tak jakby artysta za każdym razem manifestował od nowa ideę jak wyprowadzać na światło dzienne różne wzorcowe warianty konstruowania obrazów.

Myślę dzisiaj, że tej społecznej postawie artysty jako odpowiedzialnego pedagoga podporządkował Zieliński całą swoją dojrzałą twórczość. Bardzo starannie budowaną wizualność i wyjątkową dbałość o wymiar estetyczny tych abstrakcyjnych kompozycji można potraktować przecież jako zaproszenie dla każdego odbiorcy – zarówno doświadczonego estety jak i nienawykłego do kontaktów ze sztuką abstrakcyjną nowicjusza. Jest w tych obrazach niewątpliwy przejaw szacunku społecznego okazywanego przez artystę otoczeniu, a przemawiające niewątpliwą urodą geometryczne kompozycje zawierają w sobie optymistyczną energię, której potrzebę przekazywania odbiorcom tak często lubią negować artyści. Zielińskiemu widać tej pozytywnej energii nie brakowało. Ostatnie już prace artysty – kamienne kompozycje in-



krustowane metalem – dedykowane niewidomym dzieciom, którym ten twórczy pomysł miał umożliwić dotykowy kontakt ze sztuką, noszą w sobie znak uważnej i przyjacielskiej obecności. Ale, co ważne, wyzbyte są całkowicie taniej czułości, w którą tak często popadają artyści pochylający się nad słabszymi.

Wystawa w Muzeum Miasta Łodzi unaoczniała jak bardzo pracowitym i ważnym dla współczesnej polskiej sztuki twórcą był Krystyn Zieliński. Imponujący dorobek artystyczny może budzić i taką konstatację, że gdyby twórca tej klasy mieszkał na Zachodzie, miałby zagwarantowaną popularność i zapewne duży sukces finansowy. Polska realność była inna i taką zapewne nadal pozostaje. W ubiegłym roku Muzeum Sztuki pokazało wystawę rosyjskiego malarza Eduarda Steinberga, od początku lat 90. mieszkającego w Paryżu. Wrażliwe estetycznie, ale całkowicie epigońskie geometryczne malarstwo Steinberga, cieszy się na Zachodzie dużym powodzeniem, a jego twórca odniósł też imponujący sukces kasowy. Na tle obrazów Steinberga sztuka Zielińskiego wydaje się osiągnięciem całkowicie autonomicznym, zapewne też poważniejszym i dojralszym. Ale rynek sztuki zależy od niespodziewanych przypadków i nie jest sprawiedliwy.





Krystyn Zieliński miał świadomość wartości swoich dokonań, ale myśląc zawsze społecznikowsko uważał, że uprawianie sztuki nie daje prawa do szczególnych przywilejów.

Przywilejem bowiem jest już samo posiadanie talentu, z którego – jak podkreślał – trzeba korzystać w sposób uczciwy wobec siebie i odpowiedzialny wobec odbiorcy.

Gustaw Romanowski

Fot. Barbara Gortat

Krystyn Zieliński (1929-2007) *Sztuka bez granic*. Muzeum Miasta Łodzi. Kuratorka wystawy Maria Filipowska. Styczeń-luty 2010.

Krystyn Zieliński urodził się w 1929 roku na Kujawach w średniozamożnej rodzinie ziemiańskiej. W latach 1950-54 studiował w PWSSP (dziś Akademia Sztuk Pięknych im. W. Strzemińskiego) w Łodzi. Od 1954 roku był nauczycielem akademickim tej uczelni. W 1981 roku w okresie ożywienia społecznego spowodowanego powstaniem „Solidarności”, został pierwszym w historii swojej uczelni demokratycznie wybranym rektorem. Od 1990 roku pełnił funkcję przewodniczącego Sekcji Szkół Artystycznych Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego. Za życia wystawiał rzadko, przeważnie na zbiorowych prezentacjach plastyki. Zmarł 30 kwietnia 2007 roku w Łodzi.

Wystawa w Muzeum Miasta Łodzi była jak dotąd jedyną całościową wystawą twórczości artysty.

Typo&Konstrukcja

Plakat jako sztuka racjonalizmu

„Typo&Konstrukcja 4” prezentowana w Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi to jedna z niewielu cyklicznych wystaw plakatu w Polsce o precyzyjnie, od 1996 roku, określonym polu zainteresowań. Jest nim plakat typograficzny o proveniencjach konstruktywistycznych. Łódź, w której przedwojenne tradycje sztuki geometrycznej w dużym stopniu wpłynęły na kształtowanie tożsamości większości działających w tym mieście projektantów, jest dobrym miejscem do takich prezentacji.

Sztuka konstruktywistyczna była w okresie międzywojennym domeną elit artystycznych o otwartych umysłach i kosmopolitycznych, nierzadko lewicowych przekonaniach. Łódź ze swym industrialnym krajobrazem, wielokulturową i wielonarodową tkanką społeczną stała się „ziemią obiecaną” dla grona artystów i animatorów sztuki zainteresowanych nową, egalitarną plastyką wynikającą z geometrii. Mieli oni kontakty zarówno z konstruktywistami pochodzącymi z Rosji, jak i artystami z Europy Zachodniej. Z kręgu niemieckiego Bauhausu i holenderskiej grupy „de Stijl”. Modernistyczny, ponadnarodowy (dziś powiedzielibyśmy „globalny” zważywszy na silne oddziaływanie myśli konstruktywistycznej na oblicze współczesnej sztuki w ogóle) język wypowiedzi plastycznej, zogniskował się w zasadzie w jednym tylko mieście w Polsce. Jak pisze Szymon Bojko *nowa sztuka godziła w stare wyobrażenia i interesy (...), idee nowej plastyki nie znalazły, poza Łodzią, dostatecznego uznania ani w poligrafii polskiej, ani też w szkolnictwie okresu międzywojennego (...) duch młodopolskiego zdobnictwa okazał się bowiem silniejszy od neoplastycyzmu, suprematyzmu i filozofii racjonalistycznej*¹. Twórczość przedwojennych awangardystów, działających w Łodzi, z Władysławem Strzemińskim na czele, była niewątpliwie zaczątkiem pewnej niezwykle logicznej i spójnej koncepcji ideowo-formalnej, przeszczepionej na grunt sztuki polskiej, za sprawą wyżej wspomnianego, międzynarodowego transferu idei. U podstaw tej koncepcji leżała tęsknota do napisania nowego języka obiektywnych i ponadczasowych form, z których budowane są plakaty, ale także układy typograficzne czasopism, tomów poezji, systemowych afiszów informacyjnych itp. Formy te wywodziły się w prostej linii z elementarnych figur geometrycznych, powiększonych niekiedy znaków ze składu drukarskiego, a przede wszystkim liter, których graficzny kształt bywa dla projektanta często decydujący. Tym samym Łódź stała się osobliwym ośrodkiem, który skupiał artystów o jasno i precyzyjnie określonych poglądach. Wywarły one na tyle silne wrażenie na powojennych kontynuatorach myśli konstruktywistycz-

RYSZARD

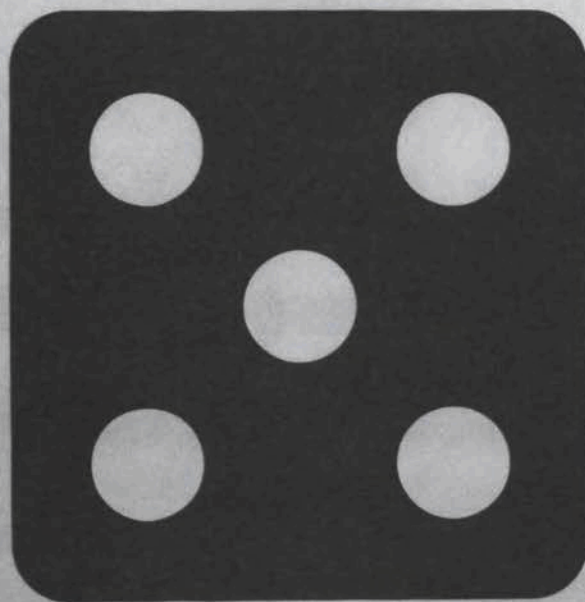
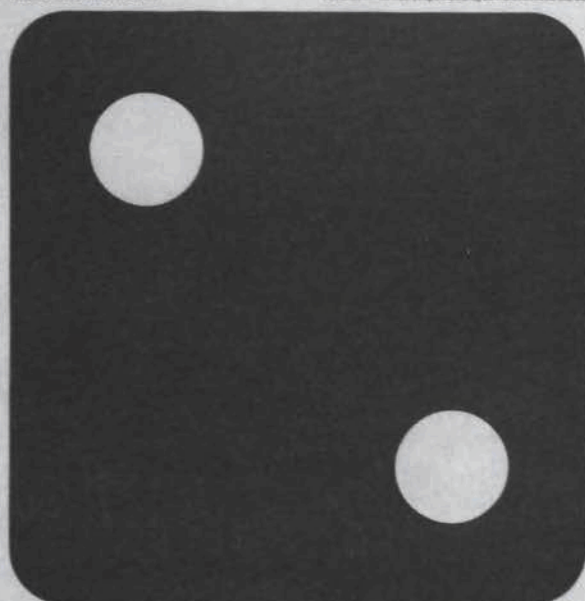
WINIARSKI

Proby wizualnej prezentacji rozkładów statystycznych



Październik 1974

LAM, Salwa Sztuki Wpółkolejnej ul. Piotrkowska 88 98



kultura

nej, że Łódź także dzisiaj jest jedynym miastem w Polsce, w którym oblicze plakatu jest tak dalece jednorodne i spójne formalnie.

Niebagatelną rolę w kształtowaniu tego specyficznego, homogenicznego wyrazu łódzkiej szkoły plakatu, odegrała rozprawa Władysława Strzemińskiego *Druk funkcjonalny* (1934), w której adaptował wyznaczniki nowej, modernistycznej plastyki na grunt poligrafii, tworząc kanon zasad projektowania graficznego opartego na absolutnym prymacie funkcjonalności nad estetycznym kształtem dzieła. Poglądy te próbował Strzemiński wcielić w życie jako pedagog – najpierw w Publicznej Szkole Doksztalczącej Zawodowej nr 10, dla której sformułował nowatorski *Program nauki nowoczesnej typografii dla drukarzy i artystów łódzkich*², później (od 1945 roku) jako wykładowca Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych (dzisiejszej Akademii jego imienia), której był współzałożycielem. Równie istotną rolę w umacnianiu tendencji geometrycznych wśród łódzkich artystów odegrała Galeria Miejska, która w 1931 roku została oddana pod kuratelę Instytutu Propagandy Sztuki w Warszawie. W tymże 1931 roku, Strzemiński przekazał innej łódzkiej instytucji kulturalnej – Muzeum Sztuki w Łodzi – Międzynarodową Kolekcję Sztuki Nowoczesnej, którą zainicjował wspólnie z żoną Katarzyną Kobro i Henrykiem Stażewskim w 1929 roku. Kolekcja zawierała 111 dzieł wybitnych przedstawicieli polskiej i międzynarodowej awangardy lat 20. i 30., reprezentujących kierunki od kubizmu, futuryzmu, konstruktywizmu, puryzmu i neoplastycyzmu po surrealizm. Zdarzenie to zdeterminowało profil łódzkiego Muzeum, które w połowie lat 60. zaangażuje do projektowania plakatów do swoich wystaw dwóch





kultura

młodych artystów – Bogusława Balickiego i Stanisława Łabęckiego³. Projekty ich autorstwa tworzone dla Muzeum Sztuki były rezultatem toku myślenia racjonalisty, któremu przyświeca zasada „mini-max”, czyli maksymalnej funkcjonalności⁴. Tym samym Muzeum Sztuki oraz Miejska Galeria Sztuki staną się w połowie lat 60. najważniejszymi w Łodzi mecenasami plakatu o rodowodzie konstruktywistycznym.

Czwarta odsłona „Typo&Konstrukcji” prezentuje plakaty autorstwa czworga wybitnych projektantów posługujących się językiem typografii, wśród nich właśnie przywołanego wyżej duetu Balicki-Łabęcki (autorem mniej więcej połowy pla-



FILMPODIUM
JULI-AUG.02

katów prezentowanych na wystawie jest sam Bogusław Balicki, gdyż współpraca ze Stanisławem Łabęckim skończyła się w 1975 roku).

Wszystkie projekty Bogusława Balickiego w tym także projekty, których współautorem był Łabęcki, prócz faktu, że są wynikiem twórczego rozwinięcia przedwojennej łódzkiej awangardy można odbierać także jako rezultat kontestacji form wypracowanych przez nestorów „polskiej szkoły plakatu”. Łódzki plakat stał w silnej opozycji wobec malarskich, jowialnych i figlarnych tendencji, dominujących wówczas w polskim plakacie z typografią kreśloną lub malowaną ręcznie, pełną namiętnego

koloru, wybujałych form, zdradzającą manualny gest i ślad narzędzia. Opór wobec tych tendencji wymagał odwagi, ponieważ polska szkoła jako *novum* w plakacie światowym, stała się elementem kulturowym podziwianym przez kolekcjonerów, projektantów i teoretyków plakatu. Balicki i Łabęcki, obojętni wobec tego olśniewającego sukcesu „dystansującej modernizm”⁵ szkoły rodzimego plakatu, konsekwentnie opowiadali się po stronie chłodnej, wykalkulowanej i racjonalnej analizy dzieła projektowego, negując tym samym rodzaj projektowania intuicyjnego i emocjonalnego.

Niezwykle istotnym atrybutem łódzkiego plakatu było i jest nadal futurystyczne upodobanie względem współczesnej technologii. Fascynacja nowoczesnością zawsze była domeną ruchów awangardowych, z których najgłośniej zamilowania te głosili futuryści. Postęp technologiczny miał również ogromne znaczenie dla konstruktywistów, ze szczególnym akcentem na koncepcję nowoczesnej fabryki z jej zautomatyzowanym procesem wytwarzania produktu masowego, zjeżdżającego z taśmy produkcyjnej w ogromnych ilościach. To wówczas pojawiła się idea tworzenia przedmiotów codziennego użytku w oparciu o prefabrykaty. Wszystkie te upodobania korelowały zresztą z lewicowym światopoglądem konstruktywistów. Ideały te rychło zostały skompromitowane, okazało się bowiem, że nowa formuła sztuki jest na tyle hermetyczna, że wbrew intencjom konstruktywistów nie spotkała się ze zrozumieniem szerokiego odbiorcy. Zamiast egalitarną, okazała się w swej istocie elitarną – jej oddziaływanie nie było zatem tak szerokie, jak życzyliby sobie czolowi przedstawiciele tego nurtu.

Jednak wspomniana wyżej tęsknota za nowoczesnością w łódzkim plakacie pozostała. Zdobycze epoki industrialnej ustępują wszakże pola wytworom ponowoczesności, przede wszystkim przekaznikom informacji masowej – początkowo była to telewizja, obecnie komputer i internet. Już w latach 60. tandem Balicki-Łabęcki z natchnieniem dzieli płaszczyznę swych projektów na gęstą siatkę punktów. Nową jednostką miary staje się więc jeden piksel. Pojawiają się w ich plakatach ultranowoczesne, jak na owe czasy, kroje pisma budowane z modułów, które pozwalały wpleść poszczególne litery w siatkę pikseli. Litery te stwarzały wrażenie wytworów automatów, które w oparciu o zadany algorytm beznamiętnie generują gotowe zestawy znaków, składające się na alfabet. Balicki w swoich plakatach projektowanych indywidualnie, niejednokrotnie powoływał się na poetykę ekranu telewizora i komputera, który wymknąwszy się spod kontroli użytkownika „wysypuje” miliony migotliwych punktów, wprawiając oko widza w konwulsje. Warto uświadomić sobie w tym miejscu fakt, że w czasach, gdy plakaty wykonywano ręcznie, napinając zwilżony brystol na deskę, wykonanie tego typu projektów było procesem wymagającym niebywałej konsekwencji, precyzji i determinacji.

„Typo&Konstrukcja” prócz tego, że eksponuje rodzimy plakat typograficzny, ma jeszcze jeden istotny walor. Twórcom tej ekspozycji, od jej drugiej edycji, przyświeca idea konfrontacji artystów posługujących się językiem typografii,

Szerszy, międzynarodowy kontekst „Typo&Konstrukcji” pozwala sformułować najważniejsze bodaj wnioski wynikające z dywagacji o geometrii i typografii w plakacie. Po pierwsze trudno rozpatrywać kształt współczesnego plakatu bez kontekstu konstruktywizmu, którego twórcy byli pionierami zerwania z ideą mimesis w plakacie, odrzucenia przedmiotowości i figuracji na rzecz puentowania rzeczywistości obiektywnymi znakami abstrakcyjnymi. To wówczas narodziła się idea zaszyfrowania przesłania plakatu w skrótowy, formalno-pojęciowy rebus.

Po drugie kontemplacja plakatów typograficznych projektowanych przez twórców z różnych zakątków świata uświadamia jak bardzo uniwersalnym medium jest materia typograficzna, z której tkane są plakaty. Utopijna idea sztuki ponadnarodowej, wyzwalającej się z lokalnych naleciałości, ucieleśniła się właśnie w plakacie typograficznym, w którym pobrzmiewają kanony ukute już przez konstruktywistów. Dziś twórczo rozwijane, doskonalone, wspierane fenomenalnymi możliwościami, jakie daje projektowanie komputerowe.

Plakat typograficzny jest ponadto medium dającym projektantowi wbrew pozorom szerokie spektrum możliwości eksponowania własnego temperamentu twórczego. Mamy na tegorocznej odsłonie „Typo&Konstrukcji” racjonalne, analityczne kompozycje Balickiego i Łabęckiego, ale też subtelne plakaty Niijimy i bezkompromisowe, postmodernistyczne projekty Schraivogela. Każdy z przywołanych tu projektantów posługuje się inną receptą na spełnienie plakatu, legitymuje się własnym, autorskim laboratorium form i pomysłów typograficznych. Plakaty Niijimy są skomponowane z niebywałą kulturą edytorską i zrealizowane na najwyższym poziomie poligraficznym, z czego słynie plakat japoński, zaś język formalny, jakim posługuje się Niijima jest pełen subtelności, taktu i powagi, poza małymi wyjątkami, gdzie litery użyte do skomponowania plakatu *Sculpture* (1991) flirtują ze słynnymi wycinankowymi znakami Tomaszewskiego z plakatu *Moore* (1959). W wielu ze swoich projektów Nijima stosuje wysmakowane przejścia tonalne wypełniające poszczególne litery, tak jakby kolejne znaki były pryzmatami rozbijającymi wiązkę białego światła, objawiając pełne jego widmo (*Emerging Japanese Architects of the 1990's*, 1990). Pojawiają się też u niego pomysły polegające na wzajemnym przenikaniu się transparentnych liter. W miejscu gdzie pokrywają się dwa znaki, powstaje nowa wartość kolorystyczna wynikająca z nadruku transparentnej farby drukarskiej, spod której przynika kolor litery pozostającej na drugim planie (*Interaction of Colors and Fonts by Niijima*, 2003). W tym wypadku zabiegi te miały uwidocznić różnice rysunku i konstrukcji poszczególnych krojów pisma (Helvetica, Univers i Futura), bowiem Niijima oprócz tego, że jest grafikiem, jest także wnikliwym badaczem typografii. Badania te niejednokrotnie wiodą do dogłębnej analizy budowy znaku typograficznego i jego rozbioru na czynniki pierwsze, które później posłużą do zaaranżowania płaszczyzny plakatu (*With our special appreciation to Walter Art Center*

and Center&Cone Type Inc., 1996). Niewątpliwie wspólnym elementem wielu spośród plakatów Niiijmy jest atmosfera nostalgicznego, typograficznego liryzmu.

Zupełnie inne są plakaty Ralpha Schraivogela. Duża część jego projektów jest wynikiem zaprzeczenia logice i funkcjonalności, na rzecz postmodernistycznego eksperymentu, którego głównym wyznacznikiem jest świadome łamanie wszelkich zasad, z zasadą czytelności tekstu na czele. Litery często pływają w magmie wektorowych elementów, anektujących całą przestrzeń plakatu (*Cinemafrica 1993, Cinemafrica 2003, Schaffhauser Jazzfestival*, 1998). W opozycji do tych plakatów stoją projekty okupujące diametralnie odmienny biegun poszukiwań twórczych, w których litery są pretekstem do budowania prostej narracji, krótkiej anegdoty. Kapitalny plakat *Out of print* (2003) skonstruowany jest na przykład z przestrzennych liter, które giną w miarę jak ubywa budulca, z którego zostały utworzone – czyli kartek papieru ułożonych w ryzę.

Obcowanie z materia typografii wymaga od projektanta specyficznej wyobraźni architekta-konstruktora, od widza zaś pewnej dozy respektu i skupienia. Plakat typograficzny nie jest plakatem łatwym w odbiorze, niewątpliwie jednak jest zjawiskiem niesłychanie frapującym, stale rozwijanym i doskonalonym, pozostawiającym zarówno twórcy jak i odbiorcy możliwość eksplorowania niewyczerpanych pokładów pomysłów i rozwiązań. Bez wahania można uznać, że konsekwentnie stanowi awangardę poczynań projektantów na całym świecie, wyznacza tendencje i mody, jest laboratorium form decydujących o estetycznym kształcie otaczającej nas rzeczywistości. I legitymuje się – zwłaszcza w Łodzi – niezwykle bogatymi tradycjami.

dr Nikodem Pręgowski

– artysta plastyk; asystent w Zakładzie

Projektowania Graficznego UMŁ w Toruniu

Bibliografia:

1. Sz. Bojko, *Druk funkcjonalny* [w:] Projekt 2/1976, s. 54.
2. J. Zagrodzki, *Nowy styl typografii*, [w:] *Typo&konstrukcja. Plakat, katalog wystawy*, Łódź 1996, s. 8.
3. Z. Schubert, Z., *Typografia i geometria w polskim plakacie powojennym* [w:] *Typo & konstrukcja. Plakat*, katalog wystawy, Łódź 1996, s. 15.
4. S. Morawski, *Niewdzięczne rysowanie mapy... O postmodernie(izmie) i kryzysie kultury*, Toruń 1999, s. 94.
5. D. Crowley, *Sztuka niezależności i intelektu: odbiór Polskiej Szkoły Plakatu w Europie Zachodniej* [w:] *100 lat polskiej sztuki plakatu*, red. K. Dydo, Kraków 1993, s. 26.

Fot. Marek Strąkowski

Typo&Konstrukcja



Bogusław Balicki & Stanisław Łabęcki



Ralph Schraivogel



Bogusław Balicki



Balicki&Łabęcki



Ralph Schraivogel



Bogusław Balicki



Bogusław Balicki



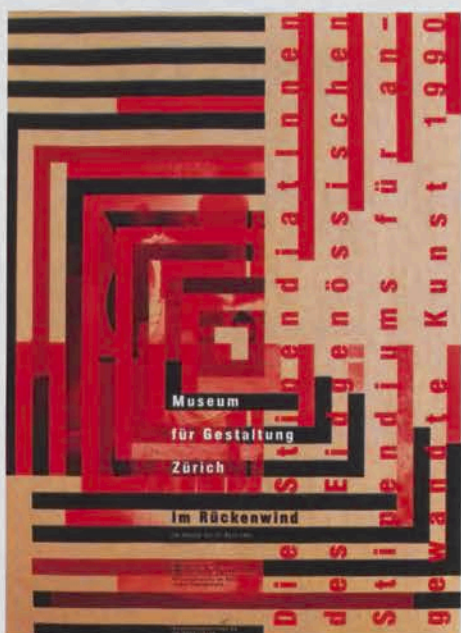
Bogusław Balicki



Ralph Schraivogel

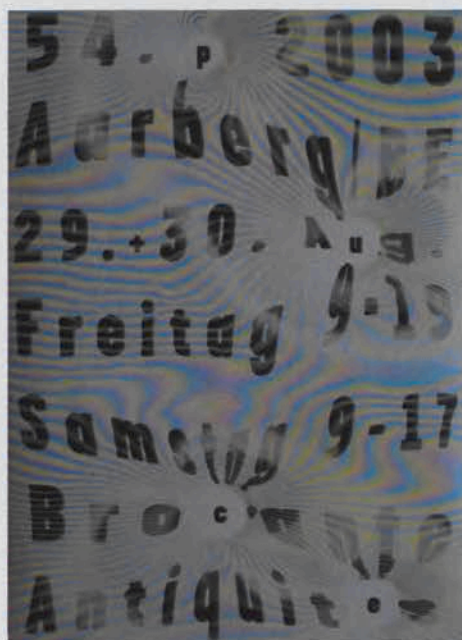


Ralph Schraivogel



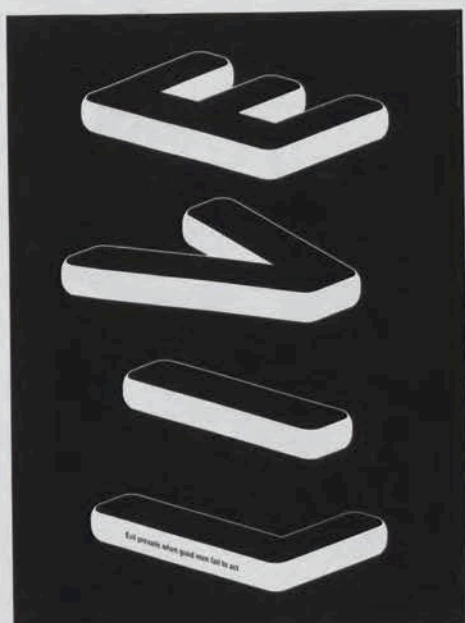
Ralph Schraivogel

Ralph Schraivogel





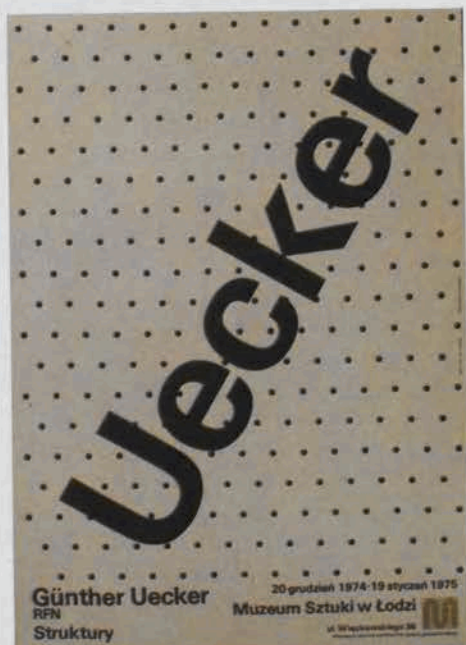
Bogusław Balicki



Ralph Schraivogel



Ralph Schraivogel



Balicki&Łabęcki



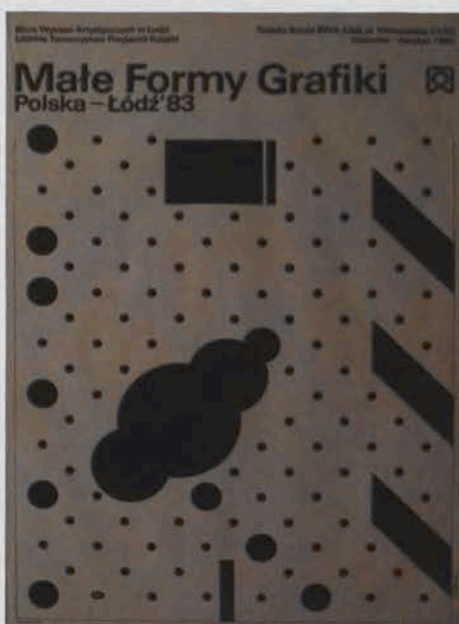
Balicki&Łabecki



Bogusław Balicki

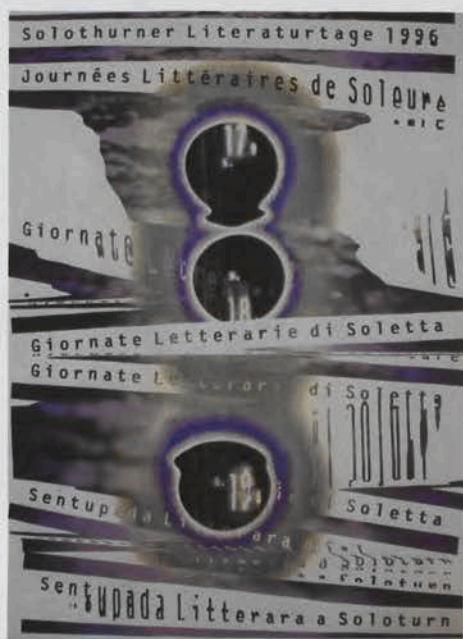


Ralph Schraivogel

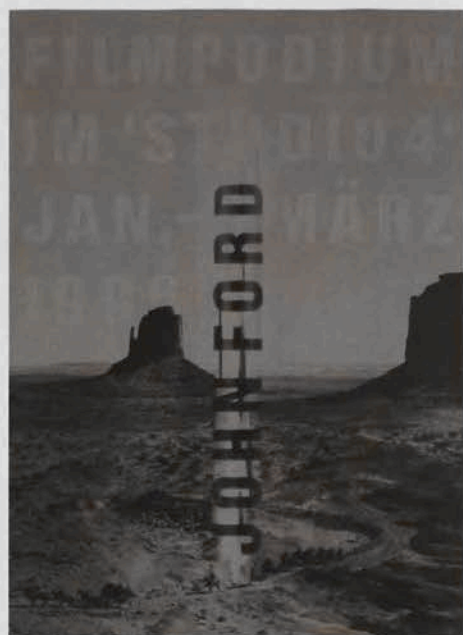
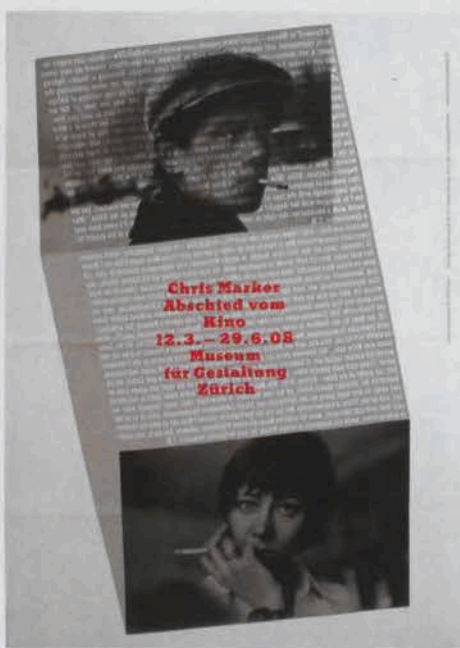


Bogusław Balicki

Ralph Schraivogel



Ralph Schraivogel



Fot. Marek Strąkowski

historia

Najstarsza fabryka włókiennicza Łodzi

Zakłady Geyerów

Piotr Jaworski

str. 105

Niesłusznie zapomniani

Silbersteinowie – przemysłowcy, filantropi, artyści

Krzysztof Paweł Woźniak

str. 125

Nowy salon Łodzi

Przeszłość szansą teraźniejszości

Kamil Śmiechowski

str. 137

Ostatni lodzermensche

Z dziejów przemysłowego imperium Grohmanów

Przemysław Waingertner

str. 147

Pozostawili zabytki

Fabryki Kindermannów

Marcin Kieruzel

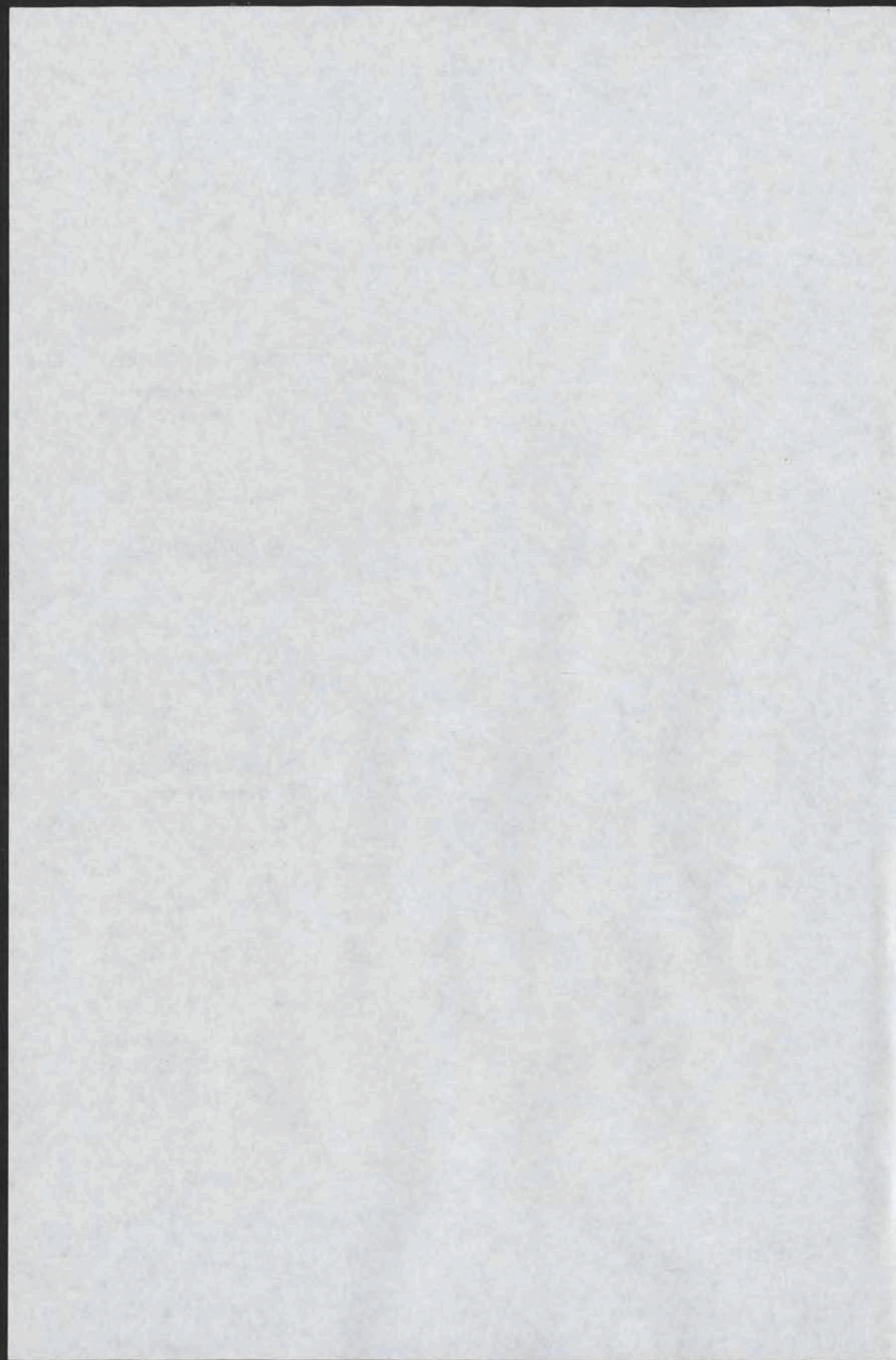
str. 162

Fabryka nad Łódką

Biedermannowie

Mateusz Sidor

str. 171



Najstarsza fabryka włókiennicza Łodzi

Zakłady Geyerów

historia

Historia Łodzi w XIX i XX wieku jest nierozzerwalnie związana z rozwojem przemysłu włókienniczego. Dzięki protekcyjnej polityce rządu Królestwa Polskiego oraz licznemu napływowi imigrantów z sąsiednich krajów, w ciągu zaledwie kilkudziesięciu lat rolnicze miasteczko wyrosło na przemysłową metropolię o znaczeniu europejskim. Po krótkim okresie dominacji produkcji rękodzielniczej i manufakturowej powstały tu zmechanizowane fabryki, z których nieliczne z czasem przekształciły się w wielkie kombinaty włókiennicze, zatrudniające po kilka tysięcy robotników, o obrotach sięgających kilku, a nawet kilkunastu milionów rubli rocznie. To one zatrudniały najwięcej pracowników, produkowały najwięcej tkanin, pierwsze wprowadzały nowe maszyny i technologie, przodowały w eksporcie na rynek rosyjski, jako pierwsze obejmowały swoich pracowników opieką socjalną, budując dla nich domy mieszkalne, otwierając szkoły fabryczne, współfinansując kasy chorych, a także wspierając fabryczne organizacje sportowe i kulturalne.

Te wielkie zakłady, przejęte w 1945 roku przez zarząd państwowy, kontynuowały swoją działalność przez cały okres PRL aż do początku lat 90. XX wieku, kiedy to, wskutek transformacji gospodarczej, wszystkie uległy likwidacji.

Posiadło Ludwika Geyera

Najstarsze i najdłużej działające w Łodzi zakłady włókiennicze należały do rodziny Geyerów. Ich początki sięgają roku 1828, kiedy to przybył z Saksonii młody Ludwik Ferdynand Geyer (1805-69). Otrzymał tu, na prawach wieczystej dzierżawy, plac w osadzie rękodzielniczej Łódka, w strefie tak zwanych posiadł wodno-fabrycznych, położony przy ulicy Piotrkowskiej 284/286. Szybko wystawił drewniany dom oraz budynki gospodarcze, a dzięki przywiezionym ze sobą sprzętom do produkcji i zapasowi surowca, wkrótce rozpoczął działalność gospodarczą. Zaczynał od urządzenia w części domu ręcznej farbiarni i drukarni perkali, a dostawy surowych tkanin zapewnił sobie, zatrudniając w systemie nakładczym, kilkudziesięciu tkaczy rękodzielników. Dzięki temu, że jego kolorowe i tanie perkałe znajdowały szeroki zbył wśród niezamożnej ludności Królestwa, szybko powiększał swój zakład. Po pięciu latach był już właścicielem naj-



większej w Łodzi drukarni, w której na miejscu pracowało 75 robotników; a surowe tkaniny dostarczało mu 60 tkaczy chałupników z Łodzi i około stu z Pabianic. W ciągu roku produkował do 75 tysięcy metrów bieżących perkalu, baściku i nankinu, które sprzedawał na okolicznych targach. Osiągał wysokie zyski i już po następnych dwu latach zdecydował się zmodernizować zakład poprzez wprowadzenie nowej technologii. W tym celu zainwestował z własnych środków 153 tysięcy złotych na sprowadzenie z Wiednia, pierwszej w Królestwie Polskim, maszyny walcowej do wielobarwnego drukowania tkanin, poruszanej kieratem konnym. Zakupił też zestaw 33 mosiężnych walców z wrytowanymi wzorami. Po

przewycięzeniu początkowych trudności ze złożeniem i uruchomieniem maszyny podniosła ona roczną wydajność drukarni do około 390 tysięcy metrów bieżących tkanin. Pozwoliło to obniżyć koszty produkcji i dzięki niskim cenom zmonopolizować lokalny rynek. Kolorowe perkale, używane do szycia odzieży damskiej, szybko wchodziły do powszechnego użytku, wypierając len i kosztowne sukno. Popyt był tak duży, że Geyer, odczuwając ciągle niedostatek surowych tkanin, wystąpił o zezwolenie na ich import z Niemiec. Prośba została jednak odrzucona, co prawdopodobnie skłoniło go do założenia własnej, już mechanicznej przędzalni bawełny i tkalni.

Pierwsza mechanizacja

W tym celu, w latach 1835-38, na przejętym po Antonim Potempie placu przy ulicy Piotrkowskiej 282, wybudował trzypiętrowy gmach fabryczny oraz budynek mieszczący kotłownię i maszynownię oraz pierwszy w Łodzi komin fabryczny. Wyposażenie, złożone z 44 przędzarek, 180 mechanicznych warsztatów tkackich i niezbędnych maszyn pomocniczych oraz niskociśnieniowej maszyny parowej o mocy 60 koni mechanicznych, zamówił w zakładach braci Jana i Jakuba Cockerillów w Belgii.

Inwestycja ta miała nowatorski charakter, gdyż dotąd istniały wprawdzie w Łodzi przędzalnie wyposażone w podobne maszyny, to jednak znacznie mniejsze i poruszane mało wydajnymi silnikami hydraulicznymi. Maszyna parowa, mechaniczne przędzarki wózkowe, system napędu za pomocą wałów żelaznych i pasów transmisyjnych, były nową jakością. Takich urządzeń nie znali pracujący w Łodzi tkacze-

rękodzielnicy. Dawały one nadzieję na pojawienie się na lokalnym rynku taniej przędzy bawełnianej, co odpowiadało ich interesom. Natomiast zamiast uruchomienia mechanicznej tkalni, i to tak dużej, wzbudził protesty cechu tkaczy, obawiających się konkurencji maszyn.

Budowa tak dużej mechanicznej fabryki rodziła wiele problemów technicznych i finansowych. Problemy techniczne zostały przewyżnione przy pomocy sprowadzonych z Belgii mechaników, którzy zmontowali maszyny i wstępnie przeszkolili obsługę. Trudniejsze okazało się znalezienie chętnych do pracy. W liczącej wówczas blisko 15 tysięcy mieszkańców Łodzi nie było kilkuset osób gotowych porzucić swoje rękodzielnicze warsztaty i podjąć pracę w powstającej fabryce. Rozwiązaniem okazało się zatrudnienie pracowników z okolicznych wsi i miasteczek, których werbowano między innymi poprzez ogłoszenia w „Gazecie Rządowej Królestwa Polskiego”. W początkach 1840 roku fabryka została uruchomiona, ale okazało się, że wydajność przędzalni i tkalni, głównie na skutek niskich kwalifikacji pracowników, była niedostateczna, a produkcja przynosiła straty. Dopiero w latach 1841-43 na tyle rozwiązano problemy techniczne, że fabryka przynosiła już zysk w wysokości około 170 tysięcy złotych rocznie.

Drugim poważnym problemem do rozwiązania było sfinansowanie tak dużej inwestycji. Geyer nie posiadał tak wielkich środków własnych. Spodziewał się jednak, że rząd wesprze jego wysiłki i zapewni kredyty w odpowiedniej wysokości. Rzeczywiście, uruchamianie fabryki żywo interesowało władze rządowe. Szczególne nadzieje wiązano z mechaniczną przędzalnią, która, dostarczając na rynek krajowy znaczne ilości przędzy bawełnianej, miała przyczynić się do zmniejszenia kosztownego jej importu, obniżenia cen dyktowanych przez kupców oraz ograniczenia przemytu z Prus, na którym skarb Królestwa tracił rocznie około pięćset tysięcy złotych. W latach 1837-39 otrzymał Geyer pożyczki z Banku Polskiego i z funduszy miejskich w łącznej wysokości ośmiuset tysięcy złotych. Zabezpieczono je na hipotecę należących do niego nieruchomości. Geyer nie był jednak solidnym dłużnikiem. Raty i procenty od kapitału sponował nieregularnie, często dopiero po interwencji burmistrza Łodzi, monitowanego przez władze wo-



jewódzkie. W 1843 roku wydelegowano nawet specjalną komisję rządową w celu wyjaśnienia przyczyn trudności finansowych. Komisja, po zbadaniu rachunków i ksiąg ustaliła całkowite zadłużenie przemysłowca na 1 294 000 złotych, z czego aż 80 procent stanowiły wierzytelności Banku Polskiego. Mimo to oceniono, że fabryka może przynosić zyski gwarantujące spłatę zaciągniętych pożyczek, pod warunkiem jednak powiększenia przedsiębiorstwa. Ostatecznie Rada Administracyjna przychyliła się do tej opinii i upoważniła Bank Polski do zawarcia z Geyerem układu, na mocy którego spłaty dotychczasowych długów zostały rozłożone na 12 lat z pozostawieniem 2 lat wolnych, pod warunkiem, że w tym czasie uzupełni wyposażenie fabryki. Bank zabezpieczył swoje wierzytelności, przejmując jako zastaw cały majątek przedsiębiorcy i powierzył nadzór nad nim ówczesnemu prezydentowi Łodzi Franciszkowi Traegerowi.



Poszerzanie terytorium

W tym czasie Geyer przejmował leżące w sąsiedztwie nieruchomości na terenie osady Łódka. I tak w roku 1840 nabył na licytacji za sumę 39 753 złotych farbiarnię należącą do zaginionego bez wieści Jana Traugotta Lange (ulica Piotrkowska 287-299). Należność miał spłacać w ratach w ciągu 28 lat, przy pierwszych trzech latach wolnych. Następnie, w 1846 roku, także na licytacji, za 17 333 złotych, płacone w ratach w ciągu sześciu lat, kupił leżącą w sąsiedztwie przędzalnię wełny po zbiegłym Gustawie Zachercie (ulica Piotrkowska 301-315). Dzięki temu został właścicielem rozległych terenów po obu stronach ulicy Piotrkowskiej, od ulicy Czerwonej do ówczesnych południowych granic miasta (obecnie ulica Piotra Skargi). Ponadto, po długich zabiegach, został w 1846 roku właścicielem dóbr ziemskich Ruda Pabianicka z wsiami Ruda i Gadka oraz lasem i młynem wodnym, za które miał zapłacić 64 532 złotych, w ratach rozłożonych na sześć lat.

Spłaty rat za zakupione nieruchomości znacznie zwiększyły obciążenia finansowe zakładów. Mimo to udało mu się wykorzystać okres karencji w spłaca-

niu kredytów Bankowi Polskiemu i poczynić znaczne inwestycje. Przede wszystkim, zgodnie z sugestiami komisji, w 1847 roku dobudował do Białej Fabryki południowe skrzydło, w którym zainstalował 35 nowoczesnych selfaktorów napędzanych specjalnie zakupioną maszyną parową o mocy 30 koni mechanicznych. Częściowo zmienił profil produkcji tkalni, przenosząc część krosien do budynku dawnej przędzalni Zacherta (ulica Piotrkowska 303), gdzie rozpoczął wyrób poszukiwanych na rynku tkanin półwełnianych – kamlotów, merynosów i tybetów, używanych na ubiory damskie. Do ich napędu zakupił trzecią maszynę parową, także o mocy 30 koni mechanicznych.

Po zakończeniu tych wszystkich inwestycji powstała, pierwsza w Łodzi, w pełni zmechanizowana fabryka, skupiająca wszystkie fazy produkcji tkanin bawełnianych. Osiągane wówczas dochody pozwalały na terminowe spłaty rat i procentów od zaciągniętych pożyczek. Dzięki zniesieniu na początku 1851 roku bariery celnej między Królestwem Polskim a Cesarstwem, Geyer mógł wejść na rynki rosyjskie i w tym celu otworzył składy swoich tkanin w Petersburgu, Berdyczowie, Charkowie, Kijowie, Rydze i Wilnie. Oskar Flatt, dziennikarz z Warszawy, który w 1852 roku zwiedził zakłady, nie szczędził im pochwał: *Fabryka Ludwika Gejera obejmuje najpierwszą w kraju przędzalnię bawełny, która dostarczyła w roku zeszłym przędzy około 580 tysięcy funtów i tkalnię wyrobów półwełnianych o 180 warsztatach mechanicznych; dalej, na wytworną skalę urządzoną drukarnią, produkującą około 23 tysięcy sztuk perkalu i kitaju, i farbiernią tkanin bawełnianych, maszynową i ręczną. Zakład ten, tak pod względem zamożności przedsiębiorcy, jak i doskonałości swoich wyrobów, znakomitej produkcji, i kwitnącego stanu, stoi najwyżej nie tylko z Łódzkiej, ale śmiało powiedzieć możemy ze wszystkich krajowych fabryk bawełnianych.* W fabryce pracowały wówczas trzy maszyny parowe o łącznej mocy 120 koni mechanicznych, napędzające przędzalnię o 20 384 wrzecionach oraz 168 mechanicznych warsztatów tkackich. W rozbudowanej drukarni było pięć maszyn walcowych oraz dodatkowo 18 stołów do druku ręcznego. Pracowało tu 655 robotników, wytwarzających w ciągu roku tkaniny o wartości 487 tysięcy rubli (równowartość 3 243 420 złotych). Druga wówczas co do wielkości fabryka w Łodzi, mechaniczna przędzalnia Samuela Lande, zatrudniała zaledwie 148 pracowników i dawała produkcję roczną o wartości 70 tysięcy rubli.





Pierwszy kryzys

Ten okres pomyślnej działalności trwał krótko. Już w końcu 1853 roku pożar zniszczył dwupiętrowy budynek fabryczny położony przy ulicy Piotrkowskiej 303, w którym znajdowała się tkalnia kamlotów, farbiarnia, drukarnia perkali i inne oddziały pomocnicze. Wprawdzie budynek ten szybko wyremontowano, ale pochłonęło to znaczną część środków obrotowych firmy, gdyż był on bardzo nisko ubezpieczony. Te nieprzewidywane wydatki uniemożliwiły Geyerowi spłacanie pożyczki krótkoterminowej w wysokości stu tysięcy rubli, zaciągniętej w Banku Polskim na pokrycie wydatków związanych z rozpoczętą w 1850

roku budową cukrowni w Rudzie Pabianickiej. Wprawdzie Rada Administracyjna, ulegając jego prośbom, rozłożyła jej spłatę na trzy lata, ustalając początek zwrotu na 1855 roku, to jednak przez następne dwa lata nie uiścił nawet jednej raty. Jego dług wobec Banku Polskiego osiągnął, wraz z należnymi procentami, sumę 162 249 rubli. Ponadto Geyer wystąpił o nową pożyczkę w wysokości stu tysięcy rubli z przeznaczeniem jej na kapitał obrotowy przedsiębiorstwa. W tej sytuacji po raz drugi powołano komisję rządową, która miała oszacować jego majątek i ustalić, czy kredyt ten będzie miał odpowiednie zabezpieczenie. Według zebranych przez komisję danych aktywa Geyera na dzień 1 lipca 1860 roku wynosiły 1 141 663 rubli, w czym na majątek trwały przypadało 684 300 rubli, natomiast stan zadłużenia obliczono na 604 127 rubli, co stanowiło nieomal równowartość fabryki w Łodzi i majątku Ruda Pabianicka. W tej sytuacji nie znaleziono podstaw do udzielenia kredytu. W obliczu groźby licytacji, dla wyrównania części długów, Geyer sprzedał w 1860 roku Bankowi Polskiemu plac numer 284, położony na rogu ulicy Piotrkowskiej i Górnego Rynku, z okazałym domem mieszkalnym, domkami dla drukarzy i zabudowaniami gospodarczymi. Nie poprawiło to jednak jego sytuacji finansowej, gdyż z ceny 72 tysięcy rubli większość została przejęta przez bank na pokrycie zaległych zobowiązań. Dodatkowo sytuację pogorszyły czynniki zewnętrzne – kryzysy ekonomiczne lat 50. XIX wieku oraz rosnąca konkurencja ze strony powstających w Łodzi zmechanizowanych fabryk bawełnianych Traugotta Grohmana (1843), Dawida Landego (1846), Karola Moessa (1847) i Karola Scheiblera (1855). Ostateczną upadłość zakładów spowodował kryzys surowcowy, tak zwany głód bawełniany, będący wynikiem przerwania dostaw bawełny z Ameryki Północnej do Europy, wskutek wybuchu wojny secesyjnej w Stanach Zjednoczonych. Wobec braku kapitału obrotowego i trudności w zaopatrzeniu w bawełnę, w styczniu 1862 roku fabryka za-

przestała produkcji. W 1865 roku, wobec nałożonego na cały majątek sekwestru za długi, Geyer zmuszony był sprzedać dobra Ruda Pabianicka.

Dopiero po prawie pięciu latach zabiegów udało się Geyerowi znaleźć inwestora gotowego wyłożyć kapitały niezbędne do uruchomienia fabryki. Był nim bankier z Berlina Bernard Ginsberg, od lat prowadzący interesy w Łodzi i już wcześniej zlecający mu przerób bawełny. W końcu 1867 roku Ginsberg wydzierżawił przędzalnię, a od połowy następnego roku, wspólnie z Emanuelem Lohnsteinem, także tkalnię, drukarnię i farbiarnię. Do zawartej na okres 10 lat spółki Geyer wniósł zakład z wyposażeniem oraz własne umiejętności zawodowe; Lohnstein kapitał obrotowy w wysokości 27 tysięcy rubli, a Ginsberg podjął się dostarczania surowca i zapewnił sobie monopol na sprzedaż wyprodukowanych tkanin. Z zysków miały być spłacane zaległe podatki skarbowe i miejskie. Pozostała część miała być dzielona po równo, ale z części przypadającej na Geyera potrącano połowę na pokrycie sum wyłożonych na remonty starych i zakup nowych maszyn. Nominalnie fabryką kierował Ludwik Geyer, który jednak, wobec pogarszającego się stanu zdrowia, w sierpniu 1869 roku przekazał zarząd swojemu synowi Gustawowi. Wkrótce, 21 października 1869 roku, zmarł.

Mimo, że jego działalność zakończyła się bankructwem, Ludwik Geyer zachował się w pamięci łodzian jako wybitny przemysłowiec, założyciel pierwszej w naszym mieście mechanicznej fabryki włókienniczej. Mniej znane są jego dokonania w innych rodzajach działalności gospodarczej. Na wolnych terenach przy fabryce uprawiał zboże i warzywa, założył plantację marzanny na czerwony barwnik, przy domu miał sad owocowy, hodował konie i krowy. W 1846 roku nabył dobra Ruda Pabianicka, gdzie założył cukrownię, gorzelnię, olejarnię, młyn parowy, tartak, cegielnię, karcznię, urządził kopalnię torfu, staw rybny oraz ogród owocowy i warzywny. Interesy prowadził z rozmachem – doceniał rolę reklamy, stąd jego udział w wystawach przemysłowych w Warszawie, Petersburgu i Moskwie. W uznaniu zasług dla rozwoju przemysłu został odznaczony orderem św. Stanisława III klasy oraz medalem „Za polieznoje”.





Fundatora i społecznik

Doceniono jego niezwykłą energię i pozytywny wkład w organizację życia gospodarczego i społecznego Łodzi. Jako „pierwszy obywatel” udzielał się w komitetach budowy szpitala miejskiego i szkoły powiatowej realnej, komitecie antycholerycznym, tworzył podstawy działalności filantropijnej, działając w Komitecie Opieki i Wsparcia Ubogich. W swojej fabryce stworzył organizacje socjalne i oświatowe dla robotników. W 1851 roku, doświadczony problemami ze szkoleniem robotników-analfabetów, założył wieczorową szkołę elementarną dla dzieci pracujących w fabryce, a w 1857 roku zorganizował prekursorską zakładową kasę chorych, do której składki solidarnie wpłacali robotnicy i pracodawca. Z powstałego funduszu utrzymywano lekarza, opłacano zakup lekarstw i wypłacano zapomogi za czas choroby i w wypadku kalectwa. Zbudował też pierwsze domy mieszkalne dla sprowadzonych z zagranicy drukarzy.

Był także animatorem skromnego jeszcze życia kulturalnego miasta. W tak zwanym domu zabaw przy fabryce urządzał zabawy taneczne, amatorskie przedstawienia teatralne oraz występy założonego przez siebie Łódzkiego Męskiego Towarzystwa Śpiewaczego. Odbywały się tu także przedstawienia wędrownych trup teatralnych. Posiadał sporą bibliotekę o profilu technicznym, prenumerował gazety, a nawet publikował artykuły o uprawie marzanny i buraków cukrowych.

W okresie trwania dzierżawy, dzięki na ogół dobrej koniunkturze oraz dyscyplinie finansowej narzuconej przez Ginsberga, zakłady zostały w pełni uru-

chomione i w znacznej części zmodernizowane. W 1878 roku, po dziesięciu latach trwania spółki, fabryka zatrudniała 615 pracowników, posiadała przędzalnię produkującą do 20 tysięcy pudów (około 327 tysięcy kilogramów) przędzy, tkalnię wyposażoną w 412 warsztatów tkackich wyrabiających rocznie około 60 tysięcy sztuk perkalu, podawanego ostatecznej obróbce w farbiarni i drukarni. Wartość rocznej produkcji zakładów wynosiła około 2,7 miliona rubli.

Po wygaśnięciu kontraktu dzierżawy spadkobiercy Ludwika Geyera w osobach: wdowy Emilii Geyer, synów – Ryszarda, Gustawa, Roberta, Emila, Eugeniusza i Cezara oraz córek – Szarlotty Knoll i Fanny Bajer, założyli spółkę, która przejęła prowadzenie rodzinnej firmy. Młodzi Geyerowie, wykształceni i przygotowani przez ojca do zarządzania fabryką, już w pierwszym roku działalności zdołali osiągnąć zysk brutto w wysokości 108 tysięcy rubli, a po czterech latach, w 1881 roku, już 270 tysięcy rubli.

Spółka rodzinna

W 1885 roku Geyerowie wystąpili do Ministerstwa Finansów Rosji o zezwolenie na przekształcenie rodzinnych zakładów w spółkę akcyjną. Po jego uzyskaniu 27 marca 1886 roku odbyło się zebranie założycielskie nowo powstałego Towarzystwa Akcyjnego Wyrobów Bawełnianych Ludwika Geyera. Ostatecznie udziałowcami powstałej spółki zostali wyłącznie potomkowie Ludwika Geyera: synowie – Ryszard, Gustaw, Emil, Eugeniusz i Cezar oraz ich przyrodnia siostra Szarlotta Knoll (wdowa Emilia Geyer zmarła w 1884 roku, Robert Geyer w 1879 roku, a Fanny Bajer wycofała swoje udziały). Kapitał zakładowy Towarzystwa ustalono na 1,5 miliona rubli, podzielony na 1 500 akcji imiennych o wartości nominalnej tysiąc rubli każda. Prezesem Zarządu został wybrany Gustaw Geyer, natomiast Ryszard, Emil i Eugeniusz, jako członkowie zarządu firmy, objęli funkcje dyrektorów przedsiębiorstwa. Powstałe w ten sposób towarzystwo akcyjne formalnie odkupiło od spadkobierców Ludwika Geyera należące do nich zakłady przemysłowe. W zamian każdy z sześciu udziałowców otrzymał pakiet 250 akcji, dający im prawo do uczestniczenia w zarządzaniu firmą i udziału w wypracowanych zyskach.

Zakłady Towarzystwa Akcyjnego Wyrobów Bawełnianych Ludwika Geyera zajmowały w 1886 roku czwarte miejsce wśród przedsiębiorstw bawełnianych Łodzi (za zakładami Karola Scheiblera, Izraela Poznańskiego oraz Heinzla i Kunitzera). Posiadały przędzalnię o 20 552 wrzecionach, tkalnię wyposażoną w 569 krosien, drukarnię, farbiarnię, wykończalnię oraz wszystkie niezbędne oddziały pomocnicze, w których łącznie zatrudniano ponad tysiąc pracowników. Firma posiadała ugruntowaną pozycję na rynku rosyjskim, gdzie, za pośrednictwem przedstawicielstw w Charkowie, Moskwie, Odessie, Rostowie nad Donem, Petersburgu, Rydze, Tbilisi i Włodzimierzu, zbywała znaczną część swoich wyrobów. Wartość produkcji w pierwszym roku rozliczeniowym osiągnęła 1 593 000 rubli, a zysk brutto przekroczył 207 tysięcy rubli.



ZAKŁADY PRZEMYSŁU BAWĘLIANEGO „LUDWIK GEYER” SPÓŁKA AKCYJNA W ŁODZI
ROK ZAŁOŻENIA 1829.

Z zysku wypłacono osiem procent dywidendy, czyli każdy z akcjonariuszy otrzymał 20 tysięcy rubli, nie licząc wynagrodzeń otrzymanych za pracę w zarządzie spółki. W latach następnych, w zależności od wypracowanych zysków, wysokość dywidend ulegała zmianie, choć zwykle należały one do najwyższych w Łodzi, osiągając w najlepszych latach nawet 25 procent.

Mimo że znaczna część zysku wypłacana była akcjonariuszom, zakłady były systematycznie modernizowane i rozbudowywane. Szczególnie po śmierci w 1893 roku Gustawa Geyera i objęciu stanowiska prezesa zarządu przez jego młodszego brata Emila, inwestycje nabrały rozmachu. Aby je sfinansować, w roku 1897 emitowano obligacje na sumę 750 tysięcy rubli, które zabezpieczono hipotecznie na majątku firmy. Z uzyskanych w ten sposób środków rozbudowano dział przędzalniczy, który w latach 1893-1901 roku zwiększył ilość posiadanych wrzecion z 24 316 do 38 tysięcy; prawie dwukrotnie powiększono tkalnię z 840 – do 1 490 krosien, a moc zainstalowanych w fabryce maszyn parowych wzrosła z 1 100 do 2 175 koni mechanicznych.

Dzięki temu wartość produkcji rocznej podniosła się z 2 380 000 do 4 847 000 rubli. Zakupiono też generatory prądu stałego i wprowadzono na salach oświetlenie elektryczne. Liczba zatrudnionych pracowników została w tym okresie podwojona z 1 320 do 2 760 osób.

Inwestycje kontynuowano w pierwszych latach XX wieku, aż do depresji gospodarczej spowodowanej wybuchem wojny rosyjsko-japońskiej i niepewnych czasów rewolucji 1905-07 roku. Wznowiono je w latach 1909-13, kiedy to z zysków, które łącznie wyniosły 3 920 000 rubli, wydzielono na inwestycje sumę 1 221 000 rubli. Dzięki tym nakładom rozbudowano i zmodernizowano prawie wszystkie oddziały fabryki. W 1913 roku pracowało tu 50 736 wrzecion, 1 841 krosien, osiem maszyn drukarskich oraz niezbędne oddziały pomocnicze, wszystko napędzane przez siedem maszyn parowych o łącznej mocy 4 475 koni mechanicznych i coraz liczniejsze silniki elektryczne. Stan zatrudnienia podniósł się do 4 680 pracowników, a wartość

wyprodukowanych tkanin przekroczyła 8,5 miliona rubli. Rozbudowa zakładów powodowała wzrost ich wartości, co znajdowało odbicie w podwyższaniu kapitału zakładowego, który w 1904 roku podniesiono do 2,5 miliona rubli, w 1908 roku do 3 750 000 rubli, a w 1914 roku osiągnął on wartość pięciu milionów rubli.

Młodzi dyrektorzy

Ten szybko postępujący rozwój zakładów prawdopodobnie był wynikiem wymiany pokoleniowej, jaka nastąpiła we władzach firmy w ostatnich latach przed wybuchem I wojny światowej. W 1910 roku zmarł dotychczasowy prezes zarządu Emil Geyer. Na jego miejsce wybrano Eugeniusza Geyera, ten zaś mianował dyrektorem technicznym liczącego wówczas 25 lat bratanka Gustawa Geyera, absolwenta Wyższej Szkoły Technicznej w Dreźnie, a dyrektorem handlowym jego młodszego brata Roberta, posiadającego dyplom Wyższej Szkoły Handlowej w Dreźnie. Wobec podeszłego już wieku stryjów Ryszarda i Eugeniusza oraz braku zainteresowania rodzinnym przedsiębiorstwem ze strony Cezara, to oni przejęli zarządzanie firmą i postawili na jej rozbudowę i modernizację.

Przy zakładach istniały różnego rodzaju organizacje o charakterze socjalnym, oświatowym i kulturalnym. Na początku lat 80. XIX wieku reaktywowano tu kasę chorych, utrzymywaną z potrąceń pół procenta od wynagrodzeń, a firma opłacała lekarza fabrycznego. Od 1897 roku działała przy zakładach lecznica, którą w 1902 roku przekształcono w szpital z 46 łózkami, który z kolei zlikwidowano w 1907 roku na rzecz wynajmowania 30 łóżek szpitalnych w prywatnym zakładzie leczniczym przy ulicy Podleśnej 15. Istniała tu także tania kuchnia dla robotników, wydająca do czteryestu obiadów dziennie. Ponadto wszyscy pracownicy ubezpieczeni byli od wypadków w rosyjskim Towarzystwie Ubezpieczeń „Pomoc”.

W 1899 roku otwarto przy zakładach szkołę fabryczną dla dzieci pracowników, w specjalnie na ten cel wzniesionym budynku przy ulicy Czerwonej 6. Wkrótce okazał się on zbyt ciasny i w 1902 roku wzniesiono obok drugi budynek. W 1904 roku uczyło się tu 350 dzieci pracowników firmy, a w 1913 roku już 708, dla których zatrudniono 11 nauczycieli. Szkoła funkcjonowała do 1919 roku, kiedy to w ramach reformy oświaty została przejęta przez władze miasta. Przy szkole powstała biblioteka przeznaczona dla uczniów i robotników. Także w roku 1899 utworzono przy zakładach ochronkę dla około stu dzieci pracowników, której patronowały panie: Helena, Olga, Anna i Zofia Geyerowe.

Geyerowie z drugiego pokolenia wyróżniali się aktywnością na polu działalności gospodarczej, kulturalnej, społecznej i charytatywnej na rzecz ogółu mieszkańców Łodzi. Szczególne zasługi miał tu Emil Geyer, który był współzałożycielem i członkiem zarządów takich instytucji jak: Bank Kupiecki Łódzki, Łódzkie Towarzystwo Kolei Elektrycznej, Komitet Giełdowy Łódzki, Łódzki Komitet Przemysłu i Handlu, Łódzkie Pogotowie Ratunkowe, Łódzka Straż Ogniowa Ochotnicza, Szkoła Rze-



miość oraz Polskie Towarzystwo Teatralne. Aktywnie wspierał Łódzkie Chrześcijańskie Towarzystwo Dobroczynności, był inicjatorem budowy szpitala pediatrycznego im. Anny Marii oraz fundatorem pawilonu w szpitalu psychiatrycznym w Kochanówce. W testamencie przeznaczył sumę 115 tysięcy rubli na cele charytatywne. Także jego bracia – Gustaw, Ryszard i Eugeniusz – inicjowali powstanie i uczestniczyli w pracach wielu organizacji społecznych i kulturalnych – między innymi w Towarzystwie Higienicznym im. Bolesława Prusa, Towarzystwie Opieki nad Zwierzętami, Łódzkim Towarzystwie Muzycznym, zakładali izby porodowe, sierocińce, organizowali kolonie letnie dla dzieci robotników.

Geyerowie – Polacy

W początkach XX wieku Geyerowie, zarówno w opinii mieszkańców Łodzi jak i miejscowych władz, uznawani byli za rodzinę gruntownie spolonizowaną, a ich firma za jedyne wielkie przedsiębiorstwo przemysłowe w Łodzi należące do Polaków pochodzenia niemieckiego. Znajduje to potwierdzenie w opisie pogrzebu Emila Gejera (19 września 1910 roku), podczas którego w kościele kwartet smyczkowy wykonywał utwory Moniuszki i Orłowskiego, a pastor Juliusz Dietrich wygłosił kazanie w języku polskim; także nad grobem pastor Rudolf Gundlach przemawiał po polsku. W nekrologu dziennikarz „Rozwoju” napisał wprost: *Geyer był z przekonania Polakiem i szanował kraj, w którym wzrosło rodu jego znaczenie i majątek.*

Okres dynamicznego rozwoju przedsiębiorstwa przerwał wybuch I wojny światowej. Już na początku 1915 roku wstrzymano produkcję, a od lutego

niemieckie władze okupacyjne rozpoczęły akcję planowego niszczenia łódzkiego przemysłu, trwającą aż do listopada 1918 roku. W jej ramach zarekwirowano i wywieziono z zakładów 4 160 bel bawełny, duże ilości gotowych tkanin, kocioł parowy, 57 silników elektrycznych oraz wymontowane z maszyn elementy z metali kolorowych, przewody elektryczne, rury miedziane, walce drukarskie, wanny i kotły miedziane, a nawet krany mosiężne i pasy napędowe. Łączną wartość poniesionych z tego tytułu strat obliczono na blisko 3 390 000 rubli. Ponadto firma utraciła 3 120 000 rubli przechowywanych jako depozyty w bankach rosyjskich oraz dalsze dwa miliony rubli, na które składały się należności u kupców rosyjskich i przepadłe tkaniny w składach w Rosji. Pozostającym bez pracy robotnikom wypłacano zapomogi pieniężne, na które przez cały okres wojny wyasygnowano około 560 tysięcy rubli. Łączna wysokość strat wojennych, poniesionych przez Towarzystwo Akcyjne Wyrobów Bawełnianych Ludwika Geyera, została obliczona na 9 550 000 rubli, co było sumą niezwykle wysoką – prawie dwukrotnie przewyższającą jego kapitał zakładowy.

Po wycofaniu się okupantów zakłady aż do początków 1919 roku były unieruchomione. Produkcję wznawiano stopniowo w miarę postępowania remontów, a pełne uruchomienie osiągnięto w roku 1923, kiedy to zatrudniano rekordową liczbę 6 500 pracowników. Mimo dotkliwych strat wojennych lata 1920-23 były okresem stosunkowo pomyślnym dla firmy. Wygłodzony w czasie wojny wewnętrzny rynek zbytu wchłaniał duże ilości tkanin, a szczególnie intratne były zamówienia rządowe dla powstającej polskiej armii. Wysoka inflacja sprzyjała eksportowi – odpadł wprawdzie rynek rosyjski, ale znaczną część produkcji wywożono do Rumunii, Turcji, Jugosławii, Austrii, Węgier i do krajów nadbałtyckich. W zakładach wytwarzano tkaniny odzieżowe bawełniane i wełniane, tkaniny dekoracyjne, frotté, materacowe, gumowane i opatrunkowe oraz wyroby gotowe – chustki, szale, dywaniki i koce. Dochody firmy pozwalały nawet na wypłacanie akcjonariuszom dywidendy. Mimo dobrej koniunktury nie udało się jednak odtworzyć kapitału obrotowego w takiej wysokości, by uniezależnić się od bieżących kredytów bankowych i unikać zadłużania u dostawców bawełny. W końcu 1923 roku zaciągnięte kredyty zagraniczne, w przeliczeniu na złote, osiągnęły kwotę 4 460 000 złotych, w tym znaczna część to należności za surowce dostarczone przed wojną, a zadłużenie w krajowych instytucjach kredytowych blisko 1,2 miliona złotych. Sytuacja firmy uległa pogorszeniu w okresie tak zwanego kryzysu poinflacyjnego, jaki miał miejsce w Polsce w latach 1924-26. Ograniczono wówczas produkcję, zawieszono wypłaty dywidendy, a pogarszającą się sytuację finansową próbowano ratować, zaciągając nowe kredyty. Dopiero okres lepszej koniunktury, jaki nastąpił w latach 1926-28, pozwolił zakładom wypracować zysk – w 1927 roku było to 4,4 miliona złotych, z czego 55 procent przeznaczono na amortyzację, a 27 procent na dywidendę. W 1928 roku już znacznie mniej, bo zysk 2 477 000 złotych, w całości przeznaczono na amortyzację. Jest wysoce prawdopodobne, że częścią tej kwoty pokryto niektóre najpilniejsze długi. Próbowano też ratować finanse firmy, zaciągając

długoterminową pożyczkę w ośmioprocentowych listach zastawnych Towarzystwa Kredytowego Przemysłu Polskiego na sumę 150 800 funtów szterlingów.

Drugi kryzys

Jednak od jesieni 1929 roku rozpoczął się wielki kryzys gospodarczy, trwający aż do roku 1935, szczególnie dotkliwy dla przemysłu włókienniczego. Zakłady w bilansie za rok 1929 wykazały niewielką jeszcze stratę w wysokości 212 tysięcy złotych, ale całkowite zadłużenie wzrosło do 14 milionów złotych. W roku następnym strata wyniosła 1 640 000 złotych, a niesumienni odbiorcy tkanin nie wykupili weksli za 8,3 miliona złotych. Dodatkowe straty, obliczone na 4 355 000 złotych, poniesiono z powodu upadłości Banku Handlowego w Łodzi.

Poważnym problemem ciężącym na finansach przedsiębiorstwa były niespłacone kredyty na sumę 80 tysięcy funtów szterlingów (około 2,1 miliona złotych), zaciągnięte w Banca Commerciale Italiana w Mediolanie, zabezpieczone jedynie weksłami gwarancyjnymi firmy. Aby poprawić zabezpieczenie tego długu, zarząd wystąpił w marcu 1931 roku do Ministerstwa Finansów o zezwolenie na emisję obligacji w wysokości 210 tysięcy funtów, gwarantowanych przez Skarb Państwa. Po uzyskaniu zgody i wypuszczeniu emisji dokonano transakcji zakupu przez bank obligacji Zakładów Przemysłu Bawełnianego „Ludwik Geyer” Sp. Akc. (nazwa obowiązująca od 1925 roku) na sumę 109 tysięcy funtów po kursie 94 procent ich wartości nominalnej. Obligacje wartości 80 tysięcy funtów zatrzymano, jako zabezpieczenie długów, a za resztę otwarto kredyt do dyspozycji firmy (równowartość około 760 tysięcy złotych). Emisja obligacji przyniosła niewielkie, w stosunku do potrzeb, środki obrotowe. Skorzystał natomiast włoski bank, który na długi Geyerów uzyskał gwarancje polskiego Skarbu Państwa.

Dług wobec warszawskiego Banku Handlowego w wysokości 150 tysięcy dolarów zlikwidowano, oddając bankowi reprezentacyjny budynek firmy przy ulicy Piotrkowskiej 74, w którym otworzył on swój łódzki oddział.

Potęgujące się



trudności płatnicze spowodowały, że na początku lat 30. firma nie wypłacała pensji urzędnikom, nie opłacała składek asekuracyjnych, podatków i świadczeń socjalnych. Mimo poczynionych oszczędności, zredukowania liczby pracowników i ich płac, sytuacja nie uległa poprawie. Zadłużenie na koniec 1931 roku, według eksperta Banku Gospodarstwa Krajowego, osiągnęło sumę przekraczającą 34 miliony złotych. Ponieważ do połowy 1934 roku sytuacja nie poprawiła się, zarząd firmy zdecydował się na wystąpienie do Sądu Handlowego o ogłoszenie upadłości. Sąd przychylił się do wniosku i ustalił otwarcie upadłości na dzień 2 lipca 1934 roku, mianując jednocześnie syndyka masy upadłościowej, którym został Karol Wędziągolski. Syndyk został zobowiązany do zreorganizowania przedsiębiorstwa, wprowadzenia maksymalnych oszczędności oraz podsumowania stanu jego finansów, a w następnej kolejności do doprowadzenia do układu z wierzycielami.

Przez cały okres upadłości zakłady utrzymywane były w ruchu, a wykorzystanie mocy przerobowych systematycznie wzrastało. Średni stan zatrudnienia w latach 1934-38 powiększył się z 1 778 do 2 767 pracowników, a obroty z 14 015 000 do 21 710 000 złotych, lecz nie udało się zwiększyć rentowności produkcji. Mimo wprowadzonych oszczędności, redukcji kosztów administracji i ograniczenia wydatków na inwestycje, bilanse roczne nadal wykazywały straty, które choć stosunkowo niewysokie, miały jednak tendencję rosnącą. O ile w 1936 roku było to 183 tysięcy złotych, to w 1937 wzrosło już do czterystu tysięcy złotych.

Syndyk skutecznie przeprowadził sanację finansów firmy, układając się z głównymi wierzycielami. Przede wszystkim już w 1935 roku uzyskał rozłożenie na 21 lat spłat długu zaciągniętego w 1927 roku w Towarzystwie Kredytowym Przemysłu Polskiego. Także Skarb Państwa zdecydował się na poważne ustępstwa, redukując wierzytelności z tytułu zaległych podatków z 4 420 000 złotych do 2,6 miliona złotych. Długo natomiast trwały rozmowy z grupą aż 159 wierzycieli nieuprzywilejowanych, którzy zgłosili weksle na sumę 2 060 000 złotych. Ostatecznie dopiero 11 maja 1938 roku zawarto układ, na mocy którego zrezygnowali oni z należnych procentów i kosztów oraz zredukowali swoje pretensje w kapitale do 15 procent, a spłatę ich rozłożono na sześć lat.

Postępy w układach z wierzycielami i uzyskane moratoria pozwoliły zmniejszyć zadłużenie o 3 870 000 złotych, co, wobec poprawy koniunktury gospodarczej, dawało nadzieję, że firma odzyska równowagę finansową i zacznie działać efektywnie. W związku z tym, na podstawie wyroku Sądu Okręgowego w Łodzi, upadłość spółki została cofnięta z dniem 2 lipca 1938 roku. Oznaczało to odejście syndyka i przejście zarządzania zakładami przez rodzinę Geyerów. Jednak nadal pozostawała nierozwiązana sprawa obligacji firmy znajdujących się w depozycie w Banca Commerciale Italiana. Ostatecznie we wrześniu 1938 roku Ministerstwo Skarbu wywiązało się z udzielonej gwarancji i wykupiło obligacje za 37,5 procent ich nominalnej wartości, co stanowiło równowartość około 1,6 miliona złotych. Powstała w ten sposób wierzytel-

ność przeniesiono do Banku Gospodarstwa Krajowego, który rozłożył jej spłatę na 10 lat. Jednak, mimo umorzeń udzielonych przez wierzycieli na łączną sumę 6 220 000 złotych, wzrostu obrotów do 33 220 000 złotych oraz wzrostu liczby zatrudnionych do 3 360, przedsiębiorstwo w 1938 roku znów przyniosło stratę w wysokości 604 tysięcy złotych, a zobowiązania wobec wierzycieli nadal były wysokie i wynosiły prawie 12,5 miliona złotych. Czynnikiem dodatkowo utrudniającym przywrócenie rentowności produkcji było postępujące zużycie parku maszynowego, który w sytuacji kryzysu, jaki przeżywały zakłady, prawie nie był modernizowany.

Kultura i sport

W okresie międzywojennym przy zakładach Geyerów powstały nowe organizacje społeczne, kulturalne i sportowe – zrzeszające pracowników firmy. W 1922 roku utworzono tu liczący 14 członków oddział Łódzkiej Straży Ogniowej Ochotniczej, którego pierwszym komendantem został inż. Stefan Bursze. Zarząd sprzyjał też inicjatywom ułatwiającym pracownikom dostęp do kultury. W 1926 roku, z inicjatywy ówczesnego dyrektora administracyjnego Stefana Dekuczyńskiego, założono przy fabryce teatr, kierowany przez aktora Józefa Pilarzkiego, a pomyślany jako druga scena Teatru Popularnego. Przedstawienia odbywały się trzy razy w tygodniu w przystosowanej do tego jadalni dla robotników, na parterze budynku przy ulicy Piotrkowskiej 295. Wystawiono tu między innymi adaptację Trylogii Sienkiewicza, sztukę Gerhardta Hauptmanna *Hanusia* oraz repertuar lżejszy – rewię *Uśmiech Łodzi*, komedie farsy i wodewile. W latach 30. XX wieku scena w sali Geyera miała charakter półamatorski, gdyż obok aktorów zawodowych, występowali tu także amatorzy, najczęściej wywodzący się z pracowników zakładów.

W początkach 1927 roku, z inicjatywy prezesa zarządu firmy Gustawa Geyera, powstał przy zakładach pierwszy w Łodzi Ośrodek Wychowania Fizycznego. Dyrekcja przydzieliła Ośrodkowi plac fabryczny przy ulicy Piotrkowskiej 317, na którym urządzono boisko piłkarskie, bieżnię i skocznię w dal. W styczniu 1930 roku został on przekształcony w Koło Sportowo Oświatowe Fabryki „L. Geyer” (przemianowane w 1934 roku na Klub Sportowy „Geyer”), posiadające sekcje: piłki nożnej, kolarską, tenisa ziemnego i stołowego, hazeny, koszykówki, siatkówki, szermierczą, lekkoatletyczną, bokserską, później także narciarską. Koło posiadało też dział kulturalno-oświatowy z sekcjami: biblioteczną, samokształceniową, śpiewaczą i baletową, a także chór rewelersów, sekstet muzyczny i orkiestrę zakładową.

Robert i Gustaw – konserwatywni politycy

Zarządzający zakładami w okresie międzywojennym – Gustaw, Robert i Karol Geyero wie – zaraz po odzyskaniu niepodległości zaangażowali się w działalność na rzecz odbudowy polskiego przemysłu włókienniczego. W końcu 1919 roku Robert, jako prezes Spółdzielni „Zakup”, wyjechał z misją gospodarczą na Kaukaz, gdzie usiłował zakupić bawełnę dla łódzkich fabryk; działał też w zarządzie Związku Polskiego Przemysłu Włó-

kienniczego w Państwie Polskim, Polskiej Sp. Akc. Handlu Zewnętrznego oraz Komitecie Giełdowym Łódzkim. W latach 1919-34 był prezesem Izby Przemysłowo-Handlowej w Łodzi. Jego brat Gustaw działał w rejestrującej straty wojenne Komisji Szacunkowej Przemysłowej, Komitecie Giełdowym Łódzkim, pełnił funkcję wiceprezesa Zrzeszenia Producentów Przędzy Bawełnianej w Polsce, przewodniczył Komisji Kotonizacji Lnu, wszedł do zarządu spółki „Dalba”, mającej wyłączność na import radzieckiej bawełny. Natomiast ich kuzyn Karol Geyer (syn Emila) pracował w zarządzie Związku Eksportowego Polskiego Przemysłu Włókienniczego. Ponadto, zwykle za pośrednictwem firmy, wspierali oni szpital w Kochanówce, szpital dziecięcy im. Anny Marii, Szkołę Rzemiosł oraz uczestniczyli w akcji organizowania wczasów robotniczych i organizacji Towarzystwa Budowy Domków Robotniczych.

Robert i Gustaw, w przeciwieństwie do poprzednich pokoleń Geyerów, zajmowali się też polityką – należeli do grupy założycieli Stronnictwa Prawicy Narodowej, a w 1937 roku Gustaw wszedł do władz powołanego wówczas Stronnictwa Zachowawczego, jednoczącego polską prawicę konserwatywną. Za swoją działalność na polu społecznym i gospodarczym zostali odznaczeni Krzyżami Orderu Polonia Restituta.

Hitlerowskie represje

Wybuch II wojny światowej przerwał postępującą powoli sanację zakładów. Po zajęciu Łodzi przez Niemców Geyerowie zadeklarowali się jako Polacy i – mimo wywieranych nacisków – nie podjęli współpracy z okupantem. Przeciwnie, Gustaw i Robert zostali założycielami Komitetu Pomocy Polskim Więźniom w Radogoszczu, zajmującego się dostarczaniem do obozu żywności, leków i ciepłej odzieży. W dniu 12 grudnia 1939 roku aresztowany został Karol Geyer. Robert Geyer, wspólnie z innym łódzkim przemysłowcem Gwido Johnem, udali się z interwencją w sprawie kuzyna do komendanta wojskowego miasta. Interwencja ta okazała się nieskuteczna, a gdy wrócili do willi przy ulicy Piotrkowskiej 280 aresztowało ich tam gestapo. W nieustalonych do dzisiaj okolicznościach obydwaj zostali na miejscu zastrzeleni. Zakłady, w ramach represji wobec rodziny, zostały przejęte pod zarząd komisaryczny, a prezes zarządu Gustaw Geyer otrzymał zakaz wstępu na teren fabryki.

Przez cały okres okupacji, ze względu na brak surowców i węgla, w zakładach prowadzono działalność produkcyjną tylko na niewielką skalę; niektóre maszyny wywieziono, a w roku 1943 przeniesiono tu szwalnię z Widzewskiej Manufaktury.

Wywłaszczenie im. Feliksa Dzierżyńskiego

Po wyzwoleniu Łodzi w styczniu 1945 roku, zakłady zostały przejęte pod zarząd państwowy i prawie natychmiast uruchomiono część maszyn, a pierwsze metry tkanin zawieziono na Górny Śląsk i wymieniono na niezbędny dla zakładu węgiel. W połowie 1946 roku pracowały już wszystkie wydziały fabryki, a stan zatrudnienia wynosił 4 160 osób. W dniu 1 lipca następnego roku, w ramach przeprowadzanej komasacji, utwo-

rzono Państwowe Zakłady Przemysłu Bawełnianego nr 3 w skład których, obok zakładów geyerowskich, weszły także dawne fabryki: Karola Steinerta (ulica Piotrkowska 276), Józefa Babada (ulica Wólczańska 239) i Salomona Danzigerera (ulica Wróblewskiego 6/8). Powstały w ten sposób kombinat włókienniczy dysponował 61 260 wrzecionami średnio- i cienkoprzędnymi, 11 518 wrzecionami odpadkowymi, 1 873 krosnami i zatrudniał ponad 7 300 pracowników. Ten stan organizacyjny utrzymano do końca 1950, kiedy to kombinat rozwiązano, a poszczególne oddziały stały się samodzielnymi przedsiębiorstwami. Dawne Zakłady Przemysłu Bawełnianego Ludwik Geyer S.A., uchwałą Miejskiej Rady Narodowej, otrzymały patrona i zmieniono ich nazwę na Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Feliksa Dzierżyńskiego. W roku 1955 wydzielono z nich najstarszą, wybudowaną w latach 1835-86 i wyłączoną już z produkcji klasycystyczną Białą Fabrykę (ulica Piotrkowska 282) z przeznaczeniem na siedzibę planowanego Muzeum Historii Włókiennictwa.

Kolejna reorganizacja miała miejsce w latach 1963-64, kiedy do zakładów przyłączono ZPB im. Czesława Szymańskiego położone przy ulicy Rzgowskiej 26/28 (dawna fabryka W. Stolarowa) i ZPB im. Karola Liebknechta przy ulicy Wróblewskiego 6/8 (dawne fabryki Józefa Babada i Salomona Danzigerera), nadając im wspólną nazwę: Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Feliksa Dzierżyńskiego „Eskimo”. Po skomasowaniu zakładów rozpoczęto – po raz pierwszy na większą skalę – modernizację przestarzałego parku maszynowego i poprawę warunków pracy. Wymieniono maszyny pamiętające często przełom XIX i XX wieku, w większości zupełnie już wyeksploatowane. Poważne inwestycje miały miejsce w latach 70., osiągając w roku 1977 wartość około dwustu milionów złotych, a w następnym ponad 340 milionów złotych. Procesy te kontynuowano w latach 80., wymieniając wyposażenie przędzalni i wprowadzając w tkalniach krosna bezczółenkowe STB i MAW. Zakład produkował różne rodzaje przędzy bawełnianej, tkaniny flanelowe, dewetyny, drelichy, koce, tkaniny odzieżowe i pościelowe, teksas drukowany, chustki na głowę oraz tkaniny powlekane i sklepane. Część produkcji eksportowano do ZSRR, NRD, Jugosławii, Kanady, Syjamu, Sri Lanki i Libii.

Po wojnie w zakładach kontynuowano wypracowane wcześniej formy działalności kulturalnej, sportowej i socjalnej. Ponownie zorganizowano zespół teatralny, który przyjął formułę amatorskiego teatru robotniczego. Opiekę nad nim objął ponownie Józef Pilarski, który przygotował premiery *Ciotki Karola*, *Wujaszka z Gwadelupy* i adaptacji *Krzyżaków* – za którą zespół otrzymał drugą nagrodę na festiwalu robotniczych teatrów amatorskich w Warszawie. Scena w dawnej fabryce Geyera funkcjonowała, z przerwą w latach 1950-52, do 1955 roku, kiedy to sekcja teatralna ostatecznie zawiesiła swoją działalność.

W styczniu 1946 roku reaktywowano także Klub Sportowy „Geyer”. Jako pierwsze wznowiły działalność sekcje: piłkarska, bokserska oraz lekkoatletyczna. Jednak już pod koniec tego roku zmieniono nazwę na Klub Sportowy „Tęcza”,

który, objęty opieką ze strony zakładów, kontynuował tradycje sportu wśród robotników dzielnicy Górna.

Prowadzono także rozbudowaną działalność socjalną, utrzymując przychodnię lekarską, stołówkę, bibliotekę, dwa przedszkola i żłobek, zakładowy dom kultury oraz obiekt kolonijny.

Kres

Zmiany, jakie nastąpiły w gospodarce po 1990 roku, związane z ograniczeniem eksportu na wschód, zmniejszeniem popytu na rynku wewnętrznym oraz gwałtownym wzrostem oprocentowania kredytów, spowodowały zadłużenie zakładów, trudności z zakupem surowca i utrzymaniem płynności finansowej. Przedsiębiorstwo poddano procesowi restrukturyzacji wydzielając z niego firmę „Lokanda”, która przejęła oddziały przy ulicy Rzgowskiej i Wróblewskiego, dom kultury i dwa ośrodki wypoczynkowe. Obiekty fabryczne, po zlikwidowaniu w nich produkcji, zostały wydzierżawione lub sprzedane. Po tej operacji ZPB „Eskimo” pozostało w kwartale ulic: Piotrkowska, Wólczańska, Czerwona i Sieradzka. Zatrudnienie, sięgające w latach 70. sześć tysięcy pracowników, systematycznie zmniejszono, tak że w roku 1998 pracowało tu 760 osób, w 2000 roku – 460, a w 2002 zaledwie 370. Na podstawie aktu komercjalizacji, od 1 lipca 1998 roku zakłady funkcjonowały jako jednoosobowa spółka Skarbu Państwa, występując pod nazwą Zakłady Przemysłu Bawełnianego „Eskimo” S.A. Nie udały się próby sprzedania zakładów – Agencja Prywatyzacji trzykrotnie ogłaszała przetarg i trzykrotnie go odwoływała, mimo że za każdym razem zgłaszali się potencjalni nabywcy. Ostatecznie

historia



8 marca 2002 Sąd Rejonowy Łódź- Śródmieście, na wniosek dostawcy bawełny, szwajcarskiej firmy Paul Reinhart A.G., ogłosił upadłość ZPB „Eskimo”, których zadłużenie przekroczyło 21 milionów złotych, a każdy miesiąc kontynuowania produkcji przynosił straty w wysokości około czterystu tysięcy złotych. Zarząd zakładów przejął syndyk, który w ciągu kilku dni całkowicie wstrzymał produkcję i zwolnił wszystkich pracowników. Teren zakładów, położony w centrum miasta, zakupiła w 2005 roku polsko-hiszpańska firma deweloperska „Urbanica”, która planuje, po wyburzeniu części zabudowań fabrycznych, wzniesienie tu osiedla budynków mieszkalnych z apartamentami. Inwestycja ta jest w stadium projektowania. Tak zakończyły się definitywnie dzieje przemysłowców, którzy wnieśli istotny wkład w rozwój Łodzi.

Piotr Jaworski

– starszy kustosz w Centralnym Muzeum Włókiennictwa

Bibliografia:

A. Berkowicz, *Geyerowska legenda*, Łódź 1961; O. Flatt, *Opis miasta Łodzi pod względem historycznym, statystycznym i przemysłowym*, Warszawa 1853; P. Jaworski, *Biała Fabryka Ludwika Geyera w Łodzi*, Łódź 2005; P. Jaworski, *Historia zakładów bawełnianych Ludwika Geyera w Łodzi*, [w:] *Dawne zakłady Ludwika Geyera 1828-2002. Ludzie, produkcja, wzornictwo*, Centralne Muzeum Włókiennictwa (katalog wystawy), Łódź 2006; P. Jaworski, *Ludwik Geyer – pierwowzór „Lodzermenscha”*, [w:] *Geyer, Scheibler i inni... „Sztuka w Łodzi (4)”*, Łódź 2007; P. Jaworski, *Sytuacja ekonomiczno-finansowa Towarzystwa Akcyjnego Wyrobów Bawełnianych Ludwika Geyera w Łodzi w latach 1918-1939*, „Acta Universitatis Lodzianensis”, Folia Historica 47, Łódź 1992; M. Komar, *Powstanie i rozwój zakładów przemysłowych Ludwika Geyera 1827-1847*, „Rocznik Łódzki” 1933, t. III; Z. Małecki, *Studia nad źródłami kapitałów w łódzkim przemyśle włókienniczym*, Warszawa 1969; G. Missalowa, *Studia nad powstaniem łódzkiego okręgu przemysłowego 1815-1870*, t. III, Łódź 1975; S. Pytlas, *Łódzka burżuazja przemysłowa w latach 1864-1914*, Łódź 1994; A. Rynkowska, *Przedsiębiorstwo Ludwika Geyera w latach 1828-1870*, [w:] Centralne Muzeum Włókiennictwa, Łódź 1975; P. Spodenkiewicz, *Rodzina stara jak Łódź*, „Dziennik Łódzki” 2002, nr 46 z 23/24.02; *Zakłady Przemysłu Bawełnianego „Ludwik Geyer” Spółka Akcyjna Łódź*, [w:] *Powszechna Wystawa Krajowa – Poznań 1929. Przemysł włókienniczy*, Łódź brw.

Niesłusznie zapomniani

*Silbersteinowie – przemysłowcy,
filantropi, artyści*

historia

Sławą swoich osiągnięć nie dorównali skoliigaconej z nimi rodzinie Poznańskich. Nie trafili do panteonu „ojców miasta”. Nie zbudowali pałacu, który byłby podziwiany do dziś. Nie zagościli na stałe w pamięci Łódzian, choć ich dokonania zasługują na uznanie i szacunek. Silbersteinowie, bo o nich mowa, należeli do elity burżuazji łódzkiej przełomu XIX i XX wieku. Żyli we własnym, dość wąskim kręgu rodzinnym. Wśród żydowskiej burżuazji przemysłowej pod względem zamożności ustępowali jedynie rodzinie Poznańskich-Hertzów. Przodowali natomiast pod względem zaangażowania w licznych instytucjach gospodarczych i społecznych, podejmowania różnych inicjatyw, służących ogółowi mieszkańców Łodzi. Byli też Silbersteinowie rodziną, która w najpełniejszym chyba zakresie realizowała wzór życia właściwy dla społeczności Żydów „reformowanych”, odchodzących od ortodoksyjnych reguł, otwartych na kontakty z innymi środowiskami i Ignących do polskości. W osobach Markusa i Teresy Silbersteinów oraz ich syna Stanisława, miała Łódź rzutkich przedsiębiorców, wrażliwych filantropów, hojnych mecenasów kultury i sztuki.

Rodzina

Tradycja mówiąca o przybyłych z Niemiec protoplastach rodu Silbersteinów nie znajduje potwierdzenia źródłowego. Pewne jest natomiast, że w 1811 roku w Pilicy koło Zawiercia przyszedł na świat Joachim Silberstein, syn Icka i Gitli z Tambergów. Wcześniej osierocony trafił do krewnych w Pabianicach. Większość czasu spędzał nad Talmudem, ale nie poświęcił się studiom judaistycznym. Ożeniony około 1831 roku z Adelą Gliksman zajął się handlem w Praszce i Pabianicach. Praszka, leżąca tuż przy granicy pruskiej i posiadająca komorę celną, była wówczas miejscem bardzo ożywionej wymiany handlowej, także takiej, która komorę celną omijała. Zgromadzony kapitał pozwolił Joachimowi na zmianę zainteresowań. Z dużym powodzeniem zaangażował się w eksploatację lasów i obrót drewnem. Przez prawie 30 lat mieszkał w Lubochni, ówczesnym centrum dóbr rządowych i rozległych kompleksów leśnych. Miejsca urodzin kolejnych dzieci wyznaczały krąg jego kontaktów handlowych. W Praszce urodzili się: Augusta i Izaak Izidor. W Lubochni – Markus, a w Pabianicach – Dawid i Mana (Marianna). Owdowiały Joachim przed 1860 roku osiedlił się w Łodzi. Zamieszkał

w rewirze żydowskim przy ulicy Solnej 11. Przez kilka lat zajmował się wyrębem drzew w lasach miejskich, następnie zajął się spekulacyjnym obrotem nieruchomościami. Majątek sukcesywnie przekazywał dzieciom. Od początku swego pobytu w Łodzi Joachim Silberstein był postacią wyróżniającą się wśród społeczności żydowskiej. W latach 1873-84 pełnił funkcję starszego w Dozorze Bóźniczym, do czego predestynować go mógł majątek, wiedza lub oba te walory łącznie. Był także jednym z inicjatorów budowy, a następnie aktywnym członkiem komitetu nadzorującego wznoszenie synagogi reformowanej. W obu tych instytucjach współpracował z Izraelem K. Poznańskim.

Opowiadając się po stronie Żydów „oświeconych”, był jednak tradycyjnistą jeśli chodzi o kojarzenie małżeństw swoich dzieci, troskliwie wyszukując im partnerów. Najwcześniej zawarł związek małżeński syn Markus. W 1865 roku poślubił Hudesę (używała imienia Teresa) Cohn, wykształconą córkę bogatego warszawskiego kupca i właściciela kamienicy – Mojżesza Dawida Cohna. Wniesiony przez nią posag (2250 rubli gotówką oraz 1250 rubli w wyprawie obejmującej biżuterię, stroje i wyposażenie) był istotnym dopełnieniem majątku Markusa, szacowanego na sześć tysięcy rubli. Dla Markusa znacznie ważniejsze było jednak wejście poprzez ten związek do bogatej rodziny, reprezentującej kapitał finansowy związany z rodzinami Eigerów i Epsteinów. Intercyza przedślubna stanowiła, że cały majątek uzyskany w trakcie trwania małżeństwa będzie wspólną własnością obojga małżonków. Wskazywało to na szczególną, równoprawną pozycję Teresy Silberstein. Dziesięć lat później więź z rodziną Cohnów została wzmocniona przez małżeństwo młodszego syna Joachima-Dawida, z siostrą Teresy, Sarą Rachelą Cohn. O małżeństwach pozostałych trojga dzieci Joachima Silbersteina zachowały się jedynie szczątkowe informacje. Najstarszy syn Izidor poślubił pochodzącą z Tomaszowa Libę Batawi, o której, podobnie jak o mężu najstarszej córki Augusty, nie wiemy nic bliższego. Izidor nie podjął nigdy własnej działalności gospodarczej, pracując u swoich braci. Na przełomie XIX i XX wieku był rentierem żyjącym ze zgromadzonego kapitału. Najmłodsza córka Joachima, Mana Silberstein, została około 1870 roku żoną Józefa Guttmana, pracownika łódzkiego oddziału Warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń od Ognia.

Markus i Teresa Silbersteinowie stanowili dobrane, wspierające się wzajemnie małżeństwo. Osiągnięcie wysokiej pozycji majątkowej, a wraz z nią społecznej, pozwalało nie tylko realizować własne aspiracje, ale także angażować się w działalność publiczną. Pomysłodawczynią wielu przedsięwzięć była Teresa. Uchodziła za kobietę jak na ówczesne standardy bardzo dobrze wykształconą. Znała kilka języków, literaturę i historię Polski. Z tradycją żydowską związana była dość luźno. Nie nosiła peruki, nie uczyła dzieci języka jidysz, w jej domu nie obchodzono świąt żydowskich, nie przestrzegano postów. Inicjowała i angażowała się w różne przedsięwzięcia filantropijne. Jej zasługą było utworzenie w 1893 roku przy ulicy Zakątnej 19 domu dla sierot wyznania mojżeszowego im. Małżonków Silberstein. Dziesięć lat później, staraniem Teresy, placówka otrzymała nowy, dwupiętrowy budynek, w którym korzystało z

opieki 60 dzieci wychowywanych w duchu tendencji postępowych i asymilatorskich. Naraziło to fundatorkę na ataki ze strony środowiska ortodoksyjnego. Z dużym powodzeniem przeniosła Teresa na grunt łódzki znaną jej z Warszawy ideę organizowania kolonii letnich dla dzieci z ubogich rodzin. Stała na czele komitetu organizacyjnego i sama zbierała potrzebne fundusze, urządzając bale karnawałowe, loterie, wystawy dzieł sztuki. Teresa Silberstein wyróżniała się także ofiarnością na rzecz Łódzkiego Żydowskiego Towarzystwa Dobroczyńności. Zmarła w sierpniu 1914 roku, zapisując wielotysięczne legaty na rzecz 17 instytucji dobroczynnych, także chrześcijańskich. W pogrzebie tej, jak pisano *kobiety znanej z wybitnej działalności dobroczynnej i niezwykłych zalet*, uczestniczył wielotysięczny tłum. Na polecenie magistratu latarnie i fasady domów przy ulicy Piotrkowskiej, którą przechodził kondukt, spowito kirem.

W podobnej atmosferze, piętnaście lat wcześniej Łódź żegnała Markusa Silbersteina, zmarłego przedwcześnie w trakcie leczenia w Nicei. Zgodnie ze swoją wolą spoczął na cmentarzu żydowskim przy ulicy Brackiej, gdzie kilka lat później Teresa Silberstein wzniosła jedno z najpiękniejszych w Polsce mauzoleów rodzinnych.

Trzecie pokolenie

Wszystkie z sześciorga dzieci Markusa i Teresy Silbersteinów znalazły partnerów życiowych o wysokim statusie wykształcenia i majątku, wywodzących się spośród elitarnych rodzin Łodzi, Warszawy i Krakowa. Najstarsza córka Markusa, Ajdla (Ada), poślubiła krakowskiego prawnika, dr. Jana A. Proppera. Mieszkali w Tarnowie, Krakowie, a od 1927 roku w Zakopanem, gdzie zbudowali dla siebie willę. Ich córka Helena zamieszkała w latach 30. w Łodzi, gdzie jej mąż dr praw Juliusz Bornet był wiceprezesa zarządu Towarzystwa Akcyjnego Markusa Silbersteina i Izby Przemysłowo-Handlowej. Druga córka, Chana (Ewelina), zgodnie z życzeniem ojca wyszła za mąż za inż. Hersza (Henryka) Rafaela Birnbauma, syna zaprzyjaźnionego z rodziną właściciela fabryki. Po kilkunastu latach małżonkowie rozwiedli się, do czego przyczyniły się kontrowersje między Birnbaumem a Teresą Silberstein co do kierunku rozwoju i sposobu finansowania wspólnych przedsięwzięć. W 1892 roku Markus zaaranżował, mimo początkowych oporów córki, najświetniejszy bez wątpienia mariaż XIX-wiecznej Łodzi: Salomea (Sara) Silberstein poślubiła inż. Maurycego Poznańskiego, absolwenta studiów ekonomicznych i rolniczych w Berlinie, syna „króla bawełny” Izraela Kalmanowicza Poznańskiego. Maurycy szybko wrosł w rodzinę, odgrywając, zwłaszcza od początku XX wieku, coraz poważniejszą rolę w zarządzaniu szybko rozwijającym się konsorcjum przemysłowym Silbersteinów. Staś (Stanisław) Silberstein poślubił Reginę, córkę Kiwy (Jakuba) Eigera, kupca warszawskiego, blisko związanego długoletnią znajomością z rodziną matki, Cohnami. W tym samym czasie najmłodsza córka Markusa, Jadwiga Diana, poznała brata panny młodej Simche Binem (Bolesława) Eigera, z którym zawarła związek małżeński. Eigerowie przebywali najczęściej w Warszawie lub w letniej rezydencji – pałacu w Wysokiej koło Zawiercia, gdzie byli właścicielami dużej cementowni.



W stanie kawalerskim pozostawał najmłodszy syn Markusa, Mieczysław. Mieszkał wraz z rodzicami przy ulicy Piotrkowskiej 40, a jego mieszkanie wypełnione było książkami i różnymi zbiorami przywożonymi z licznych podróży. Po ukończeniu studiów chemicznych w Genewie kierował fabryką ojca przy ulicy Piotrkowskiej 242/248. Był jednym z nielicznych łódzkich przedsiębiorców, którzy w latach rewolucji 1905-07 roku nie wyjechali z miasta. We wrześniu 1907 roku zginął zastrzelony przez robotników w trakcie pertraktacji o podwyżkę płac. Wywołana tym zabójstwem brutalna pacyfikacja fabryki przez Kozaków i egzekucja siedmiu robotników bez wyroku sądowego, położyła się cieniem na relacjach między Silbersteinami a robotnikami.

Po śmierci Markusa Silbersteina związki jego dzieci i ich rodzin z Łodzią słabły. Rodzinne miasto odwiedzano tylko w celu uczestniczenia w corocznych posiedzeniach zarządu Towarzystwa Akcyjnego rodzinnych zakładów. Częściej spotykano się w Lisowicach koło Brzezin, gdzie stałe przebywała Teresa. W pierwszych latach po zakończeniu I wojny światowej w Łodzi mieszkali tylko Poznańscy, spędzający większość czasu za granicą. Około 1930 roku zamieszkali na stałe w Nicei. Stanisław Silberstein w 1919 roku wyjechał do Francji i tylko sporadycznie przyjeżdżał do Łodzi. W 1942 roku deportowany z osławionego obozu w Drancy, zginął w Oświęcimiu.

W pokoleniu wnuków Markusa prawie wszyscy zdobyli wyższe wykształcenie i wiązali się poza Polską małżeństwami z przedstawicielami rodów arystokratycznych francuskiego bądź belgijskiego establishmentu pochodzenia żydowskiego. Ci, którzy ocalili z holokaustu, rozproszyli się po niemal całym świecie.

Jak pomnażać majątek

Droga Silbersteinów do kariery prowadziła, podobnie jak większości przemysłowców żydowskich, poprzez handel. Stabilizację finansową zapewnił rodzinie Joachim dzięki zręcznie prowadzonym interesom w Praszce, Lubochni i Pabianicach. Działalność handlową podjął też Dawid Silberstein, zajmując się handlem farbami, prowadzeniem sprzedaży komisowej i agencji różnego rodzaju ubezpieczeń. W latach 80. XIX wieku był właścicielem fabryki farb oraz kilku nieruchomości w Łodzi.

Nieco inaczej potoczyła się kariera zawodowa Markusa Silbersteina. Rozpoczął ją jako chłopiec na posyłki. Dwuletnia praktyka w firmie handlowej Markusa Łaskiego pozwoliła mu opanować arkana buchalterii, korespondencji handlowej i technicznej. W 1861 roku założył firmę handlową, znajdując dla niej siedzibę przy ulicy Nowomiejskiej 7. Świetna lokalizacja między Starym a Nowym Rynkiem gwarantowała liczną klientelę. Wkrótce Markus nawiązał ścisły kontakt z Rudolfem Kindlerem, pabianickim fabrykantem tkanin wełnianych i półwełnianych. Występował w roli komisanta pabianickiej firmy, mając wyłączność na handel jej wyrobami i otrzymując prowizję od obrotów. Zgromadzone środki umożliwiły Markusowi w 1866 roku przekształcenie firmy w dom handlowy, w którym także Kindler przez kilka lat angażo-

wał swoje kapitały. Istotą funkcjonowania domu handlowego była kumulacja zysków i innych dochodów w celu stworzenia podstaw do szerszej działalności gospodarczej. Kapitał zakładowy domu handlowego Silbersteina rósł nieprzerwanie z roku na rok. W 1891 roku jego wartość wynosiła 2,2 miliona rubli. Z kumulowanych zysków Markus systematycznie kupował nieruchomości, wśród nich atrakcyjnie położone puste place. W 1872 roku Teresa i Markus Silbersteinowie nabyli za 32 tysiące rubli posesję przy ulicy Piotrkowskiej 40, składającą się z dwupiętrowego budynku frontowego i oficyn. Po przebudowie stała się nowym domem rodziny, zwanym „centralą”. W 1894 roku Markus Silberstein kupił za 50 tysięcy rubli majątek ziemski Lisowice pod Brzezunami. Nie mógł wówczas przypuszczać, jak istotną rolę odegra to miejsce w życiu jego rodziny.

Wieloletnia współpraca z Rudolfem Kindlerem pozwoliła Silbersteinowi zdobyć rozeznanie w branży wełniarskiej. W 1871 roku zorganizował w dzierżawionym lokalu w Pabianicach niewielką tkalnię ręczną, zatrudniającą 12 tkaczy i dającą produkcję o rocznej wartości sześciu tysięcy rubli. Ponadto zatrudniał 120 tkaczy chałupników. Znaczące rozszerzenie produkcji związane było z nabyciem w latach 1877-98 posesji przy ulicy Piotrkowskiej 242/250. Silberstein uruchomił tam trzy tkalnie wyrobów wełnianych i półwełnianych, instalując w nich 585 krosien i zatrudniając blisko siedemset robotników. Tym samym przedsiębiorstwo Silbersteina znalazło się w pierwszej czwórce największych w Królestwie Polskim zakładów branży wełnianej. W 1891 roku wartość budynków, maszyn i urządzeń wyceniano na 425 tysięcy rubli. Szczególne wrażenie wywołuje jeszcze dziś imponująca, czterokondygnacyjna, stylizowana na budowlę obronną tkalnia przy ulicy Piotrkowskiej 242/250, zaprojektowana przez łódzkiego architekta Adolfa Zeligsona.

Lata 70. XIX wieku były okresem wyjątkowo dobrej koniunktury w przemyśle włókienniczym Łodzi i okręgu. Rozbudowa systemu kolejowego i korzystne po 1877 roku taryfy celne, umożliwiały silną ekspansję na rynki wschodnie. Dzięki dobrej jakości i niskiej cenie wyrobów, Silbersteinowi udało się sprzedawać na rynku rosyjskim przeważającą część swojej produkcji. Lata 80. XIX wieku przyniosły zahamowanie trendów wzrostowych w przemyśle. Zmieniła się struktura kosztów i cen, malały zyski. Dla tkanin wełnianych i półwełnianych pojawiła się konkurencja ze strony przemysłu bawełnianego, którego znacznie tańsze wyroby szybko znalazły masowego odbiorcę. To stanowiło wystarczający bodziec do rozpoczęcia budowy dużej przędzalni bawełny. Silberstein wznosił ją na kupionych wcześniej parcelach między ulicami Dziką (obecnie Sienkiewicza), Widzewską (Kilińskiego) i Pustą (Wigury). W 1891 roku wartość tego zakładu szacowano na 415 tysięcy rubli, a pracowało w nim 262 robotników. Po zakończeniu tej inwestycji Markus Silberstein zmienił formę własności części swego majątku. Odrębność zachował nadal istniejący dom handlowy Silbersteina, natomiast wszystkie zakłady przemysłowe skupiono w Towarzystwie Akcyjnym Wyrobów Wełnianych i Bawełnianych Markusa Silbersteina, którego kapitał zakładowy wynoszący dwa miliony rubli podzielono na dwieście akcji. Spółka miała

charakter rodzinny. W jej zarządzie, obok Markusa, który objął funkcję prezesa i dyrektora zarządzającego, zasiadali: Teresa Silberstein, Stanisław Silberstein, Henryk Rafael Birnbaum (zięć Markusa) oraz Zygmunt Lichtenfeld (żonaty z siostrą Teresy Silberstein, Klaudią). W ostatnim dziesięcioleciu XIX wieku w fabrykach spółki znacznie wzrosła liczba maszyn i zatrudnionych robotników. Akcjonariuszom wypłacano bardzo wysokie dywidendy. Na otwarcie własnego przedsiębiorstwa zdecydował się wówczas zięć Markusa, Henryk Birnbaum. Przy ulicy Piotrkowskiej 258/260 uruchomił przędzalnię wełny czesankowej. W 1896 roku przekształcił zakład w spółkę akcyjną, w której głównym udziałowcem był Markus Silberstein. Z myślą o powiększeniu tego przedsiębiorstwa Markus nabył rozległe parcele przy ulicy Widzewskiej (Kilińskiego) i graniczące z nimi tereny wsi Dąbrówka. Powstać tam miało wielowydziałowe przedsiębiorstwo przerobu wełny czesankowej. Niespodziewana śmierć Markusa Silbersteina nie pozwoliła na zrealizowanie tego projektu. Po wycofaniu się Birnbauma z prowadzenia własnej przędzalni, przeszła ona pod zarząd utworzonego Towarzystwa Akcyjnego Przędzalni Czesankowej „Dąbrówka”, kierowanego przez Teresę i Stanisława Silbersteinów. Dodać trzeba, że przed 1914 roku rodzina Silbersteinów przejęła kontrolę nad trzecim wielkim przedsiębiorstwem włókienniczym, zlokalizowanym w Piotrkowie Trybunalskim. Po licznych przekształceniach organizacyjno-własnościowych rozpoczęło ono produkcję jako Towarzystwo Akcyjne Manufaktury Piotrkowskiej, w którym główną rolę odgrywali Stanisław Silberstein i jego szwagier Maurycy Poznański. W ten sposób powstał duży koncern włókienniczy, zarządzany przez rodzinę Silbersteinów, w rękach której spoczywały akcje o wartości 4,5 miliona rubli.



Podziw i uznanie musi budzić cechujące Markusa Silbersteina, a właściwie tylko nielicznym fabrykantom jego epoki, wyczucie rynku i umiejętność podejmowania trafnych decyzji inwestycyjnych. Był przecież Markus samoukiem. Na jego życiowy sukces złożyło się, poza zdolnościami, wieloletnie doświadczenie i praktyka handlowo-przemysłowa. Docenił jednak znaczenie wiedzy dla prowadzenia interesów. Około 1882 roku sfinansował zagraniczne studia swego bratanka Stanisława, który po powrocie do Łodzi podjął pracę jako dyrektor domu handlowego stryja. Dobrze zapowiadającą się karierę młodego inżyniera przerwał śmiertelny upadek z drabiny. W latach 1888-94 Markus Silberstein wysłał na naukę w Niemczech i Szwajcarii swoich synów: Stanisława i Mieczysława. Zdobyta wiedza zaowocować miała w rodzinnym przedsiębiorstwie.

W latach międzywojennych główną rolę w konsorcjum Silbersteinów odgrywały trzy osoby: Maurycy Poznański (do śmierci w 1937 roku), Stanisław Silberstein i Juliusz Bornet (wnuk Markusa). Poszukiwano nowych rynków zbytu, umiejętnie modyfikowano profil produkcji, unowocześniano park maszynowy, elastycznie reagowano na wciąż zmieniającą się koniunkturę. Pomyślne tendencje rozwojowe, widoczne po przezwyciężeniu wielkiego kryzysu gospodarczego, przerwał wybuch II wojny światowej. Majątki Silbersteinów, jako mienie osób pochodzenia żydowskiego, zostały zajęte przez niemieckie władze okupacyjne. Po 1945 roku wszystkie obiekty przemysłowe zostały upaństwowione. W większości z nich produkcja włókiennicza trwała do lat 90. XX wieku.

Aktywność społeczna i filantropia

Środowisko wielkiej łódzkiej burżuazji żydowskiej porównywało swoją pozycję i rolę społeczną z położeniem Żydów w zachodniej Europie, zwłaszcza w Niemczech. Dostrzegano dokonujący się tam awans ekonomiczny oraz postępującą integrację z miejscowym mieszczaństwem. Realizacja podobnego procesu w miastach Królestwa Polskiego była o wiele trudniejsza, choćby z racji braku samodzielności politycznej i obecności licznych grup ubogich Żydów, silnie związanych z tradycją, niechętnych jakimkolwiek zmianom. Te okoliczności sprawiły, że zamożna burżuazja wzięła na siebie ciężar modernizacji, poczynając od pomocy najbardziej jej potrzebującym, a kończąc na tworzeniu instytucji potrzebnych ogółowi. W takim nurcie aktywności odnajdujemy Silbersteinów. Gdy na początku lat 80. XIX wieku skala pomocy niezbędnej najuboższymi członkom gminy żydowskiej przekroczyła jej możliwości finansowe, utworzono w 1884 roku Stowarzyszenie Pielęgnowania Chorych Żydów „Linus Hacholin” z Markusem Silbersteinem na czele. Niechęć władz rosyjskich do powołania żydowskiej organizacji dobroczynnej sprawiły, że dopiero w 1899 roku powstało Łódzkie Żydowskie Towarzystwo Dobroczynności. Jednym z najczynniejszych jego inicjatorów był Markus. Na uwagę zasługują jego darowizny na rzecz ubogiej ludności chrześcijańskiej. W 1896 roku przeznaczył na ten cel kwotę dwóch tysięcy rubli, a w sporządzonym rok

później testamentem zapisał kwotę trzech tysięcy rubli. W działalności ŁZTD Silbersteinowie byli drugą obok Poznańskich i Hertzów rodziną wspierającą finansowo działalność Towarzystwa. Wieloletnim członkiem zarządu był Stanisław Silberstein, czynny także we władzach przytułku noclegowego i komitetu organizującego w 1905 roku roboty publiczne.

Długa jest lista funkcji pełnionych przez Markusa Silbersteina. Nie mniej długa instytucji, których działalność wspierał finansowo. W latach 1885-87 prezesował Żydowskiemu Stowarzyszeniu Pielęgnowania Chorych „Bikur Cholim”. Od 1886 roku uczestniczył w pracach komitetu mającego doprowadzić do założenia w Łodzi wodociągów i kanalizacji. Jako członek Rady Opiekuńczej gimnazjum męskiego przeznaczył 10 tysięcy rubli na jego działalność, a w 1892 roku ofiarował wyposażenie pracowni fizycznej. Od 1891 roku przeznaczał systematycznie znaczne sumy dla szpitala im. Małżonków I. K. i L. Poznańskich. W 1894 roku przewodniczył łódzkiemu Dozorowi Bóźniczemu. W 1898 roku zadeklarował pomoc finansową dla budowy projektowanej Politechniki Warszawskiej. W chwili śmierci był Podstarszym Zgromadzenia Kupców m. Łodzi, wiceprezesem Towarzystwa Popierana Przemysłu i Handlu, członkiem założycielem towarzystw: Dobroczynności, Kolei Elektrycznej Łódzkiej i członkiem komitetów: Giełdy Łódzkiej, Czerwonego Krzyża, Szkoły



Handlowej, Straży Ogniowej oraz członkiem zarządów „Talmud Tora” i Domu dla Starców i Kalek.

Nie mniejszą aktywność przejawiał Stanisław Silberstein, zwłaszcza po 1918 roku w instytucjach polskich i samorządowych. Zasiadał w zarządach: Stowarzyszenia Subiektów, Łódzkiego Pogotowia Ratunkowego (od chwili jego założenia w 1899 roku), Łódzkiego Żydowskiego Towarzystwa Dobroczynności, Łódzkiego Towarzystwa Teatralnego, którego był współzałożycielem i fundatorem części jego „funduszu żelaznego”. W 1898 roku inicjował powstanie szpitala dla dzieci żydowskich (wspólnie z dr. Sewerynem Sterlingiem, kupcem Stanisławem Jarocińskim i architektem Adolfem Zeligsonem) oraz polskiego Towarzystwa Macierzy Szkolnej, w którym działał w latach 1905–07. W kwietniu 1906 roku społeczność żydowska wystawiła jego kandydaturę do I Dumy. W 1912 roku był członkiem Rady Opiekuńczej Gimnazjum Zgromadzenia Kupców, Podstarszym Zgromadzenia Kupców i członkiem rady Zarządzającej Towarzystwa Kolei Elektrycznych Łódzkich. Trwale zapisał się w dziejach Łodzi jako wiceprzewodniczący Głównego Komitetu Opiekuńczego, kierującego życiem miasta w okresie od 3 sierpnia 1914 do 30 czerwca 1915 roku.

Lata międzywojenne przyniosły obok rozwoju ustawodawstwa socjalnego tworzenie różnych instytucji państwowych i samorządowych, których zadaniem była szeroko rozumiana opieka społeczna. W ślad za tym zmalało zaangażowanie łódzkiej burżuazji w tą sferę życia. Ostatnią dobroczynną inicjatywą potomków Markusa i Teresy było przekazanie w 1938 roku za pośrednictwem Juliusza Borneta, nieruchomości przy ulicy Południowej 66 na rzecz istniejącego od 1923 roku łódzkiego towarzystwa dla dziewcząt wyznania mojżeszowego „Przytulisko”.

Lisowicka wilegiatura

Do swoistego *decorum* łódzkiej burżuazji przełomu XIX i XX wieku należało posiadanie majątku ziemskiego. Posiadłość była nie tylko symbolem zamożności i prestiżu, ale zbliżała do chętnie naśladowanego sposobu życia arystokracji. W nabytym w 1894 roku przez Markusa Silbersteina 276 morgowym majątku w Lisowicach znajdował się między innymi XVIII-wieczny pałac, będący dawną rezydencją biskupów łowickich. Poddany przebudowie według projektu Adolfa Zeligsona, zyskał taras i półkolistą przybudówkę. Atrakcyjnie położony nad rzeką Mrogą wśród lasów i stawów stał się ulubionym miejscem wypoczynku rodziny Silbersteinów. Od 1907 roku, po tragicznej śmierci ukochanego syna Mieczysława, zamieszkała w nim na stałe Teresa Silberstein. Czternastopokojowy pałac został wówczas gruntownie zmodernizowany. Założono wodociąg, doprowadzono elektryczność, urządzono oranżerię i kort tenisowy. W sezonie letnim część pomieszczeń wynajmowano szukającej wypoczynku inteligencji łódzkiej, gotowej zapłacić 150–175 rubli miesięcznie za pokój wraz z wyżywieniem. Po śmierci Teresy majątek i pałac stał się niepodzielną własnością jej dzieci. Użytkowany był przez członków rodziny, każdego w innym roku, by nie pogłę-

biać konfliktów o podłożu finansowym, które po 1914 roku poróżniły zgodnych dotąd Silbersteinów.

Mecenasi i artyści

W każdym pokoleniu rodziny Silbersteinów znaleźć można osoby obdarzone ponadprzeciętnymi uzdolnieniami artystycznymi. Córka Markusa, Ewelina, wcześniej ujawniła predyspozycje pianistyczne. Ojciec nie zgodził się na jej publiczne występy, ale wysłał do Wiednia, gdzie studiowała u Teodora Leszetyckiego, najwybitniejszego wówczas pedagoga europejskiego. Jego uczniami byli między innymi Ignacy Paderewski i Mieczysław Horszowski. Stanisław Silberstein próbował swoich sił w poezji, Mieczysław doskonale grał na skrzypcach, interesował się sztuką starożytną, kolekcjonując jej zabytki. O zamiłowaniu do muzyki wymownie świadczy obecność Markusa Silbersteina w gronie 37 osób, które w 1887 roku starały się założyć Łódzkie Towarzystwo Muzyczne.

Cała rodzina należała do członków-założycieli łódzkiego Towarzystwa Teatralnego, powstałego w 1903 roku z inicjatywy Stanisława, a prowadzonego przez zarząd, którego prezesem był Maurycy Poznański. Duży wpływ wywierała na pewno atmosfera domu rodzinnego i zachęty ze strony Teresy Silberstein. Objęcie opieką finansową łódzkiego malarza Samuela Hirszenberga wynikać musiało z jej rozbudzonej wrażliwości artystycznej. Wraz z mężem i dr. Maksymilianem Cohnem finansowała od 1880 roku studia młodego artysty w krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych, a następnie w Akademii Monachijskiej. Także i później Silbersteinowie utrzymywali kontakt z Hirszenbergiem, kupując jego obrazy i polecając go innym zleceniodawcom (między innymi Poznańskim). W Lisowicach urządzano letnie plenery malarskie, na których goszczono Leopolda Pilichowskiego, Maurycego Trębacza, Edwarda Okunia i innych znanych artystów. Silbersteinowie dość systematycznie od 1893 roku kupowali obrazy w Warszawskim Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych, którego byli członkami rzeczywistymi. Tuż przed I wojną światową Stanisław Silberstein ufundował stypendium na pokrycie kosztów wyjazdu za granicę jednego łódzkiego malarza. Wybuch wojny udaremnił tę inicjatywę.

Bliskie kontakty łączyły Silbersteinów z utalentowanym architektem Adolfem Zeligsonem. Stał się on, rzecz by można, „rodzinnym” architektem Silbersteinów i Poznańskich, realizując od 1894 roku na ich zlecenie liczne projekty budynków fabrycznych, pałaców, rozbudowując szpital im. Małżonków Poznańskich. Mieli też Silbersteinowie zamiłowanie do gromadzenia książek. Zebrane przez siebie dzieła judaistyczne Markus Silberstein zapisał synagodze w Warszawie. Z kolei Teresa przeznaczyła zgromadzone dzieła sztuki dla mającego powstać Muzeum Judaistycznego. Bibliotekę po Mieczysławie Silbersteinie ofiarowało jego rodzeństwo w 1922 roku powstającej Miejskiej Bibliotece Publicznej w Łodzi. Rok później powiększono ten dar o kolejną partię książek wraz z odpowiednią kwotą na zakup szafy bibliotecznej. Z in-

tencją uczczenia pamięci rodziców i dziadków, w 1923 roku spadkobiercy Teresy i Markusa Silbersteinów przekazali do Muzeum Narodowego w Krakowie cenny obraz Hirszenberga *Szkoła talmudystów*. Trzy lata później Galeria Sztuki w Łodzi obdarowana została obrazem Urania tegoż artysty. Obecnie płótno znajduje się w zbiorach Muzeum Sztuki.

Krzysztof Paweł Woźniak
- dr historii, pracownik naukowy UŁ

Bibliografia:

1. K. Badziak, J. Strzałkowski, *Silbersteinowie, Lichtenfeldowie, Birnbaumowie, Poznafińscy, Eigeorowie*, Łódź 1994.
2. K. Badziak, J. Walicki, *Żydowskie organizacje społeczne w Łodzi (do 1939 roku)*, Łódź 2002.
3. F. Guesnet, *Żydowskie i niemieckie organizacje w Łodzi XIX wieku: typy i stosunki*, [w:] *Polacy – Niemcy – Żydzi w Łodzi w XIX-XX w. Sąsiedzi dalecy i bliscy*. Pod red. Pawła Samusia, Łódź 1997.
4. S. Pytlas, *Łódzka burżuazja przemysłowa w latach 1864-1914*, Łódź 1994.

Nowy salon Łodzi

Przeszość szansą teraźniejszości

historia

Każdego dnia tłum ludzi zmierza do miejsca położonego w północnej części centrum Łodzi, tuż obok Starego Rynku, niedaleko placu Wolności. To oczywiście dawna fabryka Izraela Kalmanowicza Poznańskiego, znana dziś jako Manufaktura, wielkie centrum handlowe, kulturalne i rozrywkowe, mieszczące się w znacznej mierze w zrewitalizowanych, „odzyskanych dla współczesności” budynkach fabrycznych. Obserwując ów tłum, trudno powstrzymać się od spostrzeżenia, że mamy do czynienia ze współczesnym salonem Łodzi, będącym ulubionym miejscem spotkań jej mieszkańców. Większość z odwiedzających Manufakturę udaje się na zakupy, do kina lub też po prostu chce miło spędzić wolny czas. Niektórzy wstępują jednak do zlokalizowanego w zrewitalizowanym gmachu MS², czyli miejsca ważnej kolekcji sztuki współczesnej, część osób kieruje się do Muzeum Fabryki, gdzie kameralna wystawa umożliwia poznanie przeszłości tego miejsca w nowoczesny, działający na wyobraźnię sposób. Ci, którzy zainteresują się bardziej przeszłością tego miejsca, czasem odwiedzają też Muzeum Miasta Łodzi, zajmujące monumentalny pałac Poznańskiego. Manufaktura stanowi na mapie Łodzi punkt niezwykły, w wyjątkowo wyrazisty sposób łączący przeszłość z teraźniejszością.

Przeszość tę warto jednak prześledzić, choćby z tego powodu, że fabryka Poznańskiego ma ważną dla rozwoju Łodzi historię. Jej wzloty i upadki, przywołujące na myśl skojarzenie z kołem fortuny, są z jednej strony niezwykle oryginalne, z drugiej zaś dość typowe dla burzliwych dziejów łódzkiego przemysłu włókienniczego.

Wielka fortuna

O wyjątkowości fabryki świadczy w pierwszej kolejności osoba jej właściciela – Izraela Kalmanowicza Poznańskiego, największego z łódzkich przemysłowców pochodzenia żydowskiego. Podkreśla się, że do połowy XIX wieku udział Żydów w przemysłowym życiu Łodzi był raczej niewielki – społeczność ta trudniła się przede wszystkim handlem, utrzymując związki z przemysłem przede wszystkim poprzez organizowanie systemu nakładczego. Aktywność ekonomiczna ludności żydowskiej zwiększyła się w znaczący sposób w wyniku reform dokonywanych w Królestwie Polskim w połowie XIX wieku, początkowo obejmujących między innymi ułatwienia w prowadzeniu działalności rzemieślniczej dla osób niebędących członkami cechów, do których nie mogli należeć Żydzi; a uwierczonych w latach 60. zniesieniem rewirów i innych przejawów dys-



kryminacji wyznawców judaizmu w dziedzinie praw cywilnych. Partycypantem tych zmian był i Poznański, trudniący się wówczas – i to na szeroką skalę – prowadzeniem manufaktury i działalnością handlową. Tymczasem postanowił rozpocząć we wspomnianym miejscu budowę swoich wielkich zakładów.

Miejsce, w którym Poznański ulokował swe imperium było niezwykle. Do połowy wieku większe zakłady przemysłowe w Łodzi wznoszono w dolinie Jasienia, przewidzianej jeszcze w latach 20. XIX wieku pod „posiadła wodno-fabryczne”. Jednak na początku lat 70. tereny te były już w większości zajęte, a pod nowe inwestycje przemysłowe zaczynało brakować w Łodzi miejsca. Ostatnim wielkim przemysłowcem, który zdołał ulokować swe przedsięwzięcia nad Jasieniem, a potem stworzył tam swe potężne „królestwo”, był Karol Scheibler. Zrozumiał zatem, że znajdujące się bezpośrednio na zachód od szybko rozwijającego się miasta pola mieszczańskie, stały się przedmiotem szczególnego zainteresowania potencjalnych inwestorów, którzy po wykupieniu działek samowolnie budowali tam przede wszystkim obiekty mieszkaniowe. Na przełomie lat 50. i 60. wyraźna stała się już konieczność zagospodarowania tego terenu. Wytyczono w tym miejscu kolejną dzielnicę, która zyskała miano Wiązowej. Jedynie w północnej części miasta, w okolicy cmentarzy i bezpośrednio nad Łódką znajdowały się wolne jeszcze, rozległe działki, mogące stanowić punkt wyjścia do budowy zwartego, przemysłowego imperium. W górze tej rzeki, na wschód od starej Łodzi, wyrosła z czasem potężna fabryka Biedermannów i browar Anstadta. Na obszarze leżącym pomiędzy Starym Miastem a nowymi cmentarzami przy Ogrodowej, począwszy od 1871 roku, kilkadziesiąt działek nabył Poznański, wykorzystując zapewne dobre stosunki sąsiedzkie łączące go z właścicielami. W ten sposób zaczęło powstawać nad Łódką wielkie imperium przemysłowe.

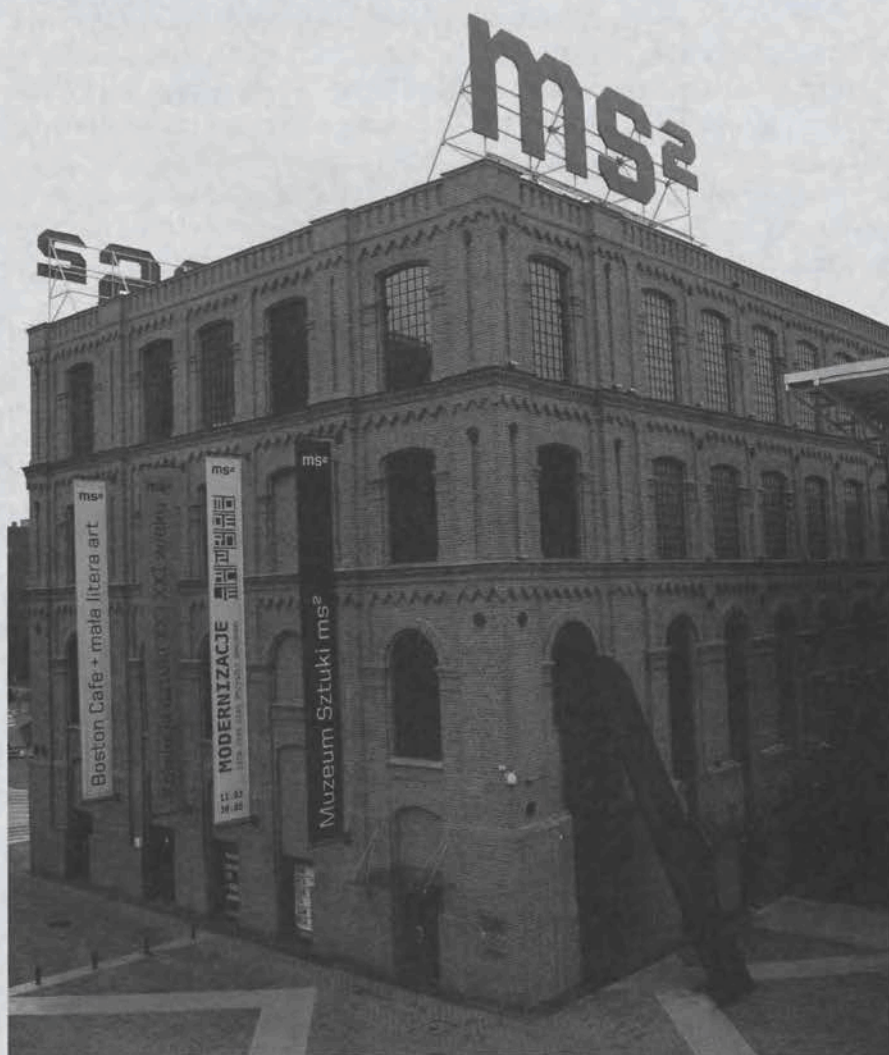




Rozwój zakładów był wyjątkowo intensywny – dość wspomnieć, że firma, która zatrudniała około trzystu robotników w 1872 roku zwiększyła zatrudnienie do ponad 6300 osób na przełomie wieków i siedmiu tysięcy w roku 1913. W 1889 roku firmę przekształcono w rodzinną spółkę akcyjną, dysponującą kapitałem w wysokości pięciu milionów rubli. Majątek całego przedsiębiorstwa wynosił wówczas 3,5 miliona rubli – w ten sposób zakłady Poznańskiego stanowiły drugi kombinat przemysłowy Łodzi. Firma, mimo swej potęgi, nie stanowiła jednak dobrej marki. Przeciwnie, jej sukces tkwił w produkcji tanich, nierzadko pochodzących z odpadków, wyrobów bawełnianych przeznaczonych na rynek rosyjski.

W owym czasie na dość zwartym terenie zakładów wyrastały kolejne budynki fabryczne, których nagromadzenie w jednym miejscu tworzyło niejako autonomiczne „miasto w mieście” – olbrzymią, zamkniętą przestrzeń trwale wpisaną w krajobraz północnych dzielnic Łodzi. Uwagę przykuwał budynek przędzalni, stanowiący tak charakterystyczny element krajobrazu ulicy Ogrodowej. Mimo że mniejszy od przędzalni Scheiblera na Księżym Młynie, znacznie przewyższał swą konkurentkę pod względem kształtu architektonicznego. O rozmachu Poznańskiego świadczy to, że gdy podczas budowy przędzalnię strawił pożar, właściciel postanowił od razu pójść za ciosem i nie tyle odbudować, co znacznie rozbudować pechowy budynek. Co charakterystyczne dla obyczajów panujących w „polskim Manchesterze” fabryce towarzyszyło osiedle domów robotniczych, do dziś domykających południową pierzeję ulicy Ogrodowej. Całość dopełniał pałac fabrykanta – wyjątkowo, nawet jak na łódzkie warunki, okazały – przywołujący na myśl obiegowe skojarzenia z paryskim Luwrem.





Reputacja „złego” kapitalisty

Izrael Poznański nie zdołał dożyć ukończenia budowy swego pałacu – zmarł 29 kwietnia 1900 roku. Mimo odniesionego olbrzymiego sukcesu nigdy nie cieszył się takim uznaniem jak jego największy, niedościgniony konkurent – Karol Scheibler. Działo się tak z kilku powodów. Poznański, a potem jego synowie, jako pierwsi na gruncie łódzkim prowadzili swoje interesy w zachodni, niezwykle intensywny sposób. Starsi przemysłowcy, głównie Niemcy, przestrzegający zasad etyki protestanckiej, wbrew pozorom na ogół nie afiszowali się ze swym majątkiem. Poznańscy, budujący swą fortunę w wyjątkowo imponującym tempie i wznoszący pełne przepychu pałace, budzili na

łódzkim bruku sporą zawiść. Zawiść ta miała niekiedy podtekst czysto rasowy. Łódzki literat i dziennikarz Artur Gliszczyński tak podsumowywał zmagania Poznańskiego, aby traktowano go jako uczciwego przedsiębiorcę, skorego także do bezinteresowności:

Są kozły ofiarne, którym słusznie, czy niesłusznie opinia publiczna nie daje prawie nigdy spoczynku. Do takich należy u nas jeden z nababów przemysłowych, p. I. K. Poznański; człowiek, jak to mówią „pechowy”, którego każdy postępek publiczny, każdy akt bezinteresownej filantropii, małomiasteczkowa plotka zaraz bierze na złe języki i obdziera z obłonek. (...) Słowem – co miesiąc, to nowe źródło udręczeń dla sędziwego patriarchy żydowskiego, który ani fundacjami, ani pożyteczną działalnością społeczną nie może przekonać oszczerców o swoim humanizmie, nieskazitelności społecznej i zrzuceniu z siebie skóry zwykłego, we wszystkie cechy plemienne obficie uposażonego Żyda.¹

W ten sposób w świadomości opinii publicznej ukształtował się niezwykle stereotypowy obraz fabrykanta. W publikacjach z okresu PRL pisano chętnie, że był to typ łódzkiego „geszefciarza”, człowieka „ogarniętego bezwzględna pogonią za majątkiem”. Poznańskiego oskarżano o oszukiwanie robotników, krążyły legendy o tym, że miał on rzekomo nakazać cofanie zegarów celem wydłużenia czasu pracy podwładnych, a nawet podkraść gaz z miejskiej sieci.²

Pamiętać należy jednak, że krytyka Poznańskiego wynikała i z innych pobudek – zgodnie podkreśla się bowiem, że robotnice i robotnicy zatrudnieni w zakładach przy Ogrodowej mieli wyjątkowo ciężką dolę...

Ciężkie czasy

Rozwój firmy trwał do wybuchu I wojny światowej. Po jej zakończeniu straty wojenne oraz utrata wielkiego rynku wschodniego spowodowały, że w nowych okolicznościach, zakładom, podobnie jak i całemu łódzkiemu przemysłowi, powodziło się już znacznie gorzej. Nie powiodły się plany fuzji zakładów z innymi wielkimi przedsiębiorstwami. Z czasem kontrolę nad firmą przejął włoski kapitał spekulacyjny. Poznańscy na trwałe utracili decydujący głos w zarządzie firmy.

Dwudziestolecie międzywojenne było też okresem, w którym do lamusa odchodził stary etos fabrykanta, który niczym ojciec opiekował się swym majątkiem. Nie było już przedsiębiorców wstających wraz ze świstem fabrycznych syren i doglądających każdego zakamarka swego imperium. Kolejne pokolenia łódzkiej burżuazji przemysłowej coraz rzadziej mieszkaly w Łodzi. Jego przedstawiciele stanowili już bardziej typ świadomych Europejczyków niż swojskich lodzermenschów. W przypadku Poznańskich koleje losu prowadziły kolejną generację tej rodziny w stronę Francji, do której przeprowadziła się większość akcjonariuszy rodzinnej firmy... Znakiem tych zmian było nowe przeznaczenie okazałego pałacu – kiedyś symbolu potęgi i dumy Izraela Poznańskiego, wówczas zaś – siedziby władz nowo utworzonego województwa łódzkiego.

Marchlewski zamiast Poznańskiego

Po II wojnie światowej fabryka znalazła się w nowej, zupełnie odmiennej rzeczywistości. Starano się jak najbardziej zatrzeć ślad przeszłości fabryki, noszącej odąd nową, oficjalną nazwę Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Juliana Marchlewskiego. Nowy patron – w odróżnieniu od wielu innych wynoszonych przez ówczesne władze na piedestały – przynajmniej miał pewne związki z fabryką, w której prowadził swego czasu działalność agitacyjną wśród robotników. Zakłady im. Marchlewskiego, znane później jako „Poltex”, stały się nieodłącznym bohaterem wydawanych w okresie PRL-u oficjalnych wydawnictw i albumów o Łodzi – czerwone mury przędzalni przy Ogrodowej zestawiano najczęściej z widokami nowych obiektów przemysłowych „polskiego Manchesteru”, tworząc ułudę harmonijnego rozwoju miasta w nowych, socjalistycznych warunkach.

Signum temporis pozostawał jednak fakt, że w zakładach, noszących oficjalnie imię działacza socjalistycznego, a potem komunistycznego, deklarującego przecież walkę o poprawienie losu robotnic i robotników, tym ostatnim bynajmniej nie żyło się o wiele lepiej niż poprzednio. W Muzeum Fabryki oglądać można fragment *Polskiej Kroniki Filmowej* ze schyłkowego okresu PRL-u, w której pracownicy fabryki przy Ogrodowej opowiadają o swym ciężkim losie – trudzie życia, chorobach zawodowych i braku perspektyw na przyszłość.

Perspektyw tych brakowało nie tylko „Poltexowi”, ale i całemu przemysłowi włókienniczemu Łodzi. Trzeźwi ekonomiści nie mieli wątpliwości, że dalsze podtrzymywanie przy życiu tej gigantycznej monokultury prowadzi donikąd. W 1979





historia

roku w pracy *Wczoraj, dziś i jutro* Łodzi zwracano uwagę na szkodliwe uzależnienie Łodzi od przemysłu lekkiego. Podkreślano, że branża ta charakteryzowała się najniższymi w kraju płacami, przy jednocześnie najwyższej pracochłonności. Zauważano problem nadmiernego zatrudnienia kobiet. Pisano wreszcie:

Decydujący o sytuacji w przemyśle łódzkim przemysł włókienniczy, a w jeszcze większym stopniu odzieżowy, zatrudniają pracowników o stosunkowo niskich kwalifikacjach, obsługujących na ogół nieskomplikowane procesy. (...) To jest powodem, dla którego w 1971 roku przemysł łódzki skupiał największą liczbę pracowników o zatrudnieniu nie wyższym od podstawowego (72,3% wobec 61,1% w całym przemyśle), a osób z wykształceniem wyższym od podstawowego zatrudniał najmniej w kraju (27,7% przy przeciętnej 38,9%). Odbija się to na poziomie płac. (...) Nadmierna zależność od przemysłu włókienniczego jest dla Łodzi poważnym problemem. Konieczne jest dokonanie zasadniczej przebudowy struktury przemysłu miasta.³

Przebudowy tej chciano dokonać, zastępując przemysł włókienniczy innymi gigantami. Takie leczenie choroby inną chorobą nie mogło jednak się udać w warunkach realnego socjalizmu. Przemysł włókienniczy, w zasadzie prowadzący do nieuchronnego powiększania się dystansu między Łodzią a innymi, posiadającymi bardziej nowoczesne gospodarki miastami, był w zasadzie skazany na zagładę. Wyrok nadszedł wraz ze zmianą systemu politycznego po 1989 roku.

Chichotem historii jest, że branżą za pomocą której chciano zmieniać włókiennicze oblicze miasta był przemysł elektromaszynowy. Kiedy po 1989 roku upadły państwowe zakłady i tej branży, wielu młodym łodzianom nierzadko pozostaje jedynie nadzieja na pracę w montowniach sprzętu AGD czy komputerowego.

Odrodzenie w upadku

Dawna fabryka Poznańskiego miała w nowej rzeczywistości wielkie szczęście. Trafiała w ręce francuskiego inwestora, który olbrzymim wysiłkiem stworzył w pofabrycznych murach współczesny salon Łodzi. I choć Manufakturę można krytykować z wielu powodów, trzeba śmiało podkreślić, że trafiła ona jako produkt rynkowy, obejmujący centrum rozrywkowo-handlowe w sposób niespotykany nigdzie wcześniej, łączącą działalność komercyjną z kulturalną w jedną organizacyjną całość, którą potrafiła w sposób doskonały zagospodarować. Miejsce to podkreśla, że twórcze odwołanie do historii Łodzi może stanowić najlepszy z możliwych sposobów na nadanie miastu nowego, tak potrzebnego przecież, oblicza. Ciesząc się z powodu przyznania hotelowi mieszczącemu się w murach zrewitalizowanej przędzalni Poznańskiego zaszczytnego tytułu „Bryły roku”, warto wyrazić nadzieję, że Manufaktura nie pozostanie jedynie efektownym wyjątkiem, potwierdzającym przykrą dziś regułę niszczenia symboli wielkiej przeszłości Łodzi na oczach jej bezsilnych mieszkańców.

Kamil Śmiechowski
– historia

Bibliografia:

1. K. Badziak, *Wielkość i upadek fortuny Poznańskich*, [w:] *Dzieje Żydów w Łodzi 1820-1944. Wybrane problemy*, pod red. W. Pusia i S. Liszewskiego, Łódź 1991, s. 79-113.
2. S. H. Dinter, *Spod czarnych dymów. Łódź w latach 1861-1918*, Łódź 1976.
3. M. Koter, M. Kulesza, *Ślady wielonarodowej i wielowyznaniowej Łodzi we współczesnym krajobrazie kulturowym miasta*, [w:] M. Koter, M. Kulesza, W. Puś, S. Pytlas, *Wpływ wielonarodowego dziedzictwa kulturowego Łodzi na współczesne oblicze miasta*, Łódź 2005, s. 137-300.
4. W. Puś, *Dzieje Łodzi przemysłowej (zarys historii)*, Łódź 1987.
5. W. Puś, *Żydzi w Łodzi w latach zaborów 1793-1914*, Łódź 1996.
6. S. Pytlas, *Łódzka burżuazja przemysłowa w latach 1864-1914*, Łódź 1994.
7. K. Stefański, *Jak zbudowano przemysłową Łódź. Architektura i urbanistyka miasta w latach 1821-1914*, Łódź 2001.

Przypisy:

1. *Przegląd społeczny*, „Głos” 1893, nr 17, s. 201.
2. H. S. Dinter, *Spod czarnych dymów. Łódź w latach 1861-1918*, Łódź 1976, s. 124-126.
3. W. Piotrowski, *Perspektywy rozwoju przemysłu łódzkiego*, [w:] *Wczoraj, dziś i jutro Łodzi*, pod red. W. Michowicza, Łódź 1979, s. 312-313.

Fot. Barbara Gortat i Marek Strąkowski

Ostatni lodzermensche

Z dziejów przemysłowego imperium Grohmanów

historia

Dokładnie w połowie XIX stulecia miasto nad Łódką było świadkiem początku spektakularnej, jednej z najbardziej zawrotnych karier „ziemi obiecanej”, która pozwoliła wspiąć się na szczyty zawodowego sukcesu rodowi Grohmanów. I choć, po wieku wielkich triumfów gospodarczych, odnoszonych przez kolejnych wybitnych reprezentantów – przedsiębiorców i finansistów – tej rodziny, polski Manchester stał się wreszcie widownią gwałtownego upadku potężnej niegdyś przemysłowej dynastii, to jednak legenda „Grumanów” (jak określali swoich pracodawców łódzcy robotnicy), ostatniego wielkiego rodu łódzkich włókienników, do dzisiaj jest żywa w naszym mieście.

Być może właśnie dlatego, iż w dramatycznej walce z wielkim kryzysem gospodarczym pierwszej połowy lat 30. ubiegłego stulecia i jego następstwami, zeszli oni z łódzkiej sceny gospodarczej pokonani jako jedni z ostatnich lodzermensców, a swą historią uosabiali całą wielką dziewiętnastowieczną przeszłość przemysłowej Łodzi. Dzieje do dzisiaj fascynują zarówno amatorów, pasjonatów historii miasta nad Łódką, jak i zawodowych historyków. Ich dzieje studiowali i opisywali łódzcy badacze, a także popularyzatorzy barwnej przeszłości „ziemi obiecanej”, wśród nich między innymi Wiesław Puś i Stefan Pytlas we wspólnej książce pt. *Dzieje łódzkich Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. obrońców Pokoju „Uniontex” (d. Zjednoczonych Zakładów K. Scheiblera i L. Grohmana) w latach 1827-1977* (ten drugi również w artykule pt. *Księży Młyn i okolice. Jego właściciele i zakłady*), Witold Kowalski w pracy *Leksykon łódzkich fabryk*, Leszek Skrzydło w dwutomowej publikacji pt. *Rody fabrykanckie, czy choćby piszący te słowa w książce Historie znad Łódki czyli 47 opowieści z dziejów Ziemi Obiecanej*.¹

Obok potężnego „króla bawełny” Karola Scheiblera, właściciela prawdziwego „miasta w mieście”, wielkiego kompleksu fabrycznego Księżego Młyna; „pana na Ogrodowej” Izraela Kalmanowicza Poznańskiego; „wełnianego barona” Juliusza Heinzla; legendarnego twórcy przemysłowego Widzewa Juliusza Kunitzera i jego następców – rodu Konów; wreszcie uwikłanej w niełatwą polsko-niemiecką historię rodziny Biedermannów, to właśnie Grohmanowie stali się prawdziwą historyczną wizytówką dawnej łódzkiej włókienniczej metropolii.

Traugott – oszczędny

Polski wątek w dziejach rodziny Grohmanów sięga początku lat dwudziestych XIX wieku. Oto w 1822 roku na ziemiach Królestwa Polskiego pojawił się przedsiębiorczy przybysz z niemieckiej Saksonii, Traugott Grohmann (tak, przez dwa „n” – nazwisko zmienił i uprościł, „spolszczył” dopiero jego syn, Ludwik). Charakterystyczne, iż poszukując szansy na zrobienie przysłowiowego interesu życia i zabezpieczenie bytu swej rodziny początkowo rzutki Sakończyk wcale nie liczył się z możliwością zainwestowania w przemysł włókienniczy. Postawił natomiast na produkcję skórzaną. Wraz z bratem, Karolem, otworzył w Warszawie wytwórnię wyrobów ze skóry.

Jednak wizje bogactwa jakie roztaczała „ziemia obiecana”, gdzie właśnie rozwijała się zawrotna kariera pierwszego „króla łódzkiej bawełny”, czyli słynnego „Sępa z Piotrkowskiej”, Ludwika Geyera, okazały się dla Traugotta wystarczającą przynętą dla zmiany branży i miejsca do inwestowania. Nie minęło nawet pięć lat od rozkręcenia „skórzanego” interesu w stolicy Królestwa Polskiego, a Traugott Grohmann zdecydował się na radykalny krok. Przeniósł się do Zgierza i tutaj otworzył bawełnianą manufakturę. Jak się okazało był to jednak dopiero wstęp do prawdziwej kariery. Ta rozpoczęła się, gdy w roku 1842 przeniósł się z kolei do samej Łodzi i wydzierżawił od miasta rozległe tereny u zbiegu ulic Świętej Emilii (obecnie Tymienieckiego) i Widzewskiej (obecnie Kilińskiego) – jak pisano „posiadło wodno-fabryczne – Młyn Lamus”². Na gruntach tych Traugott w iście amerykańskim tempie uruchomił nowy zakład. Składał się on z nowoczesnej przędzalni bawełny i tkalni, poruszanych siłą wody.





Już dziesięć lat później przedsiębiorstwo Grohmanna było drugim pod względem wielkości i produkcji zakładem włókienniczym w Łodzi. Traugott zatrudniał w nim prawie stu trzydziestu pracowników, a wartość rocznej produkcji fabryki wynosiła blisko 60 tysięcy rubli.

Przedsiębiorstwo wytwarzało przędzę z bawełny sprowadzanej z zagranicy, jak również różnorodne tkaniny. Były wśród nich: biały perkal, kort, drellich, batyst i barchan. Produkty te znajdowały szybki i łatwy zbył na rynku zarówno lokalnym łódzkim, jak i w całym Królestwie Polskim. Wpływała na to zarówno ich stosunkowo niska, konkurencyjna cena, jak i dość wysoka jakość. O tej ostatniej zaświadcza dobitnie opinie współczesnych. W swej głośniejszej książce o Łodzi z 1853 roku Oskar Flatt tak oceniał produkcję zakładów Traugotta Grohmanna:

Wyroby tej fabryki odznaczają się doborowym gustem, a szczególnie dobrym gatunkiem materiału, o czym przekonywa nas skład wyrobów tej fabryki z wielkim powodzeniem tu w Warszawie przy ulicy Bielańskiej utrzymywany.³

Warto przypomnieć, iż – niezależnie od odnośnych sukcesów gospodarczych – przedsiębiorca uchodził wśród łódzkich fabrykantów za prowadzącego interesy w co najmniej dziwnym, jak na łódzkie warunki, stylu. A to dlatego, że podczas gdy inni lodzermensche zadłużali się na wyścigi często na wręcz astronomiczne sumy, inwestując uzyskiwane kredyty we wznoszone fabryki (cóż dziwnego, chcieli po prostu jak najlepiej wykorzystać koniunkturę na wyroby włókiennicze) i okazałe rezydencje, mające być świadectwem ich powodzenia w interesach, przedsiębiorczy, ale i zapobiegliwy Saksończyk wystrzegał się długów, omijając z daleka instytucje

kredytowe. Rozbudowę i modernizację swego przedsiębiorstwa opierał jedynie na zarobionych wcześniej i zaoszczędzonych pieniądzach. Gwoli ścisłości, ostrożny łodzermensch nie stronił przy tym od zgoła mało chlubnego sposobu oszczędzania na wydatkach, dokonując na dużą skalę nadużyć finansowych na swą korzyść przy płaceniu podatków.

Tą przysłowiową w środowisku łódzkich przedsiębiorców ostrożność Grohmana w zaciąganiu kredytów inni łodzermensche często komentowali z przekąsem, jako niezrozumiałe kunktatorstwo i nieumiejętność w wykorzystywaniu biznesowych okazji, wytykając mu, iż dopiero po dziesięciu latach funkcjonowania fabryki, kiedy sam uzbierał potrzebną sumę, zdecydował się na zakup maszyny parowej, czyli prawdziwego „serca” każdego włókienniczego zakładu.

A przecież przyznać trzeba, iż niezrozumiała dla konkurentów finansowa zapobiegliwość Grohmana przyniosła w końcu owoce. Kiedy w pierwszej połowie lat 60. XIX wieku Europę ogarnął niespodziewanie „głód bawełniany”, wynikający z zatrzymania dostaw tego surowca ze Stanów Zjednoczonych, ogarniętych właśnie pożarem wojny secesyjnej, wiele spośród zadłużonych łódzkich przedsiębiorstw bardzo boleśnie odczuło konieczność ograniczenia produkcji, a niektóre po prostu zbankrutowały. Tymczasem zakłady Grohmana, szczycące się czystą hipoteką, co prawda również musiały ponieść ofiary – likwidacji uległa tkalnia nie przynosząca wówczas zysków – ale zasadniczo przetrwało kryzys bez większego uszczerbku. To zaś z kolei umożliwiło szybki rozwój przedsiębiorstwa w latach 70.

Traugott Grohmann pozostał wierny swej życiowej doktrynie do



końca życia. Zarobione w mozole pieniądze stopniowo inwestował w fabrykę, a sam w 1874 roku zmarł tam, gdzie osiedlił się przed laty po przybyciu do Łodzi. Zakończył żywot w małym domu – zgoła nie licującym z jego pozycją jako jednego z największych łódzkich przedsiębiorców – wybudowanym u zbiegu ulic Tylnej i Targowej.

Ludwik – pomysłowy

Rodzinny interes, założony i hołubiony przez Traugotta Grohmana, miał przejść w godne ręce. Przejął go jego syn, Ludwik. Trzeba przyznać, że sukcesor miał wszelkie zadatki, aby godnie poprowadzić utworzoną przez ojca firmę. Przez lata był przez ojca przygotowywany do samodzielnego kierowania przedsiębiorstwem. Nie bez znaczenia była także jego osobista pozycja finansowa. Żonaty z Pauliną Adeliną, córką zamożnego kupca Karola Trenklera, dysponował i zarządzał z talentem i intuicją rasowego łodzermenscha nie tylko majątkiem rodzinnym, ale także niebagatelnym wianem małżonki.

Ludwik Grohman z entuzjazmem zabrał się do kierowania przedsiębiorstwem – rozbudował fabrykę i trafnymi decyzjami inwestycyjnymi i produkcyjnymi zwiększył przynoszone przez nią zyski. Lista produktów, które wytwarzała fabryka była doprawdy imponująca. Tak opisywali produkcję, schodzącą z krosien Grohmana, łódzcy historycy Wiesław Puś i Stefan Pytlas:

W przedsiębiorstwach Grohmanowskich wytwarzano równie bogaty asortyment towarów jak w kombinacie scheiblerowskim (między innymi wszelkie tkaniny bawełniane w stanie surowym, farbowanym, bielonym, a także w ostatnich latach przed wojną – towary drukowane). Z towarów białych przedsiębiorstwo produkowało różnego rodzaju płótna bawełniane, jak: krośniaki ruskie, polskie, litewskie, „Polonia”, słowiańskie i inne, a także madapolamy, batysty, perkale, ponadto wiele materiałów kolorowych, jak: barchany, płótna poduszkowe i niebieskie, obrusy, chustki do nosa i na głowę, halki, ręczniki wałkowe, kołdry (zwyczajne i jedwabne). Spółka Grohmanowska dostarczała również na rynek tkaniny na suknie letnie („Mikado”, „Jałta”, „Kairo”) i zimowe („Kama”, „Dniepr”), plusz, welwet, moleskin, melange (melanż), korty (podwójny i pojedynczy), satynę, flanele gładkie i kratkowane oraz towary nieprzemakalne.

Kombinat Grohmanowski poza produkcją towarów czysto bawełnianych specjalizował się w wytwarzaniu sztucznych skór (imitacja naturalnych) w różnorodnych kolorach i deseniach pod nazwą „Dermatoid” i „Libroid”. Służyły one jako materiał do oprawiania książek. Z kolei drugi zakład Grohmanowski, przędzalnia H. Grohmana [syna Ludwika, o którym będzie jeszcze mowa poniżej - P.W.], w latach 1889-1911 produkował wyłącznie z bawełny amerykańskiej i egipskiej „Maco”, a także rosyjskiej, różnego rodzaju przędzę o cienkich numerach, jak: pojedynczą, nitkowaną, bieloną, farbowaną, merceryzowaną, przeznaczoną do wytwarzania materiałów jedwabnych, haftowanych, koronkowych i dzierganych.⁴



Nie ograniczał się przy tym Grohman do kierowania rodzinnym interesem. Wymieńmy tylko niektóre z dodatkowo pełnionych przez niego funkcji. Był zatem jednym z współzałożycieli Banku Handlowego i Towarzystwa Kredytowego, znanym filantropem – pomysłodawcą (a zarazem jednym z realizatorów inicjatywy) założenia Towarzystwa Dobroczynności oraz patronem Rady Opiekuńczej Szpitala Świętego Aleksandra przy Placu Szpitalnym (obecnie: Plac Jana Pawła II) – i obywatelem, udzielającym się w życiu samorządowym miasta, jako członek łódzkiej Rady Miejskiej.

Warto przypomnieć, iż Ludwik Grohman, jako bodajże pierwszy spośród łódzkich fabrykantów, utworzył przy swoich zakładach profesjonalnie działające jednostki straży pożarnej. Tej inicjatywie, związanej początkowo z jego własnym przedsiębiorstwem, miał on wkrótce zawdzięczać kolejną zaszczytną funkcję publiczną – kiedy powstał w Łodzi specjalny komitet, którego zadaniem było stworzenie formacji „straży ogniowej”, to właśnie jemu została powierzona funkcja prezesa i równocześnie komendanta Łódzkiej Ochotniczej Straży Pożarnej. A pamiętać trzeba, że nowa formacja nie mogła opędzić się od kolejnych zleceń. Bo przecież nie chodziło bynajmniej tylko o interwencje przy pożarach, zresztą często wybuchających w mieście (posiadającym jeszcze w znacznej części drewnianą zabudowę) i w zabudowaniach fabrycznych, ale również o pełnienie funkcji... nazwijmy je reprezentacyjnymi. Otóż strażacy w lśniących kaskach i imponujących, paradnych mundurach byli obowiązkową honorową asystą przy kościelnych procesjach i... pogrzebach znanych łódzkich osobistości.

Współczesnym Ludwik Grohman musiał wydawać się człowiekiem prawdziwie urodzonym w czepku. Nie dość, że odnosił sukcesy w działalności zawodowej, a miasto obdarzało go kolejnymi prestiżowymi funkcjami świadczącymi o nad-

zwyczajnej pozycji jaką zajmował w lokalnej społeczności, to powodzenie nie opuszczało go również w życiu osobistym. Swej żonie – jak się z czasem okazało – zawdzięczać miał bowiem nie tylko niebagatelne wiano, ale również liczne potomstwo. Paulina Adelina urodziła mu bowiem aż pięciu synów: Henryka (który własny zakład włókienniczy, o którym była już mowa, otworzył jeszcze w 1889 roku za życia ojca, poszerzając rodzinne imperium) oraz Karola, Pawła, Alfreda, Leona i córkę Annę Melanię.

I żeby portret łódzkiego fabrykanta nie wydał nam się zanadto wyidealizowany – dla Polaków, zamieszkujących Łódź miał Ludwik Grohman także inne, zdecydowanie mniej sympatyczne oblicze. I nie chodzi tutaj o jego typową dla lodzermenschów postawę – przedsiębiorcy nastawionego na maksymalny zysk (często kosztem bezpieczeństwa, warunków pracy i zarobków pracowników) i twardą, bezwzględną konkurencję. Mowa natomiast o jego demonstracyjnie lojalnej wobec caratu postawie w okresie powstania styczniowego i bezpośrednio po jego zdławieniu. Otóż był on jednym z pomysłodawców i autorów haniebnego adresu dziękczynnego, skierowanego do pułkownika Aleksandra von Broemse, carskiego naczelnika wojennego okręgu łódzkiego w okresie powstania, zawierającego podziękowania za zdławienie polskiego „buntu”.

Ludwik Grohman zmarł w 1889 roku u szczytów swego zawodowego powodzenia, jako jeden z najpotężniejszych przedsiębiorców polskiego Manchesteru i całego „Nadwiślańskiego Kraju” (tak bowiem rosyjski zaborca, karząc nieprawomyślnych i niepokornych Polaków, zmienił nazwę dawnego Królestwa Polskiego po stłumieniu powstania styczniowego). Umierał spokojny o przyszłe losy rodzinnego interesu. Podobnie jak jego ojciec wiedział bowiem, że pozostawia je godnemu następcy. Przedsiębiorstwo przeszło w ręce jego syna Henryka, przygotowywanego przez zapobiegliwego ojca do samodzielnego prowadzenia fabryki. Nowy zarządca przemysłowego królestwa Grohmanów studiował najpierw w elitarnej Wyższej Szkole Włókienniczej w Szwajcarii, a następnie wyjechał do Wielkiej Brytanii, gdzie podjął praktyki w angielskim przemyśle włókienniczym.

Henryk – humanitarny

Henryk godnie kontynuował dzieło dziadka i ojca. Po objęciu stanowiska prezesa zarządu spółki Towarzystwa Akcyjnego Zakładów Przemysłowych Ludwika Grohmana, powstałej jeszcze w roku śmierci ojca, przygotował i zaczął wcielać w życie plan gruntownej przebudowy i modernizacji odziedziczonego przedsiębiorstwa. Jego energiczne działania spowodowały przekształcenie zakładów Grohmanów w wielki, wielowydziałowy kombinat włókienniczy. Zdecydował też o powiększeniu rodzinnego imperium o nowe grunty, na których wznosił kolejne inwestycje.

Równocześnie Henryk zaczął inwestować wypracowane i uzyskane dzięki kredytom pieniądze w inne branże. Należał do elitarnego grona łódzkich przemysłowców i finansistów, które zainicjowało powstanie łódzkiej sieci połączeń tram-

wajowych jako elementu modernizującego łódzka metropolię. Pełnił także funkcję prezesa Rady Nadzorczej Łódzkich Wąskotorowych Elektrycznych Kolei Dojazdowych.

Henryk Grohman należał również do tych spośród łódzkich przedsiębiorców, którzy w opinii publicznej robotniczej Łodzi odbiegali od obiegowego stereotypu typowego łodzermenscha, bezwzględnego, łasego na zysk i skłonnego do wyzysku zatrudnionych w jego zakładach pracowników. Warto przypomnieć przy tej okazji jego stanowisko w okresie rewolucji 1905 roku na ziemiach polskich. Kiedy 28 stycznia 1905 roku w Łodzi rozpoczęły się wielkie robotnicze strajki, robotnicy wysuwali żądania skrócenia czasu pracy do 10 godzin i zwiększenia płacy średnio o 5-10 procent. Początkowe ustępstwa łódzkich fabrykantów doprowadziły do zawieszenia ruchu strajkowego. Jednak po ponownym przystąpieniu robotników do pracy przemysłowcy wycofywali się z danych uprzednio obietnic. To oczywiście spowodowało kolejne wystąpienia strajkowe. Jednak nie całe środowisko przedsiębiorców pochwalało taką niekonsekwentną i generującą niepokoje społeczne taktykę. Wyraźnie dał się zaobserwować rozłam wśród fabrykantów. O ile na przykład Juliusz Kunitzer stanął na czele grupy łodzermenschów, która opowiadała się za radykalnym przeciwstawieniem się postulatowi pracowniczym (jako pierwsi zastosowali oni lokaut wobec strajkujących robotników), o tyle Henryk Grohman przewodził umiarkowanym przedsiębiorcom. Podobnie – jak Karol Scheibler junior, czy Maurycy Poznański – był skłonny iść na daleko idące ustępstwa, motywując je zresztą czysto praktycznym dążeniem do utrzymania produkcji i unikania zaogniania sytuacji w i tak wrzącym rewolucyjną gorączką mieście.



Zresztą postawę podobną Grohman prezentował również i w latach po upadku rewolucji. Wyraźnie poróżniony z tymi spośród przemysłowców, którzy prezentowali obojętny lub wręcz negatywny stosunek do robotników, uchodził w Łodzi za tego fabrykanta, który skłonny był kształtować wzajemne relacje pomiędzy pracodawcami i robotnikami na wzór zachodnioeuropejski, na zasadach humanitarnych. Był za to krytykowany przez innych łodzermenschów, którzy wytykali mu import „niepraktycznych i demoralizujących robotników nowinek” na grunt łódzki. I tak popierał on istnienie robotniczych związków zawodowych, reprezentujących interesy pracowników wobec właścicieli fabryk. Kierował się przy tym nie tylko humanitaryzmem, ale i pragmatyzmem – uważał, iż ze zorganizowanymi w stowarzyszeniach zawodowych robotnikami negocjacje płacowe i dotyczące warunków pracy mogą przebiegać w bardziej przewidywalny i uporządkowany sposób, niż w przypadku konieczności rozmów pod groźbą strajku z wyłanianymi w gorącej atmosferze zaognionego już sporu z pracodawcą, a zatem siłą rzeczy nastawionymi radykalnie i bezkompromisowo, strukturami. Nie był zresztą osamotniony w tym przekonaniu. Jego stanowisko popierali między innymi następcy i dziedzice pierwszego łódzkiego „króla bawełny” Ludwika Meyera, Gustaw i Robert Geyerowie oraz Karol Scheibler junior. Zresztą przedsiębiorstwa Grohmana i Scheiblera uchodziły wśród łódzkich fabrykanckich imperiów za takie, które praktykowały paternalistyczny, „opiekuńczy” model relacji z zatrudnianymi w nich robotnikami⁵.

Później Henryk wyjechał do Berlina. Przebywał za granicą kilkanaście lat podczas, gdy przedsiębiorstwo kierowane przez jego zaufanych współpracowników rozwijało się i przynosiło coraz większe zyski. Powrócił do Łodzi w trakcie I wojny światowej w 1916 roku. Pomimo niesprzyjającej sytuacji gospodarczej, wynikającej zarówno bezpośrednio z działań wojennych, rabunkowej gospodarki – jakiej zasady właśnie wprowadzały na szeroką skalę na ziemiach polskich niemieckie władze okupacyjne, odczuwające coraz bardziej dotkliwie braki w strategicznych surowcach, umożliwiających prowadzenie wojny – wreszcie z postępującej pauperyzacji łódzkiej społeczności, przedsiębiorca natychmiast zaangażował się w gospodarcze i polityczne życie wojennej Łodzi. Współzakładał specjalną Komisję do Spraw Ekonomicznych. Wytrwale dążył również do utworzenia wielkiego kartelu najważniejszych przedsiębiorstw polskiego Manchesteru, co było podstawowym warunkiem przeprowadzenia w przyszłości operacji, w której widział środek ratunku dla podupadającej łódzkiej włókienniczej metropolii – uzyskania wysokich kredytów z banków w Zachodniej Europie. Występował również jako reprezentant łódzkich przemysłowców wobec niemieckich władz okupacyjnych. Wreszcie jako przedstawiciel tak zwanego Związku Niezależności Gospodarczej znalazł się w Radzie Stanu, utworzonej w porozumieniu z Niemcami i Austro-Węgrami, kontrolującymi po udanych ofensywach z pierwszych lat wojny ziemie polskie.

W 1917 roku Henryk Grohman na krótko przeniósł się do Warszawy. Jednak już w 1920 roku na stałe osiadł w Łodzi. Tutaj, podobnie jak pozostali



łódzcy przemysłowcy, którzy zdecydowali się kontynuować włókiennicze tradycje polskiego Manchesteru w trudnych powojennych warunkach – kiedy zerwane zostały tradycyjne więzy gospodarcze łączące miasto z Rosją jako wielkim rynkiem zbytu, a zarazem zagłębiem surowcowym – próbował reaktywować i dostosować do nowej rzeczywistości łódzki przemysł włókienniczy. Był przede wszystkim zdania, iż w sytuacji, w której przemysłowcy z Łódki odczuwali permanentne trudności w pozyskaniu taniego surowca i zorganizowaniu opłacalnego zbytu produkcji, jedynym wyjściem jest łączenie zakładów i tworzenie silnych, gotowych do podjęcia konkurencji na nowych rynkach przedsiębiorstw.

A zaczął od własnego podwórka. Przede wszystkim w 1921 roku przeprowadził wielką operację połączenia kierowanego przez siebie przedsiębiorstwa i zakładów, należących do rodziny innych łódzkich potentatów bawełny – Scheiblerów. W wyniku fuzji powstały Zjednoczone Zakłady Włókiennicze Karola Scheiblera i Ludwika Grohmana Spółka Akcyjna w Łodzi.

Zakłady te stały się jednym z największych przedsiębiorstw w europejskim przemyśle bawełnianym. Odbiorcami produktów przedsiębiorstwa na rynku krajowym byli przede wszystkim prywatni klienci, w mniejszym stopniu zakłady przemysłowe i wojsko. Największe obroty przedsiębiorstwo odnotowywało dzięki produkcji tkanin, przędzy i waty. Produkcja była zbywana głównie w Polsce centralnej (prawie połowa ogółu wytworzonych towarów). Próbowano również zdobywać zagraniczne rynki zbytu. Od początku lat 20. najważniejszym odbiorcą Zjednoczonych Zakładów Włókienniczych K. Scheiblera i L. Grohmana S.A. była zaprzyjaźniona z Polską Rumunia. Przedsiębiorstwo miało zresztą w stolicy tego kraju własne przedstawicielstwo.

Interesy zakładów reprezentowała w Bukareszcie warszawska firma „Skupiński, Wiśłocki i S-ka”. Ta sama firma była również przedstawicielem Zjednoczonych Zakładów w Turcji, Bułgarii, Serbii i Jugosławii. Nie tylko Bałkany były obszarem gospodarczej ekspansji nowego przedsiębiorstwa. Próbowano również z powodzeniem zbywać produkcję w Anglii, Austrii, Belgii, Danii, Francji, Grecji, Niemczech, Norwegii, Turcji, Węgrzech, Litwie, Łotwie, Malcie oraz w Gdańsku. Zawarto również bardziej egzotyczne kontrakty. Towary „Grohmanowsko-Scheiblerowskiej” spółki wysyłano do Argentyny, Brazylii, Chin, Egiptu, Filipin, Indii, Iraku, Kanady, Kolumbii, Meksyku, Maroka, Pakistanu, Palestyny, Persji, Singapuru, Stanów Zjednoczonych, Tunisu, Unii Południowo-Afrykańskiej, Urugwaju, Wenezueli, Związku Południowej Afryki i na Cypr.

Równocześnie Henryk Grohman zaangażował się w szereg poczynań gospodarczych wykraczających poza polską branżę włókienniczą, wychodząc z założenia, iż dla dobra rodzinnego imperium należy trzymać rękę na pulsie życia ekonomicznego całego miasta i reagować na zmiany zachodzące w nim również w skali kraju. Wszedł zatem nie tylko w skład – co dziwić zgoła nie może – zarządu Związku Przemysłu Włókienniczego w Państwie Polskim, ale także rady ogólnokrajowego Centralnego Związku Przemysłu, Górnictwa, Handlu i Finansów „Lewiatan”, Rady Nadzorczej Banku Polskiego, Komitetu Giełdowego, Rady Łódzkiego Banku Handlowego, wreszcie... Towarzystwa Górniczo-Hutniczego „Saturn”.

A przy tym całym nawale obowiązków, związanych z działalnością gospodarczą, Henryk Grohman prezentował również na co dzień inne oblicze – wielkiego filantropa i mecenasa kultury. Istotny był jego wkład w utworzenie łódzkiego Towarzystwa Muzycznego (którego zresztą później został prezesem). Dzięki osobistym kontaktom i łożonym (wcale niemałym) pieniądзом, przyczynił się do zaproszenia do Łodzi tak wybitnych osobistości polskiej i światowej kultury jak Ignacy Jan Paderewski i Stanisław Ignacy Witkiewicz – Witkacy. Warto też dodać, iż prywatnie Henryk Grohman był wielkim kolekcjonerem dzieł sztuki – zbierał grafikę i ceramikę, zarówno polską, jak i zagraniczną. Miał także inne, nieco nietypowe hobby – kolekcjonował bowiem... egzotyczne instrumenty muzyczne.

Jednak jako działalność gospodarcza Henryka Grohmana przypadła na niezwykle ciężki dla Łodzi okres. Dawna „gospodarcza perła w koronie carów” (określenie to, ukute przez publicystów „Nadwiślańskiego Kraju” u schyłku XIX wieku, nobilitujące dla łódzkiej metropolii było prostym nawiązaniem do miana, jakim określano Indie – „perłę w koronie królowej Wiktorii”!) przeżywała permanentny kryzys. Wyrażał się on stanem wysokiego bezrobocia, zatrważającej nędzy szerokich rzesz robotniczych oraz powracającymi jak fale niepokojami społecznymi i narodowościowymi. Przecież w świadomości wielu spośród polskich robotników sprawcami ich biedy byli niemieccy i żydowscy przemysłowcy, a dla łódzkich fabrykantów najprostszym sposobem generowania zysków, bądź po prostu ograniczania strat wynikających z utraty chłonnego rosyjskiego rynku, było ograniczanie płac.

Niestety, jednym ze „znaków czasu” miał stać się los przedsiębiorstwa, którym starał się wbrew wszelkim przeciwnościom, kierować Grohman. Odczuwały one w wyniku wymienionych wcześniej problemów poważny brak kapitału obrotowego, co stopniowo powodowało wzrastające zadłużenie firmy w bankach krajowych i zagranicznych i przybliżało groźbę bankructwa. Kiedy na trudności wynikające z zerwania gospodarczych związków z rynkami wschodnimi nałożyły się jeszcze komplikacje, wynikające ze światowego kryzysu – w jakim pogrążyła się gospodarka polska w pierwszej połowie lat 30. – przed połączonymi zakładami Grohmanów i Scheiblerów stanęło widmo upadku. Wówczas nastąpiło wydarzenie, które dla wielu współczesnych, ale także historyków dziejów Łodzi, stało się symbolem końca epoki lodzermenschów i czasów świetności polskiego Manchesteru. Oto rząd polski, dążąc za wszelką cenę do uratowania Zjednoczonych Zakładów Włókienniczych Karola Scheiblera i Ludwika Grohmana Spółka Akcyjna, a ujmując rzecz ściślej – do ocalenia utworzonych w nich miejsc pracy, w 1934 roku przejął pakiety kontrolne przedsiębiorstwa i powierzył je Bankowi Gospodarstwa Krajowego. Instytucja ta cztery lata później objęła faktyczny zarząd nad zakładami. Ostatni lodzermensch z niegdyś potężnego rodu Grohmanów przeżył koniec imperium, założonego przez jego dziada zaledwie o pięć lat – Henryk Grohman zmarł w 1943 roku.





Jerzy – wydziedziczony

W latach II wojny światowej po wkroczeniu okupacyjnych wojsk niemieckich fabryka Grohmana i Scheiblera uznana została za własność niemiecką i funkcjonowała podczas całej okupacji jako spółka akcyjna. Produkcja przedsiębiorstwa przeznaczona była przede wszystkim dla ludności niemieckiej w Kraju Warty oraz dla robotników wywiezionych na roboty do Niemiec, dla odbiorców państwowych, dla Wehrmachtu i w niewielkim stopniu dla Generalnego Gubernatorstwa⁶.

Od 1946 roku zakład nosił nazwę Państwowe zakłady Przemysłu Bawełnianego nr 1. W 1948 roku przemianowano je na Państwowe Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Józefa Stalina. W 1962 roku nadano im ostatecznie nazwę Łódzkie Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju „Uniontex”. Po blisko trzydziestu latach historia zatoczyła koło. Wielkie przemiany polityczne, jakie stały się udziałem Polski i jej sąsiadów na przełomie lat 80. i 90. XX wieku, a których efektem było między innymi odzyskanie przez państwo polskie pełnej suwerenności i rozpad Związku Sowieckiego, podobnie jak rok 1918 zapisały się równocześnie w dziejach Łodzi jako początek upadku przemysłu włókienniczego. Ponownie pozbawiona w gwałtowny sposób wschodniego rynku, przeżywająca – podobnie jak cały kraj – kryzys wynikający z katastrofy „planowej gospodarki” socjalizmu, łódzka wytwórczość włókiennicza

kurczyła się i zamierała. Odbiło się to również na losach „Uniontexu”. To temat na zupełnie inny artykuł...

Dziś w Łodzi nadal możemy podziwiać ślady dawnej świetności rodziny Grohmanów. Do najczęściej przywoływanych w licznych przewodnikach, albumach i książkach, przybliżających czytelnikom dawne dzieje Łodzi, należą oczywiście słynne „beczki Grohmana” – przysadziste kolumny obejmujące z dwóch stron bramę do przedsiębiorstwa, któremu początek dał w połowie XIX wieku Traugott Grohmann. Mają one kształt gigantycznych szpul nici, sławiąc branżę która pozwoliła na wybicie się i dorobienie fortuny tak licznym łodzermenschom. A przecież podziwiać możemy również kompleks Grohmanowskich willi przy ulicy Tylnej i Targowej oraz przepiękny rodzinny grobowiec Grohmanów na Starym Cmentarzu przy ulicy Ogrodowej.

Świetność dawnego polskiego Manchesteru i związanych z nim losów rodziny Grohmanów żyje również na starych fotografiach. W 2008 roku Łódź otrzymała niespodziewany dar. Kolekcję ponad stu niezwykle cennych, archiwalnych zdjęć przekazał miastu wówczas 86-letni Jerzy Grohman, potomek rodu przedwojennych fabrykantów, mieszkający od 1964 roku w Warszawie. To właśnie on był typowy jeszcze przed wybuchem II wojny światowej na przyszłego szefa Zjednoczonych Zakładów Włókienniczych Scheiblera i Grohmana. Gdy wojna się skończyła, pan Jerzy nie mógł wrócić ani do swego domu, ani do fabryki, gdyż zmienił się ustrój. Tacy jak on zostali uznani za wrogów ludu i skazani na zapomnienie. Zdjęcia przedstawiają między innymi potężne zakłady spółki Grohman-Scheibler i słynne osiedle Księży Młyn.

Wojewódzki konserwator zabytków Wojciech Szygendowski, który przywiózł zbiór zdjęć do Łodzi, bardzo wysoko ocenił jego wartość historyczną: *Jest to kapitalny dar. Zdjęcia są czytelne i bardzo dobrej jakości. Wśród nich wiele jest unikatowych. Niektóre to perełki. Mają niezwykle dużą wartość historyczną i dokumentalną.*

O kolekcji ofiarowanej miastu pisano również wiele w łódzkiej prasie i na forach internetowych. W jednym z tekstów zamieszczonych w internecie czytamy: *Ta kolekcja to prawdziwy skarb. Na zdjęciach zrobionych przez Ludwika Radkego widzimy wnętrza fabryk z maszynami włókienniczymi i kotłami parowymi, z których niektóre przypominają dekorację do filmów. Jest także słynne wejście do tkalni przy ul. Targowej z kolumnami w kształcie potężnych szpul na nici, które i tak nazywane są beczkami Grohmana. Na fotografiach jest też szkoła, apteka, ochronka, remiza strażacka, secesyjna elektrownia i wnętrza konsumu, czyli sklepu dla pracowników. Wielkie wrażenie robią sceny rodzajowe na Księżym Młynie, jak np. chłopcy uganiający się po ulicy za fajerką, na tle murów fabrycznych.*

Jak wyjaśniał sam darczyńca, zdjęcia zostały wykonane w latach 20. i 30. dla jego ojca Leona Grohmana (brata Henryka). Podkreślał wówczas także, iż nie był to pierwszy dar, jaki otrzymała od niego Łódź. Kilka lat wcześniej zgodził się

przecież, aby okazała – kupiona przez jego ojca we Florencji – rzeźba Krzysztofa Kolumba, która przed wojną zdołała rezydencję przy ul. Tylnej, a potem główne biuro fabryczne, trafiła do muzeum w pałacu Herbsta na Księżym Młynie.

Grohmanowie, Scheiblerowie, Poznańscy, Konowie... Wielka przeszłość włókienniczej Łodzi... Od nas zależy czy będzie w naszym mieście obecna tylko w zabytkach i starych zdjęciach, czy stanie się częścią zbiorowej pamięci Łodzian, dumnych z przeszłości tego przemysłowego miasta.

Przemysław Waingertner
– historyk, prof. UŁ

historia

Przypisy:

1. W. Puś, S. Pytlas, *Dzieje Łódzkich Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju „Uniontex” (d. Zjednoczonych Zakładów K. Scheiblera i L. Grohmana) w latach 1827-1977*, Warszawa-Łódź 1979; S. Pytlas, *Księży Młyn i okolice. Jego właściciele i zakłady*, [w:] D. Berbelska, S. Pytlas, J. Salm, A. Zielińska, *Księży Młyn*, Łódź 1998; W. Kowalski, *Leksykon łódzkich fabryk*, Łódź 1999; L. Skrzydło, *Rody fabrykanckie*, cz. I-II, Łódź 1999-2000; P. Waingertner, *Historie znad Łódki czyli 47 opowieści z dziejów Ziemi Obiecanej*, Łódź 2009.
2. M. Jaskulski, *Stare fabryki Łodzi*, Łódź 1995, s. 29.
3. O. Flatt, *Opis miasta Łodzi pod względem historycznym, statystycznym i przemysłowym*, Warszawa 1853, s. 94.
4. W. Puś, S. Pytlas, op. cit., s. 104-105.
5. M. A. Łukowska, *Fabrykant Łódzki we wspomnieniach robotników*, Łódź 2007, s. 54-56.
6. T. Bojanowski, *Przemysł włókienniczy Łodzi w latach okupacji niemieckiej*, „Rocznik Łódzki”, 1976, t. XXI (XXIV), s. 23, 29-31.

Fot. Barbara Gortat i Marek Strąkowski

Pozostawili zabytki

Fabryki Kindermannów

Kindermannowie nigdy nie zaliczali się do najważniejszych łódzkich fabrykantów, ich imperium nawet nie zbliżyło się do potęgi Scheiblerów, Grohmannów czy Geyerów. Ich dzieje nie są również przykładem spektakularnej kariery biznesowej. Od kiedy pierwszy z rodziny Franciszek Kindermann przybył do Łodzi w latach 30. XIX wieku do czasu kiedy jego syn – również Franciszek – wybudował ich pierwszą fabrykę w 1897 roku minęło około 70 lat, wypełnionych zresztą ciężką i żmudną pracą. Jednak, po tej pochodzącej z pogranicza Łużyc i Czech rodzinie, sporo w Łodzi pozostało: willa Leopolda Kindermanna przy ulicy Wólczańskiej 31, willa Juliusza Kindermanna przy ulicy Piotrkowskiej 137, pałac Gustawa Adolfa przy Piotrkowskiej 151 oraz dwie fabryki: Franciszka Kindermanna przy ulicy Andrzeja Struga i jego syna, wspomnianego już Juliusza, przy ulicy Łąkowej. Co również istotne – każdy ze wspomnianych budynków pełni do dzisiaj ważną rolę w przestrzeni miejskiej. W willi Leopolda mieści się od 1975 roku Galeria Willa Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi, w willi Juliusza od 1954 roku jest siedziba Klubu Nauczyciela przy ZNP. Fabryka Franciszka Kindermanna nadal produkuje, tyle że nie wyroby wełniane jak za czasów jej budowniczego, ale słodycze, bo od 1946 roku obiekt przejęła fabryka cukierków OPTIMA. Stosunkowo największe przekształcenia, zarówno funkcjonalne, jak i architektoniczne, przeżyła fabryka Juliusza Kindermanna, kilka lat temu zaadoptowana na nowoczesny hotel „Focus”. Materialnemu dziedzictwu Kindermannów oszczędzono więc losu wielu zrujnowanych przez czas i zaniedbania przemysłowych imperiów w naszym mieście.

Genealogia

Franciszek (a właściwie Franz) Kindermann należał do owych „pożytecznych cudzoziemców” – o których, na mocy rozporządzenia Rządu Królestwa Polskiego z 2 marca 1816 roku, zabiegali specjaliści emisariusze prowadzący działalność rekrutacyjną w Brandenburskiej, Saksonii, w Poznańskim i na Śląsku. Sprowadzanie zagranicznych tkaczy i rękodzielników było ważnym punktem planu tworzenia na terenach województw mazowieckiego i kaliskiego nowego okręgu przemysłowego, aż do czasu kiedy w latach 40. XIX wieku energiczna akcja rządu pruskiego nie położyła kresu imigracjom. Fabrykanci – warto sobie uświadomić, że w owym czasie tkacze, rękodzielnicy i sukiennicy byli tak właśnie nazywani – przywozili ze sobą często nie tylko surowce, ale i całe krosna. Franz Kindermann przybył do Królestwa Polskiego z Chemnitz w Saksonii



historia



i początkowo zamieszkał wraz z żoną Wilhelminą z domu Kindt w Warszawie. Po jakimś czasie rodzina przeniosła się do Łodzi, w której przyszły na świat następne cztery pokolenia Kindermannów. W mieście nad Łódką istniały wtedy szczególnie sprzyjające warunki osadnictwa dla „pożytecznych cudzoziemców” – na mocy układu między Rządem Królestwa a zagranicznymi fabrykantami podpisanego 30 marca 1821 roku w Zgierzu: *Każdy nowo osiadający sukiennik zagraniczny mieć będzie wyznaczoną i nadaną dla siebie osadę, która w placu i na budowie i w ogrodzie zawiera półtora morgi chełmińskiej. Ponadto ...pod warunkiem by osadę nadaną najdalej w dwóch latach według obrysu rządowego zabudować.* Fabrykanci mogli liczyć na przydział drewna i cegieł oraz liczne zwolnienia z czynszów i obowiązkowej służby wojskowej.

Pierwszym urodzonym na polskiej ziemi (w 1837 roku) był Franciszek Kindermann junior, twórca potęgi rodu i budowniczy fabryki przy ulicy Struga. Zaczynał jednak bardzo skromnie, od dwóch małych warsztatów tkackich i wynajętej izby przy ulicy Tuwima, w której zamieszkał z żoną Matyldą z domu Holzschuher.

Losy imigrantów w nowym kraju przebiegają zazwyczaj w podobny sposób: pierwsze pokolenie żyje jeszcze kulturą i tradycją kraju pochodzenia; drugie absorbuje umysłowość nowego, a trzecie powraca do korzeni, do kultury kraju dziadków. Kindermannowie są przykładem tej tezy. Franciszek Kindermann junior uchodził za całkowicie spolonizowanego. Jego liczne potomstwo – a dochował się pięciu córek i siedmiu synów, spośród których w historii miasta zapisali się szczególnie naj-



starszy Gustaw Adolf oraz Leopold i Juliusz Robert, twórca własnego przedsiębiorstwa – podkreślało swoją niemieckość. Jednak czwarte pokolenie: synowie Leopolda i Juliusza, należeli już do gorliwych stronników narodowych socjalistów w czasie II wojny światowej. Warto dodać, że zarówno Franciszek, jak i jego synowie odznaczali się dużą aktywnością społeczną, działając między innymi w Łódzkim Towarzystwie Strzeleckim, Zgromadzeniu Majstrów Tkackich czy Chrześcijańskim Towarzystwie Dobroczynności, byli też synowie Franciszka współtwórcami niemieckiego Gimnazjum Reformowanego – w latach 30. wyraźnie faszystującego – przy alei Kościuszki (obecnie wydział filologiczny UŁ).



Franciszek Kindermann wycofał się z interesów w pierwszej dekadzie XX wieku, przekazując zarząd swojego przedsiębiorstwa potomstwu. Ostatnie lata spędził w willi w Rudzie Pabianickiej, gdzie zmarł w 1915 roku. W archiwach zachowała się przemowa pastora Rudolfa Gundlacha nad grobem zmarłego: *był łodzianinem nie tylko z urodzenia, lecz także z racji głębokiego przywiązania do naszego miasta i naszego kraju. Nigdzie mu tak dobrze nie było jak w Łodzi. Toteż nie szukał nigdy wytchnienia za granicą, a gdy złamany chorobą szukał w kąpielach za granicą pokrzepienia nadwątłonych sił, wtedy tęsknił za ziemią polską, która drogą mu była ojczyzną.* Kindermannowie tworzyli swoje przedsiębiorstwo w Łodzi przez ponad sto lat, spośród których lata świetności ograniczyły się właściwie do dwóch dekad na przełomie XIX i XX wieku. Warto jednak podkreślić, że pomimo stereotypu zawrotnych karier włókienniczych, Kindermannowie obok Heinzlów byli jedną z niewielu rodzin majstrów tkackich, którym udało się wejść do grona lokalnej burżuazji. Geyerowie czy Scheiblerowie przybywali bowiem do naszego miasta już jako zamożni przedsiębiorcy.

Fabryka Franciszka Kindermann przy ulicy Struga 63

Produkcja w fabryce przy obecnej ulicy Andrzeja Struga 63 trwa już od ponad 110 lat, czyniąc z niej jeden z niewielu wciąż wytwarzających dobra konsumpcyjne obiektów historycznych w naszym mieście. Warto jednak jeszcze na chwilę cofnąć się do historii sprzed powstania tej fabryki. Droga do tej inwestycji była bowiem bardzo długa i jak się okazuje dosyć paradoksalna. W 1859 roku, kiedy jak już wspomniano Franciszek Kindermann zamieszkał ze swoją żoną przy ulicy Przejazd (obecnie Tuwima), nie mógł przypuszczać, że za lat kilkadziesiąt będzie właścicielem fabryki. Co więcej, był do zmechanizowanej produkcji nastawiony bardzo krytycznie. Kindermann, obok Juliusza Heinzla, należał do przywódców buntu tkaczy, który wybuchł w Łodzi 22 kwietnia 1861 roku. Zamieszki były echem powstałego w końcu XVIII wieku w Anglii ludyzmu – ruchu niszczyli maszyn (od Ned'a Ludd'a – legendarnego przywódcy pierwszych buntów). Mechaniczne krosna w fabrykach Scheiblera, Prussaka czy Geyera, powstające od początku lat 40. XIX wieku, wydawały się odbierać pracę rękodzielnikom takim jak Kindermann. Dodatkowo w Ameryce wybuchła właśnie wojna secesyjna, zapowiadająca tak zwany „głód bawełniany”. Bunt tkaczy szybko się skończył, a straty były niewielkie – pewnie również dlatego Kindermann i Heinzel uniknęli kary... i chyba również czegoś się nauczyli. Obaj bowiem szybko sami przekonali się do mechanizacji. W 1868 rodzina przeniosiła się na ulicę św. Andrzeja (obecnie Andrzeja Struga), powoli rozbudowując swoje warsztaty o kolejne tkalnie.

Nowa lokalizacja pełniła funkcję niejako zaczynu nowego ośrodka koncentracji struktur przemysłowych w mieście – wyznaczała ją dolina rzeczki Karolewki (w okolicach dzisiejszych ulic Kopernika i Łąkowej) gdzie szybko zaczęły powstawać na stosunkowo niewielkiej przestrzeni nowe, budowane obok siebie fabryki: Mar-kusa Kohna, Bennischów, Tietzenów, Kretschmera, a później również Juliusza Kinder-

man. Kiedy więc w 1895 roku Franciszek Kindermann posiadał już okazały warsztat z gromadą czeladników, rozpoczęła się budowa tu fabryki. Projekt stworzył Franciszek Chełmiński – pełniący wtedy po Hilarym Majewskim funkcję architekta miasta. Kilka-
naście lat później zaprojektował też pałac Gustawa Adolfa Kindermanna przy ulicy Piotrkowskiej 151. Fabryka posiadała przędzalnię, tkalnię mechaniczną, farbiarnię i wykańczalnię. W 1905 roku firma zatrudniała już ponad trzystu robotników. Przedsiębiorstwo niezbyt długo jednak cieszyło się pomyślną koniunkturą. Po śmierci nestora rodu w 1915 roku zarząd nad fabryką przejęli jego potomkowie, przekształcając w 1928 roku firmę – nie na długo zresztą – w spółkę akcyjną „Przemysł Wełniany Franciszek Kindermann”. Dwa lata później na skutek kryzysu światowego firma upadła, a hale fabryczne wydzierżawiono. W czasie okupacji znajdowała się w nich filia niemieckiego potentata z branży elektronicznej – firmy „Telefunken”.



Nowe życie fabryki zaczęło się krótko po wojnie: założona w 1945 roku przez dwóch inżynierów chemii Serwaczyka i Tarasiewicza fabryka sztucznego miodu po kilku miesiącach działalności została znacjonalizowana, do nazwy Zakłady Przemysłowe „Optima”, dodano „państwowe”. Firma szybko się rozwijała, przejmując mniejsze zakłady cukiernicze, udało jej się również przetrwać transformację systemową w 1989 roku. Przedsiębiorstwo zostało sprywatyzowane w 1993 roku i jako Zakłady Przemysłu Cukierniczego „Unitop-Optima” znane są, nie tylko w Polsce, głównie z wyrobu sezamków, chałwy i karmelków. Mniejszą część fabryki z kolei zaanektowano na potrzeby Łódzkiej Drukarni Akcydensowej S.A.

Fabryka Juliusza Kindermanna przy Łąkowej

Juliusz był zdaje się najambitniejszym dzieckiem Franciszka. Po ukończeniu szkoły technicznej zrezygnował z zasiadania w zarządzie firmy ojca i założył w 1892 roku własne przedsiębiorstwo, a po pięciu latach wybudował własną fabrykę. Nie była ona jednak zasadniczo konkurencją dla rodzinnego przedsiębiorstwa Kindermannów... Juliusz produkował – tak jak zresztą zdecydowana większość łódzkich przedsiębiorców – wyroby bawełniane, podczas gdy reszta rodziny zajmowała się przędzalnictwem wełny. Wzniesiona przez Franciszka Kindermanna fabryka przy ulicy Łąkowej ma bardzo interesujący, nawiązujący do architektury obronnej kształt, z dwiema basztami wież ciśnieni – na reklamowych plastronach firmy z początku XX wieku widnieją trzy wieże, zapewne budynek nie został więc dokończony według pierwotnego planu. Fabryka Juliusza była też, jako jedna z niewielu industrialnych budowli Łodzi, otynkowana i pomalowana. W 1922 roku przedsiębiorstwo przekształcono w „Towarzystwo Akcyjne Bawełnianej Manufaktury Juliusza Kindermanna”. Powodziło mu się zdecydowanie lepiej w owym czasie, niż bankrutującej firmie jego braci. Juliusz zatrudniał w pewnym okresie nawet tysiąc robotników. Dopiero na krótko przed wkroczeniem do Łodzi Armii Czerwonej potomkowie Juliusza Kindermanna – ten zmarł w 1932 roku – zdecydowali się porzucić biznes i wyjechać do Niemiec. Po wojnie aż do 1996 roku działała w tym obiekcie fabryka im. I Dywizji Kościuszkowskiej. Przez kilka lat budynek był podnajmowany różnym firmom, między innymi na magazyny. 11 września 2006 roku otwarto w fabryce Kindermanna hotel „Storting” (nazwę wkrótce zmieniono na „Focus”). Inwestorem była bydgoska spółka „Immobilie” – posiadająca wcześniej już dwa hotele, również w zabytkowych budynkach w Szczecinie i Bydgoszczy. *Nasze hotele staramy się lokalizować w oryginalnych, wtopionych w historyczną tkaninę miejską budynkach. W Szczecinie na przykład był to zabytkowy Dom Rybaka. Z Łodzią natomiast najlepiej kojarzy się fabryka – mówi Anna Grabarek z hotelu „Focus”. – Nasi goście są zachwyceni industrialną przestrzenią w pokojach. Wojewódzki konserwator zabytków wymusił na nas zachowanie oryginalnego układu okien – pokoje są więc bardzo wysokie (około pięciu metrów) co robi ogromne wrażenie na każdym kto wchodzi do środka. W ogromnym gmachu fabryki wydzielono ponad 70 pokoi w standardzie dwugwiazd-*

kowym. Miejsce, z racji bliskości hali Atlas Arena jest szczególnie lubiane przez sportowców i artystów.

Dziedzictwo Kindermannów

Co ciekawe – historycy wydają się niezbyt interesować dziejami rodu przybyłego do Łodzi w latach 30. XIX wieku. Trudno nawet znaleźć adnotacje o nich w indeksach osób w wielu historycznych monografiach miasta. O wiele bardziej interesującym dziedzictwo Kindermannów wydaje się być dla historyków sztuki i architektury. Potomstwo Franciszka Kindermanna, zakładając rodziny, budując wille i pałace w okresie największej prosperity miasta, dużo w sensie materialnym stworzyło i dużo po nich pozostało.

Marcin Kieruzel
– publicysta

Bibliografia:

1. M. Jaskulski, *Stare fabryki Łodzi*, Łódź 2005.
2. L. Skrzydło, *Rody Fabrykanckie*, Łódź.
3. K. Stefański, P. Gryglewski, *Willa Leopolda Kindermanna*, Łódź 2009.
4. Oskar Flatt, *Opis miasta Łodzi*, Warszawa 1853.
5. „Przegląd Włókienniczy” 2006, nr 3.

Fot. Barbara Gortat i Marek Strąkowski

Fabryka nad Łódką

Biedermannowie

historia

Śmierć Bruno Biedermanna w styczniu 1945 roku, parę dni po zajęciu Łodzi przez Armię Czerwoną, była dramatycznym finałem epoki Łodzi czterech narodowości. To wydarzenie symbolicznie przecięło dzieje miasta. Łódź nigdy już nie odzyskała charakteru europejskiego Nowego Jorku, do którego spływały niewykształcone masy ludzi w poszukiwaniu pracy dla kawałka chleba oraz rzutcy biznesmeni, szukający tu interesu życia. Po 1945 roku w Łodzi ustało tętno tłoczone inicjatywą fabrykantów, szwargotem języka jidysz na Bałutach i autentycznym fermentem socjalistycznych idei wśród robotników. Porzucone fabryki ruszyły ponownie, ale kierowane już przez funkcjonariuszy państwowych, sterowanych odgórnie normami i dyrektywami. Ci, dla których mury fabryczne były domem, odeszli. Wśród nich także rodzina Bruno Biedermanna, której dzieje stanowią symboliczne odbicie obrazu tego miasta, jego złożoność społeczną, mentalność mieszkańców i los twórców zbudowanej tu gospodarczej potęgi. Pozostałe po nich omszałe i zrujnowane mury fabryk, wieże kurzowe, kominy to tylko ostatnie pomniki upamiętniające swoich budowniczych, twórców stuletniej świetności przemysłowej Łodzi.

Innowacyjne farbiarstwo

Fabryka rodziny Biedermannów była w czołówce największych przedsiębiorstw w Łodzi i jedną z najlepiej prosperujących firm, które nie tylko wykorzystwały prosperity dla włókiennictwa, ale świetnie poradziły sobie w kryzysowych latach 80. XIX i 30. XX wieku. To zasługa założyciela i twórcy sukcesu firmy, Roberta Biedermanna, który bardzo elastycznie ustawił profil firmy. W przeciwieństwie do innych łódzkich fabrykantów, Biedermann nie podjął się przemysłowej produkcji materiałów tekstylnych, która gwarantowała szybki przychód z tytułu masowości produkcji. Dzisiaj powiedzielibyśmy, że jego przedsiębiorstwo wybrało innowacyjne usługi dla przemysłu oparte na rozwiązaniach technicznych. Robert Biedermann otworzył w Łodzi farbiarnię, specjalizującą się w obróbce tkanin. Przy obecnej ulicy Kilińskiego 2, wtedy Widzewskiej, uruchomił laboratoria badawcze. Do końca życia niestrudzenie wprowadzał do produkcji nowe technologie farbowania, adaptując rozwiązania wynalazców z Niemiec czy Anglii. Synowi Alfredowi, studiującemu w Zurychu, chętnie finansował praktyki w zachodnioeuropejskich fabrykach, z poleceniem by nauczył się potrzebnych mu technik farbiarskich: *W Kottbus farbują dużo przędzy czesankowej, musisz wszystko zobaczyć i na-*

uczyć się. Obejrzyj każdą drobnostkę i wszystkie szczegóły zanotuj. Czy kąpią przędzę czesankową, jak, w czym, jak długo itd. Wszystkiemu przyjrzyj się dobrze. – pisał w liście do syna.

Robert Biedermann doprowadził również do szerszej dywersyfikacji produkcji. Obok profesjonalnych usług farbiarskich, rozpoczął również produkcję tkanin, choć zdecydował się na to dopiero po 26 latach od rozpoczęcia działalności gospodarczej.

Biedermann, którego antenaci przybyli z Niemiec do Polski w XVIII wieku, był przedstawicielem protestanckiej sumy cnót pracowitości, skromności i uczciwości. Większość doby spędzał w fabryce, a łódzkie bale zawsze go nudziły, choć





uważał za środowiskowy obowiązek by w nich uczestniczyć. Wakacje spędzane w Karlsbadzie, Wiedniu, Dreźnie chętnie łączył ze zwiedzaniem fabryk. Chwile odprężenia Biedermann znajdował w sali bilardowej, którą zaaranżował w rezydencji przy ulicy Widzewskiej 2.

Właściciel Łódki

Wilhelm Traugott Biedermann był pastorem w Zduńskiej Woli, gdzie na świat przyszło jego sześćcioro dzieci. Robert urodził się w 1836 roku i już w wieku 12 lat zaczął pracować na własne utrzymanie. Przez następnych 15 lat uczył się zawodu farbiarza, najpierw w Konstancynie, a później w Łodzi w zakładzie Józefa Paszkiewicza. Od 1861 roku Biedermann był związany nie tylko z Łodzią, ale również z terenem wokół rzeki Łódki, który w przyszłości stał się jego własnością. Przy dzisiejszej ulicy Północnej mieściła się farbiarnia Paszkiewicza, którą właściciel w 1867 roku wydzierżawił swoim praktykantom. Cztery lata wcześniej Biedermann uzyskał od pracodawcy świadectwo o praktyce farbiarskiej i w wieku 27 lat rozpoczął działalność gospodarczą na własny rachunek w pomieszczeniach przy ulicy Widzewskiej 2. Kapitał początkowy młodego farbiarza stanowiły własne, niewielkie oszczędności, dochód ze sprzedaży ziemi i nieruchomości odziedziczone w Konstancynie po matce oraz szczęśliwie dość wysoki posag Adeli Emmy z Braunów, z którą ożenił się w kwietniu 1863 roku.

Celem Roberta Biedermanna było zdobycie terenów wokół pobliskiej rzeki Łódki. Najważniejszym narzędziem pracy farbiarza była bowiem woda. W 1857 roku był już właścicielem terenów przy ulicy Franciszkańskiej z dostępem

do Łódki i dopiero wtedy rozpoczął rozbudowę farbiarni. Drewniane budynki zastąpił murowanymi, jednopiętrowymi. Wprowadził nowoczesne kadzie, suszarki, dekatyzery, a po jakimś czasie maszyny parowe. Pomysł na rozwój przedsiębiorstwa Biedermanna tkwił w inwestycjach w grunty, technologię i zdobywanie nowych rynków zbytu. Produkcja farbowanych tkanin wzrosła 40-krotnie w ciągu 13 lat. Z czasem bowiem Biedermann z usługodawcy stał się producentem, sprzedając zakupione, przefarbowane tkaniny i wełnę. Większym łódzkim odbiorcą był między innymi Szaja Rozenblatt, ale duża część produkcji znalazła stałych kontrahentów w Koburgu, Rydze oraz w Moskwie.

Do 1880 roku przedsiębiorstwo Biedermanna w ówczesnej wielkości osiągnęło apogeum rozwoju. Fabryki przy ulicy Franciszkańskiej oraz Widzewskiej zatrudniały 70-80 osób, produkcja szła pełną parą. Na miejscu obecnej ulicy Północnej był staw, z którego podziemnymi kanałami płynęła od fabryki woda. W 1870 roku przedsiębiorca postawił osobny budynek, w którym umieścił laboratorium chemiczne oraz skład barwników. W 1879 roku rodzina Biedermannów przeniosiła się do pałacu wybudowanego obok farbiarni przy ulicy Widzewskiej 2. Ten oryginalny na tle innych fabrykanckich rezydencji pałac, nawiązujący do *quattrocento*, czyli okresu wczesnego florenckiego renesansu, zaprojektowała pracownia architektoniczna Hilarego Majewskiego.



Najlepsze lata

Dalszy rozwój przedsiębiorstwa po 1879 roku otwiera kupno farbiarni Teodora Kundela przy ulicy Widzewskiej 1/3, znajdującej się naprzeciwko domu i zakładu Biedermanna. Na nieruchomości składały się pomieszczenia farbiarni i maszyn parowych, skład drewna, komin fabryczny oraz parterowy dom, błędnie nazywany „domem Biedermanna”, gdyż fabrykant mieszkał już w rezydencji. W nowo zakupionej fabryce Biedermann otworzył oddział, w którym farbował tkaniny wełniane, półwełniane oraz przędzę. Jego głównym odbiorcą stał się Juliusz Heinzel. Inwestycje Biedermanna nadszarpnęły budżet firmy i fabrykant po raz pierwszy zwrócił się po pożyczkę. Sumę 30 tysięcy rubli pożyczył mu wówczas Karol Scheibler. Od połowy lat 70. do końca 80. Biedermann założył trzy stawy spełniające funkcję magazynu wody dla fabryki oraz wybudował pięć studni głębinowych, bo i skład chemiczny wody z Łódki i wydajność kanałów były niewystarczające dla wciąż unowocześnianej fabryki. Jednak w latach 80. doszło do spowolnienia gospodarczego, które bardzo zaniepokoiło Biedermanna i zmusiło do redukcji załogi o 20 osób. Rozszerzył wtedy asortyment, farbując, wykończając i drukując bawełnę i plusz z motywami kwiatowymi. Zakupił też najnowocześniejsze maszyny do obróbki kaszmiru i dzięki synowi Alfredowi zdobył technologię farbowania tej tkaniny. Robert Biedermann nie zaprzestał też inwestowania w grunty. W latach 1886-91 kupił place przy ulicy Smugowej 3-19. Na części z nich założył gospodarstwo rolne, które zaopatrywało rodzinę Biedermannów w produkty spożywcze. Nabył również grunt przy ulicy Podzagajnej (obecnie Kopcińskiego), gdzie założył duży ogród warzywny. W końcu lat 80. podjął decyzję o budowie przędzalni i tkalni. Otwarcie przędzalni poprzedziło, charakterystyczne dla Roberta Biedermanna, szczegółowe przygotowania. Fabrykantowi nie wystarczyło doświadczenie łódzkich potentantów. Zanim podjął decyzję o budowie, wybrał się w podróż po europejskich fabrykach, zapoznając się z rozwiązaniami hal szedowych, obsługą maszyn, zamawiając nowoczesne zgrzeblarki i selfactory. Załoga przedsiębiorstwa Biedermanna, nieprzekraczająca dwustu osób, powiększyła się czterokrotnie. W halach szedowych, wybudowanych między obecnymi ulicami Smugową i Północną, w 1894 roku zainstalowano oświetlenie elektryczne, a w 1900 roku pracowało tu 40 tysięcy krosien. Robert Biedermann znalazł się w gronie największych łódzkich przedsiębiorców, którzy w 1886 roku chcieli powołać Towarzystwo Akcyjne mające na celu wybudowanie w Łodzi wodociągów i kanalizacji. Jednakże inicjatywa ta upadła.

Robert Biedermann przyszłość firmy silnie wiązał za swoimi dziećmi i jak pisał do syna Alfreda ...*dopóki jestem zdrowy i mam siły, to przedsiębiorstwo będzie szło, ale ja wkrótce będę za stary i muszę otrzymać wydatną pomoc z waszej strony.* Fabrykant był ojcem siedmiu córek i sześciu synów, ale to właśnie Alfred wykazał zainteresowanie firmą i po śmierci ojca z sukcesem kontynuował jego dzieło. W 1882 roku Alfreda rozpoczął studia w Zurychu, które ojciec traktował jako inwestycję rodzinną. Interesował więc się jego postępami w nauce, często pisał listy instruują-



ce jakie informacje o technikach farbiarskich ma zdobyć, strofował syna, jeśli podejrzewał go o rozrzutność. Od 1890 Alfred z bratem Robertem pomagali ojcu w prowadzeniu przedsiębiorstwa, jednak Robert junior nie wykazywał zainteresowania firmą i około 1910 roku wycofał się z zarządu. Po śmierci Roberta Biedermanna w 1899 roku, syn Alfred firmą faktycznie zarządzał.

Alfred w 1892 roku ożenił się z córką znanego łódzkiego przemysłowca Ludwika Meyera, Zofią. Trzy lata później, po urodzeniu drugiego syna, Zofia zmarła. Jej nagrobek przedstawia figurę anioła i stanowi jeden z najpiękniejszych pomników na Starym Cmentarzu przy ulicy Ogrodowej. Został on odrestaurowany i przywrócony do dawnej świetności w latach 2004-05. Podobno twarz postaci anioła ma rysy Zofii Biedermahn. Drugi ślub Alfreda, z Martą Anną von Berens, odbył się w 1900 roku.

Przedsiębiorstwo prowadzone przez Alfreda Biedermanna rozwijało się pomyślnie, a fabrykant w porę podejmował działania, które miały zapobiec ewentualnym stratom. W 1904 roku powołał wraz z innymi przedsiębiorcami kartel, który ustalał ceny i wielkość produkcji, co miało przeciwdziałać skutkom kryzysom w branży występującym w latach 1904, 1909 i 1914. Biedermann wraz z Scheiblerem i Heinzlem, kupili też kopalnię węgla w Czeladzi, powołując Towarzystwo Górniczo-Hutnicze „Saturn”. Rozwój kopalni przyczynił się do ożywienia gospodarczego w tamtym mieście, co do dzisiaj jest pamiętane jako przyczyna rozbudowania i rozwoju Czeladzi. Alfred inwestował również w przemysł energetyczny (elektrownie w Zgierzu, Pruszkowie, Sosnowcu) oraz w przemysł maszynowy i elektryczny.

historia



Kres rodziny

Bruno Otto Biedermann urodził się w 1878 roku. Nie kierował wcześniej rodzinną fabryką, a po I wojnie światowej podjął pracę jako doradca prawno-ekonomiczny. Był kapitanem wojska polskiego. W 1940 roku został zmuszony wraz z żoną do przyjęcia volkslisty. Ich córka Maryla Ada, zwana w rodzinie Lil, należała do Armii Krajowej, była więziona przez gestapo. W styczniu 1945 roku znalazła się w kolumnie uciekających z Łodzi Niemców. Jednak choroba zmusiła Marylę Biedermann do powrotu do rodzinnego pałacu przy ulicy Franciszkańskiej. 24 stycznia 1945 roku załamany Bruno Biedermann, który nie chciał uciekać z Łodzi, zastrzelił córkę i żonę, a następnie popełnił samobójstwo. Zgodnie ze swoją wolą spoczęli w ogrodzie rodzinnego pałacu. Ta tragedia przypieczętowała losy rodziny Biedermannów, która odeszła z Łodzi na zawsze. Grób Bruna, Lil i Luizy został przeniesiony na Stary Cmentarz w Łodzi dopiero w 1977 roku, kiedy poszerzano ulicę Północną.

W byłej fabryce Biedermanna po 1945 roku powstały Państwowe Zakłady Przemysłu Bawełnianego „Rena Kord” im. Szymona Harnama. Eksploatowana i nieremontowana fabryka sprawiła, że dorobek materialny Roberta powoli niszczał. W 2003 roku wybuchł w fabryce przy ulicy Smugowej pożar, który strawił dach. W kwietniu 2008 roku prywatny nabywca tego obiektu uzyskał zgodę na wyburzenie kompleksu. Zaalarmowane służby konserwatorskie błyskawicznie pojawiły się na miejscu, ale za późno, żeby uratować spoczywające już w gruzach mury przędzalni. Wstrzymana rozbiórka pozostawiła do dzisiaj otwartą ranę огоłoczonego, pustego terenu, na którym uchowały się już tylko dwie zabytkowe wieże. W zabudowaniach po drugiej stronie ulicy Kilińskiego mieszczą się obecnie hurtownie, jednak mury nie są konserwowane i ulegają stałej degradacji. Parterowy domek z 1860 roku, a więc rzadki w Łodzi zabytek, został zburzony.

Więcej szczęścia miały najwcześniejsze zabudowania fabryki Biedermanna przy ulicy Kilińskiego 2 oraz pałac przy ulicy Franciszkańskiej. Dawną farbarnię oraz rezydencję kupiła firma „Atlas”. Podobnie jak za czasów Biedermanna jest tam laboratorium badawcze, a odrestaurowany dom mieszkalny stał się siedzibą władz firmy. Pałac natomiast przejął Uniwersytet Łódzki i pieczołowicie wyremontował. Obecnie jest siedzibą Instytutu Teorii Literatury, Teatru i Sztuk Audiowizualnych.

Łódź czterech narodowości nigdy już nie powróci. Ale fabryki, które nam zostawili ich budowniczości to testament, którego wypełnienie jest troską o ich materialną spuściznę, stanowiącą ważny element moralnej tożsamości.

Mateusz Sidor
– publicysta

Fot. Barbara Gortat i Marek Strąkowski

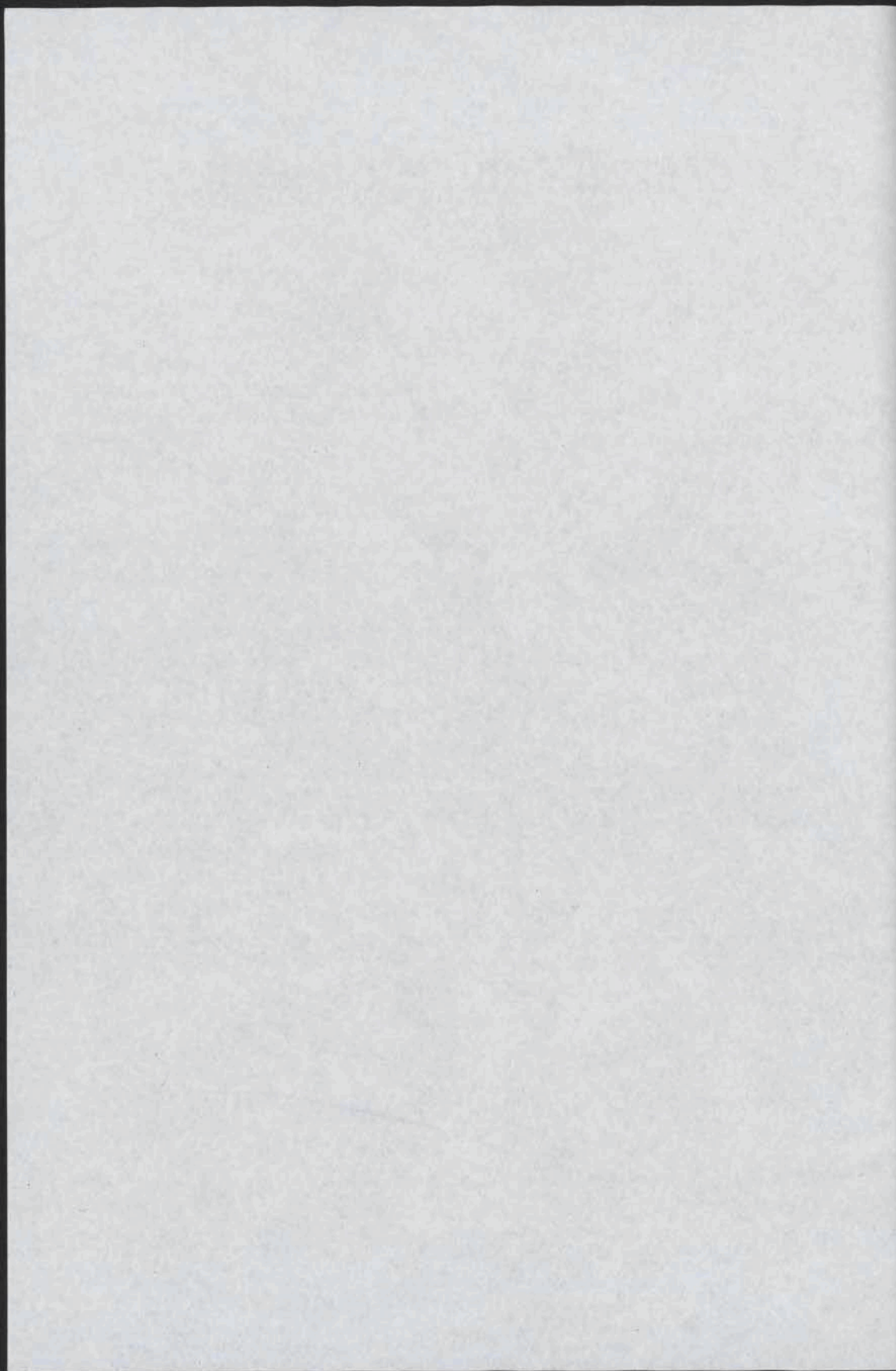
czarne dziury, białe plamy

Marzec 1968

Kampania „antysyjonistyczna” w Łodzi

Magdalena Zapolska-Downar

str. 181



Marzec 1968

Kampania „antysyjonistyczna” w Łodzi

czarne dziury, białe plamy

Problem kampanii antysemitycznej w Łodzi, nazwanej przez ówczesne władze PRL „antysyjonistyczną”, nie spotkał się dotychczas z pełnym opracowaniem historycznym. Wprawdzie ukazało się kilka artykułów prasowych, dotyczyły one jednak jedynie środowisk dziennikarskich, ewentualnie w większych opracowaniach monograficznych na temat wydarzeń marcowych poświęcono im kilka akapitów. Temat ten wymaga zatem opracowania nie tylko w kwestii samej propagandy podczas gorących dni od marca do maja 1968 roku, ale również zbadania na gruncie łódzkim jej pierwszych symptomów, przygotowani, tak ze strony władz partyjnych oraz służb specjalnych, zarówno wojskowych, jak i SB oraz jej konsekwencji w postaci emigracji łódzian pochodzenia żydowskiego. Jej główna fala nastąpiła pod koniec 1968 roku i trwała przez cały następny rok.

Niniejszy artykuł ma na celu zobrazowanie najmroczniejszego etapu tej kampanii na terenie Łodzi, która, w niezwyfikowanej dotychczas opinii historyków, niechlubnie przodowała w nagonce antysemitycznej.

Analizując istotę łódzkiej kampanii antyżydowskiej można wyróżnić w niej kilka elementów wzajemnie się przenikających i zależnych od siebie. Wydaje się, że wyodrębnienie przez Stanisława Januszewskiego, byłego redaktora naczelnego „Dziennika Łódzkiego” w liście do Władysława Gomułki z lipca 1968 roku jej dwóch warstw: organizacyjnej i propagandowej, wydaje się słuszne.

Płasczyzna organizacyjna zawierała w sobie przygotowanie informacji, zarzutów i wreszcie wykluczenie z partii oraz zwolnienie z pracy osób pochodzenia żydowskiego. Za jej przeprowadzenie odpowiedzialne były zarówno władze partyjne Łodzi, z I sekretarzem KŁ PZPR Józefem Spychalskim i głównymi wykonawcami z ramienia KŁ: Hieronimem Rejniakiem (Wydział Propagandy KŁ PZPR) i Stanisławem Józwiakiem (Wydział Organizacyjny KŁ PZPR), jak i Służba Bezpieczeństwa. W tym miejscu należy podkreślić, że wbrew opiniom współczesnych jak i ofiar ówczesnych wydarzeń, na podstawie zachowanych materiałów nie można potwierdzić inspiratorskiej roli SB w propagandzie marcowej. Trzeba bowiem pamiętać, że służby te miały funkcję usługową wobec władz partyjnych i to one dostarczały materiałów, ale dyrektury co do form i zakresu inwigilowania środowiska łódzkich Żydów wychodziły z Komitetu Łódzkiego.

Drugi element kampanii antysemitycznej to propaganda wykorzystująca wcześniej sprawdzone środki: prasę, wiece zakładowe, indoktrynację w szkołach.

Ideolodzy pióra

Obie formy oddziaływały na siebie wzajemnie, bowiem każdy przypadek wykrycia „syjonistycznej” działalności znanej w łódzkim środowisku osoby pochodzenia żydowskiego, był natychmiast nagłaśniany przez prasę, to zaś z kolei motywowało do poszukiwania kolejnych. Oczywistym jest, że propaganda antyżydowska prowadzona w mieście, gdzie mniejszość żydowska szacowana była na 3,5 do czterech tysięcy osób, kierowana była zarówno do ogółu społeczeństwa, jak i aparatu partyjnego. Temu drugiemu służyło wydanie przez Łódzki Ośrodek Propagandy Partyjnej dwóch broszur: *Polityka partii i rządu i jej przeciwnicy* pióra Zbigniewa Falińskiego, Wiktora Malewskiego i Henryka Maciejewskiego oraz *Syjonizm, jego geneza, charakter polityczny i antypolskie oblicze* autorstwa Władysława Kmitowskiego, pracownika Katedry Prawa Państwowego Wydziału Prawa Uniwersytetu Łódzkiego. Oba opracowania powstały w kwietniu 1968 roku i są w zasadzie pracami wtórnymi, bowiem ich autorzy nie kryli faktu korzystania z artykułów opublikowanych na łamach łódzkiej prasy, stąd ich tezy były w zasadzie powtórzeniem propagandowych tekstów łódzkich dziennikarzy. Kwestią otwartą pozostaje, na ile artykuły prasowe były wytworem ich autorów, a ile było w tym odgórnym wytycznym z tezami, jakie miały zawierać. Niemniej zbieżność treści owych broszur z artykułami prasowymi, które w prasie łódzkiej z niewielkimi wyjątkami były do siebie bliźniaczo podobne, nasuwa wniosek, że istniały centralne dyrektywy, bardziej lub mniej twórczo rozwijane przez łodzian. Zastanawia fakt późnego pojawienia się wspomnianych broszur w stosunku do wytworów prasowych, zwłaszcza że, zgodnie z poleceniem KŁ, miały być one rozpowszechniane wśród członków organizacji partyjnych wszystkich zakładów i instytucji. Można złożyć to na karb dużej gorliwości wspomnianych autorów-pracowników KŁ, których antysemityzm nie był dla nikogo tajemnicą. W szale ujawniania „syjonistów” na terenie robotniczej, czerwonej Łodzi być może miejscowe władze chciały wzmocnić zapal aktywu partyjnego, którego rękami wykluczano z życia publicznego osoby pochodzenia żydowskiego. Wymowa tej pisanej propagandy była na tyle brutalna, że spotkała się ona nawet z krytyką Komitetu Centralnego PZPR i broszury po kilku tygodniach wycofano.

Głównym przesłaniem obu opracowań było przedstawienie syjonizmu jako ideologii rasistowskiej, której jedynym wrogiem jest socjalizm nieuznający nacjonalizmów. Wobec tego, odwołując się do niechlubnej tradycji nie tylko polskiego antysemityzmu, autorzy roztaczali przed czytelnikami wizję międzynarodowej organizacji syjonistycznej, współpracującej ze Stanami Zjednoczonymi i RFN, dążącej do panowania nad światem, która posługując się diasporą i różnorakimi metodami, z tak zwaną wojną psychologiczną włącznie, dąży do zmiany ustroju w Polsce. Towarzyszyła temu absurdalna wizja historii PRL, u zarania której środowiska syjonistyczne, ka-

muflując swój światopogląd pod pozorem zaangażowania w budowę socjalizmu, zajęły wiele kluczowych stanowisk w państwie, wprowadzając stalinizm, zwany tu „okresem błędów i wypaczeń”, dla zniechęcenia społeczeństwa do nowego ustroju. Wraz z odwilżą październikową winni wyemigrowali do Izraela, a ich miejsce zajęli inni syjoniści, zmieniając taktykę na tak zwane rozmiękczenie socjalizmu poprzez rozpowszechnianie rewizjonizmu w nauce, a tym samym wpajanie go nieświadomej prawdziwych celów młodzieży. Syjoniści, zdaniem autorów, opanowali również sferę kultury, czego dowodem miały być bezideowe, a wręcz antypolskie filmy i utwory literackie. Tak zwana mała stabilizacja była wyrafinowaną próbą odciążenia społeczeństwa od polityki i ideologii, kierując jego uwagę jedynie na potrzeby konsumpcyjne. Efektem finałowym tej, jak chcieli autorzy, długofalowej akcji, były wydarzenia marcowe, mające na celu wywołanie chaosu w państwie. Oprócz tej zaskakującej historiozofii, w broszurach tych znalazły się rozważania o szkodliwości syjonizmu na gruncie polskim, bowiem posiadanie dwóch ojczyzn w warunkach PRL jest niemożliwe z racji odrębności ustrojowej PRL i Izraela. Całość, okraszona cytatami z rzekomych publikacji i wystąpień „syjonistów” namawiających współbraci w diasporze na priorytetowe traktowanie interesów Izraela, kończyło ponure w swej wymowie wezwanie do samookreślenia się obywateli pochodzenia żydowskiego. Deklaracja ta miałaby polegać przede wszystkim na publicznym zapewnieniu o pomocy Polaków Żydom podczas okupacji, bowiem w mniemaniu autorów, co zresztą było stałym elementem kampanii antysyjonistycznej w całym kraju, od kilkunastu lat na zachodzie trwała propaganda antypolska pomawiająca Polaków o antysemityzm.

Antysemiccy dziennikarze

Propaganda prasowa, w której przodowały dwa tytuły: „Głos Robotniczy” i „Dziennik Łódzki” oraz przeznaczony dla lepiej wykształconego czytelnika tygodnik „Odgłosy”, rozpoczęła się 13 marca wiadomościami o rezolucjach przyjętych na wiecach w łódzkich zakładach potępiających „syjonistycznych inspiratorów i wichrzycieli” wydarzeń warszawskich. Rezolucje takie były skrupulatnie publikowane do połowy maja, a postulaty w nich zawarte ewoluowały w stronę żądań wykluczenia z partii i pozbawienia odpowiedzialnych stanowisk domniemanych „syjonistów”.

16 marca w łódzkich dziennikach pojawiły się pierwsze rozważania teoretyczne na temat istoty syjonizmu wraz z cytatami zachodnich przedstawicieli tego ruchu, mającymi wywołać w społeczeństwie wrażenie ogólnoświatowego spisku żydowskiego. Pseudonaukowe dywagacje o istocie narodowości doprowadziły jednego z autorów, Krzysztofa Gawlikowskiego, do wniosku, że z racji ukształtowania wśród Żydów poczucia narodowości na gruncie więzi plemiennych, a nie terytorialnych, jak w innych narodach, ich asymilacja jest niemożliwa, bo zrywając więź z własnym narodem nie potrafią nawiązać jej z krajem i społeczeństwem, w którym mieszkają. Równocześnie pojawiły się artykuły, w których z pasją udowodniano ofiarną pomoc Polaków

Żydom podczas okupacji oraz oskarżano Judenraty i policję żydowską w gettach o współudział w zagładzie. Wynikało to z rzekomego rozpowszechniania na Zachodzie też o współudziale Polaków w holokauście. W analizowaniu wczesnych lat Polski Ludowej, według schematu historycznego przedstawionego w broszurach KŁ PZPR, wdarł się pewien paradoks: jedni publicyści ujawniali czytelnikom zaplanowane przez syjonistów objęcie ważnych stanowisk w państwie i gospodarce, inni z kolei twierdzili, że w imię litości i współczucia po Zagładzie, władze ludowe proponowały im intratne posady nawet bez odpowiednich kwalifikacji.

W odniesieniu do ogólnie pojmowanej żydowskiej mniejszości narodowej w niedwuznaczny sposób posądzano jej członków o szpiegowanie na rzecz Izraela, czego dowodem była działalność charytatywnej organizacji Joint. W sugestywny sposób wyliczano sumy, jakie instytucja ta przekazywała Towarzystwu Społeczno-Kulturalnemu Żydów i gminie wyznaniowej, ujawniono także dokładne dane o ilości surowców dla dwóch działających na terenie Łodzi żydowskich spółdzielni pracy: „Farmedia” i „Rozwój”. W ten sposób dawano czytelnikom do zrozumienia jak wielkimi sumami dysponują łódzcy Żydzi, którzy z ociąganiem potępili publicznie syjonizm. Choć środowisku łódzkiego TSKŻ poświęcono relatywnie mało miejsca, nie obeszło się bez zarzutów nielegalnego nauczania historii Żydów i języka hebrajskiego na terenie Towarzystwa. W publiczny obieg wprowadzono też rzekome opinie zasłyszane w tym gronie o nakazie zdobywania wykształcenia przez młodych obywateli pochodzenia żydowskiego na koszt PRL przed ich późniejszą emigracją do Izraela.

Był to dość zręczny zabieg propagandowy, kreował bowiem obraz „syjonisty” (czytaj Żyda), który nie tylko przeżył dzięki Polakom, ale poprzez możliwości jakie dawała mu władza ludowa, mógł rozwijać się i robić karierę (*jedliście przez całe życie polski chleb, najczęściej grubo posmarowany masłem*), w zamian służąc interesom państwa Izrael, a pośrednio i USA oraz RFN, okazując niewdzięczność za doznane łaski. „Żyd-syjonista” zajmuje, według tego propagandowego schematu, wysokie stanowiska, popiera swoich współbraci, z którymi tworzy elitę korzystającą nie tylko z przywilejów państwowych, ale i pomocy materialnej Zachodu.

Warto jednak zaznaczyć, że popisy antysemitki niektórych łódzkich dziennikarzy nie znajdowały poparcia u wszystkich członków redakcji. W zachowanym protokole z otwartego zebrania POP przy redakcji „Dziennika Łódzkiego” Karol Badziak, szczególnie „zasłużony” w kampanii antysyjonistycznej, skarżył się, że dziennikarze angażujący się w tę tematykę są *pod ostrzałem*. Zresztą zapal publicystyczny niektórych z nich spotkał się nawet z interwencją KC PZPR zarzucającą nadgorliwcom kompromitowanie sprawy zbyt żarliwymi wypowiedziami prasowymi. Przy tak uformowanym obrazie wroga można było przystąpić do „polowania na syjonistów”.

Jedną z pierwszych ofiar był dyrektor Zjednoczenia Przemysłu Gumowego Mieczysław Srebnik, którego postawiono w stan oskarżenia za sfalszowa-

nie dyplomu wyższej uczelni. Nikt nie zwrócił jednak wcześniej uwagi, że człowiek pełniący od 1949 roku najwyższą funkcję w przemyśle gumowym w Łodzi nie miał nawet matury, co nie przeszkadzało mu w pomyślnym kierowaniu Zjednoczeniem.

Represje i czystki

Lawina zwolnień z pracy i wykluczania z partii rozpoczęła się z początkiem kwietnia. Wspomniany już Stanisław Januszewski utrzymywał, że w KŁ PZPR powołano specjalny zespół dla przygotowania listy osób pochodzenia żydowskiego zajmujących wysokie stanowiska w gospodarce, nauce i kulturze w Łodzi. Składu tego zespołu nie udało się ustalić. Cel ten jednak wpisywał się w zamierzenia ekipy moczarskiej przejęcia władzy nie tylko na szczeblu centralnym. Zresztą nieprzypadkowo w jednym z artykułów w łódzkiej prasie uświadamiano czytelników, że syjonistami są zwykle ludzie zajmujący odpowiedzialne stanowiska, a nie reprezentanci klasy robotniczej.

Poza wytypowaniem nazwisk KŁ PZPR zbierał również wszelkie informacje o zainteresowanych, korzystając z pomocy SB. Jeśli zabrakło powodów, sekretarze POP zdani byli na własną inwencję, co skutkowało zarzutami typu: niemoralny tryb życia, niezajęcie postawy wobec wydarzeń marcowych czy pobyt w Izraelu. Pomoc SB była tu nieodzowna, bowiem inwigilacja środowisk żydowskich była prowadzona od dawna. Zaskakuje fakt, że o nadużyciach finansowych niektórych dyrektorów łódzkich zakładów bezpieczeństwa wiedziała już w latach 50., najwidoczniej jednak zbierane materiały miały służyć odpowiedniejszej okazji.

Tak było w przypadku Przemysława Granasa, dyrektora ZPP im. Buczka i Izraela Rabinowicza, zastępcy dyrektora ds. produkcji w Zjednoczeniu Przemysłu Dzielarskiego i Pończoszniczego, przeciwko którym już w 1953 roku prowadzone było śledztwo dotyczące ich udziału w nielegalnej sprzedaży maszyn zakładowych. Podobnie było ze wspomnianym Srebnikiem, któremu już w 1959 roku zarzucono w tajnych raportach zawieranie niekorzystnych umów handlowych. Obok tego bezpieczeństwa nieraz informowała w swoich raportach o domniemanej współpracy z gestapo wytypowanych „syjonistów” lub ich krewnych. I sekretarz KŁ PZPR pouczał aktywniejszego szczebla, teoretycznie niewtajemniczony w prawdziwe zamysły władz, o kierowaniu się jedynie *oceną kwalifikacji zawodowych, moralnych i politycznych*, a nie narodowościowych, przy decydowaniu o zwolnieniach z pracy.

Schemat wykluczenia z partii i zwolnienia z pracy był zwykle podobny: zebrania organizacji partyjnych w zakładach pracy, niekiedy pod nieobecność osoby zainteresowanej, zarzuty różnej natury: w przypadku dyrektorów zakładów oskarżenia o nadużycia finansowe, niewłaściwy stosunek do podwładnych, brak odpowiednich kwalifikacji, co było zarzutem absurdalnym zważywszy na długi staż pracy oskarżanych, nepotyzm względem osób narodowości żydowskiej, a w odniesieniu do pracowników naukowych: brak reakcji lub poparcie strajkujących studentów, wreszcie brak współpracy z organizacjami partyjnymi.

Szczególnie na uczelniach dało się zauważyć instrumentalne potraktowanie propagandy antysyjonistycznej, ubranej w krytykę rewizjonizmu, dla usunięcia kilku pracowników i zdobycia tym samym wolnych etatów. SB stworzyła nawet teorię istnienia grupy pracowników UŁ wzajemnie się popierających, do której zaliczyła: dr. Pawła Korca, doc. dr. Stefana Amsterdamskiego, doc. dr. Leona Błaszczyka, prof. Henryka Katza. W rezultacie pracę na UŁ stracił dr Amsterdamski, dr Błaszczyk, dr Korzec oraz dr Adam Leśniewski. Oskarżono ich, że studenci ich seminariów byli „prowodyrami” wieców i strajku. Trzech innych pracowników KU PZPR skreślił z listy osób nominowanych do nagrody Ministerstwa Edukacji Narodowej. Z Akademii Medycznej zwolniono lub pozbawiono funkcji między innymi prof. Jerzego Szapiro, prof. Ludwika Mazurka, prof. Mieczysława Fuksa oraz wicedyrektora ds. administracyjnych Leona Lichtszajna, w Wojskowej Akademii Medycznej zaś ofiarami czystek stali się płk prof. Andrzej Himmel, płk prof. Paweł Segał oraz ppłk dr Jerzy Hauser. Nie oszczędzono również łódzkiej filmówki, władzom której zarzucono bezideowość w wychowywaniu studentów, ich nadmierny kosmopolityzm, efektem czego zwolniono lub usunięto z zajmowanych stanowisk: rektora prof. Jerzego Toeplitza, prorektorów doc. Romana Wajdowicza i prof. Stanisława Wohla oraz dziekana prof. Jerzego Bossaka.

Kolejnym środowiskiem narażanym na czystki byli dziennikarze, spośród których zwolniono z pracy lub zawieszono: z „Głosu Robotniczego” Jerzego Gliksmiana, Jerzego Flajszmana, Józefa Lebenbauma i Alinę Grabowską, z „Dziennika Łódzkiego” redaktora naczelnego Stanisława Januszewskiego, z „Expressu Ilustrowanego” Bolesława Lesmana, a z „Karuzeli” zastępcę redaktora naczelnego Marię Lorberową, której przypisywano w esbeckich sprawozdaniach prowadzenie „syjonistycznego salonu politycznego”. Zarzuty wobec zwolnionych dziennikarzy dotyczyły głównie ich postawy wobec Izraela podczas wojny sześciodniowej. Podobny los spotkał dyrektora Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego Władysława Basistę oraz dyrektora Wydawnictwa Łódzkiego Aleksandra Postołowa, któremu zarzucono propagowanie w profilu Wydawnictwa problematyki żydowskiej. Nagonka antysemitcka dosięgnęła również Wytwórnię Filmów Oświatowych i Studio Małych Form Se-Ma-For. Największe czystki nastąpiły jednak w przemyśle. Profil gospodarczy miasta przesądził o wręcz masowym zwalnianiu dyrektorów, zastępców, głównych specjalistów poszczególnych zjednoczeń i zakładów. Z partii wykluczono, a w niektórych przypadkach cofnięto nawet decyzję o rencie byłym członkom KPP pochodzenia żydowskiego.

Zebrania te miały często dramatyczny przebieg, gdy publicznie analizowano życiorysy. Oskarżeni, zdając sobie sprawę z prawdziwych przyczyn nagonki, niejednokrotnie próbowali udowodniać swoją polskość. Tragedia tych ludzi polegała nie tylko na utracie pracy, ale publicznym napiętnowaniu, bowiem większość przypadków była ogłaszana w prasie wraz z zjadliwym komentarzem. To z kolei pociągało za sobą szykany i ostracyzm towarzyski, bolesny zwłaszcza dla dzieci domniemyanych „syjonistów”, nierzadko niezdających sobie sprawy z żydowskiego pochodzenia

jednego z rodziców. Nie trzeba dodawać, że znalezienie pracy odpowiadającej kwalifikacjom było niezwykle utrudnione po wykluczeniu z partii. Szukanie Żydów, któremu przewodził tow. Rejniak, stawało się do tego stopnia obłudem, że w poczet osób narodowości żydowskiej włączano nawet osoby pochodzenia niemieckiego ze względu na ich obco brzmiące nazwiska. Kampanię podgrzewały wiadomości o emigracji zwalnianych osób, co władze nie omieszczały wykorzystać w propagandzie jako dowód ich braku więzi z Polską. Ogółem w pierwszym półroczu 1968 roku wyrzucono z partii na terenie Łodzi 180 osób, w tym 60 za nadużycia, a 44 za nacjonalizm, jak podają statystyki partyjne. Co ciekawe, w raporcie sporządzonym kilka miesięcy później, a dotyczącym tego samego okresu, w rubryce wyrzuconych za nacjonalizm figuruje liczba dwa.

Wszystko to działo się w atmosferze nachalnej propagandy, nie tylko prasowej. Poza wiecami i zebraniem POP poszczególnych instytucji i zakładów, 20 marca KŁ PZPR zorganizował manifestację łodzian dla wyrażenia poparcia tezom, jakie Władysław Gomułka przedstawił dzień wcześniej w swoim przemówieniu, żądając samookreślenia się przez obywateli pochodzenia żydowskiego. Według doniesień prasowych, na placu Zwycięstwa zgromadził się 150-tysięczny tłum, idący z portretami Władysława Gomułki i transparentami „Syjoniści do Dajana”, „Precz ze sługusami syjonistów”, „Łódzkie włóknianki chcą pracować w spokoju”. Głównym punktem programu było przemówienie Józefa Sychalskiego, który poza omówieniem zdobyczy socjalnych i gospodarczych Łodzi oraz przedstawieniem sum, jakie przeznaczane są na łódzkie uczelnie, nawiązał również do kwestii żydowskiej. Wyraził przekonanie o niemożności zajmowania ważnych stanowisk w przemyśle, nauce i kulturze przez osoby pochodzenia żydowskiego do czasu ich zadeklarowania się, które państwo uważają za ojczyznę. Przemówienie pierwszego wóдаря Łodzi przerywane było okrzykami „Oczyścić Łódź z syjonistów” oraz „Precz z pseudowychowawcami na wyższych uczelniach”. Manifestację zakończyło odczytanie listu mieszkańców Łodzi do Władysława Gomułki, w którym zapewniono o całkowitym poparciu łodzian dla PZPR.

Równocześnie z łódzkich kin wycofywano filmy „podejrzanych” reżyserów: Jana Rybkowskiego, Aleksandra Forda, Henryka Kluby, Janusza Nasfetera. W ŁDK zorganizowano wystawę fotografii przedstawiających „prawdziwe” oblicze działań wojennych Izraela wobec państw arabskich – ciała żołnierzy arabskich i radosne oblicza żołnierzy izraelskich, wszystko zestawione ze zdjęciami hitlerowców mordujących Żydów. Równocześnie łódzka telewizja nadała program, w którym ekipa korespondentów wojennych dzieliła się swoimi obserwacjami z przebiegu wojny sześciodniowej.

Strach i obojętność

Raporty z nieustannej inwigilacji środowiska łodzian pochodzenia żydowskiego pozwalają w przybliżeniu przedstawić reakcję tych ludzi na rozwijającą się kampanię. Przede wszystkim funkcjonariusze SB zauważyli ich częstsze kontakty w celu wymiany

doświadczeń i informacji. Na zebraniach TSKŻ członkowie spodziewali się rozwiązania Towarzystwa przez władze, a nawet pogromów. Aby uchronić się przed podejrzeniami o syjonizm, w prywatnych rozmowach namawiali się nawzajem na okazywanie swej asymilacji z resztą społeczeństwa. Pracownicy żydowskiej spółdzielni „Farmedia” zdecydowali się zmanifestować swoje poparcie dla partii i uchronić tym samym przed nagonką poprzez niesienie transparentu „Potępimy imperializm syjonistyczny i jego protektorów” podczas wspomnianego wiecu łodzian 20 marca. Dzień wcześniej zarząd TSKŻ planował nawet zaprosić przedstawiciela KŁ PZPR na spotkanie w celu uspokojenia działaczy i zapewnienia ich o bezpieczeństwie. Zastraszeni członkowie TSKŻ w obawie przed skandowaniem antysemickich haseł zrezygnowali z udziału w pochodzie pierwszomajowym. Szerzyły się pogłoski o pobiciach, stąd więc między innymi zarządzenie dyrektora szkoły im. Pereca zakazujące opuszczania domów przez uczniów w godzinach wieczornych.

Interesującym problemem jest również reakcja społeczeństwa na kampanię antysemicką. Jest to temat trudny do zbadania. Według prof. Dariusza Stoli zdecydowana większość zachowała milczenie, co interpretować można dwojako: przyzwolenie lub milcząca, podyktowana strachem, niezgoda. W przypadku Łodzi warto zauważyć, że na niektórych zebraniach POP aktyw nie zawsze głosował zgodnie z poleceniami władz. Bezpieka notowała skargi robotników na zmuszanie ich do udziału w wiecach. Z drugiej strony wśród łódzkich robotników pojawiały się opinie, że przemówienie Władysława Gomułki z 19 marca było zbyt powierzchowne, a jego miejsce powinien zająć Edward Gierek, który dzięki swemu radykalizmowi przystąpiłby do „oczyszczania” partii i administracji z większą skutecznością. Wykorzystując tajnych współpracowników oraz podsłuchy, SB notowała wypowiedzi niektórych łódzkich adwokatów i literatów, świadczące o ich silnym przeświadczeniu o nadreprezentacji osób pochodzenia żydowskiego w administracji państwowej i kulturze. Niewątpliwie w kampanii antyżydowskiej dużą rolę odgrywały odwieczne ludzkie słabości: zawiść, zazdrość, ambicje pchające niektórych do dobrowolnego udziału w nagonce na współpracowników. Na efekty tej nagonki nie trzeba było długo czekać.

*Magdalena Zapolska-Downar
– pracownica IPN Oddział w Łodzi*

Pisali o tym m.in. Alina Grabowska, Paweł Spodenkiewicz, Gustaw Romanowski.

Łodzianie

Intelekt, wiedza i pracowitość

Joanna Agacka-Indecka (1964-2010)

Zbigniew Wodo

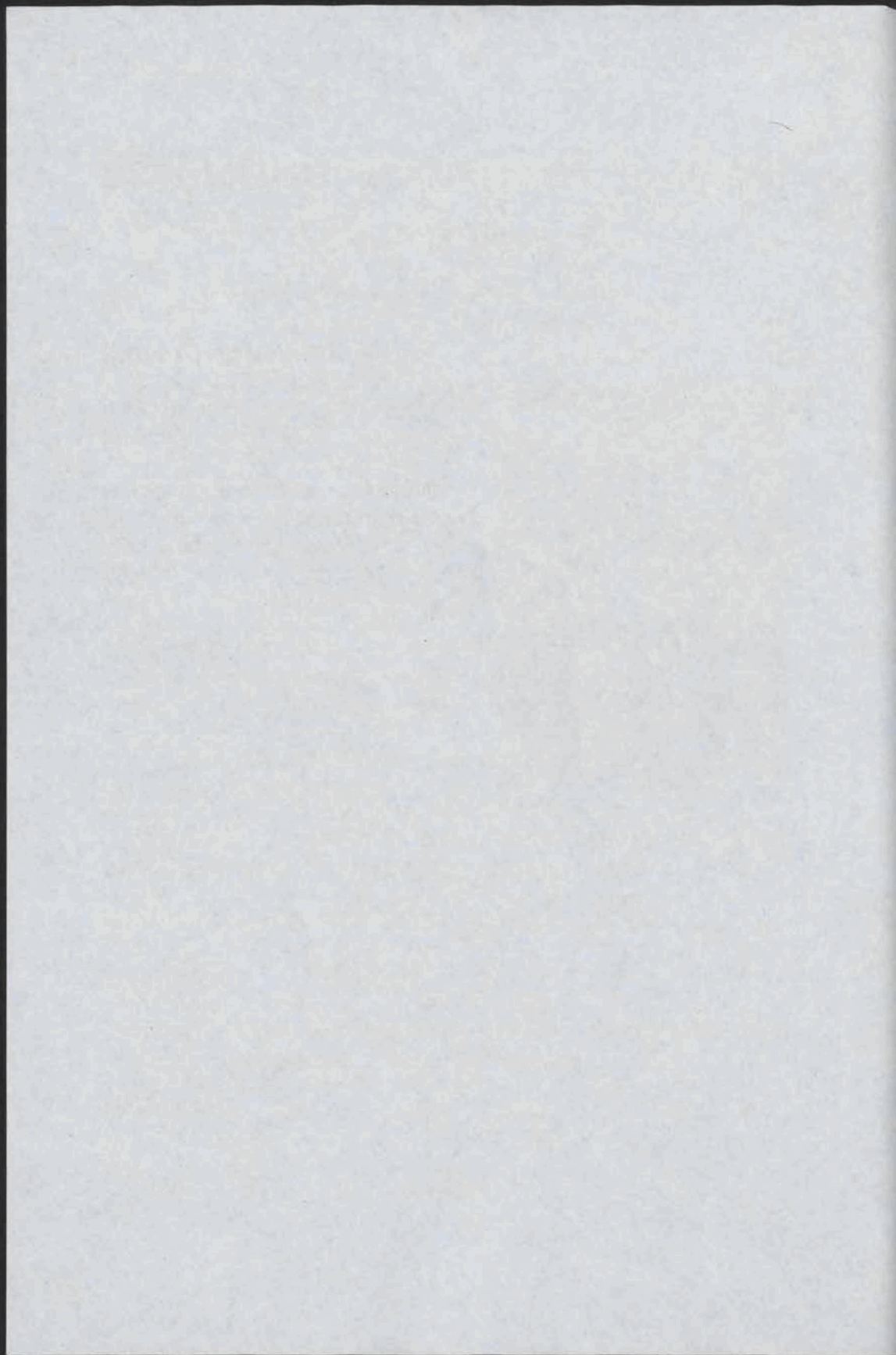
str. 191

Duszpasterz, bibliista, wrażliwy człowiek

Ksiądz biskup Mieczysław Cieślak (1950-2010)

Przemysław Kukulski

str. 194



Intelekt, wiedza i pracowitość

Joanna Agacka-Indecka (1964-2010)



W katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem 10 kwietnia 2010 roku zginęła Joanna Agacka-Indecka, adwokat, członek Łódzkiej Izby Adwokackiej, Prezes Naczelnej Rady Adwokackiej.

Wykonywanie zawodu adwokata podjęła w 1996 roku. W niedługi czas potem zaangażowała się w działalność samorządu adwokackiego. To z jej inspiracji została powołana Komisja Prawna przy Okręgowej Radzie Adwokackiej w Łodzi, która zainicjowała powołanie podobnych komisji prawnych w innych izbach adwokackich oraz ogólnopolskie posiedzenia komisji. Celem działalności komisji była analiza stanu ustawodawstwa w obszarze stanowienia prawa, a w tym także w zakresie dotyczącym adwokatury. Komisje praw-

ne przygotowywały również podstawy do wystąpień organów adwokatury w sprawach publicznych.

Nawyk aktywnego uczestniczenia w działalności samorządowej mecenas Joanny Agackiej-Indeckiej miał charakter ugruntowany. Swą aktywność ujawniła wszakże już podczas studiów w organach i akcjach społecznych samorządu studenckiego.

Na płaszczyźnie zawodowej kariera młodej prawniczki rozwijała się bardzo obiecująco. Mając gruntowne przygotowanie teoretyczne wsparte także kilkuletnią pracą na stanowisku asystenta w Katedrze Postępowania Karnego Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Łódzkiego, szybko opanowała praktyczne umiejętności wykonywania zawodu. Stała się rzetelnym, kompetentnym i błyskotliwym obrońcą w sprawach karnych. Jej prawdziwym powołaniem okazała się wszakże działalność samorządowa, której oddała się bez reszty. W krótkim czasie została więc wicedzielnikiem Okręgowej Rady Adwokackiej w Łodzi. Uczestniczyła aktywnie w przygotowaniu Nadzwyczajnego Zjazdu Adwokatury w 2004 roku i w tym samym roku została członkiem Naczelnej Rady Adwokackiej, obejmując funkcję wiceprezesa.

rodzianie

W listopadzie 2007 roku podczas zwyczajnego Zjazdu Adwokatury wybraliśmy ją na stanowisko Prezesa Naczelnej Rady Adwokackiej. Miarą popularności wśród kolegów adwokatów z całego kraju oraz powszechnej sympatii, którą Joanna Indecka-Agacka była otoczona, stanowiła przygniatająca większość głosów oddana na jej kandydaturę. W istocie bowiem mecenas Joanna Agacka-Indecka zyskała olbrzymią popularność wśród społeczności polskiej palestry w nadzwyczaj szybkim tempie. Zapracowała na tę popularność w sposób niezwykle rzetelny wytężonym wysiłkiem w sprawach adwokatury i niewątpliwymi przymiotami osobowości.

W czasie kiedy obejmowała urząd, pozycja adwokatury ulegała poważnej deprecjacji wskutek szeregu różnych czynników, za którymi – w ówczesnych warunkach politycznych – postępowały działania formacji znajdującej się u władzy, mające na celu ograniczenie samorządności adwokatury pod hasłami otwarcia dostępu do zawodu, poprawy funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości itp. Zapaść w funkcjonowaniu wymiaru sprawiedliwości wiązano bowiem z działaniami adwokatów jako rzeczników stron w procesie sądowego stosowania prawa.

Prezes Joanna Agacka-Indecka miała jednak świadomość, że ograniczenie obszarów działania adwokatury, zastępowanie samorządności i niezależności omnipotencją państwa, godzi nie tylko w interes adwokatury, ale przede wszystkim w interes tej korporacji. Niezależna i samorządna adwokatura to bowiem nic innego jak filar praworządności. Prosty skutkiem uzależnienia od państwa osoby świadczącej pomoc prawną byłoby pozbawienie obywatela (w społeczeństwie obywatelskim) możliwości swobodnej i nieograniczonej możliwości obrony jego praw i wolności.

Obronie takich właśnie pryncypiów, gwarantowanych wszakże Konstytucją Rzeczypospolitej Polskiej, mecenas Joanna Agacka-Indecka oddała swe najlepsze cechy: intelekt, wiedzę i pracowitość. Dzięki wielkiej umiejętności prezentowania swoich poglądów w sposób szczerzy, poważny i wszechstronnie uzasadniony, szybko nawiązała dialog z przedstawicielami władzy ustawodawczej i administracji rządowej, zyskała szacunek i zrozumienie, a jej wysiłki zostały dostrzeżone i uhonorowane Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz Wielką Odznaką Adwokatura Zasłużonym. Jako prezes NRA czynnie uczestniczyła w gremiach, od których zależał kształt prawa stanowionego w naszym kraju. W lutym tego roku została zaproszona do komisji opracowującej reformę prawa karnego. Jednocześnie prowadziła bieżące sprawy adwokatury, zyskując wszechstronne wsparcie koleżanek i kolegów. Jako osoba życzliwa ludziom i wyjątkowo bezpośrednia w osobistych kontaktach, miała czas dla każdego, bez cech dygnitarstwa i dominacji z wysokości sprawowanej funkcji. Trudno sobie wyobrazić jakim wysiłkiem godziła te poważne obowiązki samorządowe z pracą zawodową i życiem rodzinnym. Nigdy jednak nie skarżyła się na te niedogodności.

Ci, którzy mieli szczęście ją znać, pamiętają jak emanowała swoim ciepłem i wielką umiejętnością zjednywania sobie ludzi. Myślę, że można śmiało stwierdzić, iż w uznaniu dokonań i zasług, wyznaczony na jesień tego roku Krajowy

Zjazd Adwokatury, powierzyłby mecenas Joannie Agackiej-Indeckiej ster adwokatury na następną kadencję. Zły los zniweczył te wszystkie plany.

Stare porzekadło głosi, że nie ma ludzi niezastąpionych. Na pewno jednak są ludzie, których zastąpić będzie bardzo trudno. Do takich należała nasza koleżanka Joanna.

Zbigniew Wodo
– wicedziekan Okręgowej Rady Adwokackiej w Łodzi

Joanna Agacka-Indecka urodziła się w 1964 roku w Łodzi w rodzinie prawniczej. W 1988 roku ukończyła prawo na Uniwersytecie Łódzkim. Po rezygnacji z kariery naukowej, rozpoczęła w Katedrze Postępowania Karnego Wydziału Prawa i Administracji UŁ, postanowiła zostać adwokatem. W latach 1992-93 praktykowała w kancelariach adwokackich w USA i Wielkiej Brytanii. Pracowała też w Instytucie Prawa Karnego Międzynarodowego. W 1996 roku została członkiem polskiego samorządu adwokackiego. W 2004 roku została wybrana największą ilością głosów do Naczelnej Rady Adwokackiej. W 2007 roku została jej prezesem. W ostatnich miesiącach była wymieniana jako kandydatka na sędziego Trybunału Konstytucyjnego. Zginęła w katastrofie lotniczej samolotu prezydenckiego pod Smoleńskiem 10 kwietnia 2010 roku.

Fot. archiwum NRA

Łodźianie

Duszpasterz, biblista, wrażliwy człowiek

*Ksiądz biskup Mieczysław Cieślak
(1950-2010)*



18 kwietnia 2010 roku w nocy zginął tragicznie w wypadku ks. bp Mieczysław Cieślak. Śmierć tego duchownego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego połączyła się w szczególnie sposób z tragiczną katastrofą prezydenckiego samolotu pod Smoleńskiem. W związku bowiem z tragiczną śmiercią ks. płk. Adama Pilcha w tamtej katastrofie, Biskup Kościoła, ks. Jerzy Samiec, powierzył ks. bp. Mieczysławowi Cieślakowi stanowisko proboszcza administratora w Parafii Wniebowstąpienia Pańskiego w Warszawie. Śmierć dopadła go w Rogowie niedaleko Łodzi, gdy wracał do domu z uroczystości państwowych w Warszawie, upamiętniających ofiary tragicznego lotu prezydenckiego samolotu TU-154.

Ks. bp Mieczysław Cieślak urodził się w Cieszynie 28 marca 1950 roku, mieście, które ze względu na dużą liczbę zamieszkałych w regionie ewangelików stanowi jeden z ważniejszych ośrodków polskiego luteranizmu. Na Śląsku Cieszyńskim spędził dzieciństwo i młodość. Studia teologiczne ukończył w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie w roku 1973 i został ordynowany przez ks. bp. Andrzeja Wantułę. Jeszcze w tym samym roku rozpoczął pracę duszpasterską wśród ewangelików ziemi łódzkiej w parafii pod wezwaniem Św. Piotra i Pawła w Pabianicach, najpierw jako wikariusz, później jako mianowany proboszcz administrator, a następnie jako wybrany przez Zgromadzenie Parafialne samodzielny proboszcz. Z pabianicką parafią ks. bp Mieczysław Cieślak był związany do połowy lat 90. W tym czasie pełnił również funkcję proboszcza administratora w sąsiednich parafiach w Zdunskiej Woli, Łasku oraz Wieluniu. W latach 1977-80 pełnił także służbę Duszpasterza Młodzieży Diecezji Warszawskiej oraz Ogólnopolskiego Duszpasterza Młodzieży. Rok 1996

był rokiem przełomowym w działalności duszpasterskiej śp. ks. bp. Mieczysława Cieślara. Zakończył on bowiem swoją długoletnią służbę w parafii w Pabianicach i został wybrany na stanowisko proboszcza w parafii pod wezwaniem św. Mateusza w Łodzi. W tym samym roku Synod Diecezji Warszawskiej Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w RP powierzył ks. bp. Mieczysławowi Cieślarowi urząd biskupa diecezjalnego na 10-letnią kadencję. W marcu 2006 roku miała miejsce reelekcja ks. bp. Mieczysława Cieślara na drugą kadencję. Od 2001 roku pełnił także funkcję zastępcy Biskupa Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Polsce.

W czasie swej wieloletniej pracy duszpasterskiej ks. bp. Mieczysław Cieślak aktywnie działał na polu ekumenicznym. Od 2003 roku z ramienia Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego pełnił funkcję współprzewodniczącego Komisji Luterkańsko-Rzymskokatolickiej. Wielokrotnie w konferencjach teologicznych organizowanych między innymi przez Światową Federację Luterkańską oraz Konferencję Kościołów Europejskich.

Od 1973 roku wykładał w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie, uczelni kształcącej duchownych różnych wyznań. W ramach swojej pracy naukowo-dydaktycznej zajmował się biblistyką, a dokładnie egzegezą Nowego Testamentu, był znakomitym znawcą języka greckiego i kultury starożytnej. Chociaż aż do zeszłego roku akademickiego pracował w Katedrze Nowego Testamentu i Języka Greckiego, to jego zainteresowania nie zamykały się tylko w biblistyce. Był znawcą muzyki kościelnej, liturgiki i eklezjologii. W związku z reorientacją profilu badawczego, a zwłaszcza podjęciem badań z zakresu ewangelickiej dogmatyki i etyki, w ostatnim roku akademickim został wykładowcą Katedry Teologii Systematycznej w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie.

Ks. bp. Mieczysława Cieślara poznałem wczesną wiosną 2002 roku, kiedy uchwałą Synodu Diecezji Warszawskiej Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego zostałem wybrany na pięcioletnią kadencję na stanowisko Kuratora Diecezjalnego. Ten wybór oznaczał nie tylko członkostwo w Radzie Diecezjalnej, której z urzędu przewodniczył ks. bp. Mieczysław Cieślak, ale także powierzenie funkcji świeckiego zastępcy w sprawach administracyjnych – zgodnie z Zasadniczym Prawem Wewnętrznym Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w RP. Dało mi to możliwość częstego osobistego kontaktu z ks. bp. Mieczysławem Cieślarem. Nie tylko podczas oficjalnych posiedzeń Rady Diecezjalnej, Synodu Diecezji Warszawskiej, czy Synodu Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, ale przede wszystkim długich, inspirujących duchowo i intelektualnie rozmów na temat Boga, wiary, Kościoła, zadań i wyzwania jakie przed nami stoją. Niezwykle ceniłem mądrość, rozwagę i osobiste zaangażowanie księdza biskupa, graniczące z ludzką troską w rozwój życia duchowego w małych, oddalonych od siebie o dziesiątki kilometrów parafiach Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego. Pamiętam jego zdeterminowane działania – zakończone sukcesem – w obsadzeniu probostwa w parafii w Wieluniu, która przez dziesięciolecia pozostawała bez stałej duszpasterskiej opie-

ki. Ks. bp Mieczysław Cieślak doskonale rozumiał jakie znaczenie dla lokalnej ewangelickiej społeczności ma fakt posiadania duchownego na miejscu.

Ks. bp Mieczysław Cieślak w mojej pamięci pozostanie jako osoba niezwykle ciepła, ludzka, zdolna zawsze przekroczyć duszpasterską rutynę i dostrzec w swoim rozmówcy, duchownym, świeckim przede wszystkim drugiego człowieka. Imponował mi swoją szeroką wiedzą zarówno z zakresu biblistyki, jak i teologii systematycznej, ogromnym czytaniem i wrażliwością na piękno muzyki poważnej.

Tragicznie zmarły pozostawił Żonę – profesor Akademii Muzycznej w Łodzi i organistkę, oraz córkę i syna.

Przemysław Kukulski

– dr nauk prawnych, pracownik naukowy UŁ

Fot. archiwum autora

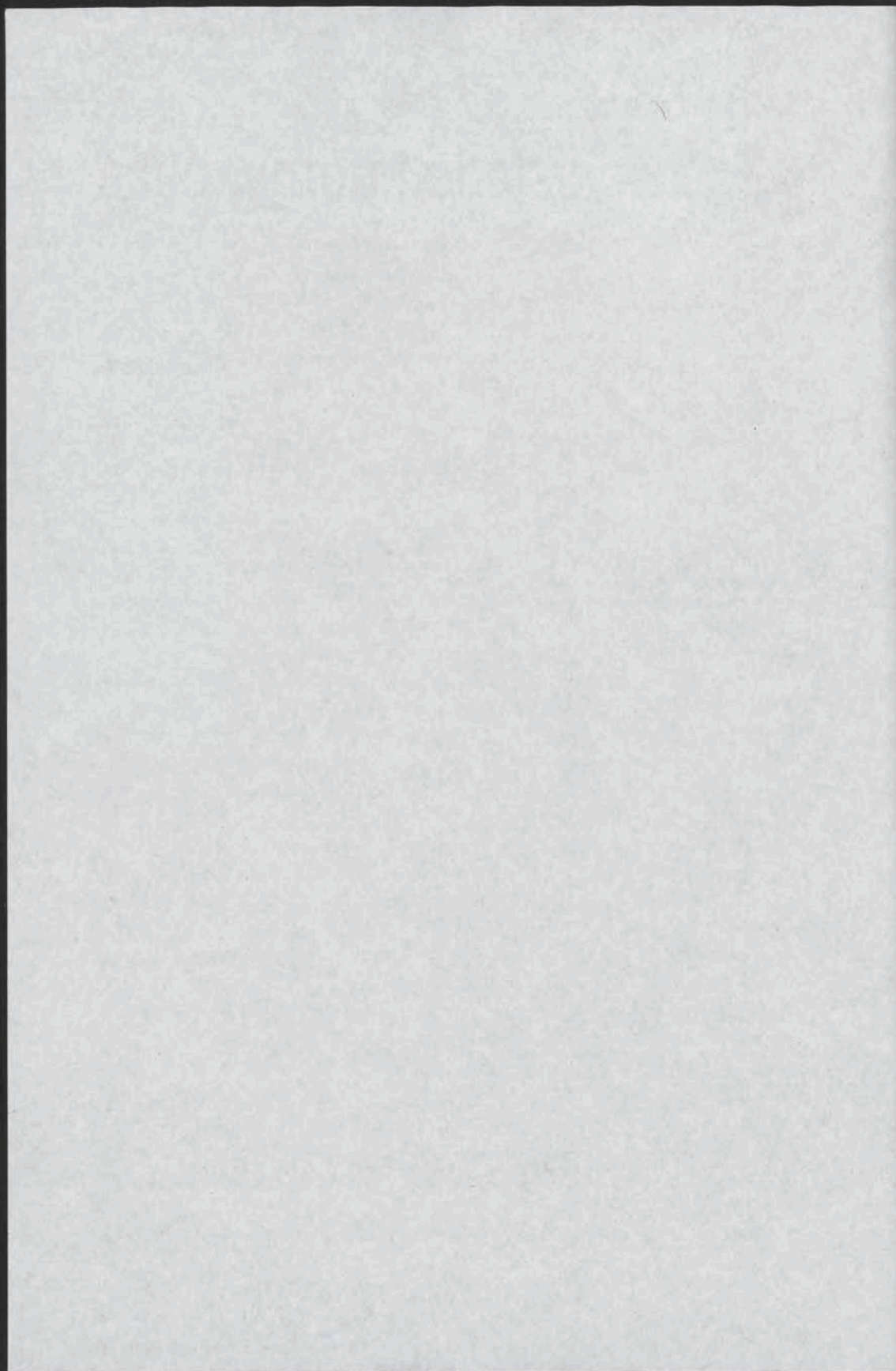
osiedla, domy, ulice

Ulica wylotowa

Pabianicka

Dariusz Kędzierski

str. 199



Ulica wylotowa

Pabianicka

osiedla, domy, ulice

Pabianicka to dosyć specyficzna ulica, jedna z najważniejszych ulic Łodzi. Jej wizerunek taki, jaki znamy obecnie, zaczął kształtować się dopiero po zakończeniu II wojny światowej. Wcześniej, bo aż do 1906 roku, znajdowała się poza granicami miasta. Dopiero kolejne regulacje granic Łodzi doprowadziły do jej całkowitego wchłonięcia. Zanim jeszcze zaczęła kształtować się Łódź przemysłowa, obecna Pabianicka stanowiła część istotnego dla miasta traktu prowadzącego do Piotrkowa. Znaczenie Pabianickiej rosło wraz z rozbudową południowych obszarów miasta.

Praktycznie do 1906 roku granica Łodzi kończyła się za rynkiem Leonhardta, obecnym placem Niepodległości. Dalej, wzdłuż traktu piotrkowskiego, a właściwie Szosy Pabianickiej, rozciągały się tereny gminy Chojny. Od 1786 roku wielkoobszarowy majątek Chojny należał do Benedykta Górskiego. Kolejnym właścicielem był Franciszek Kamiński, a w połowie XIX wieku właścicielami Chojen stało się sześcioro jego spadkobierców. Od 1866 roku całość majątku objęła jedna ze spadkobierczyń, Marianna Rudzka. Rolnictwo stało tu na niskim poziomie. Chłopi przygniećeni ciężarami pańszczyzny tkwili w beznadziei i tak przedstawiał to jeden z korespondentów prasowych w swojej korespondencji: *Na Chojnach jest folwark, dwór i zabudowania gospodarskie, kilka odartych chałup dla służących dworskich, ubogi kościółek, dom księdza i karczma z całej wsi najlepiej wyglądająca. Nie było w Chojnach szkoły, karczma i opilstwo chłopów to cechy szczególnie wyróżniające wieś Chojny i stawiające ją przed sąsiednimi Wiskitnem, Widzewem, Zarzewiem i Bedoniem, które również słynęły z pijaństwa.* Prezydent Łodzi Franciszek Traeger wytykał jednak chłopom nieróbstwo i brak chęci poprawy swojego bytu. Marianna Rudzka popadła w tarapaty finansowe, kiedy mając niespłacone kredyty zmuszona była majątek Chojny sprzedać. W 1874 roku nowymi jego właścicielami stali się Krystian-ojciec i Krystian-syn Krauze, Jan Krauze oraz Jerzy Fiszer. Ci, którzy pierwsi weszli w posiadanie ziemi, raczej nie mieli zamiaru jej uprawiać. Dokonywali kolejnych podziałów i dalszej sprzedaży. Ziemia była tu mało urodzajna, występowały za to pokłady gliny, którą przerabiano na cegły. Te z kolei znajdowały nabywców w ciągle rozbudowującym się mieście. W 1882 roku cztery cegielnie prowadzili Wilhelm i Jan Krauze oraz August i Ferdynand Kenigowie. W tamtym okresie, to jest na przełomie XIX i XX wieku, na terenie wyznaczonym przez dzisiejsze granice miasta, było trzydzieści pięć punktów przemysłowej eksplo-



1.



2.

atacji gliny. Ziemię od niedawno uwłaszczonej polskiej, chłopskiej biedoty wykupywali głównie zamożniejsi przybysze z Niemiec, bądź to w celach spekulacyjnych, bądź dla uruchomienia jakiejś działalności.

W miarę postępującego uprzemysłowienia Łodzi rosły ceny działek, rosło również zainteresowanie nimi. Niewielkie działki pod zabudowę mieszkaniową kupowali głównie robotnicy, kupcy łódzcy i przybysze z innych terenów. Wydzielone tu działki były o wiele tańsze niż te w samym mieście. W ten sposób tworzyło się południowe przedmieście Łodzi, a żywiłowa, postępująca wbrew jakimkolwiek zasadom urbanistyki zabudowa, miała w przyszłości mieć fatalne skutki dla miasta. O ile na początku swojego istnienia Łódź, zgodnie z koncepcją Rembielińskiego, rozwijała się logicznie i w sposób nieskrępowany pochłaniała i zagospodarowywała przyległe do niej obszary, to w którymś momencie miasto dotarło do tych chaotycznie, w sposób nieplanowy zabudowanych peryferii. Gęsto zaludnione, nędznie zabudowane, pocięte wąskimi, nieskanalizowanymi uliczkami przedmieścia, z jednej strony musiały być przez miasto wchłonięte, z drugiej były przeszkodą do dalszej planowej zabudowy Łodzi.

Wróćmy jednak na początek ulicy Pabianickiej. Ta część ulicy, wraz z fragmentem ulicy Rzgowskiej i placem Niepodległości, łączy się z nazwiskiem przemysłowca Ernsta Leonhardta, włoکیennika z Saksonii, który przybył do Łodzi w 1877 roku. Zakupił on szereg działek w południowej części miasta, jak i w przylegającej do granic Łodzi wsi Dąbrowa. Wspólnie z Hilamarem Girbardtem i swoim szwagrem Wilhelmem Woelkerem w 1878 roku uruchomił fabrykę produkującą wyroby wełniane. Wcześniej Woelker i Girbardt prowadzili dom handlowy w Lipsku. Uzyskane z tego tytułu środki postanowili wspólnie z Ernstem Leonhardtem ulokować w Łodzi. Na początku fabryka zatrudniała trzystu robotników. Po przekształceniu jej w 1897 roku w spółkę aukcyjną, zatrudnienie zwiększono do 1200 osób. W czasie II wojny światowej w tych budynkach fabrycznych funkcjonowały warsztaty lotnicze, a po wojnie przędzalnia czesankowa.

Leonhardt był Niemcem i absolutnie, w odróżnieniu od Geyerów czy Grohmanów, nie miał zamiaru się spolonizować. Kiedy w latach 1907-17 pełnił funkcję komendanta łódzkiej straży ogniowej, wprowadził wydawanie komend w języku niemieckim. Antypolskie tendencje zaowocowały odejściem wielu Polaków ze służby. Czynniki udzielał się w różnych niemieckich towarzystwach oświatowych, muzycznych i sportowych. Po wybuchu I wojny światowej i wkroczeniu wojsk niemieckich do Łodzi, Leonhardt mianowany został zastępcą nadburmistrza. Zmarł nagle w 1917 roku w Lipsku w czasie załatwiania interesów. Pochowany został w grobowcu na starym cmentarzu ewangelicko-augsburskim.

Najatrakcyjniejszym fragmentem terenów należących do Ernsta Leonhardta jest początkowy fragment ulicy Pabianickiej. Znajduje się tu park, którego najstarsza część, tuż przy samej ulicy, urządzona została w 1888 roku. W 1905 roku



Leonhardt powiększył tereny parkowe o zakupiony obszar od ulicy Doroty do ulicy Bednarskiej. W tej części zbudował dwa domy dla wspólników. W jednym z nich, tuż przed wojną, mieszkał wojewoda łódzki, a w czasie okupacji hitlerowski nadburmistrz miasta Werner Ventzki. Obecnie mieszczą się tu domy dziecka.

Urządzeniem tej nowej części parku zajęli się dwaj ogrodnicy, którzy specjalnie dla tego celu zostali sprowadzeni z Niemiec. W parku znajdowały się trzy stawy, z których woda zasiliała zakłady Leonhardta. Po przejściu cyklu technologicznego woda wracała do stawów, gdzie była schładzana. Z rosnących tu roślin na szczególną uwagę zasługiwały różaneczniki oraz bujnie kwitnące, okazałe magnolie. W parku wybudowano też korty tenisowe. Najbardziej reprezentacyjnym budynkiem parku, który za czasów PRL nosił imię komunistycznego działacza Władysława Hibnera, był pałac Leonhardta. Jego projektantem był Ignacy Markiewicz, urodzony w 1825 roku w Rawie Mazowieckiej, absolwent Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie. Przez kilka miesięcy po śmierci Hilarego Majewskiego pełnił on obowiązki architekta miejskiego Łodzi. Markiewicz był projektantem wielu łódzkich kamienic. Pałac Leonhardta to trzykondygnacyjna bryła o dosyć efektownej elewacji. Obecnie w budynku tym swoją siedzibę ma Urząd Stanu Cywilnego Łódź-Górna.

Niejako naturalnym przedłużeniem Parku im. W. Hibnera był, znajdujący się po przeciwnej stronie ulicy Bednarskiej, Park ZUS. Przylegał on bezpośrednio do osiedla, które w latach 1932-34 powstało dla pracowników tej instytucji. W 1994 roku obydwie parki połączono. Obecnie funkcjonują pod nową wspólną nazwą Park im. Legionów.

Skrzyżowanie Pabianickiej z Bednarską związane jest z historią polskiej animacji lalkowej. Tu, w pałacyku, z którego w 1939 roku Niemcy usunęli rodzinę Usielskich, przedwojennych producentów win owocowych, przy Bednarskiej 42, i dalej, w kamienicy przy Pabianickiej 34, miało swoją siedzibę Studio Małych Form Filmowych „Se-ma-for”. Początki Studia sięgają 1947 roku, kiedy to powstał pierwszy film lalkowy w reżyserii Zenona Wasilewskiego *Za króla Krakusa*. „Se-ma-for” znany jest głównie ze swoich filmów lalkowych takich jak: *Miś Uszatek*, *Przygody misia Colargola*, *Pingwin Pik-Pok*, czy *Opowiadania Muminków*. Ale nie tylko, powstawały tu również filmy rysunkowe, w tym tak znane seriale jak: *Przygody kota Filemona*, *Zaczarowany ołówek* czy *Przygód kilka wróbla Ćwirka*. Tworzono również filmy eksperymentalne, w tym uhonorowany Oscarem, statuetką Amerykańskiej Akademii Filmowej, film *Tango* w reżyserii Zbigniewa Rybczyńskiego. Na przestrzeni lat ze Studiem współpracowali artyści o znanych nazwiskach, reprezentujący różne dziedziny sztuki, wśród nich byli: Krzysztof Penderecki, Roman Polański, Krzysztof Komeda, Michał Urbaniak, Janusz Morgenstern, Piotr Trzaskalski, Daniel Szczechura, Zbigniew Rybczyński, Stanisław Lenartowicz czy Piotr Dumala. W sumie w Studiu powstało około 1400 filmów, które zdobyły blisko trzysta nagród. W 1999 roku Studio zostało postawione w stan upadłości. Grupa pracowników, na czele ze Zbigniewem Żmudzkim, postanowiła stworzyć spółkę kontynuującą tradycje dawnego Studia. W ten sposób powstał „Se-ma-for” Produkcja Filmowa. Obecnie swoją siedzibę ma on na terenie EC-1. Nowe studio radzi sobie znakomicie. Wśród nagród, które ma w swojej kolekcji, jest również ta najważniejsza, statuetka Oscara, dla najlepszego filmu animowanego za film *Piotruś i wilk*.

osiedla,
domy,
ulice





Tuż przed rondem Lotników Lwowskich znajduje się Park im. Juliusza Słowackiego, niemal do wybuchu II wojny światowej zwany „Wenecją”. Obecnie zajmuje on powierzchnię około 3,6 hektara, położony jest między ulicami Cieszyńską, aleją Politechniki i Pabianicką, ma kształt trójkąta. Pierwotnie był tu ogród ozdobny założony jeszcze w XIX wieku przez właściciela młyna mechanicznego Reicha. Młyn został wybudowany po przeciwnej stronie nieistniejącej jeszcze wtedy alei Politechniki. Woda z młyna spływała do kanału, a dalej zasilala niewielkie stawy, które były jedną z atrakcji parku. Park kilkakrotnie zmieniał właściciela. Na początku XX wieku młyn i park nabył Stanisław Walewski. Później, około 1910 roku, należał on do Teodora Adamka. Wtedy to obecna ulica Cieszyńska, która prowadziła do młyna, nazwana została ulicą Teodora, od imienia ówczesnego właściciela parku. Kolejni właściciele traktowali park jako swoiste źródło dochodów, wybudowano tu restaurację, salę taneczną, a także salę teatralną. Organizowano zabawy, loterie, zawody sportowe, a także różnego rodzaju pokazy. Park był ogrodzony, jedyne wejście znajdowało się od ulicy Pabianickiej. Tu również znajdowała się kasa, gdyż wejście do parku było płatne. Jednak koszty utrzymania parku znacznie przewyższały zyski z biletów wstępu i organizowanych w nim imprez. Toteż ostatni jego właściciel postanowił podzielić park na parcele, a uzyskane w ten sposób działki sprzedać pod zabudowę. Ostatecznie park udało się zachować. Miasto uznało, iż południowa część Łodzi pozbawiona jest ogrodów i zieleńców, i postanowiło park wykupić. Do transakcji doszło w 1937 roku. Przeprowadzono gruntowną rekonstrukcję parku, usunięto część drzew i krzewów, uregulowano brzegi niewielkiego stawu, naprawiono drogi, po czym, już jako Park im. Juliusza Słowackiego, oddano do użytku mieszkańcom Łodzi. Warto dodać, że w czasie II wojny światowej był to jedyny publiczny park dostępny dla Polaków. W miejscu tym św. Faustyna miała swoje pierwsze objawienie. Zaświadczają dziś o tym kwiaty i obrazki składane przez wiernych na drzewie, w pobliżu którego miało ono miejsce.

Przy Rondzie Lotników Lwowskich znajduje się również Szpital im. Mikołaja Kopernika. Otwarcie placówki miało miejsce w 1973 roku, a ponieważ zbiegło się z pięćsetną rocznicą urodzin wielkiego astronoma, placówce postanowiono nadać jego imię. Do szpitala przyłączono Ośrodek Onkologiczny, który swoją działalność rozpoczął jeszcze wcześniej, bo w 1968 roku. W ten sposób powstała placówka, która w sposób wszechstronny zajęła się diagnostyką i leczeniem nowotworów. Do 1998 roku szpital funkcjonował jako jednostka budżetowa Skarbu Państwa, a od grudnia 1998 roku stał się Publicznym Zakładem Opieki Zdrowotnej zarządzanym przez Samorząd Województwa Łódzkiego. W 2001 roku został tu przeprowadzony pierwszy zabieg przeszczepu szpiku kostnego, a tym samym zainicjowana została działalność ośrodka transplantacji szpiku. Niestety brak środków spowodował wstrzymanie działalności ośrodka przez następne lata. Obecnie jest on ponownie uruchamiany. W ostatnim czasie szpital otrzymuje coraz więcej pieniędzy na cele modernizacyjne, gdyż przez prawie czterdzieści lat swojego istnienia jego stan techniczny mocno podupadł. W celu pozy-



1.



2.

skiwania dodatkowych źródeł energii zainstalowano kolektory słoneczne, a w nagłych wypadkach szpital może przyjmować chorych transportowanych drogą lotniczą, gdyż posiada własne lądowisko.

Rondo Lotników Lwowskich, przy którym znajduje się szpital, swoją nazwą upamiętnia lotników z lwowskiego 6 Pułku Lotniczego, którzy w 1939 roku walczyli w obronie łódzkiego nieba. Wcześniej przez wiele lat rondo nosiło nazwę radzieckiego kosmonauty Hermana Titowa. Obecnie jest ono ważnym węzłem komunikacyjnym Łodzi. Powstało w czasie wytyczania alei Politechniki oraz budowy osiedli Nowe Rokicie i Kurak. Dawniej były to tereny należące do PGR Wenecja. Jeszcze wcześniej należały do przemysłowca Ottona Krausa, między innymi właściciela cegielni, na miejscu której wybudowany został Szpital im. M. Kopernika.

Tuż za rondem znajduje się willa Ferdynanda Koeniga, właściciela cegielni oraz niewielkiej przędzalni założonej w 1885 roku. Przędzalnia ta działała do 1931 roku, po wojnie została rozebrana. Willa stoi na skraju parku popularnie nazywanego „Sielanką”. Nieco dalej, idąc wzdłuż ulicy Pabianickiej, natkniemy się na jeszcze jedną willę syna Ferdynanda Koeniga, Ewina. Obecnie mieści się w niej Komenda Hufca ZHP Łódź-Górna. Sam park nie jest duży, ale chętnie odwiedzany przez okolicznych mieszkańców. Jego główną atrakcją są dwa stawy, w których pluszczą się dokarmiane przez spacerowiczów dzikie kaczki. Park poprzez swoje usytuowanie stanowi naturalną izolację przed hałasem, dobiegającym od strony ruchliwej ulicy Pabianickiej, dla części osiedla Nowe Rokicie.

Dalej, za aleją Jana Pawła II, stał budynek, w którym kiedyś mieściła się karczma „Pod Srebrnym Kurakiem”, to prawdopodobnie od niej swoją nazwę – Kurak – wzięło osiedle wybudowane po drugiej stronie ulicy Pabianickiej. Również w tym miejscu, przez wiele lat, mieściła się krańcówka tramwajowa. Obecnie przebiega tędy poszerzona ulica Pabianicka, a po krańcówce nie ma już śladu, podobnie zresztą jak i po gospodzie.

W końcu lat 20. XX wieku podjęto decyzję o budowie w tym miejscu kościoła. We wrześniu 1929 roku biskup Wincenty Tymieniecki poświęcił kamień węgielny, a w 1932 roku erygował świątynię. Do czasu wybudowania kościoła wierni korzystali z dwóch kaplic. Jedna z nich mieściła się w szkole dla głuchoniemych przy Pabianickiej 34, druga w sierocińcu sióstr służebniczek, mieszczącym się w dawnym zajezdzie „Pod Srebrnym Kurakiem”. Tereny pod budowę świątyni podarowali Zofia i Edmund Bohemowie, właściciele znajdującej się w tym miejscu cegielni. Projektantem kościoła był architekt Józef Kaban. Zaprojektował on trójnawową budowlę w stylu modernistycznym. W czasie okupacji kościół ten pełnił funkcję magazynu. W 1981 roku została dobudowana wieża, a w 1998 roku także wolno stojąca dzwonnica.

Tuż za kościołem przebiega wybudowana w 1903 roku linia kolei obwodowej, której powstanie podzieliło Chojny na dwie części. Bardziej uprzemysłowione, graniczące z Łodzią Nowe Chojny i po drugiej stronie torów rolnicze Stare Choj-

ny, które po nadaniu praw miejskich Rudzie Pabianickiej stały się jej częścią. W 1906 roku doszło do powiększenia obszaru miasta z około 2700 do ponad 3800 hektarów poprzez inkorporację nowych terenów. Wtedy to w granicach Łodzi znalazło się Nowe Rokicie i Rokicie Stare. Kolejna duża inkorporacja miała miejsce w 1915 roku. Wtedy to, na odcinku od Widzewa po ulicę Obywatelską, granice miasta oparto na linii kolei obwodowej, a obszar Łodzi powiększył się do ponad 5600 hektarów. Po zakończeniu działań wojennych, w styczniu 1946 roku, do Łodzi przyłączono leżące po drugiej stronie kolei obwodowej miasto Ruda Pabianicka.

Ruda Pabianicka stanowiła odrębną jednostkę administracyjną, najpierw jako wieś, a od 1923 roku, po otrzymaniu praw, już jako miasto. Pierwsza wzmianka o Kuźnicy Chocianowickiej, bo tak wtedy nazywano Rudę, pochodzi z 1398 roku. To tu, na przełomie XIV i XV wieku zaczęto wydobywać i przetapiać rudę darniową. Terenami na Rudzie zainteresował się łódzki przemysłowiec Ludwig Geyer. W 1834 roku rozpoczął starania o pozyskanie gruntów pod budowę przędzalni. Dopiero jednak po 12 latach uzyskał zgodę na zakup i w 1846 roku doszło do zawarcia transakcji. W międzyczasie Geyer zmienił swoje plany. Postanowił wykorzystać dobrą koniunkturę w przemyśle cukrowniczym i zamiast przędzalni na części zakupionych przez siebie terenów, wybudował cukrownię. Inwestycja ta nie była jednak najlepiej przemyślana, gdyż cukrowni brakowało podstawowego surowca do przerobu, czyli buraków. W okolicy zakładów nie było wystarczającej liczby plantacji i buraki trzeba było sprowadzać z innych odległych rejonów, a to podnosiło koszty produkcji. Wobec narastającego zadłużenia i braku możliwości spłaty zobowiązań Geyer postanowił sprze-



dać majątek w Rudzie. Do transakcji doszło w 1873 roku, nabywcami była warszawska rodzina Loewenbergów. Nowi właściciele zdecydowali się na podział majątku. Pierwsze parcelacje przeprowadzili na terenach bezpośrednio przylegających do Szosy Pabianickiej. Wydzielono sześć kilkuhektarowych działek, na których nowi nabywcy postawili zakłady dające początek uprzemysłowieniu Rudy.

Jadąc od strony Łodzi, pierwszą większą fabryką jaka tu powstała, były usytuowane po prawej stronie Pabianickiej, przy ulicy Świętojańskiej, zakłady Arnolda Baiera specjalizujące się w przeróbce papieru. Produkowano tu papier pakowy, a także cewki wykorzystywane w przemyśle włókienniczym. Dom rodzinny Baierów znajdował się tuż obok fabryki, niestety obecnie jest już rozebrany. Arnold Baier to przemysłowiec łódzki wart przypomnienia. Wspierał on różnego rodzaju akcje charytatywne, oprócz tego starał się pomagać swoim robotnikom w inny sposób. Na przykład robotnicy mieszkający daleko od fabryki mogli bezpłatnie korzystać z zakładowych rowerów. W 1936 roku fabryka Baiera zawiesiła działalność. W czasie okupacji, już w październiku 1939 roku, Niemcy na terenie zakładu utworzyli obóz, w którym przetrzymywano Polaków przed wywozem na roboty do Niemiec. Przez rok funkcjonowania przez obóz przewinęło się około dwóch tysięcy osób. Również wtedy Arnold Baier starał się pomóc swoim pracownikom, zabiegając o ich uwolnienie. Po likwidacji obozu utworzono tu punkt niszczenia polskich książek. Zwożono je głównie z bibliotek i przerabiano na makulaturę. Tuż przed wyzwoleniem w styczniu 1945 roku rodzina fabrykanta opuściła Rudę. On sam pozostał jednak, uznając, że nic mu nie grozi. Mimo to jednak zginął w niewyjaśnionych okolicznościach.

Jedną z największych fabryk, która stanęła przy Szosie Pabianickiej (Pabianicka 152/154) była fabryka Meistera. Urodzony w 1874 roku Artur Meister w 1894 roku znalazł się w Łodzi z zamiarem podjęcia pracy w wyuczonym zawodzie wykończalnika. Zamierzał jednak uruchomić swój własny zakład. W tym celu w 1906 roku nabył od braci Lowenbergów tereny przy Szosie Pabianickiej. Powstały w 1909 roku zakład zajmował się obróbką i farbowaniem tkanin. W 1932 roku niewypłacalni dłużnicy spowodowali, że zakład popadł w kłopoty finansowe. Powstała konieczność dokapitalizowania fabryki, dlatego rok później firma została przekształcona w spółkę akcyjną, a jej udziałowcami zostali Artur Meister oraz szwajcarska firma Farbiarnia Schlieren S.A. Nowa spółka działała pod nazwą Pierwsza Polska Farbiarnia Schlieren S.A. W fabryce z jednej strony postawiono na nowe technologie, ale również bardziej restrykcyjnie zaczęto traktować kontrahentów zalegających z płatnościami. Fabryka produkowała głównie materiały ze sztucznego jedwabiu, oferowano około dwustu rodzajów tkanin. W 1935 roku wybuchł pożar, który zniszczył pomieszczenia tkalni i wykończalni. W 1937 roku zakupiono sąsiadujące z zakładem parcele przy ulicy 3 Maja, na których wybudowano pomieszczenia gospodarcze, mieszkalne, jak również urządzono ogród. Niestety, ze względu na ścieki, które spuszczano do pobliskiej rzeki Olchówki, zakłady były uciążliwe dla okolicznych mieszkańców. Władze miejskie

osiedla, domy, ulice



zobowiązały kierownictwo zakładu do wybudowania oczyszczalni, jednak wybuch wojny przekreślił te plany. Zakłady od ulicy Pabianickiej oddzielał niewielki park, w którym Artur Meister wystawił – w porównaniu z rezydencjami innych, łódzkich przemysłowców – raczej skromny pałacyk. Po wojnie fabryka funkcjonowała pod nazwą nawiązującą do nazwy przedwojennej jako Zakłady Przemysłu Jedwabniczego „Pierwsza”.

W Rudzie Pabianickiej magistrat mieścił się przy ówczesnej ulicy Piłsudskiego (obecnie Rudzka), jednak to nie Piłsudskiego, a Szosa Pabianicka była główną arterią miasta łączącą Łódź z Pabianicami. Tu pod numerem 204 funkcjonowała poczta, a pod 175 społeczność niemiecka, która była tu bardzo liczna, tuż przed wybuchem II wojny światowej Niemcy stanowili 30 procent mieszkańców Rudy, powołała do życia Niemiecką Spółdzielnię Kredytową. Była to jedyna placówka bankowa na terenie Rudy.

Władze miasta starały się dbać o polski wizerunek osady. I tak w 1926 roku podjęto decyzję o nadaniu niektórym ulicom nazw słynnych Polaków. W ten sposób Szosa Pabianicka zmieniła swoją nazwę na ulicę Stanisława Staszica. Dbano również o to, aby przy głównej ulicy miasta powstawały budynki murowane, które nadawały jej bardziej miejski charakter, przyczyniały się też do zwiększenia bezpieczeństwa przeciwpożarowego. Gdy w 1925 roku został otwarty port lotniczy na

Lublinku, energię elektryczną, którą dostarczano na potrzeby lotniska poprzez kabel ułożony w ziemi, wykorzystano również do oświetlenia ulicy. W 1929 roku zakupiono kilkaset sadzonek drzew, którymi obsadzono zarówno ulicę Staszica, jak również kilka przyległych ulic.

Dużym udogodnieniem dla mieszkańców Rudy było uruchomienie linii tramwajowej z Łodzi do Pabianic. Było to szczególnie istotne dla robotników zatrudnionych w łódzkich fabrykach, którzy zmuszeni byli do wielokilometrowych wędrówek ze swoich domów do miejsc pracy i z powrotem. Decyzję o uruchomieniu podmiejskich linii tramwajowych podjęła ta sama grupa koncesjonariuszy, która wybudowała linie tramwajowe miejskie. W pierwszej kolejności wystąpiono o przyznanie koncesji na budowę linii do Zgierza i Pabianic. Akcjonariusze: Karol Scheibler, Henryk Grohman, Karol Anstadt, Alfred Biedermann, Juliusz Kunitzer i inni, uzyskali koncesję w grudniu 1898 roku. Prace przy budowie linii rozpoczęły się we wrześniu roku następnego, a w styczniu 1901 roku ruszyły pierwsze tramwaje na linii pabianickiej. Torowiska układano wzdłuż istniejących dróg bitych do Zgierza i Pabianic. Pierwotnie tramwaje kursujące do Pabianic swoją krańcówkę miały na Piotrkowskiej, przy domu „pod góralem”, potem na placu Reymonta, natomiast zajezdnię wybudowano w Chocianowicach. Linia tramwajowa do Pabianic miała długość 15 kilometrów, były plany wybudowania nowej krańcówki dla tramwajów miejskich i podmiejskich na placu Leonahardta (plac Niepodległości), ale do czasu wybuchu II wojny światowej nie udało się ich zrealizować, natomiast krańcówka ta została wybudowana w roku 1943, w czasie okupacji niemieckiej.

Niewątpliwie największym przedsiębiorcą na terenie Rudy Pabianickiej był Adolf Horak. Urodził się on w 1880 roku, i co ciekawe, dokładnie w tym samym roku członkowie jego rodziny postanowili wstąpić do Kościoła Chrześcijan Baptystów. Od 1864 roku rodzina Horaków miała niewielką fabrykę włókienniczą przy ulicy Rokicińskiej. W 1902 roku ojciec Adolfa Horaka, Józef, na dwa lata przed swoją śmiercią uczynił go swoim głównym spadkobiercą. Przez kilka lat Adolf Horak zarządzał fabryką wspólnie ze swoim młodszym bratem Gustawem, kiedy jednak ten wyjechał na stałe do Jugosławii, stworzył spółkę z Mozesem Grosem i Salomonem Rezonem, jednak cały czas myślał o stworzeniu własnego zakładu. W tym też celu w 1921 roku zakupił tereny przy ulicy Staszica (obecnie Pabianicka 184/186). Budowę rozpoczął w 1926 roku, a zakończył dwa lata później. Również w tym czasie, na działce obok, powstała okazała neobarokowa willa, w której Horak zamieszkał z żoną i pięciorgiem dzieci. Nowo wybudowany zakład, w którym wytwarzano materiały bawełniane, miał cztery oddziały: przędzalnię, tkalnię, farbiarnię i apreturę. Majątek firmy wyceniony na pięć milionów złotych podzielono na pięć tysięcy akcji. Właścicielem 4950 był sam Horak. Pozostałe akcje podzielono między członków rodziny, w tym żona Frieda otrzymała 10 akcji. Horak starał się rozwijać i unowocześniać zakłady, dokupował nowe tereny, na których stawiał kolejne budynki produkcyjne.



Kadrę kierowniczą w fabryce Horaka stanowili głównie Niemcy, wszyscy oni byli baptystami. Również na niższe stanowiska przyjmowano głównie baptystów. Nietrudno zgadnąć, że wielu robotników zatrudnianych u Horaka przechodziło do Kościoła baptystów, aby uzyskać pracę w jego fabryce. Ceremonie chrztu nowych wyznawców odbywały się w basenie na terenie posesji należącej do Horaków. Przynależność do tego kościoła miała swoje dobre strony dla pracowników, ale również i dla właścicieli, gdyż w sytuacjach kryzysowych mogli oni liczyć na pomoc współwyznawców ze Stanów Zjednoczonych. Rodzina Horaków słynęła z filantropii i wspierała finansowo różne akcje społeczne. W 1939 roku na terenie fabryki zebrano aż 25 tysięcy złotych na Fundusz Obrony Narodowej. Była to największa kwota jaką udało się zgromadzić w fabryce w rejonie łódzkim. W czasie okupacji w zakładach tych pod administracją niemiecką szyto mundury wojskowe. W 1944 roku rodzina Horaków wyjechała z Łodzi. Zabrali ze sobą między innymi części turbin, co uniemożliwiło uruchomienie fabryki po wojnie. Przypadek sprawił, że brakujące części odkryto w okolicach Poznania. Po wojnie nowa fabryka działała pod nazwą Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Armii Ludowej, a później Alba. W 1998 roku zakłady zostały zakupione przez firmę „Protekt” – producenta sprzętu chroniącego przed upadkiem z wysokości.

Jedną z ulubionych rozrywek mieszkańców Rudy były projekcje filmowe. Mieszkańcy tego miasta mieli swoje kina, a jedno z nich, kino „Muza”, znajdowało się przy Pabianickiej 173. Kino, a właściwie kinoteatr, wybudowali bracia Sauter. Budynek był wyposażony w nowoczesny sprzęt kinotechniczny. Sala z balkonem była klimatyzowana i posiadała centralne ogrzewanie. Kino, oprócz dostarczania ludziom rozrywki, było miejscem różnego rodzaju spotkań i debat. Tu też miały miejsce negocjacje, w których uczestniczyli robotnicy i właściciele fabryk. Często spotkania te kończyła projekcja filmowa. W czasie okupacji kino działało nadal, ale pod zmienioną nazwą „Muse”. Po wojnie powróciło do swojej starej nazwy.

W 1992 roku została powołana do życia parafia katolicka pod wezwaniem Najświętszego Imienia Marii. Do czasu wybudowania świątyni przy ulicy Sopotkiej, wierni mogli uczestniczyć w nabożeństwach w zaadaptowanym do tego celu budynku nieczynnego już od pewnego czasu kina „Muza”. Obecnie budynek dawnego kina już nie istnieje, został rozebrany podczas prac przy budowie drugiego pasa jezdni ulicy Pabianickiej.

Ruda kryje w sobie różne tajemnice, można się było o tym przekonać w 1996 roku, kiedy to przy nieistniejącej już restauracji „Lotnicza” (Pabianicka 167/169) odkryto wejście do tunelu. Był to fragment obiektu wojskowego, który mógł prowadzić do lotniska na Lublinku. Z relacji świadków wynikało, że tunel mógł mieć również związek z istniejącym w Rudzie obozem jenieckim. Tu też, prawdopodobnie, mieścił się szpital dla lotników Luftwaffe. Odkryto trzy sale szpitalne wraz z pomieszczeniami pomocniczymi.

Pabianicka się zmienia. Z wiejskiego bitego traktu staje się szeroką dwupasmową ulicą łączącą Łódź z Pabianicami. Realizowane tu, za zajezdnią w Chocianowicach, potężne inwestycje powodują, że staje się największym centrum handlowym nie tylko Łodzi, ale i całego regionu. O ile na początku, po przyłączeniu, tereny te stanowiły pewien rodzaj obciążenia dla Łodzi, o tyle teraz można stwierdzić, że miasto coraz lepiej radzi sobie z ich asymilacją, zyskując jednocześnie interesujący fragment swojego obszaru.

Dariusz Kędziński
– filmowiec, publicysta

Źródła:

1. R. Rosin red, *Łódź – dzieje miasta*, T. 1, PWN, Warszawa-Łódź 1980.
2. W. Pawlak, *Patrząc na starą fotografię*, Wydawnictwo Łódzkie 1981.
3. W. Pawlak, *W cieniu ratuszowej wieży*, Wydawnictwo Łódzkie 1973.
4. R. Bonisławski, J. Podolska, *Spacerownik łódzki*, Biblioteka „Gazety Wyborczej” 2008.
5. J. Mowszowicz [red.], *Parki Łodzi*, Łódzkie Towarzystwo Naukowe 1962.
6. A. Stawiszyńska, *Ruda Pabianicka – Echa przeszłości*, Dom Wydawniczy Księży Młyn 2009.
7. J. Stefański, *Ludzie, którzy zbudowali Łódź*, Dom Wydawniczy Księży Młyn 2009.
8. M. Z. Wojałski, *100 lat łódzkich tramwajów*, TONZwŁ, ZORA 1998.
9. L. Skrzydło, *Rody i rodziny – Rody nie tylko fabrykanckie*, Oficyna Bibliofilów 2008.
10. M. Budziarek, *Świątynie Łodzi*, Wydawnictwo Piątek Trzynastego 2005.
11. H. Brodowska, *Kapitalistyczne przemiany podłódzkiej wsi Chojny*, Rocznik Łódzki I/T-IV.
12. www.kopernik.lodz.pl
13. pl.wikipedia.org/wiki/Ruda_Pabianicka
14. www.se-ma-for.com

Fot. Barbara Gortat i Marek Strąkowski

Ulica wylotowa



ul. Pabianicka 2



ul. Bednarska 15a



ul. Bednarska 15



Zakłady „Protekt”, widok z ulicy Pabianickiej



ul. Bednarska 42



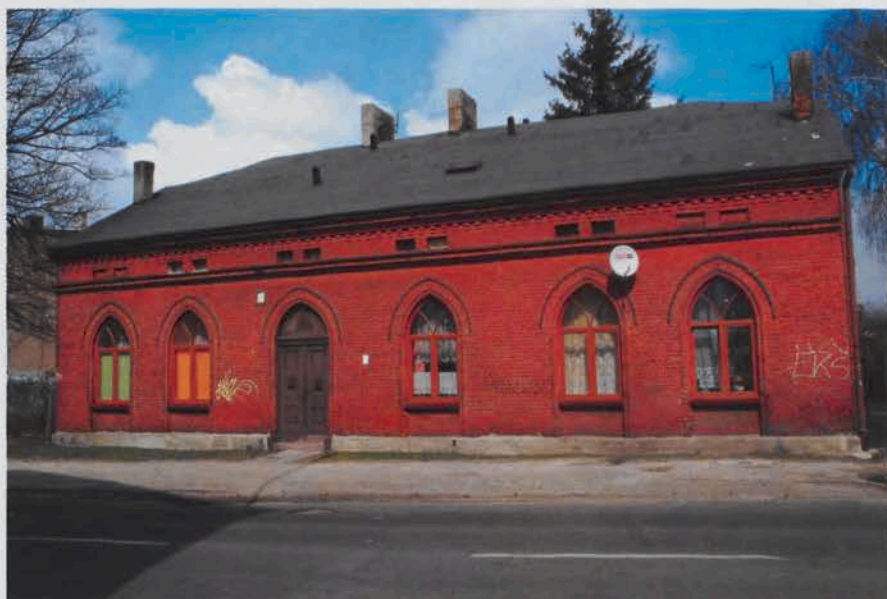
ul. Pabianicka 184/186



ul. Pabianicka 180



ul. Pabianicka 55



ul. Bednarska 23a



ul. Pabianicka 1a



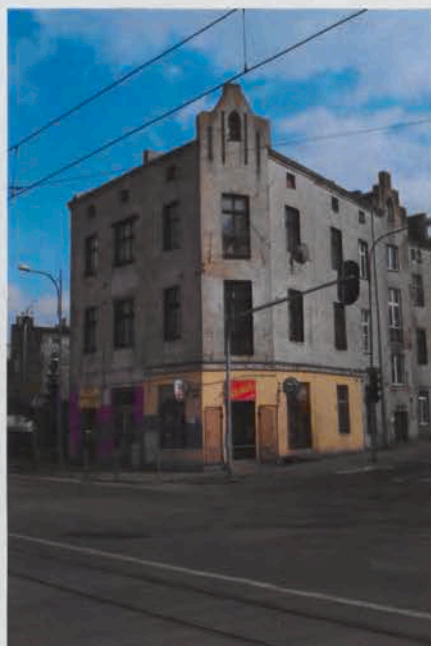
ul. Pabianicka 52



ul. Pabianicka 102



ul. Pabianicka 1



ul. Pabianicka 20



ul. Pabianicka 34



ul. Pabianicka 38



ul. Pabianicka 154



ul. Pabianicka 56



ul. Pabianicka 49



ul. Pabianicka 119



Plac Niepodległości

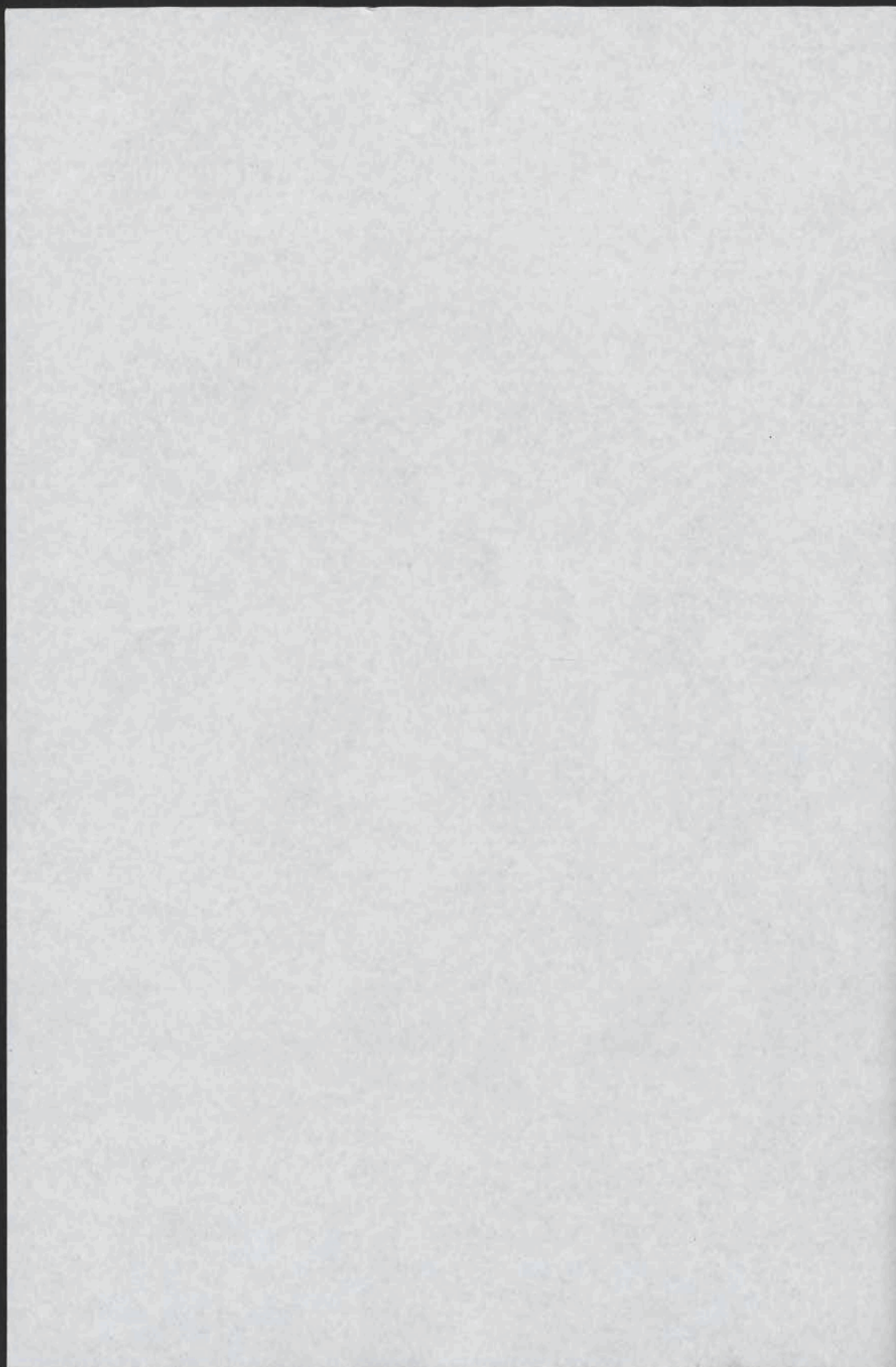


Szpital im. Mikołaja Kopernika, ul. Pabianicka 62/74

Fot. Barbara Gortat i Marek Strąkowski

recenzje

Śladem Łodzi przemysłowej
Księga Fabryk Łodzi
Miroslaw Jaskulski
str. 217



Śladem Łodzi przemysłowej

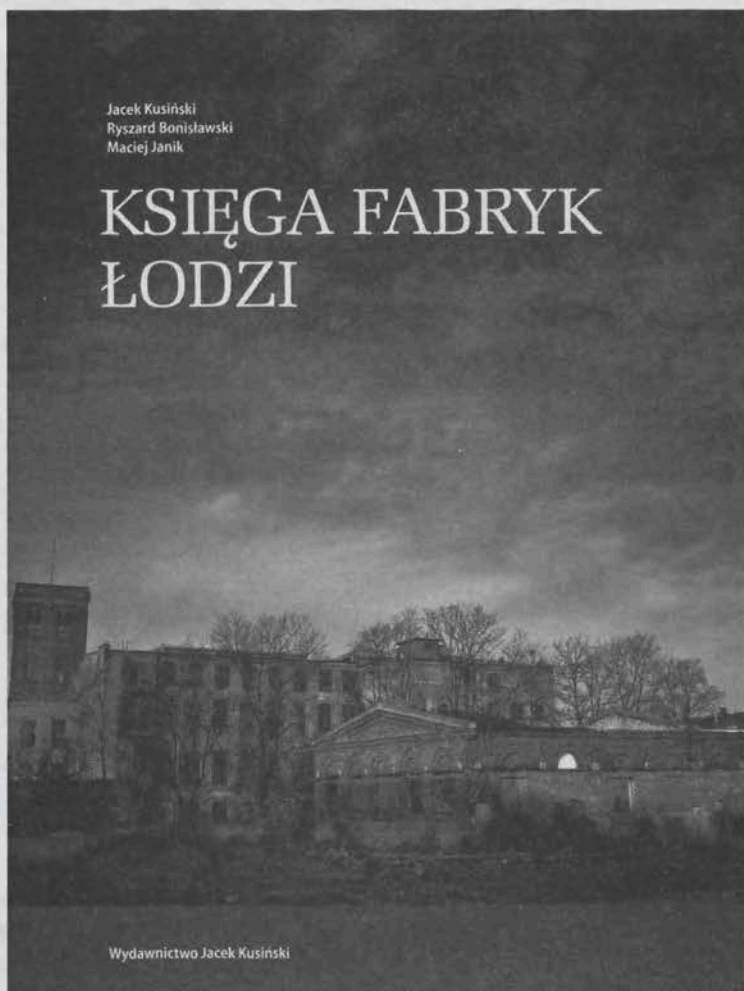
Księga Fabryk Łodzi

recenzje

W lutym tego roku na półkach księgarskich pojawił się obszerny, bogato ilustrowany album **Księga Fabryk Łodzi**. Piszę „fabryk” z dużej litery bowiem jeden z autorów, dr Maciej Janik, tak pisze o nim we wstępie (*O Łodzi, przemyśle i „Księżde Fabryk”*). Być może było to zamierzeniem autorów, być może nie, ale jest to nawiązanie do wydawanych w czasach zaborów i w okresie międzywojennym różnego rodzaju „Ksiąg Adresowych Przemysłu Fabrycznego” i innych tego rodzaju kompendiów dotyczących przemysłu Królestwa Polskiego lub Polski niepodległej. Użyta tu majuskuła nadawała odpowiednią rangę wydawnictwu jako swego rodzaju encyklopedii tematycznej. Nie można się jednak doszukiwać tutaj prostych analogii, bowiem tamte publikacje miały inny charakter i inne założenia – wydawano je przede wszystkim z myślą o konkretnych odbiorcach – kupcach i przemysłowcach, którym służyły w celach praktycznych. Księgi podzielone na poszczególne działy wytwórczości, dostarczały podstawowych informacji – adresu poszukiwanej firmy, adresu telegraficznego, telefonu i danych związanych z kondycją firmy (asortyment, zatrudnienie, obrót roczny, kapitały, skład zarządu, biura sprzedaży itp.).

Ówczesne „informatory”, wydawane często cyklicznie, zazwyczaj co roku, były obok płatnych i nie zawsze pewnych biur wywiadowczych, w zasadzie jedynym źródłem wiadomości o poszukiwanej firmie. Zresztą to źródło też nie było całkowicie obiektywne – zamieszczane informacje pochodziły od samych zainteresowanych – przedsiębiorstwa więc niekiedy zamieszczały dane zawyżone, nieodpowiadające aktualnej kondycji finansowej firmy. Dzisiaj takie informacje zdobywa się zupełnie gdzie indziej i innymi metodami. Ale też nie takie powody skłoniły autorów tego albumu do przeprowadzenia żmudnej kwerendy źródłowej i zamieszczenia obfitej dokumentacji fotograficznej łódzkich obiektów fabrycznych i pofabrycznych.

Jakie więc były cele tego opracowania i jakie kryteria wyboru obiektów? Ze wspomnianego wstępu dowiadujemy się niestety niewiele: *Autorzy albumu nie chcieli poprzestawać jedynie na dokumentowaniu zastanej rzeczywistości i sięgnęli po fotografie i sztychy łódzkich przemysłowców, a także dawne winiety przedsiębiorstw. (...) Publikowanym ilustracjom towarzyszą opisy zawierające historię poszczególnych fabryk. Siłą rzeczy mają one charakter syntetyczny i ograniczają się do podstawowych faktów związanych z dziejami danego budynku: jego powstania, kolejnych właścicieli, rodzaju prowadzonej wytwórczości, a także pełnionych obecnie funkcji. Ilość zebra-*



nych tu danych jest różna i zależy od wielkości przedsiębiorstwa oraz jego znaczenia w dziejach miasta.

Księgę Fabryk Łodzi sygnują trzej autorzy, podani w takiej kolejności (niealfabetycznej). To: Jacek Kusiński, właściciel wydawnictwa, fotograf (między innymi autor zdjęć lotniczych do tej i innych publikacji), laureat 17. edycji nagrody „Złotego Ekslibrisu” Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Łodzi za rok 2008 za najlepsze wydawnictwo albumowe (*Miasto – City*), autor albumów *Piotrkowska – spacer pierwszy* i *Piotrkowska – spacer drugi*. Drugim autorem jest Ryszard Bonisławski, dyrektor Centrum Informacji Turystycznej Urzędu Miasta Łodzi, prezes Towarzystwa Przyjaciół Łodzi, znakomity przewodnik po mieście i regionie, autor wielu opracowań historycznych i przewodników (między

innymi współautor *Spacerowników łódzkich*), a trzecim dr Maciej Janik, wicedyrektor Archiwum Państwowego w Łodzi, członek Zarządu Oddziału Łódzkiego Polskiego Towarzystwa Historycznego. Album zawiera trzy teksty. Oprócz wspomnianego artykułu *O Łodzi, przemyśle i „Księżde Fabryk”* pióra Macieja Janika, pisze dr inż. arch. Jan Salm, adiunkt w Instytucie Architektury i Urbanistyki Politechniki Łódzkiej, zajmujący się historią architektury oraz problematyką badań i ochrony zabytkowych ośrodków miejskich, współautor *Leksykonu zamków w Polsce* oraz Tomasz Włodkowski, dziennikarz i historyk, były kierownik działu miejskiego w łódzkim oddziale „Gazety Wyborczej”.

Nadzwyczaj obszerny, 488-stronicowy album opublikowało łódzkie Wydawnictwo Jacek Kusiński przy współpracy Archiwum Państwowego w Łodzi, Muzeum Miasta Łodzi (nie Muzeum Historii Miasta Łodzi) i Urzędem Miasta Łodzi. Wydrukowany został niezwykle starannie przez gdańską firmę „Grafix”. Reprodukcyj winiet użyli: Archiwum Państwowe w Łodzi, Muzeum Miasta Łodzi oraz Centralne Muzeum Włókiennictwa w Łodzi (a nie Muzeum Włókiennictwa w Łodzi). Zwraca uwagę bardzo staranny i dopracowany w szczegółach projekt graficzny albumu autorstwa Jadwigi Makarewicz-Szczegółów.

Ojcowie miasta przemysłowego

Artykuły wstępne zawierają krótkie omówienie dziejów przemysłowego miasta, jego architektury, przekształceń urbanistycznych. Wiele miejsca poświęcono głównym „bohaterom” *Księgi...*, czyli fabrykantom, od momentu napływu do Łodzi pierwszych rzemieślników i przedsiębiorców, imigrantów z zagranicy, aż do wyłonienia się miejscowej burżuazji, która przekształciła małe rolnicze miasteczko w wielki ośrodek industrialny. Dwa artykuły zostały przetłumaczone na język angielski, niestety trzeci autorstwa Jana Salma ma tylko wersję polską, a szkoda, bowiem zawiera szereg cennych informacji, które pozwoliłyby czytelnikowi zagranicznemu lepiej zrozumieć specyfikę „polskiego Manchesteru”.

Wprowadzający artykuł Macieja Janika w sposób skrótowy przedstawia dzieje rozwoju miasta przemysłowego, począwszy od 1822 roku, gdy przybył do łódzkiej „dzielnicy” rzemieślniczej Nowe Miasto pierwszy imigrant (warto przypomnieć, że był nim nie tkacz czy sukiennik, ale piekarz Daun, który zresztą nie zabawił w Łodzi zbyt długo). Autor wymienia kilku spośród pierwszych fabrykantów, którzy już nie produkowali przędzy lub tkanin we własnych domostwach, lecz wzniesli pierwsze miejscowe obiekty fabryczne – Krystiana Fryderyka Wendischa, Tytusa Kopischa, Jana Krystiana Rundziehera, Jana Traugotta Langego, Karola Maya, Antoniego Wilhelma Potempę i Ludwika Ferdynanda Geyera.

Nie wszyscy z nich zasłużyli się jednakowo w dziele budowania industrialnego miasta. Zwłaszcza Rundzieher nie „popisał się” przy budowie przędzalni Inu. Zdaniem jednego z ówczesnych specjalistów, który zwiedzał nieczynną fabrykę



(1830), przedsiębiorstwo lnu było tworem sztucznym bez podstaw pomyślnego rozwoju na przyszłość. Z kolei działalność Maya jako fabrykanta związana była raczej z historią przemysłu warszawskiego – tam stale przebywał i posiadał większość warsztatów i materiałów, a w Łodzi działał zaledwie przez rok. Sądzę, że warto było także wspomnieć o osobach, które przyczyniły się do powstania urządzeń umożliwiających uruchomienie ówczesnych warsztatów poruszanych siłą wody. Tacy ludzie jak na przykład cieśla z Holandii Marcin (Martin) Peters, czy inżynier urządzeń wodnych Jan Wilhelm Thomas z Nadrenii, odegrali w tych poczynaniach ważną rolę.

We wstępie do *Księgi...* zabrakło mi także innych „ojców miasta przemysłowego”. Mam tu na myśli przede wszystkim przedstawicieli administracji rządowej i wojewódzkiej Królestwa Polskiego, którzy dołożyli wielkich starań by te „osady fabryczne” powstały i rozwijały się. Dotyczy to przede wszystkim Stanisława Staszica, hr. Tadeusza Mostowskiego, Franciszka Ksawerego Druckiego-Lubeckiego i wojewody mazowieckiego Rajmunda Rembienińskiego. Bez ich decyzji o powstaniu takich osad, zabiegów wokół sprowadzenia przedsiębiorców zagranicznych i wsparcia finansowego ich przedsięwzięć gospodarczych, nie byłoby Łodzi jako największego ośrodka przemysłowego w Królestwie. Nie byłoby „ziemi obiecanej”.

Maciej Janik opisuje syntetycznie etapy rozwoju Łodzi – czasy dokonywania się przewrotu technicznego w branży włókienniczej, napływu siły roboczej po uwłaszczeniu chłopów (1864), wielkie kryzysy gospodarcze i ważny przełom jakim były wydarzenia okresu I wojny światowej. Podobnie autor ten traktuje lata „leczenia ran” w okresie międzywojennym i czasy okupacji hitlerowskiej. O tym ostatnim czasie pisze: *Mienie polskie i żydowskie przekazano w zarząd komisaryczny. Produkowano przede wszystkim na potrzeby gospodarki wojennej* (s. 6). A co się stało z głównymi bohaterami albumu – fabrykantami? Ich losy były różne, mniej i bardziej dramatyczne, a w przypadku przedsiębiorców żydowskich często wręcz tragiczne (choć wielu

z nich, jak na przykład rodzina Poznańskich, zdążyła już wcześniej wyemigrować z kraju). Może więc należało poświęcić temu chociaż kilka zdań.

Zasadniczą część tekstu historycznego kończą dzieje fabryk w latach powojennych z przełomowym momentem transformacji ustrojowej w 1989 roku. Ostatni rozdział artykułu poświęcono idei wydawnictwa i dawnym firmom wykonującym litografię fabryk.

Artykuł Jacka Salma *Miasto niedokończone*, opatrzone kilkoma zdjęciami obiektów fabrycznych, jest poświęcony „reliktom” fabryk w pejzażu dzisiejszego miasta, ich znaczeniu dla tożsamości łodzian, potrzebie ochrony konserwatorskiej i rewitalizacji pojedynczych obiektów lub całych zespołów przemysłowych. Autor jednoznacznie stwierdza: *Pamięć, czym była dawna Łódź i jakie były jej fabryki, będzie coraz bardziej zawodna i pełna powiększających się dziur. I tak nieuchronnie być musi* (s. 11). Chyba jednak nie! Właśnie historyczne opracowania naukowe i popularnonaukowe, wystawy i prezentacje multimedialne oraz takie jak ten albumy, dowodzą czegoś wręcz przeciwnego. Tamtej „ziemi obiecanej” już nikt nie może pamiętać, ale badania archiwalne, czy też zbiory muzealne i prywatne pozwalają tą „pamięć” odświeżyć i zachować dla przyszłych pokoleń. Pozostaje także wierzyć, że nie wszystkie „pamiątki” dawnej Łodzi ulegną degradacji. Zresztą rewitalizacje obiektów, tworzenie skansenu industrialnego miasta i inne działania w tym zakresie prowadzone w ostatnich latach, budzą tu poważne nadzieje. Sam autor postuluje takie działania, na przykład ochronę dawnych fabrycznych wież wodnych i kurzowych jako symbolu Łodzi. Miasto musi się rozwijać i jest pewne, że wiele z pozostałości dawnej tkanki urbanistycznej nie przetrwa, ale być może nie ma takiej konieczności. Ważne by zachować najlepsze przykłady myśli architektonicznej i urbanistycznej dla poszczególnych etapów rozwoju „polskiego Manchesteru”, a niektóre z nich opatrzone fachowym komentarzem udostępnić wszystkim chętnym.

Ważną poznawczo treść niesie środkowy fragment tekstu historia architektury i urbanistyki Łodzi – rozdziały *Początki i Rozkwit*. Jan Salm pozwala

recenzje





tutaj czytelnikowi zapoznać się w dużym skrócie z historią powstawania obiektów przemysłowych w miarę pojawiania się nowych rozwiązań technologicznych i technicznych oraz „mód” architektonicznych. W przystępny sposób dowiadujemy się o znaczeniu „napędu wodnego” i maszyny parowej, stosowaniu konstrukcji drewnianej i żeliwnej stropów hal fabrycznych, „prefabrykowanych” okien, nietynkowanych elewacji, rzędogo układu zabudowy, domów „familijnych” i innych elementach budowy i estetyki obiektów przemysłowych, a także na przykład o kierunkach tych „importów” technicznych.

Benedyktyńska praca

Zasadnicza część książki ma formę typowego leksykonu, prezentującego poszczególne zakłady przemysłowe zgodnie z alfabetycznym układem dzisiejszych nazw ulic i placów. Wymieniono w tekście 70 ulic i placów – od ulicy Brzeźnej do ulicy Żwirki – stosując zasadę podawania głównego trzonu ich nazw, a więc na przykład Jaracza – „J”, 3 Maja – „M”, Strzelców Kaniowskich – „S” (a dlaczego nie „P” – 28 Pułku Strzelców Kaniowskich?). Odimienne nazwy ulic nie posiadają imion tylko nazwiska, z jednym wyjątkiem. Nie wiedzieć czemu tylko Andrzej Strug dostał pełnego brzmiącego imienia i nazwiska. Jeżeli w obrębie jednej ulicy znalazło się kilka lub kilkanaście obiektów o układzie not informacyjnych decydowała kolejność numeracji posesji. Najwięcej zakładów wymieniono przy ulicach Piotrkowskiej (15), Wólczańskiej (12), Gdańskiej, Kilińskiego i Pomorskiej (po 11). W sumie zamieszczono 197 metryczek firm napisanych przez Ryszarda Bonisławskiego (125) i Macieja Janika (70), jedną opracowaną wspólnie (Kopcińskiego 58), natomiast pod jedną nie podpisał się żaden z autorów. (Dowborczyków 30/34).

W obrębie jednego „hasła” znajduje się zazwyczaj krótki opis firmy – data powstania, kim byli właściciele, rodzaj i wielkość produkcji, liczba zatrudnionych, zmiany własności aż po dzień dzisiejszy, ewentualnie dane o architekturze obiektów fabrycznych i domu właściciela, niekiedy też informacje o działalności społecznej

i filantropijnej fabrykanta. W większości przypadków zamieszczono fotografię dawnego właściciela przedsiębiorstwa, winietę reklamową z ryciną zakładu oraz barwne zdjęcia dzisiejszego stanu budynków fabrycznych i fotografie lotnicze z zaznaczeniem położenia zakładu. Jest to reguła, od której są jednak liczne wyjątki, niekiedy brak bowiem jednego lub kilku z tych elementów. Nie zawsze udało się odszukać fotografię fabrykanta, a w przypadku rycin nie zamieszczono ich, bowiem wiele mniejszych zakładów nie stosowało ozdobnych druków firmowych ani nie zamieszczało całostroniowych reklam lub kalendarzów. Zresztą w latach międzywojennych już tylko nieliczne firmy stosowały tę formę reklamy.

Album został zaopatrzony w wykaz dawnych nazw ulic (38 pozycji) oraz indeks osób, firm i zakładów. W wykazie ulic zabrakło pozycji Łukasieńskiego (Ojców Jezuitów), Matejki (Prywatna), Aleja Politechniki (Nowo-Parńska), Praska (Warszawska), Sędziowska (Szneja) i Żwirki (Pusta). Może to drobiazg, ale zamieniono pozycje Kopernika i Kopcińskiego oraz Strzelców Kaniowskich i Struga, a plac Zwycięstwa winien być raczej pod literą „Z”. Niezwykle pożyteczną rolę spełnia ten drugi indeks, zwłaszcza że wiele postaci i przedsiębiorstw występuje w kilku miejscach albumu. Dawne firmy łódzkie, szczególnie te mniejsze, ale także większe zakłady, z różnych powodów niekiedy kilkakrotnie zmieniały swoją lokalizację. Zazwyczaj firmy, rozbudowując się, szukały nowych terenów, bądź tworzyły nowe oddziały w innych punktach miasta. Wiele firm „uciekało” z Piotrkowskiej, gdzie na ciasnych parcelach w miejsce przedsiębiorstw stawiano oficyny mieszkalne. Liczni przedsiębiorcy lokowali swoje finanse w kilku różnych firmach, stąd spotkamy ich pod różnymi adresami. Wreszcie wiele zakładów po II wojnie światowej obejmowało kilka dawnych firm z danej branży, tworząc oddziały i filie. Dzięki indeksowi bez trudu można interesujące nas osoby i zakłady odszukać.

Przy przeglądaniu albumu rzuca się w oczy przede wszystkim zawartość ilustracyjna. Zamieszczono blisko 340 kolorowych zdjęć lotniczych, ponad





150 współczesnych, kolorowych ujęć obiektów przemysłowych, wykonanych „z poziomu ulicy”, 142 historyczne winiety z rycinami przedsiębiorstw oraz 77 fotografie ich właścicieli. Mówi to wiele o zakresie prac przy dokumentowaniu zabytków. Część zdjęć wykonana została w okresie zimowym lub wczesnej wiosny, część zaś w pełni lata lub jesienią. Ich kadrowanie i opatrywanie żółtymi ramkami sytuującymi daną parcelę wymagała zaiste benedyktyńskiej pracy.

Świat rycin

Winiety reklamowe firm wydają się być w tym albumie tylko ozdobnikiem, elegancką formą uzupełnienia tekstu i fotografii współczesnych. Niosą one jednak ze sobą wiele ciekawych informacji i warto im się przyjrzeć bliżej. Anonimowi graficy i rytownicy wykonywali zlecenie fabrykanta, a ten zazwyczaj chciał ukazać swoją firmę w lepszej postaci niż w rzeczywistości. Najczęściej więc zniekształcano nieco proporcje, budynki na rycinach były więc większe, więcej też było przestrzeni między poszczególnymi obiektami. Często też przedstawiano je „z lotu ptaka”, chociaż nie istniały ku temu możliwości techniczne (nie było przecież samolotów). Zapewne posiłkowano się w takich przypadkach planami architektonicznymi zabudowy fabrycznej. W przypadku wolno stojącego obiektu można było wykonać ilustrację z poziomu przechodnia. Przy ciasnej zabudowie przemysłowej w śródmieściu, zwłaszcza w podwórzach przesłoniętych kamienicą frontową wykonanie takiej ilustracji było praktycznie niemożliwe. Przykładem może być na przykład winieta, której nie publikują autorzy albumu (brak w tym wydawnictwie Destylarni Parowej i Fabryki Wódek Ferdynanda Meyera przy Nowym Rynku 6), gdzie z zakładów widoczny jest tylko komin fabryczny i sklep firmowy od frontu.

Innym ciekawym elementem ryciny są tereny rekreacyjne usytuowane w obrębie parceli fabrycznej. Najczęściej sytuowano zieleńce z alejkami, altana-

mi i nierzadko fontanną w pobliżu domu właściciela, czasem oddzielały zakład od ulicy lub zapewniały narożnik ulic. Były raczej niewielkich rozmiarów, ale zdarzały się całkiem okazałe, zajmujące niemal połowę posesji. W miarę rozwoju przedsiębiorstwa tereny te likwidowano jako pierwsze, ponieważ powiększenie parceli o sąsiednie, zabudowane już grunty, było niemożliwe, a w każdym razie nieekonomiczne. Tylko nieliczne ogrody przyfabryczne przetrwały do dzisiaj, choć w okrojonej skali, na przykład przy fabryce Augusta Härtiga, por. s. 22). Większość zniknęła bezpowrotnie już na przełomie XIX i XX wieku, ale zobaczyć je możemy właśnie na tych starych litografiach (na przykład s. 34, 36, 40, 44, 48, 52, 54, 72, 80 i następne). Ciekawym elementem tych „widoczków” są także rezydencje właścicieli – pałace, wille, a niekiedy tylko skromne domy frontowe, przebudowane później na kamienice. Część z nich istnieje do dzisiaj, chociaż niektóre, pozbawione wystroju architektonicznego, nie zwracają naszej uwagi – nawet się nie domyślamy, że pełniły funkcję domu fabrykanta. Dociekliwi, zaopatrzeni w szkło powiększające, mogą również odnaleźć na tych rysunkach wiele elementów architektury przemysłowej, znaki fabryczne, medale nagrodowe z wystaw krajowych i zagranicznych (na wystawach przemysłowych odbywanych w Cesarstwie Rosyjskim najwyższą nagrodą było godło państwa – dwugłowy orzeł) oraz „obrazki” z życia ulicy (tramwaje, powozy, latarnie uliczne itp.).

Z ziemi i powietrza

Piękne fotografie barwne dominują w albumie, ukazując w planie ogólnym, a niekiedy także w detalu, stan dzisiejszy każdej z omawianej fabryk. Zdarzają się też takie zdjęcia, które aspirują do miana fotografii artystycznej. Zaliczyłbym do nich na przykład zdjęcie fabryki Tykocinera i Spółki przy ulicy Pomorskiej 77 (s. 287), firmy Krystiana Bigge przy ulicy Wysokiej 22 (s. 444), przędzalni Henryka Grohmana przy ulicy Tymienieckiego 26 (s. 392), czy zakładów przy ulicy Pomorskiej 81 (s. 288), ale jest ich znacznie więcej, co nadaje albumowi charakter nie tylko naukowej pracy dokumentacyjnej, ale także wydawnictwa zawierającego piękne fotografie.

Zdjęcia lotnicze poprzez obwiedzenie posesji kolorową ramką znacznie ułatwiają identyfikację obiektu, ale dotyczy to przede wszystkim mieszkańców Łodzi lub tych, którzy dobrze znają topografię naszego miasta. Dla osób słabiej zorientowanych w gęstej siatce łódzkich ulic, umiejscowienie przedsiębiorstw nie będzie już takie łatwe. Oczywiście numer posesji dokładnie sytuuje obiekt i w terenie będzie go można znaleźć, ale skojarzenie miejsca na podstawie zdjęcia lotniczego bywa w niektórych przypadkach trudne. Przykładem może być fotografia na stronie 68 (ulica Jaracza 40). Być może przydałoby się umieścić na widocznych ciągach ulicznych ich dzisiejsze nazwy, by móc je łatwiej skonfrontować z aktualnym planem miasta. Sam pomysł takiego zilustrowania przestrzeni fabrycznych jest jednak bardzo dobry – nie zawsze przecież możemy zajrzeć w głąb posesji, a w przypadku wielkich przedsiębiorstw przemysłowych (Geyer, Widzewska Fabryka Nici, Poznański, Scheibler, Grohman, Bieder-

mann itd.) nie jesteśmy w stanie objąć ich wzrokiem i pojąć skali całego założenia fabryczno-rezydencjonalnego, co tutaj jest szczególnie istotne. Zdjęcia lotnicze dają więc niejako nowe możliwości „zwiedzania” Łodzi przemysłowej. Puentą problemu dewastacji starej tkanki przemysłowej jest natomiast zdjęcie na stronie 468 (fabryka Leona Allarta), która eksponuje „śląd” po przedsiębiorstwie w asyście maszyn budowlanych.

Omawiany album nie jest pierwszą publikacją ukazującą zabytkową architekturę miasta. Jednymi z pierwszych opracowań tego rodzaju były albumy z ilustracjami Wacława Kondka (*Ulica Piotrkowska z notami Anny Rynkowskiej i Łódzkie pałace z notami Wojciecha Walczaka*), obszerny album *Architektura Łodzi przemysłowej* Antoniego Szrama i Andrzeja Wacha, także późniejsze opracowania Ireny Popławskiej (*Dawne fabryki Łodzi i Architektura przemysłowej Łodzi w XIX w.*), Andrzeja Urbaniaka (*Śladami starej Łodzi*, t. I i II), Wojciecha Walczaka (*Zabytki architektoniczne Łodzi*), Krzysztofa Stefańskiego (*Jak zbudowano przemysłową Łódź, Atlas architektury dawnej Łodzi*), Małgorzaty Laurentowicz-Granias i Joanny Manżett-Kubiak (*Pałace „Ziemi obiecanej”*) czy autora tej recenzji (*Stare fabryki Łodzi*). Wszystkie dotyczyły tego tematu, jednak żadne z nich nie zawierało tak obszernego materiału ilustracyjnego (w kolorze), zwłaszcza ukazującego dzisiejszy stan obiektów przemysłowych.

Jak wspomniałem wcześniej, autorzy nie podali wyraźniejszych kryteriów doboru obiektów przemysłowych. Starali się, jak sądzę, opisać przede wszystkim najważniejsze dla historii przemysłu łódzkiego zakłady produkcyjne kilku branż lub obiekty ważne z punktu widzenia historyka architektury. Dominują oczywiście zakłady przemysłu włókienniczego, ale są też wymienione firmy branży spożywczej (browary, fabryki octu), chemicznej (fabryki farb), przemysłu metalowego (odlewnie), zakłady kamieniarskie, stolarskie, meblarskie, wytwórnie kapeluszy, koronek, tapet, nici, drukarnie itd. W kilku przypadkach zadecydowała jednak chyba dostępność winiety reklamowej, bowiem sam zakład niczym się nie wyróżniał spośród setek innych (na przykład firma Jakuba Meissnera przy ulicy Kilińskiego 243, s. 110)

Niepełna lista

Nie ma praktycznych możliwości, by w jednym wydawnictwie i w takiej formule, „zinventoryzować” wszystkie zakłady przemysłowe Łodzi, bowiem były ich setki, a znaczna ich liczba dziś nie istnieje. Autorzy musieli więc dokonać selekcji i wyboru tych najważniejszych obiektów z historycznego, urbanistycznego i architektonicznego punktu widzenia. Wielu czytelników zapewne chętnie dołożyłoby do tego zestawu „własne” obiekty, ale wtedy należałoby zrezygnować z tych, które już się w albumie znalazły. Wydaje się, że kosztem którejś z „fabryczek” należało umieścić notę dotyczącą dużej przędzalni, tkalni i farbiarni wełny w osadzie fabrycznej Mania, będącej własnością Moryca Zanda, a od 1885 roku Ludwika Wilhelma Meyera. Około 1895 roku pracowało

tutaj ponad czterysta osób, a po wojnie mieściły się w tych budynkach zakłady pa-smanteryjne „Lenora”. Z Meyerem kojarzy się jego wcześniejsza fabryka wyrobów wełnianych usytuowana przy ulicy Piotrkowskiej 72 – obiekt, który przeszedł bardzo ciekawą transformację, bowiem przebudowany pełnił i pełni do dzisiaj rolę Hotelu Grand. Z innych ważnych dla przemysłu łódzkiego firm można wymienić chociażby zakład kamieniarski i rzeźbiarski Augusta Fiebigera przy ulicy Cmentarnej 11, drugi co do wielkości w Łodzi browar Braci Gehlig przy ulicy Ogrodowej 9-11, przedsiębiorstwo robót budowlanych Otto Gehliga przy ulicy Narutowicza 11, fabrykę kamieni młyńskich Karola Asta przy ulicy Lipowej 13, wspomnianą wyżej fabrykę wyrobów spirytusowych Ferdynanda Meyera, typo- litografię Rudolfa Luthera przy ulicy Zachodniej 26, drukarnię Johanna Petersilgego przy ulicy Legionów 28 i Piotrkowskiej 86, litografię Adolfa Łubieńskiego przy ulicy Próchnika 17, fabrykę lamp i urządzeń kuchennych E. Modrowa przy ulicy Zielonej 15, fabrykę zegarów ściennych Lejba Chmielewskiego przy ulicy Jakuba 8 i wiele wiele innych. Przy opisie firmy Adolfa Dobranickiego i Hermana Konstadta (ulica Północna 6, s. 302) należało wspomnieć, że pierwotnie na terenie parceli przylegającej do ulicy Nowomiejskiej i stawu Staromiejskiego funkcjonował pierwszy browar przemysłowej Łodzi oraz farbiarnia Karola Bogumiła Saengera (później wdowy Henrietty Saenger) – jedno z pierwszych zakładów w osadzie Nowe Miasto. Także w przypadku zakładu działającego przy alei Kościuszki 9 (s. 138) należało wspomnieć, że w latach 1899-1906 funkcjonowało tu w wynajętym domu Pogotowie Ratunkowe, niezwykle zasłużona dla miasta instytucja.

W treści wydawnictwa wystąpiło kilka błędów literowych, które należałoby sprostować: Izidor Judel Bari (s. 5, 8, 9, 218) w źródłach i literaturze przedmiotu występuje jako Bary. Podobnie Wilhelm Lurkens winien być pisany Lürkens (s. 142, 482), Heintzel – Heinzl (s. 22), a Tietzen – Tietzen (s. 164, zapewne zwykła „literówka”). Wspólnik J. Johna, Berent, pisany był Berendt (s. 236), na stronie 238 w tekście występują bracia Lourie, podczas gdy na winiecie widnieje L(ejzor) Lourie & Co.; Ludwikowi Nippe złośliwy chochlik drukarski zmienił płeć, bowiem w podpisie pod fotografią jest: Ludwika (s. 410). Jeśli porównamy rycinę z fotografią lotniczą firmy Rudolfa Kellera przy ulicy Gdańskiej 47 (s. 44), to widzimy, że zakład dochodził od strony południowej do ulicy Zielonej, tymczasem żółta ramka znacznie zawęża ten teren.

Niektóre informacje są zbyt cenne i niewiele wnoszą do naszej wiedzy o firmie – na stronie 118 dowiadujemy się, że niejaki Henryk Dziembor zmarł dokładnie 25 marca 1932 roku. Także podawanie w notach, że pracowało w zakładzie w okresie międzywojennym 22 robotników (s. 136) wydaje się być mało istotne – w takich firmach liczba zatrudnionych zmieniała się nieraz w ciągu miesiąca, a nie 20 lat, gdy w okresach kryzysów zwalniano wszystkich lub niemal wszystkich pracowników, by z kolei w chwili ożywienia gospodarczego zatrudniać znacznie więcej osób niż dawniej. Gdy podaje się, że w chwili uruchomienia fabryki pracowało 125 robotni-

ków, a w 1912 roku sześćuset, to daje nam to pogląd o rozwoju firmy (s. 140) i jest to informacja ważna.

Niezależnie od drobnych uwag krytycznych i kilku błędów niezawinionych przez autorów, a niewychwyconych przez korektę, należy uznać, że jest to jedno z najlepszych wydawnictw albumowych o historii Łodzi, chyba z wielką szansą na „Złoty Exlibris”. Przeglądanie *Księgi Fabryk Łodzi* to długa i ciekawa podróż wehikułem czasu i okazja do refleksji nad bezmyślnym niszczeniem tych relikwów przeszłości, które jeszcze pozostały. Każdy, kto interesuje się dziejami Łodzi, ale także historią architektury i urbanistyki, tę ważną książkę powinien mieć na swojej półce bibliotecznej.

Miroslaw Jaskulski
– pracownik Muzeum Miasta Łodzi

Jacek Kusiński, Ryszard Bonisławski, Maciej Janik, *Księga Fabryk Łodzi*,
Wydawnictwo Jacek Kusiński, Łódź 2009.

Z łódzkiego raptularza

z łódzkiego raptularza

17 grudnia

- Jury Konkursu „U źródeł Piotrkowskiej” ogłoszonym przez Miejską Pracownię Architektury w Łodzi nie przyznało głównej nagrody. Wśród 36 projektów przeważały rozwiązania łączenia Manufaktury ze Starym Miastem i ulicą Piotrkowską. Nagrody i wyróżnienia otrzymali: Mirosław Wiśniewski Urbanistyka i Architektura, Sp z o.o. i P. A. Nova. S.A. Gliwice; Lipski i Wujek, Sp. z o.o.; Grupa 33 03 z Wrocławia, NOW Biuro Architektoniczne, Sp. z o.o. oraz Diehl Architekci.
- Łódzcy samorządowcy spotkali się w Radzie Miejskiej na wigilijnym opłatku. W spotkanie wzięli udział także reprezentanci łódzkich uczelni, policji i wojska. Harcerze przynieśli do Urzędu Betlejemskie Światło Pokoju. Życzenia zebranyim złożyli: arcybiskup Władysław Ziółek i przewodniczący Rady Miejskiej Tomasz Kacprzak.
- Dr Jan Olejniczak z Uniwersytetu Łódzkiego i Koło Naukowe Fizyków Politechniki Łódzkiej zdobyło tytuł „Popularyzatora Nauki 2009” w konkursie organizowanym przez PAP oraz Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

18 grudnia

- Spotkanie z Grzegorzem Gortatem, pisarzem i tłumaczem literatury anglojęzycznej urodzonym w Łodzi, ale od lat mieszkającym w Warszawie, zainaugurowało nowy cykl spotkań w Muzeum Miasta Łodzi pod hasłem „Łódzkie korzenie”. Gortat prezentował publiczności swoje ostatnio wydane książki: *Złą krew* oraz *Szczury i wilki*. Współorganizatorem spotkań są Agencja Autorska „Autograf” oraz Retro Cafe.

19 grudnia

- Międzynarodowa Fundacja Muzyczna im. A. Rubinsteina zorganizowała w Pałacu Poznańskiego koncert z okazji rocznicy śmierci pianisty (20 grudnia 1982 roku). Solistką była Anna Fedorowa z Ukrainy – zdobywczyni I nagrody na Międzynarodowym Konkursie dla Młodych Pianistów im. A. Rubinsteina w Bydgoszczy w 2009 roku Patronat honorowy nad koncertem objęli ambasador Ukrainy w Polsce – Olexander Motsyk i Marszałek Województwa Łódzkiego – Włodzimierz Fisiak.

20 grudnia

- Wynalazek pracowników naukowych z Instytutu Inżynierii Materiałowej Politechniki Łódzkiej został nominowany do prestiżowej nagrody Travelery 2009 w kategorii „Naukowe odkrycie roku”. Nagrodę przyznają magazyny „National Geographic Traveler” i „National Geographic Polska”. Wynalazek to specjalne powłoki, które można używać zamiast smarów w maszynach i urządzeniach, poczynając od rowerów, a na pojazdach kosmicznych kończąc.
- Janina Biłska pensjonariuszka Domu Opieki w Łaznowskiej Woli obchodziła setne urodziny. Jubilatce życzenia złożył osobiście Jan Witkowski – sekretarz m. Łodzi.
- Teatr Jaracza wystawił sztukę Simona Blocka *Survival* w reżyserii Barbary Sass, scenografii Waldemara Zawodzińskiego. Kostiumy zaprojektowała Maria Balcerek, a muzykę napisał Michał Lorenc.

27 grudnia

- Z okazji trzecich urodzin „Kinematografu”, kina w Muzeum Kinematografii, przygotowano trzy wystawy: *Również kinematografu. Magia seansów w fotoplastykonie, Cud ożywionej fotografii. Zabytki techniki filmowej oraz filmową historię Pałacu Scheiblera*.
- W konkursie „Przywróćmy blask Piotrkowskiej” rywalizowało ze sobą 21 właścicieli nieruchomości i lokali użytkowych. W kategorii elewacja roku nagrodzono kamienicę pod nr. 19 i wyróżniono pod nr. 49. Za najładniejszą witrynę uznano witrynę sklepu „Lola” pod nr. 59. Najładniejsze podwórka przy ulicy Piotrkowskiej to posesje nr. 51 i 89.

30 grudnia

- Ostatnia w roku sesja Rady Miejskiej była nad wyraz burzliwa i dotyczyła budowy Centrum Festiwalowo-Kongresowego „Camerimage Łódź Center”, a ściślej związanych z budową wydatków. Radni uchwalili projekt z poprawką zgłoszoną przez radnych Lewicy i PO, która głosi iż inwestycja może być rozpoczęta dopiero po ogłoszeniu przez ministra kultury konkursu z gwarancją minimum 250 milionów złotych dofinansowania.

31 grudnia

- Łodzianie bawili się w sylwestrową noc na Placu Wolności. Koncert prowadzony przez Agnieszkę Szulim i Macieja Kurzajewskiego transmitowała TVP2 i TV Polonia. Występowały między innymi zespoły Kombii, Candy Girl, Pectus, Blue Cafe, Neo i Bel-Mondo. Największą atrakcją był jednak wspólny występ Maryli Rodowicz i Dody. Nowy Rok powitał z Łodzianami prezydent Jerzy Kropiwnicki. Zarówno uczestnicy zabawy, jak i telewizyjni oceniali dekoracje i koncert bardzo wysoko.

- W wydawnictwie „Kwadratura” ukazały się dwie pozycje łódzkich autorów: tomy poezji Grzegorza Strumyka *Le Rutki* oraz *Życie świetnych ludzi* Kacpra Bartczaka.

STYCZEŃ 2010

3 stycznia

- Maestro Zdzisław Szostak obchodził 80. urodziny i 60-lecie pracy artystycznej. Podczas uroczystej gali w Filharmonii Łódzkiej jubilat dyrygował orkiestrą, z którą opracował długie lata. Liczne grono przyjaciół i słuchaczy przybyłych z całej Polski podkreślało talent i wyjątkową skromność artysty. Z okazji jubileuszu w „Kinematografie” można było oglądać filmy z muzyką Zdzisława Szostaka.
- W Alei Gwiazd nieznanymi sprawcami zniszczeni gwiazdy: Leona Niemczyka i Wojciecha Pszoniaka. Gwiazdy zabezpieczono, policja poszukuje wandal.

4 stycznia

- Izabela Maria Trelńska wystawiła w Śródmiejskim Forum Kultury *Obrazy z podróży do Chin* oraz 34 wizerunki Matki Boskiej, świętych i aniołów malowanych akwarelą. Artystka maluje świętych od 30 lat.
- Komedia *Życie* Jarosława Jakubowskiego otrzymała I miejsce w konkursie na polską komedię organizowanym przez Polskie Centrum Komедии przy Teatrze Powszechnym. II nagrodę jury przyznało Przemysławowi Jurkowi za utwór *Kochankowo i okolice*, a III Marcie Klubowicz i Fredowi Apke za *Letnisko*. Nagrodzone komedie będą wystawione w teatrze.

7 stycznia

- Spory w Radzie Miejskiej dotyczące budowy Camerimage Łódź Center spowodowały okupację sali obrad. Noc w Urzędzie spędziło około stu studentów szkół artystycznych, głównie Filmówki. Dyrektor Camerimage Marek Żydowicz zapowiedział, że jeśli nie powstanie nowe Centrum, będzie organizował festiwal w innym mieście.
- W Klubie Nauczyciela gościła Kathrin Schmidt – laureatka Niemieckiej Nagrody Literackiej 2009.
- Tygodnik „Polityka” uznał Atlas Sztuki w Łodzi za najlepszą prywatną galerię sztuki w Polsce.

9 stycznia

- Studenci IV roku Wydziału Aktorskiego zagrali w Teatrze Studyjnym *Gąskę* Nikołaja Kolady w reżyserii Georgija Lifanowa, scenografii Anny Tomczyńskiej. Był to spektakl dyplomowy.

10 stycznia

- Pomnik Misia Uszatka przy ulicy Piotrkowskiej 87 stracił łapkę. Na szczęście sprawca pozostawił ją na ulicy i dzięki temu można było skierować posązek do naprawy.
- Mimo fatalnej mroźnej pogody Wielka Orkiestra Pomocy Świątecznej nie zawiodła i grała w całym mieście. Główna scena pojawiła się w Manufakturze, gdzie o godzinie 18.30 wraz z chórami „Harmonia” i Politechniki Łódzkiej kilkuset łodzian zaśpiewało *Prząśniczkę* Moniuszki. Studenci Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego UŁ ułożyli na dziedzińcu Manufaktury serce z monet, ważące pół tony. Ostatnią monetę dołożył o godzinie 12 prezydent Jerzy Kropiwnicki. W internecie łodzianie licytowali 10 pluszowych Misiów Uszatków.
- Ukazała się jednodniówka „Łodziak” wydana przed referendum przez zwolenników prezydenta Jerzego Kropiwnickiego. W artykule wstępnym prezydent przeprosił łodzian, których dotknęły jego stanowcze decyzje lub słowa.
- Filharmonia Łódzka zainaugurowała Rok Chopinowski koncertem z udziałem fenomenalnego chińskiego pianisty Lang Langa. Solista wykona koncert e-moll Chopina, orkiestrą filharmonii dyrygował Daniel Raiskin. Następnie pianista wraz z publicznością zagrał w filmie *Projekt Chopin*.

11 stycznia

- W ramach cyklu „Gdy muzyka była młodsza” w klasztorze oo. Dominikanów zespół muzyki dawnej Antiquo More wystąpił z koncertem pod tytułem *Muzyka w tańcu – przełom XVI i XVII stulecia*.

12 stycznia

- Posłanka Iwona Śledzińska-Katarasińska – przewodnicząca sejmowej komisji kultury - spotkała się w Teatrze Wielkim z przedstawicielami instytucji artystycznych. Dyskutowano na temat obecnego stanu kultury w Łodzi, niezbędnych zmian i promocji miasta. Posłanka obiecała poprzeć każdy wniosek o dotacje na nowy, ciekawy projekt związany z kulturą.
- Bogdan Zdrojewski – minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego przyjął Tomasza Kacprzaka przewodniczącym Rady Miejskiej w Łodzi i Marka Żydowicza prezesa Camerimage Łódź Center. Tematem spotkania była realizacja budowy Centrum Festiwalowo-Kongresowego i prace nad projektem Franka Gehry'ego.

14 stycznia

- W Ośrodku Propagandy Sztuki otwarto wystawę *Malarstwo bez ram*. Wystawa przedstawia prace absolwentów wyższych polskich uczelni artystycznych z lat 2006-08 i towarzyszy konkursowi im. Eugeniusza Gepperta. Tytuł *Malarstwo bez*

ram sugeruje, że młodzi artyści wychodzą poza tradycyjne formy artystyczne i starają się zaskoczyć widza.

15 stycznia

- Studenci IV roku Wydziału Aktorskiego w Szkole Filmowej wystawili w Teatrze Studyjnym *Plastelinę* Wasilija Sigariewa w reżyserii Małgorzaty Bogajewskiej, scenografii Macieja Chojnackiego i muzyce Rafała Kowalczyka.
- Dorota Filipczak promowała w Klubie Nauczyciela najnowszy tom poezji *K + M + B*.

17 stycznia

- **W referendum zorganizowanym w Łodzi na wniosek radnych z SLD odwołano prezydenta Jerzego Kropiwnickiego. Frekwencja w referendum wyniosła 22,2 procent. Za odwołaniem prezydenta głosowało 127 874, czyli 95 procent głosujących.** Prezydent dowiedział się o wynikach w szpitalu, do którego został przywieziony po zasłabnięciu po nocnych, wyczerpujących sesjach Rady Miejskiej. **Jerzy Kropiwnicki rządził miastem siedem lat.**

19 stycznia

- W 65. rocznicę spalenia przez hitlerowców więźniów na Radogoszczu, w miejscu tragicznych wydarzeń spotkali się kombatanci, uczniowie, przedstawiciele władz miejskich. Wydarzenia sprzed lat wspominał ocalały więzień Jan Wipijewski, a duchowni czterech wyznań modlili się w intencji pomordowanych.
- Organizacja „Caritas” powstała w Polsce w 1929 roku W 1950 roku została zlikwidowana, działalność reaktywowano 20 lat temu. Tylko w 2007 roku Caritas w Łodzi wydała 65 tysięcy ciepłych posiłków, prowadzi trzy świetlice dla dzieci, opiekuje się niepełnosprawnymi i bezbronniymi, oraz chorymi w hospicjum. Łódzką placówką kieruje ks. Jacek Ambroszczyk.

20 stycznia

- Marianna Dakiniewicz obchodziła setne urodziny. W 1946 roku jubilatka z mężem przyjechała do Łodzi z Wilna i pozostała już na stałe. Sędziwą łodziankę odwiedził z życzeniami sekretarz miasta Jan Witkowski.
- Marek Palczewski – współpracownik Łódzkiej TVP i prezes Łódzkiego Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich podczas sesji Rady Miejskiej odczytał list otwarty w którym zarzucał dyrektor Łódzkiej TVP Małgorzacie Potockiej uzgadnianie z władzami miasta treści emitowanych na antenie programów. Rzecznik prezydenta Kajus Augustyniak stanowczo temu zaprzeczył.
- W Poleskim Ośrodku Sztuki w ramach cyklu „Alfabet Literatury” odbył się wieczór autorski Jerzego Jarniewicza, który przedstawił swój najnowszy tom poezji *Makijaż*.

21 stycznia

- Zofia Turowska – autorka wydanej niedawno *Fotobiografii* Zofii Nasierowskiej spotkała się z czytelnikami – wielbicielami talentu mistrzyni fotograficznego portretu w Poleskim Ośrodku Sztuki.
- Łódź Art Center wygrała przetarg na operatora starań o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury dla Łodzi w 2016 roku

22 stycznia

- W Atlasie Sztuki otworo wystawę *Goście* przygotowaną przez Krzysztofa Wodickę. Bohaterami wystawy są imigranci pozostający w krajach, w których są „wiecznymi gośćmi”. Projekt ten był już prezentowany w ubiegłym roku na bienale w Wenecji.

23 stycznia

- W Teatrze Jaracza odbyła się premiera *Przypadku Iwana Iljicza*. Spektakl powstał na podstawie opowiadania Lwa Tołstoja *Śmierć Iwana Iljicza* z 1886 roku. Przystawienie reżyserował Jacek Orłowski, w głównej roli wystąpili: Bronisław Wrocławski oraz Iwona Drózd-Rybińska, Dorota Kielkiewicz, Hubert Jarczak i Marcin Łuczak.
- Teatr Wielki w koprodukcji z Operą Wrocławską wystawił balet *Romeo i Julia* Sergiusza Prokofiewa. Choreografem baletu jest Jerzy Makarowski, współautor scenografii z Ryszardem Kają. Na scenie zobaczyliśmy między innymi Julię Sadowską, Sergię Oberemoka, Nazara Botsiy i Witolda Biegańskiego.
- Teatr Nowy przygotował na drugą w sezonie premierę sztukę szwajcarskiego pisarza Maxa Frischa *Biedermann i podpalacze*. Przedstawienie reżyserował Krzysztof Babicki, muzykę opracował Marek Kuczyński, kostiumy Sławomir Solorz. W roli głównej wystąpił Andrzej Szczytko związany z Teatrem Polskim we Wrocławiu.
- 50 lat temu dzięki inicjatywie red. Mieczysława Jagoszewskiego odrodziło się Towarzystwo Przyjaciół Łodzi. (W XIX wieku w mieście działało elitarne stowarzyszenie do którego należeli fabrykanci i kupcy). Obecnie do TPŁ należy 641 osób. Towarzystwo propaguje historię miasta, organizuje wycieczki i konkursy. Nagradza inicjatywy kulturalne.
- Łódź przegrała w pierwszym głosowaniu polskich eurodeputowanych. Drugie po Warszawie Biuro Informacyjne Parlamentu Europejskiego w Polsce powstało we Wrocławiu. Zdecydowało o tym wsparcie samorządowców i umiejętne starania władz Wrocławia.

25 stycznia

- W Poleskim Ośrodku Sztuki Jacek Żakowski promował swoją książkę pod tytu-

łem *Zawał. Zrozumieć kryzys*. Jest to zbiór wywiadów zamieszczonych w „Polityce”.

26 stycznia

- W Bibliotece im. Piłsudskiego gościł historyk literatury prof. dr hab. Jan Tomkowski – pracownik naukowy Instytutu Badań Literackich PAN, autor podręczników historii literatury polskiej. Spotkanie prowadził dr Konrad Tatarowski.
- W Manufakturze otwarto pokonkursową wystawę Grand Press Photo. Na wystawie przedstawiono 50 zdjęć polskich fotoreporterów. Zdjęcie Małgorzaty Kujawki, znanej fotoreporterki łódzkiej, zajęło II miejsce w kategorii „Przyroda”.
- Najstarszej prywatnej wypożyczalni książek w Łodzi założonej w 1898 roku grozi zamknięcie, gdyż właścicielka Danuta Burska nie jest w stanie opłacić czynszu. Biblioteka ma zbyt mało czytelników opłacających abonament. Łódzcy internauci, aby ocalić wypożyczalnię rozpoczęli akcję „Wielkie wykupywanie abonamentu”.
- Radni Rady Miejskiej przyjęli budżet na 2010 roku głosami 32 radnych, przy dwóch wstrzymujących się od głosu. Dochody mają wynieść 2,5 miliarda złotych, a wydatki 2,8 miliarda złotych. Radni zdecydowali także, że nie będzie przedterminowych wyborów na prezydenta Łodzi.

28 stycznia

- Przemysław Witkowski – laureat XV Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Jacka Biereżina w Poleskim Ośrodku Sztuki prezentował nagrodzony tom wierszy. *Preparaty* wydało „Biura Literackie” we Wrocławiu.

29 stycznia

- Po raz 41 w Łódzkim Domu Kultury odbył się Turniej Jednego Wiersza „O puchar wina” imienia Jerzego Jarmołowskiego. Warunkiem udziału w konkursie jest przeczytanie wiersza, który nie był nigdzie publikowany i złożenie maszynopisu jury.

30 stycznia

- Teatr Powszechny wystąpił z premierą spektaklu *Komedia romantyczna* Wojciecha Tomczyka w reżyserii Marcina Sławińskiego. Premierze towarzyszyło wręczenie nagród laureatom II konkursu „Komedioopisanie” organizowanego przez Polskie Centrum Komedi.
- Uczczono także jubileusz 50-lecia pracy artystycznej aktora Edwarda Sosny. Z tej okazji jubilat otrzymał nagrodę ZASP.
- W Teatrze Lalki i Aktora „Pinokio” odbyła się prapremiera *Białych baloników* Magdy Fertacz w reżyserii Agaty Biziuk.
- W Muzeum Kinematografii obchodzono 10-lecie nowego „Se-Ma-Fora”. W 1999 roku po 50 latach działalności studio zostało zlikwidowane. Grupa pracowników

ze Zbigniewem Żmudzkim na czele powołała „Se-Ma-Fora” Produkcję Filmową. Studio ma swoją siedzibę na terenie EC1, prowadzi Muzeum Bajki i nadal produkuje filmy. Największym sukcesem był Oskar dla *Piotrusia i wilka*. Niestety w „Se-Ma-Forze” nie powstają filmy dla dzieci, do których studio zamierza powrócić.

- Koncert Plácido Domingo, który odbył się 8 czerwca 2008 roku w Teatrze Wielkim z okazji 90-lecia Województwa łódzkiego, został uznany przez uczestników plebiscytu „Energia kultury” za wydarzenie roku 2009. Plebiscyt organizowały: łódzka „Gazeta Wyborcza”, Telewizja Toya i Wytwórnia. Podczas gali w Wytwórni nagrodę „Kołyskę Newtona” odebrali Marszałek Województwa Włodzimierz Fisiak i dyrektor Teatru Wielkiego Marek Szyjko.

31 stycznia

- W prywatnym Teatrze Małym w Łodzi odbyła się premiera *Emigrantów* Sławomira Mrożka w reżyserii Krzysztofa Rościszewskiego. W spektaklu zagraли Marek Kasprzyk i Mariusz Pilawski.
- Teatr Muzyczny wystawił Na końcu tęczy Petera Quiltera w reżyserii Ireneusza Janiszewskiego. Z powodu remontu macierzystej placówki premiera odbyła się w Akademickim Ośrodku Inicjatyw Artystycznych.
- Prof. dr hab. Jacek Moll, wybitny kardiochirurg dziecięcy, zwyciężył w plebiscycie Radia Łódź na „Łodzianina Roku”. Nagroda została wręczona podczas gali w Muzeum Miasta Łodzi. Laureat podziękował łodzianom, którzy oddali na niego głos i współpracownikom: lekarzom i pielęgniarkom. O tytuł rywalizowali z nim: Wojciech Grochowalski, Anna Janicka, Bronisław Wrocławski i Marek Żydowicz.

PERSONALIA:

27 stycznia

- Grzegorz Kaźmierczak został oficjalnie odwołany ze stanowiska prezesa Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania Miasta. Jego miejsce zajęła Monika Kern, od listopada p. o. prezesa.

ODESZLI:

16 stycznia

- Andrzej Traczykowski – dyrektor Wytwórni Filmów Oświatowych i Programów Edukacyjnych, od 1994 roku kierownik produkcji filmów, organizator Festiwalu

Filmów Przyrodniczych. W latach 1974-86 pracował jako kierownik produkcji WFO. Zmarł w wyniku wypadku samochodowego. Samochód, którym jechał, został staranowany przez ciężarówkę.

21 stycznia

- Janusz Kozłowski - dziennikarz, publicysta, poszukiwacz żydowskiej spuścizny kulturalnej w Łodzi. Współpracownik „Tygla Kultury” i „Kroniki Miasta Łodzi”.

LUTY 2010

2 lutego 2010

- **Tomasz Sadzyński – łódzki radny i urzędnik Urzędu Marszałkowskiego, objął na mocy decyzji premiera RP obowiązki prezydenta Łodzi. Tomasz Sadzyński ma 33 lata, od 2001 roku jest członkiem PO. Był asystentem posłanki Iwony Śledzińskiej-Katarasińskiej, a w 2006 roku szefem sztabu PO.** Żonaty, ma dwóch synów. Cieszy się opinią dobrego organizatora, sumiennego urzędnika i skromnego kolegi. Do Urzędu Miasta wprowadziła Sadzyńskiego wojewoda Jolanta Chełmińska.
- Przetarg magistratu na opracowanie strategii marki Łódź wygrała krakowska firma Demo Effective Launching, która przygotowała podobne projekty dla Gdańska i Radomia. Projekt ma być gotowy jesienią i zawierać program działania na wiele lat.

4 lutego

- Ukazał się album fotograficzny *Sentymentalna podróż po Łodzi. Łódź na starych fotografiach Włodzimierza Pfeiffera*. Zmarły w 1941 roku autor fotografii pozostawił po sobie dziewięćset zdjęć, które obecnie znajdują się w zbiorach Archiwum Państwowego w Łodzi. Wydawnictwo „Hamal Andrzej Machejek” wybrało do publikacji dwieście prac. Wstęp do książki oraz podpisy pod zdjęciami są autorstwa Ryszarda Bonisławskiego. Album ukazał się w polskiej i angielskiej wersji językowej.
- W galerii Opus przy ulicy Łąkowej wystawiła swoje obrazy Beata Ewa Białecka. Prace artystki, absolwentki ASP w Krakowie z 1992 roku, często kupują muzea w kraju i zagranicą. W Łodzi Białecka pokazała dziesięć wielkoformatowych prac.
- W Filharmonii Łódzkiej spotkali się przedstawiciele władz Łodzi i województwa, politycy różnych ugrupowań, aby omówić strategię starań o Tytuł Europejskiej Stolicy Kultury w 2016 roku. Za strategię odpowiedzialne jest Łódź Art Center. Opracowany program ma zapewnić miastu tytuł i stworzyć długofalowy program rozwoju.

5 lutego

- O godzinie 12 poloneza na ulicy Piotrkowskiej zatańczyło siedemset par tegorocznych maturzystów. Korowód prowadził ubrany w kontusz Janusz Wielgosz – nauczyciel tańca z ŁDK, a w pierwszych dwóch parach tańczyły: Jolanta Chełmińska – wojewoda łódzka oraz Barbara Piegdoń-Adamczyk redaktor naczelna łódzkiej „Gazety Wyborczej”. Po zakończeniu tańca młodzież otrzymała certyfikaty, a w niebo poszybowało 1500 balonów. Tańczących uwieczniono na pamiątkowym zdjęciu.

6 lutego

- Łódzki Uniwersytet Dziecięcy działający przy Politechnice Łódzkiej rozpoczął nowy semestr. Wykład o samolotach poprowadził prof. dr Jan Krysiński. Mali słuchacze byli bardzo dociekliwi i zadawali wiele pytań.
- Spółka „PKP Intercity” uruchamia specjalne kursy między Łodzią a Warszawą, dzięki którym mieszkańcy obu miast będą mogli jeździć na kulturalne imprezy. Pierwsze pociągi dowiozły fanów 10 i 11 lutego na koncerty zespołu Depeche Mode w hali Atlas Arena.

8 lutego

- W ramach cyklu „Gdy muzyka była młodsza” w klasztorze dominikanów przy ulicy Zielonej 13 w koncercie *Muzyka w tańcu. Wiek XV* wystąpił zespół „Dancerye”.
- W 90. rocznicę zaślubin Polski z morzem na ulicy 10 lutego przy pamiątkowej tablicy przedstawiciele samorządu złożyli kwiaty. Radna Anna Lucińska, pomysłodawczyni akcji, otrzymała „Pierścień Hallera”, odznakę Ligi Morskiej i Rzecznej.

9 lutego

- Akademia Muzyczna w Łodzi podpisała umowę z firmami, które wygrały przetarg na budowę uczelnianej sali koncertowej. Są to „Remo-Bud” z Łodzi i Construcciones Nepama S.L. z Hiszpanii. Budynek stanie przy skrzyżowaniu ulicy Żubardzkiej z aleją Włóknarzy. Autorem projektu jest łódzki architekt Włodzimierz Nowakowski. Budowę sfinansuje Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Unia Europejska.
- Łódzki Dom Kultury rozpoczął Chopinowski Festiwal Filmowy filmem *Młodość Chopina* Aleksandra Forda z 1951 roku.

10 lutego

- Łódzkie Towarzystwo Naukowe wydało książkę Joanny Podolskiej i Przemysława Waingertnera *Prezydenci Miasta Łodzi. 1841-2007*. Publikacja adresowana

jest głównie do młodzieży i studentów oraz wszystkich interesujących się historią miasta. Na spotkanie promocyjne w ŁTN przyszli dawni prezydenci: Jerzy Lorens, Józef Niewiadomski, Tadeusz Matusiak i Krzysztof Jagiełło.

- Ogłoszono, że w 2009 roku 2500 uczniów z 28 szkół wzięło udział w programie „Ratujemy łódzkie kasztanowce”. Koszt działań wynosił 145 tysięcy złotych. Młodzież zgrabiła 1300 worków liści zakażonych szkodnikami drzew.
- Na koncert do Atlas Areny przyjechali fani z całej Polski. Zespół Depeche Mode i soliści: Martin Gore, Dave Gahan, Andrew Fletcher grali znane hity i nowe utwory. Zespół wystąpił w Łodzi jeszcze raz 11 lutego.

11 lutego

- Muzeum Kinematografii rozpoczęło nowy cykl pod tytułem „Filmowe klany”. Cykl zainaugurowały filmy operatora Stanisława Śliskowskiego i bratanka Piotra Śliskowskiego.
- Poeta Ernest Bryll przedstawił czytelnikom w Bibliotece im. Piłsudskiego książkę *O trzeciej nad ranem*; opowieść o swoim życiu.

13 lutego

- Na Nadzwyczajnym Zgromadzeniu Izby Adwokackiej zebrali się łódzcy adwokaci, którzy wyrażali sprzeciw wobec proponowanych przez rząd i sejm zmian w ustawie o zawodzie adwokata i radcy prawnego. W przyjętej uchwale zebrani podkreślili, iż proponowane zmiany są sprzeczne z Konstytucją i ich celem jest wyłączne osiągnięcie doraźnych celów politycznych. W zgromadzeniu wzięł udział minister sprawiedliwości Krzysztof Kwiatkowski.
- W Teatrze Jaracza odbyła się premiera *Produktu* Marka Ravenhilla w reżyserii Wojciecha Czarnoty, scenografii Waldemara Zawodzińskiego, kostiumy Marii Balcerek. W rolach głównych: Kamila Sammler i Mariusz Jakus.
- W galerii „87” otworzono wystawę fotograficzną *Pewnego dnia w starym atelier...*. Ekspozycja obejmuje 120 fotografii wykonanych w łódzkich zakładach fotograficznych pod koniec XIX i w pierwszej połowie XX wieku. Najstarsze zdjęcie pochodzi z 1870 roku. Ekspozycję zorganizował Ryszard Bonisławski – dyrektor Centrum Informacji Turystycznej.

15 lutego

- Sto lat skończyła mieszkanka Łodzi Władysława Celmer. Jej recepta na długowieczność to: uczciwa praca, skromne życie i prawdomówność. Życzenia od samorządowców przekazała jubilatce wiceprezydent Wiesława Zewald.
- Pięciuset kibiców Łódzkiego Klubu Sportowego manifestowało przed Urzędem Miasta przy ulicy Piotrkowskiej 104. Kibice przekazali petycję, w której apelowali o ratunek dla łódzkiego klubu.

16 lutego

- W Muzeum Tradycji Niepodległościowych otwarto wystawę *Sceny mitologii w sztuce*. Zgromadzono setkę eksponatów.
- Ukazała się *Księga Fabryk Łodzi*. Autorami tej imponującej pozycji są Jacek Kusiński (autor zdjęć), Ryszard Bonisławski – znawca historii Łodzi i Maciej Janik z Archiwum Państwowego w Łodzi. *Księgę...* opublikowało „Wydawnictwo Jacek Kusiński”.
- Pochodzący z Łodzi dr Adam Szelaąg, lekarz ginekolog zamieszkały w Szwecji od 1987 roku, został wybrany przez pacjentki najlepszym lekarzem w kraju.
- Międzynarodowy Festiwal Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych organizowanych przez Teatr Powszechny w Łodzi rozpoczął spektakl *Wymazywanie* wg powieści Thomasa Bernharda w reżyserii Krystiana Lupy z Mają Komorowską i Joanną Szczepkowską w rolach głównych.

17 lutego

- Policja odzyskała skradziony w latach 80. z Publicznej Biblioteki im. Marszałka J. Piłsudskiego paryskie wydanie *Pana Tadeusza* z 1834 roku. Skradzioną książkę usiłowali sprzedać w internecie dwaj łodzianie.
- Z inicjatywy prof. Jacka Kaczmarska z Wydziału Nauk Geograficznych UŁ melomani powołali do życia Salon Przyjaciół Filharmonii Łódzkiej. Przyjaciele będą mieli pierwszeństwo przy zakupie biletów i abonamentów oraz zamkniętych spotkaniach, czyli będą aktywniej uczestniczyć w życiu Filharmonii.

21 lutego

- W Muzeum Miasta Łodzi otwarto wystawę prac Krystyna Zielińskiego – jednego z najwybitniejszych twórców powojennej awangardy polskiej. Ekspozycja obejmuje 250 prac: rysunków, obrazów i rzeźb wypożyczonych z muzeów i kolekcji prywatnych.
- W tym dniu łodzianka Weronika Bińkowska skończyła sto lat. Jubilatkę odwiedził i złożył jej życzenia od władz miasta wiceprezydent Marcin Bugajski.

23 lutego

- Wiceprezydent Łodzi Dariusz Joński udał się z życzeniami do Stefani Poborskiej, która obchodziła setne urodziny. Jubilatka mieszka w Domu Pomocy Społecznej przy ulicy Grota Roweckiego.
- W Poleskim Ośrodku Sztuki gościł dziennikarz i prezynter pogody Jarosław Kret. Opowiadał o Indiach, które poznawał przez kilka lat i opisał w książce *Moje Indie*.
- W siedzibie Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego otwarto wystawę fotografii wykonanych przez Aleksandrę i Piotra Jabłońskich pod tytułem *Z flesztem w morzach tropikalnych*.

24 lutego

- Wykładem prof. Marka Hendrykowskiego w kinie „Polonia” rozpoczęła działalność Akademia Polskiego Filmu zorganizowana przez Polski Instytut Sztuki Filmowej, Stowarzyszenie Filmowców Polskich oraz Filmotekę Narodową. Akademia oferuje kurs historii polskiego kina wraz z pokazami filmowymi. Kurs jest płatny, uczestniczyć w nim mogą wszyscy zainteresowani polskim filmem.
- Po siedmiu latach remontu hotel „Polonia” odzyskał status hotelu (na razie dwugwiazdkowego) i cieszy oczy elewacją, a w nocy dodatkowo jest pięknie iluminowany. „Polonia” należy do trzech stuletnich hoteli w Łodzi.
- Ukazał się przewodnik po MS² przy ulicy Ogrodowej. Autorem *Kolekcji sztuki XX i XXXI wieku* jest teatrolog Leszek Karczewski, dzieła i ekspozycję fotografował Marcin Stępień. Przewodnik ukazał się w polskiej i angielskiej wersji językowej.
- „Wędrowki nasze smutne i szalone... Żydowskie tematy – literatura i sztuka” – to hasło otwartych wykładów organizowanych przez Pracownię Języka i Kultury Żydowskiej przy Instytucie Teorii Literatury, Teatru i Sztuk Audiowizualnych Uniwersytetu Łódzkiego. Pierwsze spotkanie poświęcono żydowskim Księgom Pamięci. Wykładowcami byli prof. Monika Adamczyk-Grabowska i dr hab. Andrzej Trzciniński z Uniwersytetu M. Curie- Skłodowskiej w Lublinie – tłumacze Ksiąg Pamięci.

26 lutego

- Podczas trzydniowych targów „Na styku kultur” w hali Expo zachęcano do poznawania regionu łódzkiego oraz partnerskich miast Barreiro (Portugalia), Betlejem (Palestyna), Mińsk (Białoruś), Rustawi i Tbilisi (Gruzja) Carmel City (Izrael) Lwów (Ukraina) i Kalinigrad (Rosja).
- Filharmonia Łódzka uczciła dwusetne urodziny Fryderyka Chopina koncertem z udziałem Ivo Pogorelicia. Chorwacki pianista wzbudzał wielkie emocje i dzielił publiczność w Polsce podczas Konkursu Chopinowskiego w 1980 roku. Podobnie było i tym razem. Entuzjastycznie natomiast odebrano wykonanie V symfonii Beethovena przez łódzkich filharmoników. Orkiestrą dyrygował Daniel Raiskin.

ODESZLI:**5 lutego**

- Andrzej Smoczyński – prof. łódzkiej Akademii Sztuk Pięknych, malarz, grafik, twórca Centrum Sitodruku w ASP. Założyciel i pierwszy prezes Związku Sitodrukarzy w Polsce. Silnie związany z tradycją łódzkiej awangardy, znakomity pedagog, przyjaciel młodzieży.

14 lutego

- Jan Finkstein – wieloletni pedagog Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi, były dziekan Wydziału Ubioru i Tkaniny, wychowawca i przyjaciel studentów.

PERSONALIA:**11 lutego**

- Kluby radnych PO i SLD podpisały porozumienie o współpracy. Pełniący obowiązki prezydenta Tomasz Sadzyński powołał czterech swoich zastępców: **Dariusza Jońskiego (SLD) oraz Wiesławę Zewald, Marcina Bugajskiego i Łukasza Magina – wszyscy z PO.**
- Wojciech Jańczyk został rzecznikiem prasowym p.o. prezydenta Łodzi Tomasza Sadzyńskiego w miejsce Kajusa Augustyniaka, a Magdalena Sosnowska zastępcą rzecznika w miejsce Marzeny Korosteńskiej.

17 lutego

- P.o. prezydenta Tomasz Sadzyński odwołał pięciu członków Rady Nadzorczej MPK. Przewodniczącą Rady – Grażynę Korasiewicz, wiceprzewodniczącą – Władysława Janiaka oraz członków: Janusza Czyżewskiego i Witolda Gierlicza oraz Jarosława M., który wraz z prezesem Krzysztofem W. został aresztowany. Na ich miejsce weszli: Marzena Dudkiewicz, Cezariusz Grabowicz i Mateusz Kamiński.

22 lutego

- **Barbara Mrozowska-Nieradko, była prezydent Sieradza i wiceprezydent Zduńskiej Woli, została sekretarzem miasta. Zastąpi na tym stanowisku Jana Witkowskiego.**

MARZEC 2010**2 marca**

- W hotelu Andel's otwarto stałą ekspozycję polskiej sztuki współczesnej, na której zaprezentowano ponad sto dzieł. Prace nawiązują do historii budynku, przedstawiają również wizje miasta. Kuratorkami wystawy są Justyna Kowalska i Lucyna Sosnowska.
- Polska Akademia Filmowa przyznała dziewięć Złotych Orłów filmowi *Rewers*. Jeden z Orłów otrzymał łódzki pisarz Andrzej Bart za scenariusz do tego filmu.

3 marca

- Międzynarodowa Fundacja Muzyczna im. A. Rubinsteina zorganizowała w Pałacu Poznańskiego koncert z udziałem ukraińskiej pianistki Anny Fiedorowej i Stanisława Firleja – wiolonczela. Po koncercie odbyła się aukcja dzieł sztuki na rzecz tej Fundacji oraz Fundacji Kultury i Biznesu.
- „Galaktyka” – to pierwsze łódzkie wydawnictwo, które przygotowało elektroniczną książkę i udostępnia ją na swojej stronie internetowej. Jest to 32-stronicowa książka fotografa Davida Chemina pod tytułem *Dziesięć sposobów na robienie lepszych zdjęć. Żaden ze sposobów nie wymaga kupowania nowego sprzętu*.
- W galerii „Manhattan” absolwenci Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi wystawili prace pod wspólnym tytułem *Maj 2009*.

4 marca

- W Ośrodku Propagandy Sztuki w Parku Sienkiewicza otwarto wystawę *Menuzet* Bożenny Biskupskiej z cyklu „Wytyczanie obrazu 01”.

5 marca

- Były wiceprezydent Łodzi Karol Chądzyński wygrał w sądzie proces o zniesławienie i posądzenie, iż rzekomo przywłaszczył sobie 10 tysięcy złotych, które miał otrzymać od braci Gałkiewiczów na kampanię wyborczą Jerzego Kropiwnickiego. Wcześniej podobny werdykt ogłosił sąd wobec osoby wiceprezydenta Włodzimierza Tomaszewskiego.

6 marca

- Teatr Wielki w Łodzi wystawił *Rusałkę* Antoniego Dworzaka w reżyserii Tomasza Cyza. W czołowych partiach wystąpili: Violetta Chodowicz, Jolanta Bibel, Peter Berger, Katarzyna Hołysz. Dyrygował Łukasz Borowicz.

8 marca

- Przy ulicy Kasprzaka w Łodzi otwarto hotel „Borowiecki”. Właścicielem hotelu jest firma „Art-Dom” hotel oficjalnie otworzyli: Daniel Olbrychski – odtwórca roli Borowieckiego w filmie *Ziemia obiecana* Andrzeja Wajdy oraz Marian Zieliński z „Art-Domu”.
- W klasztorze dominikanów przy ulicy Zielonej 13 w ramach spotkań z muzyką dawną wystąpił czeski zespół „Musica florea” z programem *Fantazja bez granic w muzyce Henry Purcella*.
- W Filharmonii Łódzkiej stare rosyjskie ballady i pieśni śpiewała Żanna Biczewska. Pieśniarce towarzyszył na gitarze Genadij Ponomariow.

9 marca

- Janusz Kaniewski – światowej sławy projektant, wykładowca na uczelniach artystycznych w Londynie i Turynie, wygłosił wykład dla studentów projektowania, architektury i wzornictwa. Ogłosił też otwarty konkurs na projekt lampy. Nagrodą dla zwycięzcy będzie staż w pracowni artysty.
- W Muzeum Miasta Łodzi otwarto wystawę lalek z papieru Mirosławy Truchty-Nowickiej. 50 lalek wkomponowano w stałą ekspozycję muzealną.

10 marca

- Pod patronatem „Gazety Wyborczej” w Łodzi klubokawiarnia „Owoce i Warzywa” przy ulicy Traugutta 9 rozpoczęła cykl spotkań z projektantami. Jako pierwszy w klubie gościł Roman Rutkowski – krytyk i wykładowca na Wydziale Architektury Politechniki Wrocławskiej oraz właściciel pracowni architektonicznej.
- Marszałek Sejmu Bronisław Komorowski spędził w Łodzi cały dzień na przedwyborczych spotkaniach. Na Wydziale Prawa i Administracji dyskutował ze studentami, następnie odbył konferencję z dziennikarzami, a wieczorem z działaczami PO.
- W galerii „Blok” w Akademii Sztuk Pięknych otwarto wystawę prac prof. Teresy Tyszkiewicz. Można zobaczyć 12 obrazów i trzy rysunki artystki – wszystkie reprezentują ten wątek sztuki abstrakcyjnej, który nazwano tasyzmem.
- Posłanka Zdzisława Janowska na zwołanej konferencji prasowej poparła projekt budowy Camerimage Łódź Center. W konferencji uczestniczyli studenci, którzy zebrali już 3,5 tysiąca podpisów łodzian pod projektem obywatelskim zakładającym wprowadzenie planu budowy CŁC do wieloletniego planu inwestycyjnego.

11 marca

- W ms² przy ulicy Ogrodowej otwarto wystawę *Modernizacje 1918-1939. Czas przyszły dokonany*, na której zgromadzono trzysta eksponatów z muzeów i archiwów polskich, serbskich, estońskich i węgierskich oraz ze zbiorów prywatnych. Wystawie towarzyszą warsztaty edukacyjne dla uczniów.
- W hali Expo podczas Targów Edukacyjnych różnego typu łódzkie szkoły przedstawiały oferty dalszego kształcenia oraz wyboru drogi zawodowej.

12 marca

- Gospodarzami tegorocznego Międzynarodowego Dnia Frankofonii w Łodzi było XIII Liceum Ogólnokształcące oraz ambasada Republiki Francuskiej. Zorganizowano dyktando z języka francuskiego, konkurs wiedzy o krajach frankofońskich oraz eliminacje do Koncertu Piosenki Francuskiej. Uczniowie XIII Liceum Ogólnokształcącego z Łodzi zdobyli Grand Prix na XV Ogólnopolskim Festiwalu Francuskojęzycznych Teatrów Szkół Licealnych w Koszalinie za spektakl oparty na sztuce Jean-Paula Sartre'a *Za zamkniętymi drzwiami*. Nagrodę za najlepszą rolę

kobiecą otrzymała Aleksandra Słota. Przedstawienie przygotowała nauczycielka Luiza Łaszcz-Kujawiak.

- Agnieszka Holland rozpoczęła w Łodzi prace nad nowym filmem pod tytułem *Ukryci*. Jest to opowieść o żydowskich uciekinierach z getta we Lwowie i ich wybawicielu złodziejaszku Leopoldzie Sosze, który do końca wojny ukrywał Żydów w kanałach. W Łodzi zdjęcia kręcono w kanałach oraz na ulicach Włókienniczej, Nowomiejskiej i Wojska Polskiego. Film powstaje w koprodukcji polsko-niemiecko-kanadyjskiej.
- W Atlasie Sztuki otwarto wystawę retrospektywną obrazów prof. Stanisława Fijałkowskiego, jednego z najwybitniejszych europejskich twórców, który mieszka w Łodzi. Spośród 90 płócien najstarsze *Kubistyczny dzban* (1947) i *Pejzaż morski* (1948) zostały namalowane przez artystę jeszcze podczas studiów w Łodzi pod kierunkiem Władysława Strzemińskiego i noszą wyraźne cechy wpływów mistrza polskiej awangardy. „Najmłodszy” obraz Fijałkowski namalował w 2010 roku.
- Ks. abp Władysław Ziółek i wojewoda łódzka Jolanta Chełmińska otworzyli w Manufakturze wystawę pisanek namalowanych przez 50 artystów. Dochód z licytacji pisanek zostanie przeznaczony na wypoczynek dzieci organizowany przez Katolickie Stowarzyszenie Niepełnosprawnych Archidiecezji Łódzkiej.
- „Damą Sukcesu 2009” łodzianie wybrali Krystynę Mikitę – dyrektorkę Ośrodka Szkoleniowo-Wypoczynkowego ZHP „Nadwarciański Gród”.
- Waldemar Pawlak – wicepremier i minister gospodarki gościł w naszym mieście. Spotkał się z prof. Pawłem Górskim – rektorem Uniwersytetu Medycznego, odwiedził Centrum Kliniczno-Dydaktyczne UM oraz Politechnikę Łódzką, gdzie wygłosił wykład dla studentów. Wicepremier uczestniczył także w konferencji prasowej.
- W Patio Centrum Sztuki Ewa Potocka zaprezentowała projekt „Kontestacja design”.
- Jeden z najlepszych koncertowych zespołów na świecie Rammstein z Niemiec wystąpił w Atlas Arenie.

13 marca

- Do Łodzi zawitała kopia obrazu Matki Boskiej Jasnogórskiej. Powitanie obrazu oraz nabożeństwo powitalne odbyło się przy pomniku kardynała Stefana Wyszyńskiego – pomysłodawcy peregrynacji obrazu po Polsce. W imieniu Kościoła łódzkiego obraz przywitał arcybiskup Władysław Ziółek, a w imieniu wiernych – prof. Michał Seweryński.

15 marca

- W Muzeum Sztuki czterej przedstawiciele wideoartu: Mirosław Bałka (Polska), Yael Bartany (Izrael), Deimantas Narkevicius (Litwa) i Marcel Odenbach (Niem-

cy) przedstawili projekt „Building memory”. Artyści patrzą na wątki historii Polski, Izraela i NRD poprzez pamięć ukrytą w architekturze.

- W Zonie Sztuki Aktualnej przy ulicy Tymienieckiego Rafał Brzeski wystawił stalowe rzeźby, które nazwał „sierotkami”. Inspiracją do rzeźb stanowiły wypchane gady w Muzeum Historii Naturalnej w Londynie.

18 marca

- W konkursie na najlepsze wnętrze roku 2009 organizowanym od 20 lat przez Fundację Ulicy Piotrkowskiej główną nagrodę zdobył hotel Andel's. Ponadto do nagrody nominowani byli: salon sprzedaży GTR Holding (Piotrkowska 68), „Design cafe”, salon odnowy ONSENspa, naleśnikarnia „Manekin”, centrum biurowe „Zenit”, restauracja „Ganesh”, budynek St.Paul Developments i Centrum Biznesowe „Synergia”.
- „Gazeta Wyborcza” w Łodzi zorganizowała dyskusję na temat: „Czym jest europejska stolica kultury?”. Jednym z dominujących wątków dyskusji były przygotowania do rywalizacji z innymi miastami oraz odpowiedź na pytanie: „Co zyskają łodzianie, jeśli miastu przypadnie tytuł?”. W dyskusji brali udział przedstawiciele magistratu, w tym p.o. prezydenta Tomasz Sadzyński, politycy, samorządowcy oraz reprezentanci biznesu i kultury.
- Krótkometrażowy film Balbiny Bruszewskiej *Miasto płynie* zdobył po raz dziesiąty Grand Prix Złota Kreska na Festiwalu Autorskich Filmów Animowanych w Krakowie.

19 marca

- Podczas corocznych dni Kolorowej Tolerancji przewodnicy PTTK oddziału łódzkiego postanowili pobić rekord Polski w jednoczesnym oprowadzaniu po mieście. Na spacer po „Kolorowej Łodzi” stawiło się 1500 osób. Rekord został pobity. Spacerowicze spotkali się na Rynku Starego Miasta, gdzie pozowali do fotografii, która ukazała się na łamach łódzkiej „Gazety Wyborczej”.
- Dzień wcześniej w Muzeum Kinematografii można było obejrzeć filmy związane z Łodzią, a młodzież szkolna dyskutowała o fanatyzmie i kibicach piłkarskich, między innymi z dziennikarką Joanną Podolską i Jarosławem Nowakiem – prezesem Instytutu Tolerancji. Rozdano także nagrody w konkursie im. Hikiego Fromera. Główną nagrodę w kategorii plastycznej zdobył Zespół Szkół Specjalnych nr 2, a nagrodę za najlepszy esej otrzymał Michał Płóciennik.
- 43 ambasadorów rezydujących w Polsce przyjechało do Łodzi na trzydniowy pobyt. Korpus dyplomatyczny zwiedził Pałac Poznańskiego, łódzkie muzea, Manufakturę i ulicę Piotrkowską. Ambasadorzy spotkali się z przedstawicielami Politechniki i Filmówki. W niedzielę pojechali do Łęczycy na turniej rycerski. Zwiedzili także Łowicz.

20 marca

- Na zjeździe miejskim Platformy Obywatelskiej w Łodzi Hanna Zdanowska została wybrana przewodniczącą tej partii w mieście oraz kandydatką na prezydenta Łodzi.
- W Centralnym Muzeum Włókiennictwa otwarto wystawę pod tytułem *Od krosna do krosna*. Można na niej zobaczyć 130 lnianych tkanin sprowadzonych z Muzeum Rzemiosła w Krośnie zgłaszanych na Międzynarodowe Biennale Tkaniny Artystycznej od 2000 roku

21 marca

- Z okazji Światowego Dnia Wody w Manufakturze przy pomocy Zakładu Wodociągów i Kanalizacji, Aquaparków „Fala” i „Wodny Raj” oraz Urzędu Miasta Łodzi zorganizowano szereg imprez między innymi degustację łódzkiej wody zdrojowej. „Kranówkę” próbowali między innymi byli p.o. prezydenta Tomasz Sadzyński oraz wiceprezydent Dariusz Joński. Gospodarze miasta przekonywali, że woda jest tak smaczna, iż trudno ją odróżnić od mineralnej dostępnej w butelkach.
- Przy ulicy Lindleya w studziencie kanalizacyjnej zamontowano pamiątkowy wąż ku czci twórcy łódzkiego systemu wodociągowo-kanalizacyjnego Williama Heerleina Lindleya – angielskiego inżyniera, który na początku XX wieku na zlecenie ówczesnych władz Łodzi przygotował projekt budowy wodociągów i kanalizacji. Autorem projektu jest łódzki artysta Bogdan Wajberg. Wąż stanowi kolejny eksponat w galerii wążów, które upamiętniają wydarzenia i miejsca ważne dla historii naszego miasta.

22 marca

- W ramach cyklu „Wędrowki nasze szalone i smutne... Żydowskie tematy – literatura i sztuka” Pracownia Języka i Kultury Żydowskiej Uniwersytetu Łódzkiego zaprosiła na odczyt i pokaz filmów Krzysztofa Miklaszewskiego o Brunonie Schulzu.

23 marca

- Koncert w wykonaniu Szanghajskiej Orkiestry Symfonicznej w Filharmonii Łódzkiej rozpoczął Łódzką Wielkanoc Muzyczną. Całość obejmuje osiem koncertów zagranych przez pięć orkiestr w tym dwie zagraniczne, a program ułożony został pod hasłem duchowości w muzyce.

24 marca

- W Poleskim Ośrodku Sztuki o swojej najnowszej powieści *Rozrywki stanu wojennego* – książki osadzonej w realiach Łodzi – opowiadała autorka Maria Kępińska. Spotkanie prowadził dr Andrzej Rostocki – łódzki socjolog i jeden z bohaterów książki.

- Szkoła Podstawowa nr 26 została uhonorowana Złotym Medalem Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej. Jej uczniowie od lat opiekują się grobami żołnierzy na cmentarzu przy ulicy Ogrodowej, a ostatnio także mogiłą bohaterów września 1939 roku, która znajduje się na cmentarzu św. Antoniego. Dzieci co miesiąc porządkują nagrobki, składają kwiaty, zapalają znicze. Uroczystość zbiegła się ze świętem patrona szkoły – Armii Łódź.
- Na scenie Teatru Wielkiego wystąpił zespół tancerzy australijskich w programie tańców irlandzkich. W skład grupy Gaelforce Dance wchodzi tancerze z całego świata. Zespół zawdzięcza sławę znakomitym choreografom, uzdolnionym tancerzom i zawsze granej na żywo muzyce.

25 marca

- Na nowo powstałej scenie Off Nowy Teatru Nowego, przy ul. A. Struga 90, odbyła się premiera *Ślepców* wg Maurice`a Maeterlincka w opracowaniu Marka Strąkowskiego, który kierował zespołem odpowiedzialnym za zbiorową reżyserię spektaklu.
- Powstał konflikt między aktorami teatru Arlekin, a dyrektorem Waldemarem Wołańskim. Aktorzy zarzucali dyrektorowi nieobyczajne zachowanie oraz nepotyzm. Domagają się także zawarcia etatowych umów o pracę. W celu wyjaśnienia zarzutów wiceprezydent Wiesława Zewald powołała specjalny zespół.
- W Galerii Wschodniej Kamil Kuskowski przygotował projekt „Antysemitizm wyparty”, w Klubie Fokus Biennale otwarto wystawę prac Ivo Nikica *Obrazy znalezione*, a przed Klubem Grzegorz Pleszyński przygotował instalację *Znaki ostrzegawcze*. Wszystkie te działania przygotowano w ramach Dni Kolorowej Tolerancji.
- W Bibliotece Uniwersyteckiej otwarto wystawę polskich książek artystycznych z przełomu XIX i XX wieku przygotowaną przez bibliotekę i Muzeum Książki Artystycznej Jadwigi i Pawła Tryznów.

28 marca

- Międzynarodowy Dzień Teatru obchodzono w Łodzi pod hasłem „Dotknij Teatru” według koncepcji Anny Ciszowskiej. Od wczesnego rana do północy łodzianie „dotykali” tajemnic teatru odwiedzając między innymi zaplecza Teatru Wielkiego, oglądając przedstawienia w Nowym, Pinokio i w Szwalni. W Centrum Kultury Młodych wystąpiły szkolne teatry amatorskie.
- W galerii ECK Logos otwarto wystawę rzeźb, szkiców i fotografii Macieja Zychowicza z Krakowa. Wystawa nosi tytuł *Droga. Motywy pasyjne*.

29 marca

- Ks. abp Józef Życiński, metropolita lubelski, głosił dwudniowe rekolekcje wiel-

kopostne dla artystów w Kościele Środowisk Twórczych w Łodzi. Rekolacje zatytułowano *Odkrywać świat piękna i sensu*.

30 marca

- W Galerii Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego wystawiono prace dyplomowe studentów: Katarzyny Krakowiak, Patrycji Sosnowskiej, Natalii Polak, Piotra Małeckiego i Grzegorza Wełnickiego z Wyższej Szkoły Sztuki i Projektowania w Łodzi.

PERSONALIA:

2 marca

- Edyta Sancewicz – dotychczasowa dyrektorka w kancelarii marszałka województwa – została doradcą p.o. prezydenta Tomasza Sadzyńskiego do spraw kultury i starań Łodzi o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury w 2016 roku.

17 marca

- Dominika Ostrowska-Augustyniak – dyrektorka Biura Promocji Miasta – została odwołana ze stanowiska. Za główny powód podano brak podpisania przez Biuro umów na duże imprezy współfinansowane przez miasto, między innymi na Fashion Week. Odwołano także Wojciecha Łaszkiwicza, wiceprezesa łódzkiego lotniska oraz Krzysztofa Lipińskiego – dyrektora Wydziału Sportu Urzędu Miasta Łodzi.

22 marca

- Nowym szefem promocji Łodzi został Tomasz Bartosiak, były pracownik Departamentu Promocji w Urzędzie Marszałkowskim oraz były dyrektor biura i promocji wydawnictw Uniwersytetu Medycznego.

Opracowała: *Małgorzata Golicka-Jabłońska*



10671-A

CIS

PR

Na okładce reprodukcja obrazu Mileny Romanowskiej pt. „Przenikanie VII”

